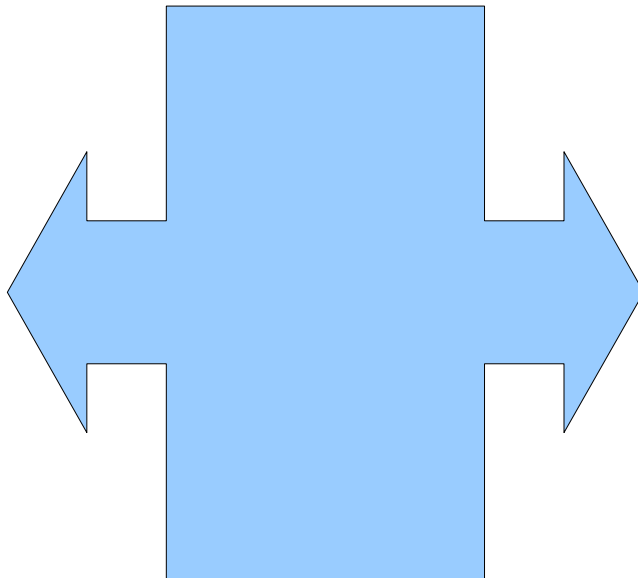


Z CHOMIKA VALINOR

DAVID MORRELL

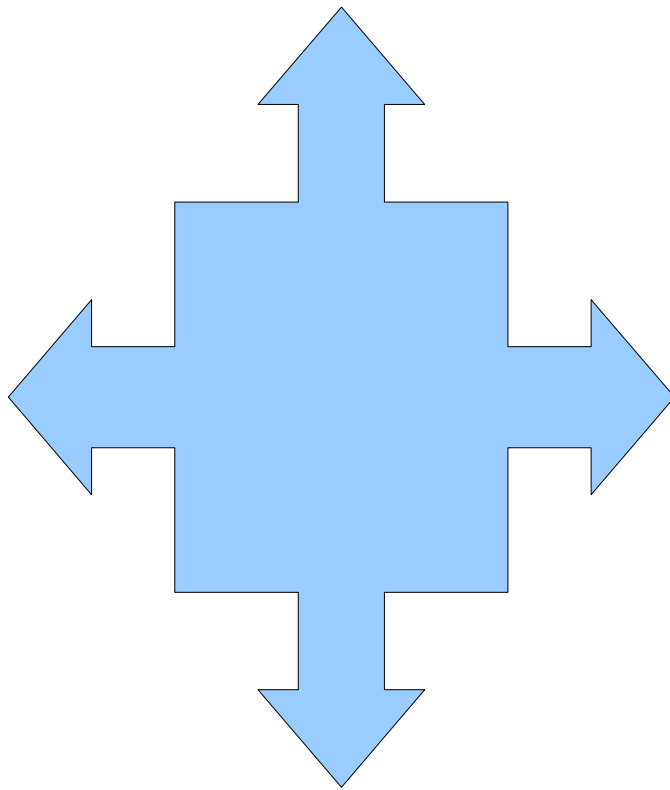
# Bractwo nocy i mgły

(PRZEKŁAD: ZUZANNA NACZYŃSKA)



*Nowe zło wymaga nowych środków zaradczych...  
nowych sankcji, aby dochodzić i bronić  
odwiecznych zasad dobra.*

The Times, Londyn (o procesie norymberskim)



PROLOG

**CZTERY CIENIE NOCY**

## NOC DŁUGICH NOŻY

Stworzone przez hitlerowców określenie - Noc Długich Noży odnosi się do wypadków, które miały miejsce w nocy 30 czerwca 1934 roku w Austrii i Niemczech. Hitler zdobywszy tytuł kanclerza i chcąc zapewnić sobie absolutną władzę w Niemczech, musiał uzyskać jeszcze jedno, ostatnie stanowisko - urząd prezydenta. Zdecydowany usunąć wszelkie przeszkody, poleciał w tajemnicy do Monachium, gdzie przy udziale gwardii osobistej aresztował swego głównego przeciwnika i byłego przyjaciela, Ernsta Röhma. Röhm, dowódca tak zwanych Brunatnych Koszul, terrorystycznych paramilitarnych bojówek partii hitlerowskiej, oficjalnie znanych jako *Sturmabteilungen*, czyli oddziały szturmowe, w skrócie SA, dążył do połączenia tych liczących czterysta tysięcy ludzi sił z armią niemiecką i w konsekwencji - jak utrzymywał Hitler - do przejęcia władzy w Niemczech. Hitler obawiając się utraty poparcia armii, a przede wszystkim pragnąc pozbyć się przeciwników, rozkazał stracić Röhma i wielu ambitnych oficerów SA.

Nie zadowolając się półśrodkami, Führer postanowił wyeliminować także resztę opozycji. W czasie gdy Röhm i jego sztab stali przed plutonem egzekucyjnym w Monachium, bliscy współpracownicy Hitlera, Himmler i Göring przeprowadzili podobną czystkę w Berlinie. Pośród zabitych znaleźli się: poprzedni kanclerz Niemiec, nieprzychylni polityce Hitlera urzędnicy policji i administracji państwowej oraz opozycyjnie nastawieni członkowie partii hitlerowskiej. Hitler twierdził później, że stracono siedemdziesięciu siedmiu zdrajców, aby zapobiec obaleniu rządu niemieckiego. Ci, którzy przeżyli czystkę, utrzymywali, że rzeczywista liczba ofiar wynosi ponad czterysta osób. Powojenny sąd w Monachium podniósł ją jeszcze wyżej, do ponad tysiąca.

Noc Długich Noży miała dwojakie znaczenie. W wyniku rozpętanego przez siebie terroru Hitler istotnie zdobył ostatni decydujący tytuł prezydenta i, jako absolutny władca Niemiec, prowadził swój naród ku okropnościom drugiej wojny światowej. Poza tym, posłużenie się w rozprawie z przeciwnikami gwardią osobistą wyniosło tę grupę na pozycję, która dorównywała znaczeniem organizacji Röhma, a w końcu ją przewyższyła. Z czasem ugrupowanie liczyło ponad milion członków.

Podobnie jak Brunatne Koszule Röhma - *Sturmabteilungen*, czyli oddziały szturmowe, które były znane jako SA, także czarną gwardię Hitlera - *Schutzstaffeln*, czyli sztafety ochronne, nazywano od pierwszych liter. Jednak o ile skrót SA pamiętają dziś tylko nieliczni, inicjały czarnej gwardii pozostały synonimem zbrodniczości. Brzmia jak syk węża, jak zgrzyt

zł. SS.

## NOC KRYSZTAŁOWA

*Kristallnacht*, czyli *Noc Kryształowa* odnosi się do wypadków, które miały miejsce w Niemczech 9 listopada 1938 roku. Dwa dni wcześniej polski Żyd Herszel Grynszpan w odwecie za deportacje swojej rodziny i dwudziestu trzech tysięcy innych Żydów z Niemiec do Polski, zabił Ernsta von Ratha, pomniejszego dyplomatę z ambasady niemieckiej w Paryżu. Właściwym celem Grynszpana był ambasador niemiecki. Von Rath usiłował interweniować i zginął zamiast niego. Jak na ironię, von Rath otwarcie krytykował antysemitkę politykę hitlerowców i miał zostać zlikwidowany przez gestapo. Niemniej, jako że Żyd zabił niemieckiego urzędnika, Hitler wykorzystał ten incydent. Stwierdzając publicznie, że zamach spowodował w całych Niemczech antysemitckie zamieszki, prywatnie wydał rozkazy, aby rozruchy takie wywołano.

Te “spontaniczne demonstracje” zorganizował Reinhard Heydrich, zastępca szefa SS. Gdy w nocy 9 listopada sfanatyzowany tłum z entuzjazmem wykonał swe zadanie, Heydrich dostarczył Hitlerowi wstępny raport. 815 żydowskich sklepów, 171 domów i 119 synagog spalono lub zdewastowano w inny sposób. Dwadzieścia tysięcy Żydów zostało aresztowanych i wywiezionych do obozów koncentracyjnych. Trzydzieści sześć osób zginęło, a drugie tyle odniosło ciężkie obrażenia. Dane te okazały się potem drastycznie zaniżone. Zniszczenia były tak ogromne, że całe ulice pokrywały kawałki szkła z rozbitych szyb, stąd wyrażenie *Kristallnacht*.

Kończąc raport, Heydrich zalecał:

*...firmy ubezpieczeniowe powinny w pełni zaspokoić żydowskie żądania dotyczące wyrównania strat. Pieniądze zostaną następnie skonfiskowane i zwrócone ubezpieczającym. Moje źródła podają, że odszkodowania za same stłuczone szyby wyniosą około pięciu milionów marek.*

*...Jeśli chodzi o kwestie praktyczne, do usuwania skutków zniszczeń należy wykorzystać Żydów z obozów koncentracyjnych, którzy w grupach pod nadzorem sprzątną swój własny bałagan. Sąd nałoży na nich grzywnę w wysokości miliarda marek, która zostanie wypłacona z wpływów pochodzących z konfiskaty ich majątku. Heil Hitler!*

Noc Kryształowa stanowi w Niemczech początek jawnie sterowanych przez państwo prześladowań Żydów. Chociaż wiele obcych rządów, a nawet niektórzy członkowie partii hitlerowskiej protestowali przeciw zbrodniom popełnionym podczas *Kristallnacht*, nikt nie zrobił nic, aby im zapobiec, by nie powtórzyły się na większą skalę.

## NOC I MGLA

*Nacht und Nebel Erlass* czyli dekret Noc i Mgła, został wydany przez samego Hitlera 7 grudnia 1941 roku, w dniu, kiedy Japonia zaatakowała amerykańską bazę morską w Pearl Harbor. Wymierzony przeciw osobom “zagrożającym bezpieczeństwu Niemiec”, a zwłaszcza przeciwko członkom ruchu oporu na terenach okupowanych, zakładał, że sama egzekucja nie stanowi dostatecznego środka zapobiegania antyniemieckim wystąpieniom. Oprócz użycia siły fizycznej konieczne jest także działanie psychologiczne. Tak więc nie wszyscy wrogowie Rzeszy mają być likwidowani na miejscu. Zamiast tego, wielu zostanie potajemnie wywiezionych, a osoby z zewnątrz nigdy nie dowiedzą się o ich losie. Przyjaciele i rodziny na zawsze pozostaną w niepewności. Jeden z rozkazów wojskowych wyjaśniał: “Odstrasżający efekt tych zarządzeń leży w zniknięciu bez śladu osoby oskarżonej oraz w niemożności uzyskania jakiegokolwiek informacji o miejscu jej pobytu i losie”. Ci, którzy chcieliby się pokusić o działalność antyniemiecką, zaczną się obawiać, że podobnie jak ich bliscy mogliby zniknąć w nocy i mgle.

Przykładem wprowadzenia dekretu w życie może być los wsi Lidice w Czechosłowacji. W roku 1942 w akcji odwetowej za zamach na Reinharda Heydricha hitlerowcy otoczyli wioskę i zastrzelili wszystkich mężczyzn, w grupach dziesięcioosobowych. Egzekucja zajęła cały dzień. Kobiety wywieziono do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück na terenie Niemiec, gdzie umarły z wyczerpania lub zginęły w komorach gazowych. Dzieci w liczbie dziewięćdziesięciu, po prostu przepadły jak we mgle. Krewni z innych wiosek nigdy nie odnaleźli ich śladu.

## MRO CZNA NOC DUSZY

### I.

20 stycznia 1942 roku, sześć tygodni po wydaniu dekretu Noc i Mgła, Hitler rozkazał wyższym oficerom SS przybyć do Berlina na specjalną konferencję dotyczącą organizacji “ostatecznego rozwiązania” tego, co nazwał “kwestią żydowską”. Antysemickie zamieszki i ustawy mające na celu zmuszenie Żydów do opuszczenia terytorium Niemiec, tylko częściowo odniosły skutek. Większość Żydów nie chciała porzucić swych domów i interesów. Deportacje, choć przeprowadzane na dużą skalę, również okazały się za mało skuteczne. Proces ten pochłaniał zbyt wiele czasu i środków. Teraz zamierzano rozszerzyć zasięg “nocy kryształowej”. Rozpocząć eksterminację.

Masowe rozstrzeliwania przez plutony egzekucyjne były nieekonomiczne ze względu na koszt amunicji. Tańszą metodę polegającą na wpychaniu ofiar do ciężarówek i duszeniu ich gazami spalinowymi, uznano za niezadowalającą, gdyż nie pozwalała zabić dostatecznie dużo ludzi naraz. Sam pomysł użycia gazu nie był jednak zły. Problem stanowiła niska wydajność. Wiosną 1942 roku pojawiły się obozy zagłady.

Nie były one tym samym, co obozy koncentracyjne, gdzie masy więźniów stłaczano w nędznych barakach i codziennie pędzono do fabryk, aby wspierali “niemiecki wysiłek wojenny”. W wyniku pracy ponad siły, niedostatecznego odżywiania i niezdrowych warunków życia, większość rzeczywiście umierała, ale podstawowym celem, dla którego posyłano ludzi do tych obozów była nie śmierć, lecz niewolnicza praca.

Jedyną funkcją obozów zagłady było natomiast zabijanie z największą prędkością i wydajnością. Komory gazowe istniały wprawdzie w wielu obozach koncentracyjnych, na przykład w Oświęcimiu i Majdanku, jednak typowych obozów zagłady było cztery: Sobibór, Bełżec, Chełmno i Treblinka. Wszystkie znajdowały się w Polsce.

Jak zeznawał komendant Treblinka, Franz Stangl:

*...było to dantejskie piekło. Smród nie do opisania. Wszędzie setki, nie, tysiące ciał rozkładających się, gnijących. Dookoła obozu namioty i ogniska ukraińskich strażników i ich kobiet, prostytutek z całej okolicy, jak się później dowiedziałem, wszyscy kompletnie pijani tańczą, śpiewają, grają na instrumentach...*

W ciągu piętnastu miesięcy istnienia obozu, od lipca 1942 do września 1943 roku w Treblince zlikwidowano milion Żydów. Była to jedna szósta wszystkich Żydów wymordowanych podczas holocaustu. W okresie największej wydajności obozu zabijano dwadzieścia tysięcy ludzi dziennie. Statystyka ta staje się jeszcze bardziej przerażająca, gdy



zdać sobie sprawę, że egzekucje odbywały się tylko rano. Resztę dnia zajmowało usuwanie ciał, które palono w ogromnych odkrytych dolach. W nocy płomienie dogasały, a przyprawiający o mdłości dym rozwiewał się, aby następnego ranka nowych ofiar nie zaalarmował łatwy do rozpoznania odór spalonych zwłok.

## II.

Ludzie wysypywali się z przepelnionych bydlęcych wagonów z ulgą, że wreszcie mogą opuścić pociąg, który przywiózł ich z żydowskiego getta w Warszawie. Część udusiła się podczas podróży lub została zgnieciona na śmierć. Ci, którzy przeżyli, usiłowali omijać wzrokiem zwłoki. Zamiast tego podnosili oczy na oślepiające, ale przywracające otuchę światło słoneczne i oddychali powietrzem wolnym od odoru wymiotów i ekskrementów.

Tablice informowały: TREBLINKA, KASJER i PRZESIADKA NA POCIĄGI W KIERUNKU WSCHODNIM. Strach ustępował miejsca nadziei: to nie jest obóz. Funkcjonariuszy SS z insygniami błyskawic, oczywiście, się spodziewano, i tylko inne znaki, trupie czaszki na czapkach wzbudzały obawę. Wskazówki zegara na stacji były namalowane i nie poruszały się. Żołnierze wykrzykiwali komendy, aby wychodzić na peron, rozbierać się i kierować pod natryski. Wiadomość o kąpeli przyjmowano z radością, choć ofiary zastanawiało, czemu zawdzięczają taki luksus. Strażnik jakby czytał w ich myślach: “Nie możemy znieść waszego ohydneho smrodu!”

Zbici w stado jak bydło, zdejmowali ubrania i oddawali kosztowności. “Dla zabezpieczenia rzeczy podczas kąpieli” - jak oświadczano. Strzyżono im włosy do gołej skóry, co także napępniało strachem. Strażnicy wpadali na stację i, chłoszcząc ofiary pejcami, pędzili je nago chodnikiem, który SS przezwano “Drogą do nieba”. Szły w ruch pałki. “Szybciej! Biegnijcie szybciej!”

Więźniowie potykali się o ciała towarzyszy. Na końcu drogi można było iść tylko w jednym kierunku: w prawo, po pięciu betonowych stopniach schodów w wielkie otwarte drzwi. Kiedy ostatni z pięciusetosobowej grupy zostali wtłoczeni do środka, wejście zatrzaskiwano i ryglowano. Wewnątrz zamiast sitek pryszniców ziały otwory wentylacyjne. Za ścianą warczał silnik. Gaz zaczynał wypełniać pomieszczenie. Ofiary starały się nie wciągać powietrza, nie zdając sobie sprawy, że przegoniono je po to, aby płuca zbuntowały się przeciw próbom wstrzymywania oddechu. Ludzie ci nie mieli pojęcia, że ich ubrania i kosztowności pomogą Niemcom prowadzić wojnę, włosy posłużą do wypchania wojskowych materaców i poduszek, a złote plomby zostaną wyjęte z zębów, aby opłacić broń i amunicję.

Wiedzieli tylko, że nie mogą już dłużej nie oddychać. Umierali stojąc.

### III.

W otchłani bestialstwa duch ludzki jednak zatriumfował. W kwietniu 1943 roku Żydzi z grupy zmuszonej do wykonywania pracy, której nie mogli znieść nawet esesmani i ich ukraińscy pomocnicy - wynoszenia zwłok z komór gazowych, układania ich w dołach na podkładach kolejowych i podpalanie - podnieśli bunt. Używając jako broni łopat i kijów, zabili strażników i zbiegli do pobliskiego lasu. Wielu skosił ogień karabinów maszynowych, ale części - prawdopodobnie nie mniej niż pięćdziesięciu osobom - udało się dostać pod osłonę drzew i uciec.

Hitlerowcy zlikwidowali obóz. Od wschodu zbliżali się Rosjanie, a większość Żydów w Polsce już wymordowano, więc SS w pośpiechu zacierało ślady zbrodni. Fałszywa stacja kolejowa, "Droga do nieba", komory gazowe i doły do palenia zwłok zostały zrównane z ziemią.

Na terenie byłego obozu ulokowano chłopa i stado bydła. Jednakże pomimo płomieni, które strawiły miliony ciał, ofiary nie przestawały dawać świadectwa nawet po śmierci. Gazy powstałe w wyniku tak wielkiego rozkładu, sprawiły, że ziemia podniosła się o pięć stóp. Gazy rozwiały się, ziemia opadła pięć stóp poniżej poprzedniego poziomu. Znow się podniosła i opadła. I znow się podniosła.

Bydło uciekło. Zniknął także rolnik.

KSIĘGA PIERWSZA

**WEZWANIE**

## SOPEL

### I.

#### **ZNIKNIĘCIE KARDYNAŁA POZOSTAJE TAJEMNICĄ**

**RZYM, WŁOCHY**, 28 lutego /Associated Press/: Chociaż minęło już pięć dni, urzędnicy watykańscy i rzymska policja nie rozwiążali jeszcze zagadki zniknięcia kardynała Krunoslava Pavelicia, wpływowego członka Kurii, administracji Kościoła rzymskokatolickiego.

Po raz ostatni siedemdziesięciodwuletniego Pavelicia widzieli jego bliscy współpracownicy w niedzielę wieczorem, po odprawieniu prywatnej mszy świętej w kaplicy watykańskich apartamentów kardynała. W poniedziałek miał wystąpić z ważnym przemówieniem na głośnej już konferencji biskupów katolickich, której tematem są stosunki Kościoła z komunistycznymi rządami Europy Wschodniej.

Władze początkowo podejrzewały prawicowe ugrupowania terrorystyczne o uprowadzenie kardynała Pavelicia w ramach protestu przeciw mającemu jakoby nastąpić złagodzeniu kursu Watykanu wobec rządów komunistycznych skłonnych rozluźnić restrykcje ograniczające działalność Kościoła. Jak dotąd jednak żadna ekstremistyczna organizacja nie przyznała się do odpowiedzialności za zniknięcie Pavelicia.

### II.

St. Paul, stan Minnesota. Marzec. Po raz drugi tego wieczoru karty do gry, które trzymał Frank Miller, zaczęły mu się zlewać przed oczami. Nie był w stanie odróżnić kar od kierów czy trefli od pików. Widział tylko czarne i czerwone plamy. Starając się opanować niepokój, zdjął okulary, potarł oczy i rozmasował bolące skronie.

- Co ci jest? - zapytał siedzący naprzeciw Sid Henderson.

Podobnie jak Miller, Henderson był po siedemdziesiątce. Właściwie wszyscy brydżyści zebrani w centrum kulturalnym St. Paul byli albo w tym samym wieku, albo niewiele młodszy.

Miller usiłował się skupić na grze.

- Mnie? Nic.

- Na pewno? Wyglądasz jakbyś był chory.

- Gorąco tutaj. Za mocno grzeją. Mógłby kto otworzyć okno?

- Żebyśmy dostali zapalenia płuc? - odezwała się siedząca z prawej Iris Glickman.

Utrzymywała, że ma sześćdziesiąt siedem lat. - Na dworze mróz. Zdejmij marynarkę, jeśli ci gorąco.

Miller rozluźnił tylko krawat. Dobre maniery, których nie chciał lekceważyć, nie pozwalały mu na grę w karty w samej koszuli.

- Może powinieneś wrócić do domu - zaproponował Harvey Ginsberg, jego sąsiad z lewej. - Jesteś strasznie blady.

Miller przyłożył chusteczkę do spoconego czoła. Miał mdłości.

- Potrzeba czterech osób. Zepsułbym wszystkim grę.

- Pieprz to - odpowiedział Harvey.

Jak zwykle Iris ściągnęła usta, udając zgorszenie wulgarnym językiem Ginsberga.

Millerowi pulsowało w skroniach.

- Nie pomyślicie, że jestem do niczego?

- Ja myślę, Frank, że ktoś, kto jest chory i nie idzie do łóżka, musi być idiotą.

Miller uśmiechnął się.

- Dobrzy z was kumple.

- Zadzwoń do ciebie jutro i sprawdzę, czy czujesz się lepiej - odparł Harvey.

### III.

Gdy tylko Miller wyszedł na dwór, lodowaty wicher uderzył go w twarz. Otulając się płaszczem, brnął przez gęstą zadymkę w kierunku parkingu po drugiej stronie ulicy. Nie czuł się już źle. Gwałtowne podmuchy wichury orzeźwiły go, potwierdzając podejrzenie, że ból głowy i mdłości spowodowane były przegrzaniem budynku. Z rozrównieniem wspomniął zimy z czasów młodości. Jazdę na sankach i wyścigi na łyżwach. Umysł mam jeszcze sprawny, pomyślał. Tylko to cholerne ciało mnie zawodzi.

Ulica była pusta. Latarnie na parkingu przykrył śnieg. Podeszedł do samochodu - podarowanego mu przez syna audi. Gdy przekreślał kluczyk w zamku, dobiegł go od tyłu jakiś dźwięk przytłumiony wyciem wichru.

Zmarszczył brwi i odwrócił się, wyężając wzrok, aby coś dojrzeć w zamieci. Wydało mu się, że to głos męski, ale kiedy nie usłyszał go ponownie, zaczął się zastanawiać, czy zmysły nie płatają mu figla.

Wzruszył ramionami i chwycił za klamkę. Wtedy głos odezwał się znowu, bliższy, chociaż wciąż niewyraźny. Wymawiał pojedyncze słowo, jakieś imię. Jego imię.

Jeszcze raz się obejrzał.

- Jest tam kto?

Żadnej odpowiedzi. Otworzył drzwiczki samochodu.

Czyjaś ręka złapała go za ramię, nie pozwalając wsiąść. Inna zatrzasnęła drzwiczki. Trzecia obróciła nim z taką siłą, że omal nie zgubił okularów. Trzech mężczyzn. Śnieg zasłaniał im twarze.

- Proszę, jestem stary. Weźcie pieniądze, ale nie róbcie mi krzywdy.

- Pieniądze?... - roześmiał się jeden.

Śnieżycą osłabła. Kiedy ich zobaczył, zrozumiał, czego naprawdę chcą i stracił wszelką nadzieję.

#### IV.

Czasami mogą nas obudzić dźwięki, których nie słyszymy. Tak też William Miller jakby podświadomie zdając sobie sprawę z ciszy za oknami sypialni, zaczął się wiercić przez sen. Podobnie jak ojciec, który nie potrafi spać spokojnie, dopóki jego nastoletni syn czy córka nie wróci z randki mającej się skończyć przed północą, czuł się nieswojo, ponieważ żaden samochód nie wjechał na podjazd i nie trzasnęły automatyczne drzwi garażu. Tyle że nie był ojcem, który czeka na syna, lecz odwrotnie, synem czekającym na ojca. Odezwał się jego wewnętrzny alarm. Otworzył oczy i zerknął na elektroniczny zegar.

2.38.

Ostrożnie, żeby nie obudzić żony, zsunął się z łóżka i wyjrzał przez okno. Śnieg błyszczał w świetle latarni ulicznych. Biały płaszcz okrywał drzewa. Na podjeździe nie było śladów opon.

- Co się stało, kochanie?

Odwrócił się do żony.

- Przepraszam. Staralem się być cicho.

- Ja też nie mogę spać. Co tam zobaczyłeś?

- Niepokoi mnie raczej to, że czegoś nie zobaczyłem.

Wyjaśnił, o co mu chodzi.

- Nie ma śladów opon?

Wyśliznęła się spod kołdry i włożyła szlafrok.

- Może padało po jego powrocie.

- Tak... może...

Wyszedł z sypialni, minął pokoje dzieci i otworzył drzwi na końcu korytarza. Kiedy

nie dostrzegł postaci na łóżku, zapalił światło. Pokój był pusty.

Żona stanęła za nim.

- Zastanówmy się chwilę. Może to nic nie znaczy. Może jest w salonie i śpi przed telewizorem.

- Może.

Zeszli na dół, ale nikogo nie znaleźli.

- Czyżby nawalił mu samochód?

- Zadzwoiłby - odparł Miller.

- O ile nie jest z przyja...

- O tej porze? Rzadko kiedy wraca po północy.

- Chciałam powiedzieć - z przyjaciółką. Może postanowił zostać na noc.

- U kobiety?

Uśmiechnęła się.

- Czemu nie?

- To niczego nie zmienia. Zadzwoiłby i tak.

- Chyba że czuł się skrepowany.

- Co takiego?

- No wiesz, twoja matka nie żyje od roku i...

- Posłuchaj, kochałem matkę i przykro mi, że umarła. Ale jeśli w tym wieku jeszcze interesuje się kobietami, to życzę mu powodzenia.

- Może nie wiedzieć, że masz do tego taki stosunek. Czy kiedykolwiek rozmawiałeś z nim o seksie?

- Z moim siedemdziesięcioletnim ojcem? Daj spokój. - Spojrzał na zegar kuchenny. - Jest prawie trzecia. Jeśli nie wróci do pół do czwartej, dzwonię na policję.

Ojciec nie wrócił do pół do czwartej i Miller rzeczywiście zadzwonił na policję. Meldunki o wypadkach drogowych nie wymieniały żadnego audi. Do miejscowych szpitali nie przywieziono po północy ani jednego starszego mężczyzny, a żaden z tych, których przyjęto wcześniej, nie był poszukiwanym. Zasypany śniegiem samochód policja odkryła na parkingu naprzeciw centrum kulturalnego. Obok leżały porzucone kluczyki.

Franka Millera nie odnaleziono.

## V.

*Miasto Meksyk. Kwiecień.* Siedemdziesięciodwuletni Martin Rosenberg wyszedł z

synagogi, schował jarmułkę do kieszeni i przyglądał się brukowanemu zaułkowi. Odgłosy ruchu ulicznego dochodzące z oddalonej o dwie przecznice Paseo de la Reforma, zakłócały jego wewnętrzny spokój. Po prawej stronie światła starego zamku na wzgórzu Chapultepec migotały na tle ciemniejącego nieba.

Wymienił żydowskie pozdrowienia z grupką młodych ludzi opuszczających świątynię i ruszył w lewo. Willa jego syna znajdowała się pięć ulic dalej. Była to jedna z historycznych hiszpańskich rezydencji rozsianych między wysokimi budynkami, typowa dla tej zamożnej dzielnicy. Syn jak zwykle zaproponował mu podwiezienie do synagogi i z powrotem, ale Rosenberg utrzymywał, że spacerowanie jest niezbędne dla zdrowia, a poza tym sprawiają mu przyjemność.

Skręcił za róg, zmierzając w stronę szerokiej, dobrze oświetlonej alei, która łączyła wzgórze Chapultepec z kompleksem gmachów rządowych.

## VI.

- Co za różnica, ile ma lat! - krzyczał Aaron Rosenberg. - Nigdy dotąd powrót do domu nie zabierał mu więcej niż godzinę! - Spacerował wzdłuż arkadowych okien, które zajmowały całą ścianę salonu. - A to już ponad dwie godziny, nie jedna!

Z cienkim wąsikiem, orlim nosem i ciemnymi błyszczącymi oczyma Rosenberg przypominał bardziej Hiszpana niż Żyda. Do synagogi chodził już rzadko, ale hojnie ją wspierał i znał rabina, do którego dzwonił przed czterdziestoma pięcioma minutami. Dowiedział się, że ojciec wyszedł ze świątyni o zmroku.

- Może wpadł do kogoś z wizytą - podsunęła mu żona.

Była to kobieta trzydziestoosmioletnia, o opalonej twarzy i szczupłej sylwetce, którą zawdzięczała codziennej grze w tenisa. Nosila złoty zegarek, turkusowy naszyjnik i stylizowaną na ludowo jaskrawoczerwoną spódnicę i bluzkę.

- Do kogo? Z pewnością nie na dwie godziny.

Zobaczył światła mercedesa parkującego przy krawężniku.

- Jest Esteban. Może go znalazł.

Esteban zameldował, że przejechał wzdłuż wszystkich tras, którymi ojciec mógłby wracać z synagogi i nie spotkał go. Potem rozszerzył poszukiwania na inne ulice w pobliżu. Pozostali służący przetrząsali teren pieszo i przynieśli takie same niepokojące wieści.

- Idźcie jeszcze raz i szukajcie nadal!

Rosenberg zadzwonił do wszystkich szpitali w mieście. O północy, kiedy służba



znowu powróciła z niczym, złamał naczelną zasadę, jaką kierował się w swoich importowo-eksportowych interesach: nigdy nie miej do czynienia z policją, chyba że musisz ją przekupić. Skontaktował się z kapitanem, którego dom położony nad jeziorem Chalca, osiem mil na południe od miasta, został niedawno odnowiony dzięki Rosenbergowi.

Miesiąc później ojca jeszcze nie odnaleziono.

## VII.

*Toronto. Maj.* Ze swego miejsca w pierwszej klasie samolotu linii Air Canada Joseph Kessler spoglądał przez okno na lśniąca powierzchnię jeziora Ontario. Nawet z wysokości dwudziestu tysięcy stóp mógł dostrzec charakterystyczny długi frachtowiec z Wielkich Jezior. Bliżej brzegu widział zarysy mniejszych jednostek pływających i odbłask wydymanych wiatrem żagli. Kessler wiedział, że pomimo ładnej pogody woda jest przeraźliwie zimna. Załogi żaglówek na dole musiały się składać z samych fanatyków sportu.

Pokiwał głową z aprobatą. Dzięki własnej umiejętności wykorzystania siły, jaką daje pasja, rozwinął małą elektroniczną firmę z Providence w doskonale prosperującą korporację, która uczyniła go milionerem, zanim skończył czterdzieści lat. Ale w tej chwili nie myślał o interesach, lecz o sprawach osobistych. To już nie była pasja, tylko zwyczajna wściekłość.

Nie pozwolił sobie jednak na jej okazanie. Podczas całego lotu udawał spokój, przeglądając dokumenty, chociaż w duchu wrzał gniewem. Cierpliwości, powtarzał. Sukces zależy od cierpliwości. Musisz się opanować. Przynajmniej na razie.

Poniżej widział już Toronto, niskie willowe dzielnice wzdłuż brzegów jeziora i drapacze chmur sterczące w sercu miasta. Odczuł zmianę ciśnienia, gdy samolot zaczął zniżać lot. Sześć minut później wylądował na międzynarodowym lotnisku.

Przeszedł kontrolę celną.

- Nie mam nic do oclenia. Przyjechałem w interesach.

Nie sprawdzano jego nesesera i torby podręcznej. Pchnął szklane obrotowe drzwi do gwarnej hali przylotów. Rozejrzał się w tłumie i podszedł do muskularnego mężczyzny w takim samym krawacie w niebiesko-czerwone paski jak ten, który on sam miał na sobie.

- Ile zapłacił pan za ten krawat? - zapytał.

- A ile pan zapłacił?

- Ktoś mi go podarował.

- Ja swój znalazłem - zakończywszy hasło mężczyzna dodał: - Czy ma pan jakiś bagaż?

- Tylko to, co przy sobie.

- Więc chodźmy stąd.

Wyszli na parking, wsiedli do samochodu i wkrótce jechali na zachód czteropasmową szosą 401.

Kessler spojrzął do tyłu na oddalające się zarysy Toronto.

- Szybko będziemy na miejscu?

- Za godzinę.

- Są wszyscy?

- Pan jest ostatni.

- To dobrze.

Kessler poczuł, że znów ogarnia go gniew. Aby odpędzić natrętne myśli, wskazał na uprawne pola i drewniane ogrodzenia po obu stronach drogi.

- Czegoś tu brakuje.

- Czego?

- Reklam.

- Zgadza się. Są zabronione przez prawo.

- Niech żyje Kanada.

Włożył okulary i zapatrzył się przed siebie. Pogawędka była skończona.

## VIII.

Osiemdziesiąt kilometrów dalej dotarli do odgałęzienia na Kitchener. Zamiast wjechać do miasta, kierowca trzymał się bocznych dróg, które wiodły przez rolnicze okolice. Na koniec skręcił w wysypyany żwirem, zygzakowaty podjazd prowadzący do rezydencji położonej na urwistym brzegu rzeki.

Kessler wysiadł z samochodu i objął wzrokiem posiadłość: zalesione wzgórza, rozległe pole golfowe, kort tenisowy, antena satelitarna, basen kąpielowy. Odwrócił się w stronę garażu mogącego pomieścić pięć aut, a potem ku domowi, którego mansardowe okna, wieżyczki i dach o ostrych szczytach bardziej pasowały do Nowej Anglii niż do Ontario.

- Pan Halloway umie żyć - zauważył kierowca. - Oczywiście wszystko zawdzięcza...

Otworzyły się dwuskrzydłowe drzwi wejściowe. Stał w nich szczupły mężczyzna średniego wzrostu, w dopasowanym dresie i kosztownych butach do biegania. Był nieco po czterdziestce, miał gęste kręcone włosy i tryskał zdrowiem.

- Dziękuję, John. Nie będziesz potrzebny przez resztę dnia. Jeśli masz ochotę,

skorzystaj z nowych urządzeń do ćwiczeń w sali gimnastycznej. Weź kąpiel. Napij się i odpocznij.

- Dziękuję panu, z przyjemnością.

Kierowca wsiadł do samochodu. Halloway zszedł po granitowych stopniach i wyciągnął rękę.

- Joe?

- Joseph.

Kessler uściskał podaną dłoń.

- Już dawno powinniśmy byli się spotkać. Szkoda, że mając ze sobą tak wiele wspólnego, musieliśmy czekać, aż zdarzy się nieszczęście, żeby się poznać.

- Nie nazwałbym tego nieszczęściem.

- A jak?

- To jakiś obłąd.

- Tak rządzi się świat. Dlatego wolę mieszkać tutaj, z dala od tamtego szaleństwa - krzywiąc usta Halloway wskazał drogę ukrytą za lesistymi pagórkami. - Chodź. Innych też to dotknęło. Czekają na nas.

## IX.

Korytarz willi był ciemny. Parkiet zwielokrotniał odgłos kroków. Ciągłe nie mogąc się uspokoić, Kessler przystanął, aby obejrzeć jeden z kolorowych pejzaży. Obraz podpisany był nazwiskiem gospodarza.

- Dzieło mojego ojca - wyjaśnił Halloway. - Z okresu, gdy malował akrylem.

Wzmianka o ojcu na nowo wzburzyła Kesslera. Z końca korytarza dobiegały gniewne głosy. Wszedł za Hallowayem do dużego, wyłożonego dębową boazerią pokoju. Na ich widok ośmiu mężczyzn przerwało gwałtowną dyskusję. Kessler objął grupę wzrokiem. Różnili się wzrostem, wagą i rysami twarzy, ale jedno ich łączyło. Wszyscy byli mniej więcej w tym samym wieku - około czterdziestki.

- Najwyższy czas - powiedział któryś. Dwaj następni mówili jeden przez drugiego:

- Jestem tutaj od wczoraj.

- Podobno to spotkanie miało być pilne.

- Odlot się opóźnił - odrzekł Kessler. - Przyjechałem tak szybko, jak tylko mogłem.

Trzej mężczyźni, którzy zabrali głos, mieli wymowę hiszpańską, szwedzką i amerykańską ze Środkowego Zachodu. Idąc korytarzem słyszał także akcent francuski,

brytyjski, włoski, egipski i południowoamerykański.

- Panowie, proszę was - wtrącił Halloway - jeśli zaczniemy się kłócić ze sobą, pomożemy nieprzyjacielowi osiągnąć jego ostateczny cel.

- Ostateczny cel? - zdziwił się Francuz.

- I co ma znaczyć to "jego"? - zapytał Teksańczyk. - Tego wszystkiego nie byłby w stanie zrobić jeden człowiek.

- Oczywiście - odparł Halloway. - Ale bez względu na to, ilu ich jest, są zorganizowani i mają wspólny cel. Dlatego myślę o nich jako o jednym i dlatego my też musimy działać wspólnie.

- To prawda - dodał Włoch. - Nie możemy pozwolić, aby rządziły nami emocje. Nie wolno się nam rozdzielać. Czy nie dlatego skontaktowaliśmy się z sobą wiele lat temu i nie dlatego utrzymujemy łączność? Jako grupa jesteśmy silniejsi niż każdy z nas w pojedynkę i możemy się lepiej ochraniać.

- To nie my potrzebujemy ochrony! - krzyknął Hiszpan.

- Może nie fizycznej - odpowiedział Halloway. - W każdym razie jeszcze nie teraz. Ale co z naszym spokojem? A jeśli ich tamto nie zadowoli? Jeśli przyjdą po nas, nasze żony i dzieci?

Wszyscy się wzdrygnęli.

- Właśnie to miałem na myśli mówiąc o ostatecznym celu nieprzyjaciela. Chce zadrećcać nas niepewnością, sprawić, abyśmy żyli w ciągłym strachu.

- Dobry Boże! - Egipcjanin zbladł.

- Teraz rozumiecie?

- To znowu Noc i Mgła. Kessler nie mógł się opanować.

- Co się z wami wszystkimi dzieje?

Spojrzeni na niego.

- Zanim zaczniecie klepać się po plecach, jacy to okazaliście się sprytni utrzymując łączność, dlaczego nie przyznacie, że sami dla siebie stanowimy największe zagrożenie.

- O czym ty mówisz?

- Jak sądzicie, dlaczego nas odnaleźli? Wystarczyło wytropić jednego, żeby dojść po śladach do reszty.

- Przedsięwzięliśmy środki ostrożności.

- Najwyraźniej niedostateczne. A teraz na dodatek zebraliśmy się w komplecie.

Amerikanin wystąpił krok naprzód, z twarzą wykrzywioną oburzeniem.

- Mój ojciec niczego by nie zdradził.

- Na torturach? Daj spokój - odrzekł Kessler. - Ile bólu może znieść stary człowiek? A jeśli użyli środków chemicznych? Spóźniłem się, ponieważ niewiele brakowało, żebym wcale nie przyleciał. Zmieniłem zdanie tylko dlatego, że ktoś musi was ostrzec. Jesteście winni tak samo, jak ci, co to zrobili. Nie kontaktujcie się z sobą. Nie chcę o nikim nic więcej wiedzieć i nie chcę, żebyście wy wiedzieli coś więcej o mnie.

- To nie rozwiąże problemu - stwierdził Halloway. - W dalszym ciągu będziemy w niebezpieczeństwie i nie zwróci nam to ojców.

- Już się pogodziłem z faktami, mój nie żyje.

- Ja nie poddam się tak łatwo jak ty - odpowiedział Halloway. - Ale nawet gdybyś miał rację, że twój ojciec i mój i wszyscy inni nie żyją, masz zamiar tak to zostawić?

- Wierz mi, chcę, żeby te dranie za to zapłaciły.

- W takim razie musimy ułożyć plan działania. Kessler zrobił szybki krok naprzód.

- Masz coś konkretnego na myśli?

- Owszem. Nie ty jeden zastanawiałeś się, czy przyjechać. Być może nie zauważyłeś, że brakuje dwóch spośród nas. Pod wieloma względami to najważniejsi członkowie grupy.

Zaskoczony, Kessler rozejrzał się po pokoju i nagle zrozumiał.

- Jeśli przyjmiemy plan, który zamierzam zaproponować - ciągnął Halloway - ich udział ma decydujące znaczenie.

Kessler skinął głową.

Set i Sopol.

## X.

*Sydney, Australia. Czerwiec.* Katedra Świętego Andrzeja, której fundamenty położono w 1819 roku, była rzeczywiście tak imponująca, jak utrzymywał przewodnik. Kessler spacerował po mrocznych nawach, w których odbijało się echo, oglądał sklepienia i podziwiał witraże. Kiedy w końcu znalazł się na zewnątrz, oślepiło go słońce. Mrużąc oczy, zszedł po szerokich schodach. Z katedrą sąsiedował ratusz, gdzie, jeśli wierzyć przewodnikowi, odbywają się zebrania i koncerty. Postał przed nim tyle czasu, ile uznał za wystarczające dla zachowania pozorów. Potem zatrzymał taksówkę i pojechał do jednej ze wschodnich restauracji, z których Sydney słynęło. Był tam umówiony z klientem, ale specjalnie zjawił się wcześniej. Wszedł do kabiny telefonicznej i wykręcił numer podany przez Hallowaya.

W słuchawce odezwał się męski głos.

- Bondi Beach, sklep Surf and Dive.

- Z panem Pendletonem proszę.

- Z synem czy z ojcem?

- Wszystko jedno.

- Tu syn.

- Panie Pendleton, czy macie w Australii sople?

Zapadła głęboka cisza. Kessler pomyślał, że przerwano połączenie.

- Panie Pendleton?

- Kto mówi?

- Przyjaciel.

- Czekają na mnie klienci. Wypożyczam i sprzedaję deski surfingowe. Napęlam aparaty tlenowe dla nurków. Nie potrzebuję żadnych sopli. Ani ludzi, którzy zadają głupie pytania.

- Chwileczkę. A gdybym wymienił pewne nazwisko? Conrad, Thomas Conrad. Skrytka pocztowa czterysta trzydzieści osiem.

Na linii znowu zaległa cisza. Kiedy Pendleton wreszcie się odezwał, mówił stłumionym głosem, jakby zasłaniał usta dłonią.

- Czego pan chce?

- Spotkać się z panem. To jasne, że gdybym miał złe zamiary, nie potrzebowałbym dzwonić. Nie uprzedzałbym.

- Oni pana przysłali?

- Tak. Nazywam się Kessler.

- Boże, dałem przecież wyraźnie do zrozumienia, że nie chcę mieć nic wspólnego z...

- Coś się wydarzyło. Okoliczności zmusiły mnie do przyjazdu..

- Jest pan w Sydney? Matko Boska!

- Dzwonię z automatu w restauracji. Jestem tu po raz pierwszy. Niemożliwe, żeby telefon był na podsłuchu.

- Ale zna pan moje nazwisko, wie, jak mnie znaleźć! Jeśli pana złapią...

- Uważałem, czy ktoś mnie nie śledzi.

- Uważał pan? - głos Pendletona zabrzmiał pogardliwie. - Gdyby rzeczywiście był pan pewien, że nie jest śledzony, nie dzwoniłby pan, tylko przyszedł tutaj.

- Nie chciałem pana zaskoczyć. Gdyby wziął mnie pan za wroga, mógłbym nie mieć szansy niczego wyjaśnić.

Pendleton zaklął.

- Działam w dobrej wierze - ciągnął Kessler. - Musimy się spotkać. Im wcześniej

porozmawiamy, tym szybciej wyjadę.

- Nie tutaj.

- Oczywiście, że nie w sklepie. Nie chciałbym narażać pana na niebezpieczeństwo.

- Proszę niczego nie zapisywać - polecił Pendleton. - O czwartej po południu...

## XI.

Pendleton skończył udzielać wskazówek i odłożył słuchawkę. Mówił przyciszonym głosem. Sprzedawca obsługujący klienta nie mógł niczego słyszeć. A jednak czuł się zagrożony. Bezpośredni kontakt był naruszeniem jednej z najświętszych reguł, jakich się kiedyś nauczył. Boże, chroń mnie od amatorów. Wyszedł z biura i udał zainteresowanie kupującym.

- To najlepszy typ kombinezonu. Powinno być w nim panu ciepło - powiedział. - Jeśli nie będzie pasował, proszę koniecznie przyjść do nas. Dokonamy poprawek.

Chociaż wraz z ojcem przyjechał do Australii przed prawie dziesięciu laty, Pendleton zachował amerykański akcent i sposób bycia. Miejscowi uznali go za dziwaka. Odpowiadało mu to: najciemniej jest zawsze pod latarnią. Dzięki takiej opinii nikt nie zwracał uwagi na jego częste nieobecności. Mógł je zresztą łatwo wytłumaczyć ekspedycjami podwodnymi.

Pożegnał klienta, poklepał pomocnika po ramieniu: - Świetny interes - po czym wrócił na zaplecze i otworzył tylne drzwi. Nawet poza sezonem Bondi Beach była zaskakująco zatłoczona. Turyści. Kilku zagorzałych surferów. Paru dobrze zbudowanych pedałów szukających partnerów. W swetrze ze zgrzebnej wełny, wypłowiałych dżinsach i płóciennych butach, bez paska, sznurowadeł i skarpet, Pendleton sam wyglądał na miejscowego bywalca plaży, tyle że nieco podstarzałego. Jednakże pomimo czterdziestki na karku, jasnowłosego, opalonego, z twardymi jak stal mięśniami, mógłby stanąć w zawody z nimi wszystkimi, gdyby tylko chciał. Ale nigdy nie popisywał się swoimi umiejętnościami.

Rzucił okiem na plażę i zobaczył ojca woskującego deskę surfingową. Rozmawiał z zebranymi wokół nastolatkami, którzy mu kibicowali.

Oczy Pendletona zwilgotniały ze wzruszenia. Opuścił zaplecze i zrobiwszy kilka kroków po piasku, podszedł do grupki.

Fale rozbijały się o brzeg. Chłodny wiatr niósł zapach soli. Czekał, aż ojciec skończy opowiadać o dobrym sezonie sprzed pięciu lat. Pendleton senior dorównywał synowi wzrostem i muskulaturą. Pomimo siedemdziesięciu lat i zmarszczek, które wyrzeźbił czas oraz dziesięć sezonów australijskiego słońca, był niemal równie przystojny jak syn, w ten sam

surowy sposób.

- Pojawił się pewien problem, tato. Muszę z tobą pomówić. Ojciec westchnął z udawanym żalem.

- Jeśli to naprawdę konieczne.

- Obawiam się, że tak.

- Zaraz wracam, chłopcy. Poszli w kierunku sklepu.

- Zadzwoił łącznik od twoich starych znajomych. Jest w mieście.

Tym razem westchnienie ojca było szczere.

- Powiedziałem tym głupcom, żeby trzymali się ode mnie z daleka. Nigdy nie pochwalałem naszych kontaktów. Gdyby nie ksiądz, już dawno bym z tym skończył.

- Łącznik chce się spotkać. To chyba jakiś nagły wypadek.

- Pewnie tak. Skoro ktoś przejechał taki kawał drogi. Ta planeta nie jest dostatecznie duża, żeby się na niej ukryć.

- List, który przysłali w zeszłym miesiącu...

- Wzywający na spotkanie w Kanadzie - skrzywił się ojciec. - Czy oni myślą, że jestem idiotą?

- Wygląda na to, że sami są idiotami. Ale nie mam wyboru. Muszę się z nim zobaczyć, aby powstrzymać go od przyścia do sklepu.

- Niech to będzie pierwszy i ostatni raz. Upewnij się, że to zrozumiał.

- Jeszcze coś chciałem ci powiedzieć... bądź ostrożny podczas mojej nieobecności.

- Sopol jest zawsze ostrożny.

- Wiem.

Pendleton uśmiechnął się do ojca i uściskał go.

## **XII.**

Wchodząc do ogrodu botanicznego w Sydney, punkt czwarta, tak jak mu polecono, Kessler był zdenerwowany. Podejrzał, że nie wypadł przekonująco, gdy posłużył się nagłą niedyspozycją jako wymówką, by opuścić spotkanie w samym środku delikatnych pertraktacji. Oczywiście interesy nie były prawdziwym powodem przyjazdu do Australii, stanowiły to, co jak sądził, nazywano "przykrywką". Z grupy, która zebrała się w Kanadzie, on właśnie miał najlepszy pretekst do odbycia podróży do Sydney bez wzbudzania podejrzeń. Teraz jednak przerywając negocjacje dotyczące od dawna planowanej fuzji swej firmy elektronicznej z przedsiębiorstwem australijskim, zwrócił na siebie uwagę, czego miał



nadzieję uniknąć. Żałował, że nie należało, aby Pendleton wyznaczył mu spotkanie na później, ale ten wyraził zgodę tak niechętnie, że Kessler bał się stawiać jakiegokolwiek warunki.

Idąc alejką wysadzaną egzotycznymi roślinami, Kessler niepokoił się, że pomimo środków ostrożności może być śledzony. Nie tylko tutaj, w ogrodzie, ale od wyjazdu z Ameryki. Jestem biznesmenem, pomyślał, a nie specjalistą od intryg. Ojciec pewnie wiedziałby, jak się zachowywać w takich sytuacjach, mnie jednak nigdy tego nie uczono. Omal nie użył czasu przeszłego - "wiedział" - ale usiłował nie tracić nadziei.

Mimo wszystko nie sądził, aby mogło pójść źle, jeśli będzie się kierował zdrowym rozsądkiem. Nie rozglądaj się, aby sprawdzić, czy ktoś cię obserwuje. Ostatnie wypadki dowiodły, że nieprzyjaciel jest świetnie zorganizowany i sprytny. "Cień" - pozwolił sobie na użycie wyrażenia, które było, jego zdaniem, odpowiednio dramatyczne - z pewnością nie będzie tak nieostrożny, by dać się zauważyć. Pamiętał, żeby wziąć ze sobą przewodnik. Chociaż kark sztywniał mu od wysiłku, z jakim powstrzymywał odruch, aby się obejrzeć, zmuszał się do zerkania do książki, a potem na ozdobne rośliny. Alejka prowadziła w górę. Dotarł do ukrytej w zaroślach ławki i stanął twarzą w kierunku zachodnim, pod pozorem przyjrzenia się budynkowi, który, jak wyjaśniał przewodnik, był siedzibą gubernatora Nowej Południowej Walii. W rzeczywistości zatrzymał się tutaj, gdyż tak kazał mu Pendleton.

Kessler denerwował się również z powodu Pendletona. W swoim czasie ojciec Pendletona, Sopol, był jednym z najniebezpieczniejszych ludzi w całej Europie. Chociaż przekroczył już siedemdziesiątkę, nie oznaczało to jeszcze, że przestał być groźny. Informacje, jakich udzielił Kesslerowi Holloway, mówiły, że syna wyszkolonego przez ojca, należy traktować z równym respektem. To spotkanie w miejscu publicznym, będącym nie tylko doskonałym parawanem, lecz stwarzającym również możliwość łatwej ucieczki, mogło go narazić na niebezpieczeństwo ze strony syna Sople tak samo, jak ze strony wroga.

Kessler zgodnie z poleceniem usiadł na ławce. Z drugiej strony zarośli, gdzie ścieżka zakręcała, dobiegi go głos mężczyzny, z którym rozmawiał przez telefon.

- W porządku, masz swoje spotkanie. Streszczaj się.

W pierwszym odruchu Kessler chciał się odwrócić w kierunku krzaków, ale głos przestrzegł go:

- Patrz przed siebie. Nie spuszczaaj oka z Government House. Jeśli ktoś będzie nadchodził, zamknij się. I lepiej niech to będzie coś rzeczywiście ważnego.

Kessler przełknął ślinę i zaczął mówić.

### XIII.

Na ławce za krzakami ubrany w dres Pendleton wycierał spocone czoło, jakby był zmęczony i potrzebował odpoczynku. Przyglądał się państwowemu konserwatorium muzycznemu. Budynek powstał w roku 1819 i Pendleton żałował, że nie żyje w tamtych prostszych czasach. Bez łączności satelitarnej, bez kartotek komputerowych, bez odrzutowców, które sprawiły, że Australia przestała leżeć na końcu świata. Ta planeta nie jest już dostatecznie duża, aby się na niej ukryć, powiedział ojciec. Oczywiście, z drugiej strony, bez tych nowoczesnych udogodnień w dziedzinie komunikacji, obydwaj nie mogliby wykonywać swojego rzemiosła.

Twarz mu stężała, gdy wysłuchał wyjaśnień niewidocznego za krzakami Kesslera.

- Co? Wszyscy zniknęli? Na miłość boską, dlaczego wiadomość, którą wysłaliście, nie stawiała sprawy jasno?

- Nie ja ją redagowałem - odparł Kessler. - Mnie też wydała się mętna, ale wywnioskowałem, że to z ostrożności. Ponieważ mój ojciec też zaginął, zrozumiałem, co kryje się za sformułowaniem "poniesiona strata".

- Kryje się? - głos Pendletona chociaż cichy, miał siłę krzyku. - Myśleliśmy, że umarł któryś ze starych znajomych ojca! Że to zaproszenie na pogrzeb! Nie po to przejechaliśmy taki kawał drogi do Australii, żeby teraz narażać się na zdemaskowanie z powodu stypy w Kanadzie!

- Więc twojemu ojcu nic się nie stało?

- Z pewnością nie dzięki wam! Co za pomysł, żeby tu przyjeżdżać! I może jeszcze pozwoliłeś się śledzić?

- To było konieczne ryzyko.

- Dlaczego?

- Chwileczkę, ktoś nadchodzi.

Pendleton zastanawiał się, czy ma zostać, czy zniknąć.

- Dwoje dzieciaków z psem. Skręcili w boczną alejkę. Już w porządku - uspokoił go Kessler.

- No więc dlaczego przyjechałeś? Odpowiadaj. Daliśmy wam wyraźnie do zrozumienia, że nie chcemy mieć do czynienia z resztą.

- Halloway uprzedzał mnie, że tak właśnie powiesz. Wiem, że Sopel nigdy nie sływał z towarzyskości. Ale grupa nalegała, aby wystąpić...

- Pomimo naszego zakazu? Rzykując, że...

- ...z propozycją - dokończył Kessler. - Jeśli Sopol nie ma sentymentu do starych przyjaciół, nie czuje żadnej więzi w obliczu wspólnego nieszczęścia, to może mogłoby na niego lub na ciebie wpłynąć co innego.

- Nie mam pojęcia, o czym...

- O pieniądzech. Grupa nie cierpi na ich brak. Mamy środki. Wiemy, kim jesteście i co robicie. Jesteśmy gotowi odpowiednio wam zapłacić, żebyście wyjaśnili, co się stało z naszymi ojcami. A jeśli - głos Kesslera był teraz chrapliwy - Boże wybaczone, że osmielałam się o tym myśleć, a co dopiero mówić, jeśli nie żyją, chcemy, żebyście ich pomścili.

- Więc o to chodzi? Przyjechałeś, żeby mnie wynająć!

- Nie wiemy, co robić.

- To niemożliwe. Nie mogę.

- Wynagrodzenie...

- Nie rozumiesz. Nawet gdybyś zaproponował mi fortunę, nie miałyby to znaczenia. Ryzyko jest zbyt wielkie.

- Ale w tych okolicznościach... dla starych przyjaciół...

- ...zaprowadzić wroga prosto na nas, co może już zrobiłeś? - Pendleton wstał z ławki.

- Powiedz im, że nic z tego.

- Zatrzymałem się w Captain Cook Lodge! Zastanów się! Może zmienisz zdanie!

- Nie zmienię - Pendleton zaczął się oddalać.

- Posłuchaj! - nie rezygnował Kessler. - Jest coś jeszcze, o czym powinieneś wiedzieć!

Pendleton zawahał się.

- Kardynał Pavelić! - powiedział Kessler.

- Co z nim?

- Również zniknął.

#### **XIV.**

Ze ściśniętym sercem Pendleton pędził piaszczystym stokiem w kierunku Bondi Beach. Było wpół do szóstej. Dres przywierał mu do ciała. Kilkakrotnie zmieniał taksówki, aby wymknąć się ewentualnemu pościgowi. Gdy ostatnia utknęła w korku opodał plaży, zapłacił kierowcy i dalej pobiegł.

Miał się czego obawiać. Nie szło tu tylko o ryzyko związane z przyjazdem Kesslera czy o niepokojącą wiadomość, że kardynał zniknął. Naprawdę obchodziło go jedynie to, że jego ojciec może przepaść jak inni. Musi ostrzec Sopla.

Kiedy dzwonił z budki niedaleko ogrodu, nikt nie odebrał telefonu ani w sklepie, ani w ich wspólnym domu nad brzegiem oceanu. Powiedział sobie, że sprzedawca widocznie zamknął wcześniej, chociaż nigdy przedtem to się mu nie zdarzyło. Próbował przekonać sam siebie, że ojciec nie wrócił jeszcze z plaży, chociaż nigdy dotąd nie opuścił wiadomości o piątej. Bliżej Bondi Beach ponownie wykręcił numer sklepu. Tym razem połączenie zostało przerwane przez automat mówiący, że linia jest uszkodzona. Miał uczucie, że żołądek wypełniają mu ostre kawałki szkła.

Dotarł do podnóża stoku. Pot zalewał mu oczy. Spojrzał na budynki położone nad oceanem. Normalnie nie miałby problemu z rozpoznaniem swojego sklepu wśród barów szybkiej obsługi i kiosków z pamiątkami, ale teraz panowało tam zamieszanie. Samochody policyjne, tłumy ludzi, straż pożarna, kłęby dymu. Krew pulsowała mu w skroniach. Przepchnął się, przez zbiegowisko ku ruinom spalonego sklepu. Sanitariusze nieśli do karetki przykryte prześcieradłem zwłoki. Pendleton dał nurka obok policjanta, który krzyczał próbując go zatrzymać, i odsłonił twarz ofiary. To, co zobaczył, wyglądało jak groteskowa kombinacja stopionego wosku i przypalonego hamburgera

Funkcjonariusz usiłował oderwać go od noszy, ale Pendleton szarpnął się ze złością i chwycił lewą dłoń ofiary. Na zwęglonych palcach nie znalazł obrączki. Ojciec, chociaż wdowiec, zawsze ją nosił. Sprzedawca nie był zonaty.

Nie opierał się już dłużej rękoma, które odciągały go na bok.

- Myślałem, że to mój ojciec.

- Jest pan stąd? - zapytał policjant

- Jestem właścicielem. Mój ojciec... gdzie...

- Znaleźliśmy tylko jedną ofiarę. Jeśli to nie pański ojciec...

Pendleton nie słuchał dłużej. Musiał się dostać do domu. Wdychając gryzący dym, puścił się jak strzała obok policyjnego samochodu, skręcił między budynki i popędził pod górę. W nozdrzach czuł swąd spalonego ciała, a w ustach suchość.

Dom leżał na urwisku, ćwierć mili od sklepu. Była to modernistyczna willa ze szkła i sekwojowych desek, otoczona smaganymi wiatrem drzewami. Dopiero gdy podbiegł bliżej, zdał sobie sprawę, że sam może być w niebezpieczeństwie.

Nie dbał jednak o to. Pchnął tylne drzwi, nasłuchując odgłosów z kuchni, gdzie ojciec zawsze oglądał telewizję, pijąc wino i przygotowując kolację. Ale w kuchni panowała cisza, a palniki nie były włączone.

Zawołał ojca. Żadnej odpowiedzi. Przeszukał dom, ale nikogo nie znalazł.

Złapał w sypialni książkę telefoniczną, szybko przekartkował szukając Captain Cook

Lodge i pośpiesznie wykręcił numer.

- Z pokojem pana Kesslera.
- Chwileczkę... Przykro mi, proszę pana. Pan Kessler wyprowadził się.
- To niemożliwe! Kiedy?
- Momencik... O czwartej.

Cały drżąc Pendleton odłożył słuchawkę. Przecież o tej godzinie widział Kesslera, więc jak ten mógł się wtedy wyprowadzić?

Czy Kessler był zamieszany w zniknięcie jego ojca? Nie, to bez sensu. Gdyby Kessler miał z tym coś wspólnego, nie informowałby o swojej obecności, nie prosiłby o spotkanie. Chyba że...

Podjejrzenia rosły.

Kessler mógł być tylko przynętą, której użyto, aby rozdzielić ojca i syna, a tym samym ułatwić schwywanie Sople.

Oczywiście było też drugie wytłumaczenie, ale Pendleton miał co do niego wątpliwości. Ktoś inny mógł "wyprowadzić" Kesslera. Na tamten świat. W takim przypadku, zgodnie z logiką kolejną ofiarą powinien być... powinienem być ja.

Obudziły się w nim zawodowe nawyki. Wyjął z szuflady pistolet ojca, sprawdził, czy jest naładowany, potem poszedł do swojego pokoju po drugi. Ponownie przetrząsnął dom, tym razem dokładniej zaglądając w każdy kąt. Nie szukał ojca, ale śladów bytności nieproszonego gościa.

Zadzwoił telefon. Rzucił się do aparatu z nadzieją, że to Sopol. Połączenie zostało przerwane, gdy tylko podniósł słuchawkę.

Napiął mięśnie. Pomyłka? Nieprzyjaciel, który próbuje się dowiedzieć, czy jestem w domu?

Musiał być przygotowany na najgorsze. Szybko zdjął dres i włożył ciepłe wełniane ubranie. Wymknął się na zewnątrz i wspiał na pobliskie urwisko, skąd mógł zobaczyć każdego, kto zbliżyłby się do budynku.

Zapadał zmrok. Rozbłysły latarnie. Telefon znów się odezwał i po dwóch sygnałach ucichł. Wychodząc Pendleton włączył automatyczną sekretarkę, która poinstruuje dzwoniącego, aby zostawił wiadomość. Chociaż rozpaczliwie pragnął sprawdzić, czy to ojciec, nie mógł ryzykować powrotu, żeby przesłuchać taśmę. Przewidział jednak ten problem i wziął ze sobą telefon bezprzewodowy. Nie włączył go wcześniej, aby sygnał nie zdradził jego kryjówki. Teraz nacisnął przycisk i tak, jakby odebrał drugi aparat, usłyszał końcówkę nagranej prośby o nazwisko i numer. Jak poprzednio, ktoś po prostu się rozłączył.

Przyjechał samochód policyjny, przypuszczalnie w związku z pożarem w sklepie, ale mogli to nie być prawdziwi policjanci. Oficer zapukał i spróbował otworzyć drzwi. Pendleton jednak zamknął je na klucz. Funkcjonariusz obszedł budynek wkoło, sprawdził tylne wejście i odjechał. Nikt więcej nie zbliżył się do domu.

Ojciec zniknął! Tak jak pozostali. Lecz w przeciwieństwie do synów tamtych, Pendleton nie był zwyczajnym przedstawicielem drugiego pokolenia, nie był amatorem. Sopel dobrze go wyszkolił. Pewnego dnia, ostrzegął, nieprzyjaciel powróci.

Rzeczywiście powrócił. I zabrał Sopla.

Więc teraz moja kolej - coś w nim krzyknęło. Odrzucił robotę, którą mu proponowano, ponieważ nie chciał ściągnąć uwagi na ojca. W tej chwili nie miało to już znaczenia. Zrobię to! - pomyślał. Ale nie dla pieniędzy. To sprawa osobista.

Jeśli ojciec nie wróci do jutra, po czterdziestu latach dostaniecie w końcu, dranie, co się wam należy!

Za Sopla!

Za mnie!

## POWRÓT WOJOWNIKA

### I.

*Na północ od Beer Szewy, Izrael.* Usłyszawszy nagle terkot broni maszynowej, Saul rzucił łopatę na ziemię, chwycił automat i wyskoczył z rowu melioracyjnego. Pracował w polu od świtu, pocąc się w upale. Powiększał system nawadniający, który zbudował, gdy przed trzema laty przyjechał do tej osady. Jego żona, Eryka, była wówczas w ciąży. Obydwoje pragnęli uciec od świata, znaleźć schronienie z dala od jałowości i brudu swojej poprzedniej egzystencji. Oczywiście zdawali sobie sprawę, że świat nigdy nie pozwoli im się wymknąć, ale liczyło się choćby złudzenie ucieczki. W tej leżącej na uboczu wiosce, gdzie nie docierały nawet echa konfliktu żydowsko-arabskiego, stworzyli dom dla siebie i dziecka, Christophera Eliota Bernsteina - Grismana, które urodziło się wkrótce potem.

Wieśniacy komentowali niezwykle zestawienie imion i nazwisk chłopca. W połowie chrześcijańskie, w połowie żydowskie? Dlaczego z myślikiem?

Bernstein to nazwisko Eryki, Grisman - Saula. Christopher był jego przybranym bratem, irlandzkim katolikiem, z którym wychowywał się w filadelfijskim sierocińcu. Eliot został ich przybranym ojcem. Ten człowiek o smutnych oczach i poszarzałej twarzy, zawsze w czarnym garniturze i z różą w butonierce, był jedyną osobą, która okazywała Christopherowi i Saulowi sympatię. Zwerbował ich później do pracy w wywiadzie. Jako morderców. Na koniec przybrany ojciec zwrócił się przeciwko synom. Chris zginął, a Saul zabił Eliota.

Gorycz, jaką Saul wciąż jeszcze odczuwał myśląc o tamtym, co się wydarzyło, ból, odraza i żal były głównymi motywami ucieczki od świata. Jednak miłość do brata i - mimo wszystko - do Eliota, skłoniła go do nadania dziecku imion dwóch najważniejszych ludzi w jego życiu. Eryka to rozumiała i zgodziła się. Wielkoduszna, cudowna Eryka. Pełna gracji jak gimnastyczka olimpijska. Piękna jak modelka. Wysoka, schludna, elegancka, z mocno zarysowanymi kośćmi policzkowymi i długimi ciemnymi włosami. Niebezpieczna jak on sam.

Odgłosy wystrzałów dudniły mu w uszach. Gdy jak oszalały pędził do wioski, jego pierwszą myślą było to, że powinien bronić syna. Drugą, że Eryka potrafi strzec chłopca równie skutecznie. Trzecią, że jeśli któremukolwiek z nich coś się stanie, nie zazna spokoju, dopóki winni za to nie zapłacą.

Chociaż nie był w akcji od przyjazdu do Izraela, odżyły stare instynkty. Są rzeczy,

których się nie zapomina.

Przeskoczył kamienny murek graniczny i upewnił się, że kurz nie zanieczyścił mechanizmu ani lufy automatu. Zawsze miał broń naładowaną, ale na wszelki wypadek sprawdził też magazynek. Słyszając krzyki, zatoczył koło i skrył się za stertą kamieni.

Strzały stały się głośniejsze i częstsze. Wyrzwał ku zabudowaniom i zobaczył Arabów, którzy z osłoniętych pozycji prowadzili ogień w kierunku centrum wsi. Matki ciągnęły dzieci do domów. Stary mężczyzna próbował dostać się do dziewczynki, która zamarła w przerażeniu na środku ulicy. Kule rozciągnęły starca na ziemi, głowa małej rozprysnęła się. Napastnik rzucił granat w otwarte okno. Wybuch rzygnął dymem i gruzem. Rozległ się krzyk kobiety.

Skurwysyny! Saul celował zza kamieni. Naliczył sześciu nieprzyjaciół, ale siła ognia wskazywała, że co najmniej drugie tyle zajęło przeciwną stronę osady. Kanonada się nasilała. Do walki dołączyli nowi ludzie. Dźwięk ich broni różnił się jednak od stukotu charakterystycznego dla kałasznikowów używanych przez napastników, a także przez samego Saula - dla niepoznaki wołał on być uzbrojony tak samo, jak wrogowie Izraela. Tymczasem te automaty odezwały się łatwym do rozpoznania trzaskiem M-16, z których nauczył strzelać chłopców ze wsi.

Jeden z terrorystów upadł, krew trysnęła mu z pleców. Pięciu pozostałych otworzyło ogień w kierunku szopy, z której oddano serię. Ściany zadrżały, dziurawione gradem kul. M-16 ucichł.

Wieśniacy schowani w różnych budynkach, nie pozostali dłużni: drugi Arab runął brocząc krwią. Saul nacisnął spust i przyjął odrzut broni. Pocisk roztrzaskał przeciwnikowi kręgosłup. Wycelował ponownie, trafił następnego, tym razem w głowę i ostrzeliwując się wybiegł z ukrycia.

Kula dosięgła kolejnego wroga. Ostatni schwyty w krzyżowy ogień, rozejrzał się i popędził do niskiego kamiennego murku. Stanął jak wryty, gdy zza ogrodzenia wyskoczył ulubiony uczeń Saula. Padł strzał. Fala krwi zalała ciało Araba.

Korzystając z osłony rowów i murów, które wybudował wraz z chłopcami dla zapewnienia pozycji obronnych, Saul ruszył w kierunku przeciwnego końca wioski. Kątem oka widział, jak jego uczniowie rozciągają się w tyralierę. Słyszał trzask M-16 i stukot kałasznikowów w odpowiedzi. Następny granat rozerwał się wewnątrz budynku zburzonego już częściowo przez poprzedni wybuch. Tym razem odgłosowi eksplozji nie towarzyszył krzyk. Z rosnącą wściekłością Saul zbliżył się do drugiej grupy napastników. Opróżnił magazynek, złapał kałasznikowa porzuconego przez wycofującego się Araba, wystrzelał



wszystkie naboje, podniósł M-16, które upuścił umierając inny jego pupil, zużył pozostałe kule i runął na ostatniego terrorystę. Jego zręczność w walce wręcz nie mogła się równać z wyszkoleniem, jakie odebrał Saul przed dwudziestu laty. Wymierzając z całej siły cios najpierw jedną, potem drugą dłonią, wbił wrogowi żebra w serce i płuca. Ogień maszynowy ustał. Saul popatrzył na nieprzyjaciela u swoich stóp. Chłopcy podnieceni zwycięstwem, zebrali się wokół niego.

- Nie! Nie róbcie tłumu! Rozdzielcie się! Kryć się! Nie wiadomo, czy inni tu nie wrócą.

Wykonując własne polecenie, zanurkował w rowie. Przeklinał sam siebie, że zachowuje się tak poprawnie. Jestem skazany na zawodowstwo, pomyślał. Starał się pamiętać, że dobro wioski jest najważniejsze. W społeczności ledwie raczkującej, jak ta, jednostka musi pozostać na drugim planie. Tutaj poświęcenie jest regułą. Chociaż rozpaczliwie pragnął się dowiedzieć, co z Eryką i synem, był zmuszony dać dobry przykład. Podzielił więc uczniów na grupy i zaczął metodycznie przetrząsać wieś. Uważnie badał każde zwłoki. Gardząc sobą za to słuchanie głosu obowiązku, nadzorował przeszukiwanie ocalałych domów, sprawdzając, czy jakiś napastnik nie ukrył się wewnątrz. Zorganizował zespoły szacujące straty. Dziesięciu zabitych, piętnastu rannych.

- Gdzie oddział sanitariuszy? Telegrafisci, czy nadaliście SOS do bazy w Beer Szewie?

Dopiero gdy przeprowadzono całą procedurę stosowaną w takich okolicznościach, gdy powzięto wszelkie środki ostrożności, pozwolił, aby wzięła nad nim górę ludzka część jego natury. Ponownie zdał sobie sprawę, że jest skazany na odruchy zawodowca. Poprzednie życie wtargnęło i zawładnęło nim. Reagując dokładnie tak, jak go wyszkolono, zachował się właściwie. Jednak z innej perspektywy było to całkowicie i bezwzględnie niewłaściwe, gdyż zgodził się, aby sprawy publiczne przesłoniły mu obowiązki wobec rodziny.

Budynek najbardziej ostrzeliwany, ten, który eksplodował od wybuchu dwóch granatów, był jego domem. Mieszkańcy wioski otoczyli Saula na poły z lękiem, na poły z szacunkiem, podziwiając jego opanowanie. W końcu uznał, że jest zwolniony ze swej funkcji. Ze łzami płynącymi po policzkach ruszył na miękkich nogach w stronę zrujnowanych zabudowań, schronienia żony i dziecka. Boczna ściana była zwalona. Zapadnięty dach zwiślał pod dziwnym kątem.

Kiedy rozerwał się pierwszy granat, Saul słyszał krzyk kobiety. Z niepokojem zajrzał do środka przez szeroki nieregularny otwór, który był niegdyś oknem. Poczerniałe firanki wisiały w strzępach. Z lewej strony zobaczył resztki drewnianej ciężarówki. Wystrugał ją dla

syna. Obok, niemal całkowicie przykryte strzaskanym blatem stołu, leżały potłuczone talerze, które spadły z nieistniejącej już półki. Czuł zapach spalonego drewna, zwęglonej tkaniny i stopionego plastiku. Oberwany dach zasłaniał widok środkowej części kuchni.

Drzwi wypadły z zawiasów, gdy je dotknął. Przetykając szybko ślinę, wszedł do środka. Poruszał się powoli, z nagłym lękiem, że mógłby na coś nadepnąć, ze strachem, że sprofanuje czyjeś szczątki albo - bał się nawet o rym pomyśleć - szczątki rozerwanego ciała. Odsunął płat blachy, podniósł drewnianą belkę, zrobił krok nad czymś, co było kiedyś krzesłem. Nigdzie nie zauważył krwi i pod wpływem nadziei serce zaczęło mu bić szybciej.

Urwał kawał dachu, wyrzucił go przez otwarte drzwi i schylił się, by przetrząsnąć gruz. Wciąż nie znajdował śladów krwi. Dźwignął część sklepienia zwieszającą się nad pomieszczeniem i przesunął, aby odsłonić jedyny fragment kuchni, którego dotąd nie widział.

Tam też nie dostrzegł ciała. Złamał dwa paznokcie podnosząc zamaskowaną klapę do piwnicy. Oparł ją o ścianę krwawiącymi dłońmi i zajrzał do nie oświetlonego wnętrza.

- Eryka!

Głos odbił się przytłumionym echem.

- Eryka! To ja, Saul!

Zbyt niecierpliwy, aby czekać na odpowiedź, spuścił się na dół i dotknął podeszwami ziemi cztery stopy niżej.

- Już po wszystkim!

Wyteżył wzrok, usiłując dojrzeć coś w mroku. Przez jedną rozpaczliwą chwilę sądził, że się myli, ale uzmysłowił sobie, że nie podał hasła. Wróg mógł próbować naśladować jego głos. W tych ciemnościach taka sztuczka miałaby szansę powodzenia.

- "Baby Ruth" i róże.

- Kochanie; najwyższy czas, żebyś to powiedział. Byłam już zaniepokojona. Nie potrafiłam się zdecydować, czy powinnam cię zastrzelić - dobiegł go, z głębi piwnicy głęboki zmysłowy głos Eryki. - Spodziewam się, że urządziłeś im piekło.

Nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

- Podobno Żydzi nie wierzą w piekło.

- W pewnych okolicznościach to cudowna idea. Mam nadzieję, że za napaść na naszą wioskę i dom będą te dranie tam się smażyć.

Z cienia odezwał się syn: - Tatusz?...

- To ja, synku. Nie bój się. Eryka, uważaj, co mówisz przy dziecku, dobrze?

- Usłyszysz gorsze rzeczy, jeżeli mi nie powiesz, co cię tak długo zatrzymało.

Nie był pewien, jak ma rozumieć jej ton. Wołał przypuszczać, że żartuje.

- Strzelanina skończyła się jakiś czas temu - dodała. -Co robiłeś, wpadłeś gdzieś na drinka?

Ponieważ Eryka wiedziała, że Eliot wymagał od swoich ludzi całkowitej abstynencji, Saul nie miał już wątpliwości, że to żart i odetchnął z ulgą. Widząc, że nie tylko jej, ale też synowi nic się nie stało i że nie jest na niego zła za ten nieludzki profesjonalizm, nie mógł powstrzymać łez.

Buty zaszurały wśród śmieci. Dwa ciała przepchnęły się ziemnym korytarzem.

- Saul? - głos Eryki był bliski, donośny, i niespokojny.

- Tatusiu?

- Synku, nic mi nie jest. Tylko... - wzruszenie chwyciło go za gardło, zdławiło słowa.

Poczuł uścisk pary silnych ramion.

- Co z tobą, Saul?

- Ja... - wycierając oczy, próbował wyjaśniać: - Zabiliśmy ich wszystkich. Ale gdybym... - zebrał siły. - Gdybym przybiegł tutaj natychmiast, troszczył się tylko o nas, o ciebie i Chrisa, wtedy wszystko, czego starałem się nauczyć te dzieciaki w wiosce... zasady, że grupa jest ważniejsza niż jednostka... wyglądałoby na kłamstwo. Następnym razem, gdy nas zaatakują, dbaliby tylko o siebie, zamiast...

W ciemności mały Chris przywarł do Saula. Eryka przytuliła się mocniej.

- Ty głuptasie! Zaskoczony, stłumił łzy.

- Co?

- Jesteśmy zawodowcami. A raczej byliśmy. Obydwoje wiemy, czym jest walka. Zaspokojenie osobistych potrzeb staje się luksusem. Jeśli grupa się nie uratuje, żadna rodzina nie ma szans. Kiedy zaczęła się strzelanina, jedną ręką złapałam Chrisa, a drugą uzi. Powiedziałam sobie, że jeśli jeszcze żyjesz, zrobisz to, czego wymagają reguły i tego samego oczekujesz ode mnie. Co w moim przypadku znaczyło ukryć syna i ochraniać go, a w twoim - jak najlepiej bronić wioski. Płacz nie ma sensu. Bardzo cię kocham. Moje zadanie to strzec rodziny, twoje - całej społeczności. Na nic się nie skarzę, jestem z ciebie dumna. Zrobiliśmy to, co do nas należy.

Saul oddychał z trudem.

- Kocham cię.

- Kiedy już we wsi się uspokoi, zorganizujemy warty i położymy małego spać, z przyjemnością pozwolę ci pokazać, jak bardzo.

## II.

Dwadzieścia minut później izraelski helikopter wojskowy krążył nad kamienistym polem otaczającym osadę, sprawdzając, czy napastników nie ma więcej. Dwie ciężarówki wypełnione żołnierzami podskakiwały na wyboistej drodze i zatrzymały się na skraju wioski. Komandosi o oczach przypominających Saulowi jastrzębie ślepią, wypadli z samochodu, obejrzeni zniszczenia i stanęli na baczność, aby wysłuchać rozkazów oficera. Dobrze wyszkoleni, zdyscyplinowani, umocnili stanowiska obronne na wypadek powtórnego ataku. Jeden z oddziałów przeszukał kieszenie zabitych wrogów.

Gorący wiatr zawiewał kurzem. Kapitan o płaskiej pobrużdżonej twarzy zwrócił się do Saula:

- Wasza łączność nadała, że nieprzyjaciel został odparty. - Wskazał ciała: - Chyba "zmiążdżony" byłoby lepszym określeniem.

Saul wzruszył ramionami.

- Wkurzyli nas.

- To widać.

Kapitan zapalił papierosa.

- Z tego, co wiem, należałoby raczej unikać wkurzania ciebie. - Grisman, prawda?

Saul Grisman. Amerykanin. Były agent CIA.

- Dziwi was to?

- Nie po tym, co się stało. A to musi być Eryka.

Saul obejrzał się. Nie słyszał, kiedy nadeszła.

- Christopher jest u sąsiadów - wyjaśniła. - Jeszcze się boi, ale obiecał, że zamknie oczy i spróbuje zasnąć. Czuwają przy nim.

Stanęła twarzą do oficera.

- A ty pracowałaś dla Mossadu - odezwał się do niej. - Dziwne, że ta wieś nie wydaje wam się nudna.

- Na pewno nie dzisiaj.

Przeniósł wzrok na chłopców trzymających M-16.

- Gdzie są mężczyźni?

- W wojsku - odparła. - Albo w Jerozolimie czy Tel-Awiiwie. To wioska wdów, sierot i opuszczonych żon. Ledwie wegetowała, kiedy tu przyjechaliśmy.

- Ale właśnie tego szukaliśmy - dodał Saul. - Miejsca na końcu świata. Więc usprawniliśmy obronę cywilną.

- Chcesz powiedzieć, że przy twojej pomocy te dzieciaki załatwiły cały oddział?

- Potrzebowały tylko niewielkiej zachęty.

Uśmiechając się Saul uściskał dwóch najbliższych stojących wyrostków.

- Moje źródła podają - ciągnął kapitan patrząc na Saula - że to ty miałeś powód, by chcieć od wszystkiego uciec.

- Czy te źródła podają, co to był za powód?

Oficer pokręcił głową.

- Alergia.

- Jasne. Moje źródła mówią też - zwrócił się do Eryki - że ty mogłaś zostać w wywiadzie izraelskim. Byłaś czysta. Nie musiałaś tutaj przyjeżdżać.

- Nieprawda - zaprzeczyła. - Miałam najlepszy z możliwych powodów.

- Jaki?

- Być z nim - wskazała Saula.

Kapitan zaciągnął się papierosem.

- Dobrze. Przejdźmy do rzeczy. Mam kilka wątpliwości związanych z tym, co się tu wydarzyło.

- Wiem - wtrącił Saul. - Ja także.

- Po pierwsze, oddział nie był zwykłą bandą amatorów. Byli dobrze uzbrojeni. W radziecką broń. To nie improwizacja, a planowy atak. Sześciu podchodziło z jednej strony wioski, sześciu z drugiej. Takiej liczbie ludzi nie jest łatwo przedrzeć się przez granicę. Wymaga to dużego zdecydowania i ważnej przyczyny. Gdyby wieś leżała na spornych terenach, mógłbym zrozumieć. Albo gdyby stanowiła cel strategiczny, powiedzmy, baza wojskowa czy fabryka amunicji. Wówczas ryzykowny atak z zaskoczenia miałby sens. Ale osada wdów i sierot? Pięćdziesiąt mil od granicy? Co się tu do licha dzieje?

- Mnie też nie daje to spokoju - odparł Saul.

### III.

O zachodzie słońca nadjechał zakurzony gazik. Siedząc przed ruinami budynku, który kiedyś był jego domem, zwrócony twarzą do ogniska rozpalonego ze szczątków mebli, Saul usłyszał warkot silnika. Jadł rozpuszczalny bulion z makaronem i patrzył, jak Eryka karmi łyżką małego.

Podniósł głowę i zobaczył, że żołnierze wychodzą zza osłony i nakazują kierowcy stanąć na skraju wioski. Samochód był za daleko, a przednia szyba za bardzo zakurzona, aby

Saul mógł dojrzeć, kto siedzi za kierownicą. Wartownik zamienił z przybyszem kilka słów, sprawdził podane dokumenty i, odwróciwszy się w stronę zabudowań, wskazał w kierunku Saula i Eryki. Gazik ruszył.

Saul wstał.

- Poznajesz?

Eryka rzuciła okiem na wóz i pokręciła przecząco głową.

- A ty?

- Zaczyna się tu robić tłok.

Samochód zatrzymał się dwadzieścia stóp od nich. Wieśniacy obserwowali go podejrzliwie z otwartych drzwi. Kierowca zgasił silnik. Coś zacharczało pod maską. Wysiadł jakiś mężczyzna.

Był chudy, miał sześć stóp wzrostu, wąsy, łysiejące czoło i lekko przygarbione plecy. Ubrany był w wygnieciony garnitur i rozpiętą przy szyi koszulę, na której luźno zwisał krawat. Saul domyślił się, że nieznajomy musi być dobrze po trzydziestce, a jego chudość jest skutkiem tłumienia ogromnej energii i nieustannego spalania kalorii, nawet gdy siedzi za biurkiem. Na ten typ pracy wskazywało pochylenie ramion.

Mężczyzna zbliżał się z uśmiechem. Saul nigdy go przedtem nie widział, ale radość w oczach obcego wyraźnie wskazywała, że przybysz go poznaje.

Po chwili Saul zrozumiał, że się myli.

On nie mnie zna. On zna Erykę.

Jej oczy rozbłysły takim samym blaskiem. Uśmiechnęła się szeroko, promiennie i powiedziała pełnym niedowierzania szeptem:

- Misza?

- Eryka!

Podbiegła i objęła go ramionami.

- Misza! - wykrzyknęła.

Słyszając to imię, Saul odetchnął z ulgą. Jeśli nie myli się co do osoby, nazwisko mężczyzny brzmi Pletz. Nigdy nie spotkał go osobiście, ale był mu wdzięczny za przysługi, jakie Misza na prośbę Eryki wyświadczył przed trzema laty jemu i jego przybranemu bratu.

Zaczekał, aż Eryka skończy się witać z przyjacielem. Zrobił krok naprzód trzymając małego na rękę.

- Witaj. Jesteś głodny? Chcesz trochę zupy?

Uścisk dłoni Miszy był silny.

- Nie, dzięki. Zjadłem w drodze dwa bajgle i mam zgagę.

- Często się zastanawiałem, jak wyglądasz.

- Ja także o tobie myślałem. Współczuję ci z powodu brata. Saul pokręcił głową, jakby odpędzał bolesne wspomnienia.

- Misza, dlaczego nie jesteś w Waszyngtonie? - zapytała Eryka.

- Dwa lata temu przeniesiono mnie z powrotem do Tel-Awiwu. Prawdę mówiąc, sam tego chciałem. Tęskniłem za krajem, za rodzicami. Poza tym przeniesienie wiązało się z awansem. Nie mogę narzekać.

- Jakie masz teraz stanowisko?

Misza wziął Christophera za rękę.

- No jak tam, mały? Chłopiec zachichotał.

Uchylenie się Miszy od odpowiedzi na pytanie Eryki zaniepokoiło Saula.

- Dzieciak dobrze wygląda. - Misza obrzucił wzrokiem zrujnowany budynek. -  
Odnawianie?

- Wpadli dziś dekoratorzy wnętrz.

- Tak, słyszałem.

- Nie spodobała nam się ich praca. Musieliśmy ich wyrzucić.

- To też słyszałem.

- Czy dlatego przyjechałeś? - zapytał Saul. Misza spojrzał na niego.

- Chyba jednak coś zjem.

Usiedli przy ognisku. Teraz gdy słońce zaszło niemal całkowicie, pustynne powietrze ochłodziło się i ciepło ognia działało kojąco. Misza przełknął trzy łyżki zupy i zwrócił się do Eryki:

- Choć byłem w Waszyngtonie, wiedziałem, że tu przyjechaliście. Odkąd wróciłem do Tel-Awiwu, cały czas mam o was wiadomości.

- Więc ty jesteś źródłem, na które powoływał się kapitan - stwierdził Saul.

Wskazał oficera rozmawiającego z wartownikiem na skraju wioski.

- Uznałem za stosowne poinformować go, że może na was obydwójgu polegać. Radziłem, aby zostawił was w spokoju, ale jeśli się z nim skontaktujecie, wysłuchał, co macie do powiedzenia. Nie zamierzałem się wtrącać.

Saul obserwował go uważnie.

- Po tym, co się tu dzisiaj stało - ciągnął Misza - naturalne było, że mnie zawiadomił, zwłaszcza, że ten napad ma pewne niepokojące aspekty. Nie chodzi tylko o bezsens atakowania osady tak oddalonej od granicy, pozbawionej jakiegokolwiek znaczenia strategicznego.

Saul uprzedził go.

- Masz na myśli ich paznokcie? Misza podniósł brwi.

- Więc zauważyłeś? Dlaczego nie wspomniałeś o tym kapitanowi?

- Chciałem się przekonać, zanim zacznę mu ufać, czy jest dostatecznie dobry.

- Bardzo dobry - zapewnił Misza. - O tyle godny zaufania, że podzielił się podejrzeniami tylko ze mną, żebym zdecydował, jak należy postąpić.

- Skończmy to owijanie w bawełnę - przerwał Saul. - Ludzie, którzy zaatakowali wioskę, nie byli zwykłymi partyzantami. Mniejsza o to, że ich automaty miały jeszcze ślady smaru konserwującego, że ubrania mieli podarte, ale buty fabrycznie nowe. Mógłbym wszystko wytłumaczyć tym, że zostali świeżo wyekwipowani i starać się w to uwierzyć. Gdyby nie ich paznokcie. Pomazali sobie ręce błotem, ale nie dostało się ono za paznokcie. Idiotyczna duma. Czy liczyli na to, że żaden nie zginie? Czy sądzili, że nie zauważymy tego manicure za dwadzieścia dolarów? To nie byli terroryści, tylko płatni mordercy. Sprowadzeni z zagranicy. Wybrani dlatego, że byli Arabami. Ale typowym terenem ich działań nie jest pustynia, tylko Ateny, Rzym, Paryż lub Londyn.

Misza pokiwał głową.

- Mimo trzech lat spędzonych tutaj nie straciłeś swoich umiejętności.

Saul wskazał ruiny za sobą.

- To zupełnie oczywiste, że atak nie był skierowany przeciwko całej wiosce. Nasz dom został najbardziej zniszczony. To my byliśmy celem.

Eryka wstała, podeszła do Miszy i położyła mu ręce na ramionach.

- Stary przyjacielu, dlaczego przyjechałeś?

Misza spojrzał na nią ze smutkiem.

- O co chodzi? Co się stało? - zapytała.

- Eryka, twój ojciec zniknął.

## IV.

Równowaga minionych trzech lat została zachwiana. Spokój ducha był nie do odzyskania. Zastąpiły go stałe elementy ich poprzedniego życia: napięcie, podejrzliwość, czujność. Ucieczka najwyraźniej nie była możliwa. Świat wtargnął nawet tutaj, i uczucia, które Saul rozpaczliwie starał się zdusić, powróciły równie silne jak dawniej.

W nocy, gdy Christopher spał u sąsiadów, a Misza w samochodzie, Saul siedział z Eryką przed ruinami domu.



- Jeżeli my byliśmy celem ich ataku - powiedział - a nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości, musimy zakładać, że inny oddział wróci po nas.

Eryka raz po raz dźgała kijem ognisko.

- Nie byłoby w porządku, gdybyśmy pozwolili, żeby nasza obecność zagrażała wiosce - dodał.

- Więc co mamy robić? Postawić tablicę: "Ludzie, których szukacie, już tu nie mieszkają"?

Blask ognia odbijał się w jej oczach.

- Dowiedzą się, że wyjechaliśmy, w taki sam sposób, w jaki dowiedzieli się, że tu jesteśmy.

- Ale dlaczego w ogóle nas zaatakowali? Saul potrząsnął głową.

- Trzy lata to za długo, aby mogła osiągnąć nas przeszłość. Zawarłem umowę z Agencją, że jeśli pozostanę w ukryciu, będą udawać, że nie istnieję.

- To jedno zrobiliśmy na pewno - odparła kwaśno. - Pozostaliśmy w ukryciu.

- Więc nie sądzę, żeby to miało coś wspólnego z przeszłością.

- Czyli cokolwiek było powodem napaści, jest to powód nowy.

- Co w dalszym ciągu nie wyjaśnia, jaki.

- Myślisz, że to zbieg okoliczności?

Uwaga nie była zbyt jasna, ale Saul zrozumiał, o co chodzi Eryce.

- Kiedy zniknął twój ojciec?

- Wczoraj.

- A atak nastąpił dzisiaj.

- Niestety chodzą parami - powiedziała. - Ale...

- Nie wierzę w przypadki. Nie wolno lekceważyć tego, co oczywiste, a tu wszystko układa się w całość.

- Więc nie lekceważmy tego.

- Wiesz, co to oznacza. Wbiła mocniej kij w ognisko.

- Mamy jeszcze jeden powód, żeby opuścić nasz dom. A raczej to, co z niego zostało.

Saul pomyślał o rowach melioracyjnych, nad których konstrukcją i ulepszaniem pracował od trzech lat.

- Złości mnie ta sytuacja.

- Bardzo dobrze. Tylko to ma wartość, czego nie można łatwo porzucić.

- Poza tym nasze szanse przeciw tym, na których będziemy polować, są nikłe, jeśli ruszymy za nimi obojętni na wszystko.

- Ojciec nie jest mi obojętny. Jednym z wyrzeczeń, jakie wiązały się z życiem tutaj, było to, że nie mogłam go widywać.

Strzeliły iskry. Eryka nagle wstała.

- Lepiej się zbierajmy. Nieprzyjaciel niechcący wyświadczył nam przysługę. Nie mamy wiele do pakowania.

- Więc chcesz wyjaśnić, co się stało z twoim ojcem.

- I zapłacić tym, którzy wyrzucili nas z domu.

- Minęły trzy lata - zawahał się Saul. - Pomijając komplementy Miszy, czy jesteśmy jeszcze wystarczająco dobrzy?

- Wystarczająco dobrzy? Przez te trzy lata tylko odpoczywałam. Ludzie, którzy zabrali mi ojca, będą żałować, że kiedykolwiek stanęli nam na drodze, gdy przekonają się, jak dobrzy jesteśmy.

## POKUTNIK

### I.

*Na południe od Kairu, na zachód od Nilu.* Pustynie Nitria, Egipt. Tym razem obserwował nie mysz, lecz jaszczurkę. Nie potrafiła dokazać takiej sztuki, jak Stuart Little. Nie umiała zmusić Sheana do wyjścia ze skorupy wyrzeczenia się siebie. Sprawić, aby zatęsknił za towarzystwem przyjaciół czy jakichkolwiek innych ludzi. Wypęzła z nory pod skałą tylko zaraz o świcie i przez kilka godzin wygrzewała się w słońcu. O zmierzchu, wyciągnięta na kamiennej płycie, chłoneła promieniujące z niej ciepło. W ciągu dnia ukrywała się przed zabójczym upałem. Długie na stopę, przycupnięte, pomarszczone, żółte, nieruchome, śmigające błyskawicą języka świadectwo przewrotnych kaprysów twórczych Boga.

Usunąwszy się w mroczną głębię jaskini, Shean patrzył, jak poczwara zajmuje stałą poranną pozycję u wejścia. Nienawidził jaszczurki i właśnie dlatego znosił jej obecność. Wiedział, że Bóg wystawia go na próbę. Gad był częścią jego pokuty. Gdy słońce powędrowało wyżej, promienie zaczęły wpadać do środka i Shean przyglądał się skalistym konturom pustelni. W porównaniu z jej niegościnną surowością prostota celi w klasztorze kartuzów w Vermoncie, gdzie spędził sześć spokojnych lat, wydawała się luksusem. Znowu pomyślał o jaszczurce, którą nazywał na przemian Lucyferem i Quasimodo, i o myszy, towarzysze dwóch ostatnich lat życia w klasztorze. Stuart Little zginął, gdy mordercy zaatakowali kartuzję, aby schwytać Sheana, a on sam został zmuszony do opuszczenia swojej przystani, grzesznik stawiający czoło grzesznemu światu. Wydarzenia, jakie z tego wynikły - wojna ze Skalpelem, ponowne połączenie z Arlene, konflikt z Bractwem Kamienia - paradoksalnie były jego odkupieniem, a jednocześnie znowu skazały go na potępienie. Musiał poszukać tej nory w skale na pustyni, skąd wywodził się chrześcijański monastycyzm, aby jeszcze raz, od nowa dążyć do czystości przez pokutę i uwielbienie Boga.

Żył tak już od roku. Lato nie różniło się od zimy. Każdy dzień był beznadziejnie podobny do poprzedniego. Czas płynął dziwnie: równocześnie rozciągnięty i skondensowany. Rok raz wydawał się wiecznością, raz miesiącem czy tygodniem. Jedyнным sposobem mierzenia czasu była obserwacja, jak rosną mu włosy i broda, a zapasy żywności stopniowo się kurczą. Musiał potem wędrować przez pustynię do wioski oddalonej o dzień drogi, aby uzupełnić skromny prowiant. Wieśniacy widząc wysokiego, wychudzonego, spalonego słońcem mężczyznę w łachmanach, o udreżonych oczach, traktowali go z dystansem i czcią.

Uznali Sheana za świętego, chociaż on sam się za takiego nie uważał.

Nie licząc tych przerw, porządek jego zajęć był niezmienny: gimnastyka, medytacja i modlitwa. Ostatnio jednak czuł się zbyt słaby, aby ćwiczyć, więc leżał w głębi jaskini, intonując odpowiedzi do wymaganych mszy świętych. Zastanawiał się, co jaszczurka sądzi o łacinie, bo czasem na nią reagowała, podnosząc szkaradny łeb o nieruchomych oczach. Czy był to tylko zwykły odruch? Jeśli tak, czemu służy istnienie tego monstrualnego stworzenia? Skała, chociaż nie myśli, odznacza się pięknem, które można podziwiać. Gad nie podziwia skały, wchłania tylko jej ciepło przez paskudną żółtą skórę. Żadna istota rozumna nie może się zachwycać ohydą jaszczurki.

To próba, myślał Shean. Jeśli nauczę się kochać jaszczurkę, zostanę zbawiony. Udowodnię, że otworzyłem się na wszelkie przejawy istnienia Boga.

Potrzeby ciała zakłóciły jego medytację. Musiał się napić. Źródło, z którego powodu wybrał to miejsce, nie było daleko. Jak zwykle odwlekał moment ugaszenia pragnienia, po części, aby pogłębić pokutę, ale także by zwiększyć zadowolenie, jakie czuł, gdy w końcu się napił. To balansowanie na granicy bólu i przyjemności było przyczyną wielkiego napięcia psychicznego. Ostatecznie rozwiązał ten dylemat uznając, że przyjemność picia została stworzona przez Boga jako element instynktu samozachowawczego. Gdyby jej sobie odmawiał, umarłby. To byłoby samobójstwem, a samobójstwo jest najcięższym ze wszystkich grzechów.

Był tak osłabiony, że jego myśli zaczęły płynąć swobodnym strumieniem. Przyjemność i ból. Arlene i rozłąka z nią. Gdyby wypadki potoczyły się inaczej, nie wyobrażał sobie większej nagrody niż spędzenie z Arlene reszty życia. Bractwo Kamienia uczyniło to niemożliwym. Brat dziewczyny zabił w jego obronie członka Bractwa. Aby ocalić swego wybawcę, Shean uciekł i ukrył się, stwarzając pozory, że to on był winien. Pragnienie miłości kobiety poświęcił dla miłości innego rodzaju.

Próbował się ruszyć, aby iść do źródła, ale nie był w stanie tego uczynić. Wargi miał popękane z pragnienia, a ciało wyniszczone głodówką. Kręciło mu się w głowie. Upał wegnał jaszczurkę do nory pod skałą. Czas płynął coraz szybciej. Nagle na wejście do jaskini padł cień. Czy to już zachód słońca?

Czy mam halucynacje? - zastanawiał się Shean. Cień zaczął bowiem przypominać sylwetkę ludzką, pierwszą, jaką tu zobaczył, odkąd zajmował pustelnię. To niemożliwe.

Ale cień, wydłużając się, naprawdę przybrał postać...

Przecież to nie może być...

## II.

Kiedy Arlene zobaczyła jaszczurkę czmychającą sprzed wejścia do jaskini, wymamrotała:

- Cholera.

Znów zaczęła podejrzewać, że udzielono jej błędnych wskazówek. Czy jaszczurka wybrałaby to niczym nie osłonięte miejsce, aby wygrzewać się w słońcu, gdyby grotą była zamieszkała? Fakt, że przycupnięty szkaradny gad odwrócił łeb na odgłos łoskotu kamienia, który strąciła wspinając się po stoku, a potem znieruchomiał i uciekł, gdy padł nań cień Arlene, wyraźnie świadczył o tym, że zwierzę przestraszyło się jej, a nie kogoś wewnątrz. Czy z tego wynika, że jaskinia jest opuszczona?

Zniechęcona zatrzymała się, ale żar popchnął ją naprzód. Była wyczerpana i tak odwodniona, że przestała się pocić. Musiała znaleźć schronienie. Z trudem pokonała resztę drogi pod górę, jej cień sięgnął do groty. Wyteżyła wzrok, starając się zobaczyć coś w ciemności. Panująca w środku cisza umocniła podejrzenie, że źle ją skierowano.

Pytanie tylko, czy była to zwyczajna pomyłka, czy celowe wprowadzenie w błąd? Poprzedniego dnia rano, dwie godziny po wyjeździe z wioski, wynajęty samochód nagle stanął, silnik zakaszłał i zgasł. Była doświadczonego mechanikiem, więc podniosła maskę i usiłowała znaleźć usterkę. Nie potrafiła jednak stwierdzić, co się zepsuło. Rozważała możliwość powrotu do wsi, ale pokonanie pieszo odległości jaką miała za sobą, wymagałoby marszu przez pół dnia. Tyle samo czasu zajęłoby dostanie się do celu, gdyby poszła naprzód. Przed opuszczeniem osady napełniła manierkę. Wiedziała, co jest warunkiem przetrwania na pustyni. Musi utrzymać zasób wody w organizmie odpoczywając w cieniu podczas największego skwaru w środku dnia i wędrując o zmierzchu i w nocy. Jeśli będzie się ograniczać, wystarczy jej wody, aby o świcie dotrzeć do jaskini, i jeszcze zostanie na powrót.

Kiedy tuż przed południem rozbiła obóz, mocując między dwoma głazami cienką płócienną płachtę i wczołgała się pod spód dla ochrony przed najgorszym skwarem, usłyszała delikatny szelest kroków dochodzący od tyłu i z prawej strony. Ich ukradkowość tłumaczyła wszystko. Arlene nie chciała ryzykować użycia broni, której odgłos rozniósłby się na wiele mil po cichej pustyni, przyciągając być może innych napastników. Udawała więc przestraszoną i bezbronną, gdy dwóch Arabów ubranych w wypłowiałe od słońca zawoje i burnusy, pochyliło się nad jej kryjówką, mierząc do niej z broni i gestami nakazując jej zdjąć ubranie. Odwróciła ich uwagę błysnąwszy piersiami, zerwała się i rozbroiła kopniakiem stojącego bliżej bandytę, łamiąc mu przy tym nadgarstek. Wirując jak derwisz wytrąciła

pistolet jego współnikowi, roztrzaskała mu przegub ciosem stopy i zabita jednego po drugim uderzeniami dłoni w szyję, powodując pęknięcie tchawicy. Wypadki potoczyły się tak szybko, że umierając patrzyli jeszcze pożądliwie. Ukryła ciała między skałami, gdzie zajmą się nimi padlinożercy. Przeniosła obóz w inne miejsce i ponownie rozpięła płótno. Zastanawiała się teraz, czy napastnicy znaleźli ją przypadkiem, czy też śledzili od wioski, w której pytała o drogę. Jeżeli niedoszli gwałciciele rzeczywiście byli ze wsi i celowo uszkodzili samochód, nic dziwnego, że jaskinia jest opuszczona. Podano jej fałszywe informacje, żeby wyprowadzić ją na głębokie odludzie. Znów ogarnęła ją rozpacz. Przebyć całą tę drogę z Nowego Jorku tylko po to, aby stwierdzić, że poszukiwanie jeszcze nie jest zakończone! Miała ochotę podnieść pięści i przeklinać niebo. Musiała jednak skryć się przed słońcem. Myśl o przepłukaniu suchych opuchniętych ust letnią wodą z manierki popchnęła ją naprzód. Wysoka, zwinna, zmysłowa kobieta po trzydziestce, o zielonych oczach i kasztanowych włosach, w płóciennym kapeluszu z szerokim rondem, w koszuli i spodniach khaki, w mocnych butach i z chlebakiem na ramieniu, wycelowała broń przeciw niewidocznemu zagrożeniu i weszła do jaskini.

### III.

We wnętrzu unosił się cierpki zapach. Przebijał aromat piżma. Wywnioskowała, że grot służyła niedawno za legowisko jakiemuś zwierzęciu. Stała na progu zasłaniając światło słoneczne i patrzyła w ciemność. Chociaż w jaskini nie było wcale chłodno, w porównaniu z piekłem na zewnątrz upał był tu do zniesienia. Z pistoletem gotowym do strzału wstrzymała oddech, starając się wyłowić jakiś dźwięk

- Shean?

Jej głos brzmiał niepewnie, niespokojnie. Przecież gdyby tu był, już by się do niej odezwał. Chyba że, jak jaszczurka, uciekł do kryjówki widząc, że nadchodzi. W takim przypadku poszukiwania były bezcelowe, a nadzieja, że powita ją radością, okrutnie zwodnicza.

Echo wołania ucichło. Znów wstrzymała oddech, nasłuchując. Coś, może intuicja, mówiło jej, że jaskinia jest zamieszkała. Słyszała albo miała tylko wrażenie, że słyszy jakby lekki szelest materiału, słaby świst powietrza, delikatne tarcie ciała o kamień. Te ledwo słyszalne dźwięki dochodziły z głębi. Przykucnęła na prawo od wejścia, chowając się, a jednocześnie wpuszczając do groty promienie słońca.

Teraz gdy jej oczy przywykły do ciemności, to dodatkowe oświetlenie wystarczyło,

aby dostrzegła znoszone sandały na zakurzonych stopach mężczyzny leżącego pod tylną ścianą. Wygnieciony burnus odsłaniał niemal pozbawione ciała kolana. Ręce rozrzucone po bokach były chude jak u kościotrupa.

- Boże!...

Echo zwielokrotniło bolesny szept.

- Shean...- powiedziała głośniej.

Rzuciła się ku niemu i zaczęła go ciągnąć do światła, wstrząśnięta widokiem splątanych, długich do pasa włosów i brody, wymizerowanej zniszczonej twarzy.

- Chryste, Shean...

Obserwował ją oczami zwięzonymi jak szparki. Spękane wargi drżały.

Pośpiesznie odpięła manierkę od pasa i zdjęła zakrętkę. - Nic nie mów.

On jednak się upierał. Głos miał tak słaby, że niemal go nie słyszała. Przypominał szelest kroków na wyschniętym kruchym mule

- Ar...

Zdobył się na rozpaczliwy wysiłek i spróbował ponownie:

- Ar...ene?

Ton wyrażał zaskoczenie, niedowierzanie. I coś jeszcze. Coś zbliżonego do lęku, jaki czuje ktoś mający wizje.

- To ja. Jestem tutaj. Nie jestem zjawą. Tylko przestań mówić. Podniosła manierkę do jego spieczonych warg i wlała w nie kilka kropel wody. Ciało wchłaniało płyn jak gąbka. Złapała Sheana za nadgarstek. Puls był ledwo wyczuwalny. Przebiegła dłońmi wzdłuż jego boków, z przerażeniem stwierdzając, ile stracił na wadze.

- Masz to, czego chciałeś. Doprowadziłeś się do ruiny. Gdybyś nie był taki słaby - wlała jeszcze trochę wody między popękane wargi - wściekłabym się, zamiast ci współczuć.

Zamrugał dziwnie oczami. Błyszczały lekko... Czym? Rozbawieniem? Miłością? Nabrał tchu, jakby miał zamiar...

- Tylko spróbuj się roześmiać - powiedziała - a oberwiesz po głowie tą manierką.

Jakimś cudem zebrał dość siły, aby się zaśmiać, choć tylko krótkim upartym "ha ha". Oczywiście nie spełniła pogroźki. Po prostu znów go ostrożnie napoiła, wiedząc, że więcej płynu na raz mogłoby mu zaszkodzić. Uspokoiła się jednak, ponieważ ta próba śmiechu była oznaką życia. Przybyła na czas. Nie stracił ducha. Nic mu nie będzie.

#### IV.

Kiedy pozwoliła mu na następny łyk, nagle zeszywniała. Pomimo upału zmroził ją strach. Wody nie było dość, aby obydwójce mogli się stąd wydostać.

Opuchnięty język przywarł jej do podniebienia. Musiała się napić. Letni płyn miał gorzki smak, ale gdy przełknęła, zawroty głowy ustąpiły. Pociągnęła kolejny łyk i wlała kilka kropel do ust Sheana.

Stopniowo jego puls stawał się mocniejszy.

Głos pozostał jednak ochrypły.

- Źle wyliczyłem...

Uśmiechnął się zmieszany jak dziecko, które było niegrzeczne. Potrząsnęła głową nie rozumiejąc.

- Powinienem... napić się wcześniej... Zakaszła.

Znów pokręciła głową.

- Powinienem... wcześniej iść po żywność... nie zdawałem... sobie sprawy, jaki jestem słaby... nie mogłem dojść do źródła...

- Jakiego źródła?

Powieki mu opadły.

- Do cholery, Shean, jakie źródło?

- Na zewnątrz... w dół stoku... w prawo...

- Jak daleko?

- Sto jardów... od załomu wzgórza... grupa skał...

Dała mu jeszcze trochę wody i podniosła się.

- Zaraz wracam.

Zdjęła chlebak i wyszła z cienia jaskini. Oślepiające słońce natychmiast uderzyło ją jak młotem. Krzywiąc się od bólu w skroniach, zbiegła z boczem w dół i po kilku krokach w prawo skrzyła za załom.

Jednak po przejściu odległości, którą oceniła na sto jardów, nie zobaczyła grupy skał u podnóża góry. Ogarnęła ją panika. Czyżby Shean majaczył? Czy tylko wyobraził sobie źródło?

Nie, musiało gdzieś tu być. W przeciwnym razie jak mógłby tutaj przeżyć? Ale jeśli go nie znajdzie, jeśli Shean nie oprzytomnieje bardziej, zanim manierka będzie pusta, najpewniej obydwójce umrą.

Przeszła jeszcze dwadzieścia pięć jardów. Czowała, że uginają się pod nią kolana i zrozumiała, że nie może ryzykować dłuższego błędzenia. Jak okiem sięgnąć, nie widziała żadnych głazów. Opanowało ją zniechęcenie. Zebrała siły i oblizując spieczone wargi



zawróciła w stronę jaskini. Zamiast skrócić w prawo za załom, jak poprzednio, ruszyła w lewo, w kierunku otwartej pustyni. Przeszył ją dreszcz, gdy zobaczyła skały.

Szła ku nim potykając się. Wskazówki Sheana były dokładne. Nie powiedział jednak o najważniejszym. Cel rzeczywiście leżał sto jardów od załomu, ale gdy oddalało się od masywu, a nie szło wzdłuż podnóża. Wtedy wysokie i rozległe skały były widoczne jak na dłoni, stanowiły tak wyraźny punkt orientacyjny, że nie można było ich przeoczyć.

Zmusiła stopy do szybszego marszu. Głazy stawały się coraz większe. Wspiąwszy się na nie, znalazła w osłoniętym od wiatru zagłębieniu zbiornik stojącej wody. Odsunęła na bok warstwę kurzu, rozejrzała się, aby sprawdzić, czy szkielety zwierząt nie ostrzegają przed ufaniem sadzawce i zanurzyła w niej twarz. Woda była ciepła i nie odświeżała. Mimo to czuła, że ciało wchłania wilgoć.

Szybko napełniła manierkę. Dziesięć minut później schylała się w wejściu do mrocznej jaskini.

Shean leżał płasko na plecach. Uniósł powieki, drgnął i spróbował się uśmiechnąć.

- Zapomniałem ci powiedzieć...

- Wiem, co zapomniałeś mi powiedzieć, mój drogi. Ale i tak znalazłam.

Podniosła manierkę do jego ust. Przelykał z wdzięcznością. Sama też się napiła.

Pozostawał jednak problem żywności. W chlebaku miała tylko trochę zapasów na czarną godzinę: orzeszki ziemne, kawałki prasowanej wołowiny, suszone owoce. Gdy przeszukawszy grootę nie znalazła nic do jedzenia, uświadomiła sobie, że to, co przyniosła, nie wystarczy im obojgu do przebycia pustyni. Dała Sheanowi więcej wody, sama też trochę wypila, i gdy zobaczyła, jak wraca do sił, wstąpiła w nią otucha.

- Dlaczego tu jesteś? - zapytał.

- Czy to nie oczywiste?

Pokręcił głową.

- Ponieważ cię kocham - odparła.

Oddychał głęboko, walcząc z silnym wzruszeniem.

- Kochasz... tak - było mu ciężko mówić dalej. - Ale jak mnie odnalazłaś?

- Dzięki wytrwałości.

- Nie rozumiem - zebrał siły - sądziłem, że zatarłem za sobą ślady.

Skinęła głową.

- Więc jak...?

- Bractwo.

Shean wzdrygnął się.

## V.

- Uciekłeś - powiedziała - aby ocalić życie mojemu bratu. Ponieważ on uratował twoje. Myślałeś, że się im wymknąłeś. Nie udało ci się.

Sięgnęła do chlebaka i wyjęła torebkę orzeszków. Żując delektowała się solą. Wyciągnął rękę.

- Obiecuję, że nie połkniesz od razu. Skinął głową.

Włożyła mu jeden do ust.

- Gdybyś nie wyglądał tak paskudnie, pocałowałabym cię.

- Pogrożki daleko cię nie zaprowadzą. Co z Bractwem?

- Śledzili cię od chwili, gdy wyszedłeś ode mnie - odrzekła. - Nie podjęli przeciw tobie żadnych kroków, więc sądziłeś, że udało ci się zbiec. Po Anglii, Włoszech i Maroku uważałeś, że Egipt jest bezpieczny. Ale tu też cię śledzili. Znają każdy twój ruch.

- Skąd o tym wiesz?

- Dwa tygodnie temu jeden z nich przyszedł się ze mną zobaczyć. Shean jęknął.

- Więc wszystko na nic.

- Nie. Z tego, co tłumaczył mi ten ksiądz, wynika, że to uratowało ci życie. Bractwo uznało, że wygnanie tutaj jest gorsze niż jakakolwiek kara, którą mogliby wymyślić. Sądząc po twoim wyglądzie, mieli rację.

Shean robił żalotne wrażenie. Wychudzony tors, mizerna twarz, splątane, długie do pasa włosy i broda.

- Musimy cię trochę wzmocnić. Myślisz, że twój żołądek zniesie następny orzeszek?

- Dobrze by było. Potrzebuję soli.

Dała mu go i zaczęła ogryzać pasek wołowiny.

- Ksiądz powiedział mi, że według opinii Bractwa wycierpiałeś już dość, aby odpokutować śmierć ich człowieka.

Shean patrzył na nią w napięciu.

- Miałaś wrócić do mnie w Wielkim Poście, tak obiecywałaś. Czule pocałowała go w czoło.

- Przed Wielkanocą wyglądałam cię każdego dnia. Kiedy nie pojawiłeś się w tym roku, przestraszyłam się, że już nigdy nie wrócisz.

- Bez względu na to, jak bardzo się starałem, nie mogłem przestać myśleć o tobie - odrzekł.

- Kocham cię.

Z drzeniem dotknął jej ramienia.

- Czy moje wygnanie skończyło się? Przebaczyli mi? Zawahała się.

- Co jest?...

- Nie, nie przebaczyli - wyjaśniła. - Zostałeś wezwany. By pójść za swoim powołaniem, jak określił to ksiądz.

Shean zmarszczył brwi.

- Co masz na myśli?

- Chcą, żebyś coś dla nich zrobił. Odwróciła wzrok z zakłopotaniem.

- To warunek, pod którym pozwolą ci odejść. Kiedy ksiądz zdradził mi, gdzie jesteś, uczepliłam się tej szansy, żeby cię znowu zobaczyć, tylko po to, żeby być z tobą. Odkąd uciekłeś, czułam się tak pusta... Już raz cię straciłam, a potem znowu...

Pocałowała go. Odwzajemnił uścisk.

- Arlene... Czekala.

- Czego chcą?

- Tego właśnie nie wiem. Ksiądz nie chciał mi powiedzieć. Przysłał mnie tutaj, żebym porozmawiała z tobą. Przekonała cię. Przyproceedziła do niego.

## VI.

O zachodzie słońca pomogła mu wykuśtykać z jaskini. Wieczorem temperatura była niższa i ciepło promieniujące z kamieni działało kojąco. Korzystając z resztek dziennego światła, wyjęła nóż i przejechała nim po włosach i brodzie Sheana. Kiedy skończyła, wyglądał według niej jak seksowny asceta namalowany przez El Greco.

Zdjęła z niego burnus i dokładnie umyła, polewając całe ciało wodą. Potem ubrała go i ostrożnie nakarmiła. Zanim słońce całkiem się schowało, zeszła do źródła w skałach, napełniła manierkę i wróciła do groty.

Zapadła noc. Arlene leżała przytulona do Sheana, biodro w biodro, jak łyżeczka, ogrzewając go własnym ciałem.

- Z wodą nie ma problemu - odezwała się.

- Ale jest z jedzeniem.

- Dla mnie wystarczy, ale dla ciebie to za mało, żebyś odzyskał siły. Jak damy radę przejść przez pustynię?

- Mam pewien pomysł - odpowiedział.

## VII.

O świcie Arlene zaczęła się z nożem. Kiedy jaszczurka wypełzła spod skały, zabiła ją, odarła ze skóry i pocięła na paski. Pomimo wszystko gad posłużył jakiemuś celowi. Kawałki mięsa rozłożone przed jaskinią piekły się w słońcu. Przyniosła je dla Sheana. Odgryzł kęs i przeżuwał, aż pokarm zamienił się w papkę, która nie mogła mu zaszkodzić.

- Nienawidziłem jej - powiedział.

- A teraz?

- Przykro mi, że zginęła dla mnie. Stała się częścią mnie. Kocham ją.

## VIII.

Wyruszyli w nocy. Shean odzyskał dość siły, żeby iść opierając się o Arlene. Brnęli przez pustynię, kierując się gwiazdami. Shean miał dreszcze. Obejmując jego plecy ramieniem, czuła, że się poci. Nie martwiło jej to jednak. Pot oznaczał, że braki wody w organizmie zostały uzupełnione.

Odpoczywali często, jedząc resztki zapasów i starając się nie usnąć. O świcie dotarli do przełęczy łączącej niskie wzgórza. Arlene westchnęła ciężko. Znajdowali się nieopodal miejsca, gdzie zepsuł się jej samochód, w połowie drogi między jaskinią a wioską. Nie zaszli dostatecznie daleko. Za kilka godzin upał stanie się tak nieznośny, że będą musieli przerwać marsz, rozpiąć płócienną płachtę i poczekać aż do późnego popołudnia. W najlepszym wypadku dojadą do osady dopiero rano, i to tylko pod warunkiem, że utrzymają tempo, w jakim poruszali się w nocy. Teraz jednak, gdy skończył im się prowiant, Shean zacznie szybko tracić siły. Już czuła, że opiera się o nią mocniej. Jeśli nie dotrą do celu przed południem, znów będą musieli się zatrzymać na pustyni i przeczekać tam cały dzień. Do tego czasu Shean tak osłabnie, że sama nie da rady doprowadzić go do wioski.

Może będę zmuszona go zostawić - myślała - i iść po pomoc? A jeśli zacznie majaczyć i zabląka się? Mogę go już nie odnaleźć.

Pocisk uderzył w kamień po prawej stronie. Odłamek skały przeciął Arlene grzbiet dłoni. Echo wystrzału poszło po przełęczy. Nie zważając na kapiącą jej z ręki krew, pchnęła Sheana za głazy i skoczyła za nim.

Równocześnie wyjęła z kabury pistolet. Wyjrzała ukradkiem zza osłony, aby poszukać wzrokiem przeciwnika na kamienistym stoku, i musiała się uchylić od kuli, która zaryła się w ziemię za jej plecami.

Z nagłym przypiływem mdłości uświadomiła sobie, że pocisk nadleciał z lewej,

przeciwległej strony przełęczy. Dostali się w krzyżowy ogień.

- Zostaw mnie - wyszeptał Sean.

- Nie.

- Słuchaj - oddychał z trudem - nie możesz walczyć z nimi i jednocześnie zajmować się mną. Przeze mnie zginiemy oboje.

- Powiedziałam ci: nie.

Dwie kule nadleciały niemal w tym samym momencie od tyłu i z przodu. Trafiły w skałę tak blisko, że Arlene zadzwoniło w uszach.

- Ich argumenty są mocniejsze niż twoje - stwierdził Sean.

- Nie po to zrobiłam taki kawał drogi, żeby cię znowu stracić. Zerknęła na jedno zbocze, potem na drugie.

- Posłuchaj mnie.

Z przerażeniem spostrzegła, że krew cieknie mu z kolan tam, gdzie otarły się o ostre krawędzie.

- Nasi przyjaciele z gór - mówił dalej - mogli nas obydwójce zabić, zanim byśmy się zorientowali. Albo są kiepskimi strzelcami, albo chybili celowo.

- Więc co?

Pocisk z lewej prysnął kamyczkami na buty Arlene. Kula z drugiego stoku odbiła się rykoszetem od głazu.

- Chodzi im o co innego - wyjaśnił Sean. - Nie pozwól im wciąż nas przygwaźdzać.

Przykucnęła z wysiłkiem.

- Zostaw mnie. Idź za nimi. Dopóki nie dostaną tego, czego chcą, nie zabiją cię, jeśli nie będą musieli.

- Ale co z tobą?

- Zaryzykuję. Byłbym ci tylko ciężarem. W ten sposób przynajmniej ty masz szansę.

Potrząsnęła głową, celując niecierpliwie to w jedną, to w drugą stronę.

- Dobrze - westchnął Sean. - Podejmę decyzję za ciebie. Mimo słabości wstał i chwiejnie wyszedł zza kamieni. Kolana ugięły się pod nim i runął do wąwozu.

- Ty uparty...

Odpowiedziało jej echo wystrzałów. Korzystając z osłony skał, ruszyła w kierunku prawego zbocza.

Sean ocenił sytuację prawidłowo. Kule, które ryły ziemię za nią i przed nią, były obliczone na to, aby ją osadzić w miejscu, a nie zabić.

W porządku, pomyślała. Zabawimy się.

## IX.

Shean skrzywił się z bólu wywołanego wstrząsem upadku do rozpadliny. Wylądował twardo, tracąc oddech. Poranne słońce stało jeszcze tak nisko, że promienie nie docierały na dół. Zebrał swe wątłe siły i ruszył chwiejnie dnem wąwozu, pamiętając o schyleniu głowy.

Mógł do pewnego stopnia przewidzieć, co się teraz stanie. Zobaczywszy, że Arlene go podtrzymuje, strzelcy zdali sobie sprawę, jak bardzo jest słaby i obawiają się go mniej niż jej. To prawda, że Arabowie nie mają wysokiego mniemania o kobietach, ale napastnicy będą musieli docenić odwagę i umiejętności Arlene podróżującej przez pustynię bez ochrony, oraz liczyć się z faktem, że jest Amerykanką. Kiedy zaczną do nich strzelać, wtedy już na pewno zaczną ją respektować.

Jeśli więc chcą działać skutecznie, wyeliminują najpierw łatwiejszy cel. Jeden napastnik odciągnie Arlene, podczas gdy drugi zajmie się Sheanem. Kiedy już i jego załatwią, będą mogli całą uwagę poświęcić dziewczynie. Ale jej nie zabiją. Był w dalszym ciągu przekonany, że bandyci mogli zastrzelić ich obydwoje, gdyby chcieli. Zamierzali jednak najpierw pobawić się ze zdobyczą, przycisnąć, przyprzeć ją do muru, schwytać w potrzask, niż zabić. Przynajmniej nie od razu.

Shean był zbyt słaby, żeby walczyć, ale już choćby dlatego, że nie został na miejscu, pomoże Arlene. Rozdzielić i pokonać - na to liczyli wrogowie. Taktyka ta mogła się jednak obrócić przeciwko nim.

## X.

Gdy Arlene wspinała się kamienistym zboczem przeskakując od głazu do głazu, napastnik znów do niej strzelił. Nurkując za osłoną nagle zorientowała się, gdzie jest. Za tymi poszarpanymi skałami ukryła ciała dwóch mężczyzn, którzy zaatakowali ją poprzedniego dnia. Rozejrzała się zaskoczona.

To nie może być to samo miejsce! Ani śladu trupów! Nawet jeśli wziąć pod uwagę nadzwyczajną żarłoczność pustynnych padlinożerców, zwłoki nie mogły tak szybko zniknąć. Coś musiałyby zostać: kawałki ciała, kości, szczątki ubrań.

Niemniej była absolutnie pewna, że poznaje okolicę.

Więc co...?

Kula odbiła się rykoszetem od głazu. Arlene wyjrzała przez szczelinę między kamieniami, z pistoletem gotowym do strzału. Zastanawiała się, czy zasadzka w miejscu,

gdzie została napadnięta wcześniej, nie jest czymś więcej niż zbiegiem okoliczności. Czy ciała odnaleziono i uprzątnięto? Czy strzelcy mścili się za przyjaciół? Jeśli tak, było oczywiste, dlaczego unikają zabicia jej. Zanim to nastąpi, chcą z nią zrobić to samo, co zamierzali uczynić ich kumple. Oddychała szybko. Mocniej wyteżyła wzrok, aby cokolwiek wypatrzeć przez szparę.

Gdy w końcu dostrzegła jakiś ruch - Araba w zawoju i burnusie, pędzącego zboczem i przeskakującego występy skalne, znowu ogarnęły ją wątpliwości, ponieważ przeciwnik znalazłszy osłonę, nie wycelował automatu w jej kierunku. Mierzył w stronę wąwozu u podnóża stoku. Wąwozu, do którego wpadł Shean.

Odwróciwszy wzrok zobaczyła drugiego Araba biegnącego z rozwianym zawojem po przeciwległym zboczu. Również ku rozpadlinie.

Myśli kłębiły się jej w głowie. Może strzelcy nie uwierzyli, że Shean jest tak wycieńczony, na jakiego wygląda. Albo Arabom nawet wyraźnie osłabiony mężczyzna wydawał się groźniejszy niż sprawna uzbrojona kobieta.

Narzucala się jeszcze jedna możliwość. Tak niepokojąca, że należało ją rozważyć najpierw. Teraz, gdy już przyszła jej do głowy, stanowiła wytłumaczenie wprost oczywiste, ale tak przerażające, że wcześniej musiała je wykluczać podświadomie.

To nie ona była celem ataku. Celem ich ataku jest Shean!

## **XI.**

Shean uchylił się od kuli, która musnęła prawą krawędź rozpadliny, zatoczyła łuk i uderzyła w skałę po jego lewej ręce. Oszołomiony dopadł zagłębienia w przeciwległej ścianie, po stronie, z której nadleciał pocisk.

W tej samej chwili kula z lewej trafiła w niszę. Nie chcąc dostać się w krzyżowy ogień, runął do tyłu. Walcząc z atakiem osłabienia usiłował zrozumieć sytuację. Był przekonany, że Arlene jest głównym celem, że jeden z bandytów poświęci niechętnie trochę czasu na zabicie go i dołączy do współnika, aby zająć się dziewczyną. Teraz jednak obydwaj atakowali jego! To nie miało sensu.

Potarł obolałą od upadku szczękę. Słyszac z obu stron wystrzały z automatów, zasłonił oczy przed kamykami sypiącymi się z krawędzi rozpadliny. Dobiegł go kolejny strzał, mniej donośny, tym razem z pistoletu Arlene.

Ale bardziej natarczywy był inny dźwięk, delikatny jak powiew wiatru albo syk przedziurawionej opony. Tu, w dole, w ciszy wąwozu miał ogłuszającą moc.

Podrażniona kobra podniosła się, aby go zaatakować.

## XII.

Arlene pędziła kamienistym zboczem, lekceważąc ryzyko złamania nogi. Przeklinała się za to, że pozwoliła, aby jej sąd zaćmiła kobieca duma. Przyznaj, uważałaś za oczywiste, że sama twoja płeć czyni cię obiektem nieodpartego pożądania. Byłaś tak zajęta sobą, że nie rozumiałaś, o co w tym chodzi. Pomogłaś im, nawet o tym nie wiedząc.

Biegając przenosiła wzrok z jednego Araba na drugiego i widziała, jak z dwóch stron podchodzą do wąwozu. Z tej odległości nie mogła trafić. Przeciwnicy znów strzelili do rozpadliny. Zatrzymała się i wypaliła, z nadzieją, że pocisk przynajmniej odciągnie ich uwagę. Nic z tego. Jeden z napastników zeskoczył na dół. Jego współnik przesunął się wzdłuż krawędzi. Zerkał na Arlene, upewniając się, czy nie jest na tyle blisko, aby mogła mu zagrozić i jednocześnie zaglądał do rozpadliny.

- Shean, uważaj!...

Echo jej wołania zlało się z czyimś krzykiem.

Arab, który zeskoczył do wąwozu, chwiał się teraz w połowie stromego zbocza, z twarzą wykrzywioną agonią. Podniósł wzrok ku niebu jakby w modlitwie, zadygotał i upadł do tyłu, znikając jej z oczu.

Drugi Arab zamarł zdumiony. Ta chwila wystarczyła, aby Shean zdążył wyczołgać się na brzeg, wycelować i strzelić mu w twarz.

Echo ucichło. Shean runął z powrotem do rozpadliny.

Do tej pory słońce podniosło się na tyle wysoko, że paliło żarem. Pomimo ogromnego wyczerpania, Arlene zaczęła biec jeszcze szybciej. Dopadła wąwozu i znalazła Sheana.

Odezwał się gardłowym głosem:

- Ostrożnie. Na dole jest kobra. Odwróciła się gwałtownie.

Wąż leżał zwinięty na piasku piętnaście stóp od niej i obserwował ją nieruchomymi oczami.

- Zaraz zaatakuje! Wycelowała pistolet.

- Zaczekaj - powstrzymał ją Shean.

- Ale...

- Daj jej szansę.

Kobra podniosła głowę. W momencie, gdy Arlene zdecydowała, że nie może już dłużej zwlekać, wąż przypadł do ziemi, śmignął językiem i powoli, jakby z pogardą wobec



natrętów, wśliznął się między skały.

- Zamarłem, kiedy ją zobaczyłem - przerwał milczenie Shean. - Wtedy wskoczył tu Arab. Nagły ruch skierował jej uwagę w przeciwną stronę.

- I ukąsiła jego, zamiast ciebie?

- Z niewielką pomocą. Pokręciła głową, nie rozumiejąc.

- Była już ode mnie na odległość ramienia. Kiedy się odwróciła, złapałem ją od tyłu za głowę i rzuciłem. Spadła mu na bark.

Arlene zrobiło się niedobrze.

- Ukąsiła go w brzuch. Kiedy krzyknął i upuścił broń, żeby strząsnąć z siebie gada, porwałem jego automat z ziemi. Arab próbował wczołgać się na górę. Kobra ponownie go ugryzła. Do tego czasu byłem już tutaj, poza jej zasięgiem.

- A kiedy wspólnik był oszołomiony tym, co zaszło, zastrześliłeś go. Arlene przyglądała się Sheanowi z podziwem.

- Miałem szczęście.

- Nie. Pomogłeś swojemu szczęściu. Chociaż jesteś taki osłabiony, gdy musiałeś, potrafiłeś myśleć i działać szybko. Masz instynkt. Refleks.

- Nie jestem pewien, czy to komplement.

Podniósł się z wysiłkiem. Pomogła mu złapać równowagę i wydostać się z rozpadliny. Gdy wyszli z cienia, słońce ukłuło ich w oczy.

- Wąż przypominał mi jaszczurkę - powiedział Shean. - Nienawidziłem kobry. Teraz ją kocham.

- Mam nadzieję, że nie będziemy musieli jej jeść. Wymyśliłam niezawodny test, żeby sprawdzić, czy jesteś mistykiem. Czy potrafisz zdobyć się na miłość do ludzi, którzy próbowali cię zabić?

- Nie.

Shean spojrzał na ciało Araba, któremu strzelił w twarz.

- Boże, wybacz mi, nie potrafię.

Przeszukali zwłoki. W zawiniątku przytwierdzonym do pasa bandyty znaleźli daktylę i figi.

- To rozwiązuje problem żywności.

- Zapasowe magazynki do automatu. Żadnych papierów. Nie można ustalić tożsamości.

Shean zwrócił się do Arlene:

- To jasne, że chodziło im o mnie, nie o ciebie. Dlaczego? Pokręciła głową z

zakłopotaniem.

- Nie wiem. Na wypadek, gdyby byli z wioski, lepiej ją omińmy.

- Jasne. Ale oni nie byli z wioski.

Podążyła za jego wzrokiem. Patrzył na usta strzelca. Arlene przeszły ciarki, gdy zrozumiała, co Shean ma na myśli.

Uderzenie kuli rozwarło szczękę Araba, odsłaniając jego zęby. Nawet te z tyłu były znakomicie widoczne. Błyszczały w promieniach słońca, zdumiewały olśniewającą bielą.

- Ani śladu plomb - powiedział Shean.

- Przecież każdy ma plomby.

- Może w Ameryce, jeśli ma się pieniądze na dentystę. Ale tutaj...

- Jeśli nie plomby, to dziury...

- Jeśli jeszcze ma się zęby. Ale ci faceci nie tylko mają zęby. Mają je w doskonałym stanie. Minęło trochę czasu od mojej ostatniej wizyty u dentysty, więc nie znam aktualnych cen. Będę strzelał... Od kiedy to Arabowie z zapadłych wiosek mają w ustach korony za trzysta dolarów?

Skinęła głową z odrazą.

- Zawodowcy.

KSIĘGA DRUGA  
**PRZYMUS**

## MIĘDZY MRÓWKOJADEM A PSEM

### I.

Sopel - tak Pendleton nazywał teraz siebie. Gniewny, zdeterminowany, utożsamiając się z zaginionym ojcem, prowadził wynajęty samochód asfaltową szosą, która opasywała wzgórze będące celem jego podróży. Widział już wysadzaną drzewami, pokrytą żwirem aleję wiodącą ku pochyłemu trawnikowi i rezydencji położonej na urwistym brzegu rzeki. Pojechał jednak prosto, minął zakręt, przejechał metalowy most i po pięciu kilometrach skręcił na skrzyżowaniu w lewo. Otaczały go pola uprawne. Skręcił w lewo jeszcze dwukrotnie i zatoczywszy w ten sposób koło, znalazł się na drodze, którą jechał poprzednio. Tym razem zatrzymał się dwa kilometry od celu, ukrył samochód między drzewami na zarośniętej zielskiej ścieżce i ruszył pieszo przez zagajnik w kierunku domu na wzgórzu.

Miał na sobie brązową kurtkę i wysokie buty nabyte w miasteczku o nazwie Milton, leżącym przy szosie 401, w połowie drogi między lotniskiem, w Toronto a urodzajnymi rolniczymi okolicami Kitchener. Nie zaryzykował przemycenia pistoletu przez kontrolę celną ani nie próbował kupić choćby strzelby w jakimś sklepie myśliwskim. Kanadyjskie przepisy kontrolujące sprzedaż wszelkich typów broni palnej były wyjątkowo surowe. W jakimkolwiek innym kraju, w Europie, Afryce czy w Ameryce Południowej mógłby bez trudu zaopatrzyć się w broń w którejś ze swoich licznych skrytek albo na czarnym rynku. Ale w południowym Ontario pracował tylko raz przed siedmioma laty, i brak czasu nie pozwolił mu na zainstalowanie schowków czy nawiązanie kontaktów.

Niemniej aby odszukać ojca, Sopel musiał teraz zaryzykować. Szedł przez las zdecydowany na wszystko. Miękki gliniasty grunt uginał się pod jego ciężarem, tłumiąc odgłos ostrożnych kroków. Rozłożyste liście nie przepuszczały słońca. Dotarł na brzeg zagajnika i przykucnął wśród gęstych krzaków. Przed sobą widział sięgającą pasa drucianą siatkę, a za nią dobrze utrzymany trawnik, podchodzący do kortu tenisowego i basenu, położonych obok domu na szczycie wzgórza.

Słońce schowało się już za budynek. Niedługo zapadnie zmrok. Sopel badał wzrokiem teren, ale nie dostrzegał nikogo. Wcześniej jednak, gdy przejeżdżał obok alei wjazdowej, zobaczył przed rezydencją dwa samochody. Nie mógł więc zakładać, że dom jest pusty. Zauważył również, że posiadłość nie ma widocznego systemu zabezpieczenia. Na drzewach wzdłuż alei nie zainstalowano kamer. Nie widział ani strażników, ani spuszczonej psów obronnych. Nie było nawet przyzwoitego, wysokiego i solidnego ogrodzenia, tylko marna

siatka z drutu, a frontowa brama stałą otworem.

Pomimo tych pozorów niewinności, Sopel jednak nie wątpił, że jest u celu. Zanim opuścił Australię, sprawdził skrytkę w banku założoną na wypadek krytycznej sytuacji. Łudził się, że ojciec uciekając, być może dotarł do sejfu na krótko przed nim i zostawił wiadomość wyjaśniającą swoje nagłe zniknięcie. Sopel znalazł broń, pieniądze i dokumenty, które w sejfie przechowywali, ale niestety, informacji od ojca nie było. Gdy przeglądał papiery, odkrył kartkę z instrukcjami dotyczącymi spotkania w Kanadzie, które wzięli za stypę, a które w rzeczywistości okazało się pilnym zebraniem grupy. Przesłano dokładne wskazówki, łącznie z numerem zjazdu z szosy 401 i wzmianką o wizerunku charta na skrzynce pocztowej przed posiadłością. Sopel pokiwał głową. Wiedział, że na pewno jest na miejscu, ale gdy badał teren, coraz bardziej intrygował go brak widocznych zabezpieczeń.

Przyjrzał się ogrodzeniu. Na słupkach nie dostrzegł izolatorów, a druty były zardzewiałe. Jeśli siatka ogrodzenia jest pod napięciem, to jak doprowadzono prąd? Jakikolwiek system zainstalowano, na pewno nie umieszczono go w płocie.

Zastanawiał się, czy w takim razie nie ukryto czujników za ogrodzeniem. Wyteżył wzrok. Widoczne były lekkie wgłębienia od opon - ślady dużej maszyny do strzyżenia trawników. Taka kosiarka ma ciężar większy od człowieka. Musieliby wyłączyć alarm, gdy przycinano trawę, przez co system stałby się bezużyteczny. Wystarczyłoby, żeby nieproszony gość wszedł na teren podczas pracy ogrodnika. Nie, zdecydował Sopel, idealnym miejscem do zakopania detektorów byłby las. Ale nie tu, gdzie chodzą spacerowicze i zwierzęta. Gdyby rósł za siatką... Jednak za ogrodzeniem nie było nawet najmniejszego zagajnika. Jeśli zainstalowano jakieś wymyślne czujniki, umieszczono je nie tutaj, lecz na szczycie wzgórza, wokół rezydencji.

Wkrótce się o tym przekona. Słońce zniknęło już za horyzontem. Zmrok przeszedł w noc, a noc jest jego przyjaciółką.

## II.

W domu paliły się lampy. Włączono też dwa reflektory, od frontu i z boku. To też było zastanawiające. Jeśli rezydencję wyposażono w należyty system bezpieczeństwa, zewnętrznych świateł powinno być więcej. Z drugiej strony, może ich niewielka ilość miała wprowadzać w błąd, sprawiać wrażenie, że budynek nie jest chroniony.

Wóz albo przewóz. Sopel wstał, wyszedł zza krzaków i zaczął się wspinać na ogrodzenie. Zamarł, gdy na wzgórzu zabłyśły reflektory samochodu. Silnik warczał

monotonnie. Światła skrzyły w wysypaną żwirem aleję i zniknęły w mroku. Warkot motoru cichł, aż znów słychać było tylko cykanie świerszczy.

Ponieważ poprzednio widział przed domem dwa samochody, nie mógł zakładać, że posiadłość nie jest zamieszkała. Wspiał się po siatce, zeskoczył na trawnik i przykucnął nieruchomo, próbując wyczuć ewentualne zagrożenie.

Odczekał pięć minut i popęzł naprzód, zatrzymując się co jakiś czas, aby się rozejrzeć. Po stu metrach i trzydziestu minutach dotarł do kortu tenisowego. Ostrożnie, żeby nie uruchomić jakiegoś alarmu, podkraść się do basenu, którego gładka woda odbijała światła domu. Ukrył się za niewielkim pawilonem wyglądającym na przebieralnię i wyjrzał zza rogu w kierunku garażu na pięć samochodów. Wszystkie drzwi były zamknięte. Zmienił punkt obserwacyjny i popatrzył w lewo, na ciemnego cadillaka stojącego na podjeździe. Potem objął wzrokiem samą rezydencję.

Miała dach z wieżyczkami i kominami oraz ostro zakończone ściany szczytowe. Wyłożony kamiennymi płytami dziedziniec dochodził pod oszklone drzwi. W pokoju o ścianach zawieszonych rzędami obrazów i półek z książkami paliły się światła. Sopel znieruchomiał, gdy jakiś mężczyzna przeszedł wzdłuż okien. W przelocie zauważył, że jest on dobrze zbudowany, w średnim wieku, ubrany w niebieski dres. Wydawało się, że jest sam.

Sopel przyjrzał się innym oknom. Większość była ciemna. W kilku oświetlonych pokojach nie było nikogo. Nie widząc strażników, wypadł zza pawilonu przy basenie, przebiegł przez podjazd, wskoczył za betonowy murek, który z dwóch stron otaczał dziedziniec i zaczął badać wzrokiem plac przed sobą. Natychmiast zorientował się, że chodnik ciągnący się przypuszczalnie również wzdłuż pozostałych ścian domu, kryje cały niezbędny system alarmowy. Nieproszony gość nie mógłby dostać się do środka nie przechodząc po kamiennych płytach. A te nie były spojone betonem. Światło padające z pokoju z oszklonymi drzwiami, pozwalało wyraźnie zobaczyć, że wszystkie płyty są osadzone w piasku. Sypki piasek zaśmiewał dziedziniec. Dlaczego właściciel nieruchomości wartej milion dolarów miałby oszczędzać na takim drobiazgu? Skąd ta niekonsekwencja w poza tym starannie utrzymanej posiadłości? Odpowiedź była oczywista. Każda pojedyncza płyta spoczywała na czujniku. W chwili, gdy intruz nadepnąłby na którąkolwiek z nich, włączyłby alarm.

Sopel rozejrzał się z nadzieją, że zobaczy drzewo, po którego gałęziach mógłby się wspinać do górnych okien. Nie dostrzegł ani jednego, postanowił więc poszukać szopy z narzędziami, gdzie być może przechowywano drabinę. Oparłszy jaz jednej strony na murku, a z drugiej na parapecie, uzyskałby coś w rodzaju mostu pozwalającego przekraść się przez

dziedziniec ponad kamiennymi płytami.

Zaczął pełznąć do tyłu.

- Więc zgadłeś... - usłyszał za sobą głos. Sopel odwrócił się gwałtownie.

- ...że to te płyty.

Głos był wysoki, bezbarwny, pozbawiony emocji. Dochodził z lewej strony, z otwartego okna cadillaka zaparkowanego przed domem.

- Miałem nadzieję, że się zorientujesz. Wolałbym, żeby twoje zdolności odpowiadały reputacji.

Sopel zebrał się do ucieczki.

- Nie jestem twoim wrogiem.

Otworzył się drzwi samochodu. Wsiadł wysoki chudy mężczyzna.

- Widzisz, pokazuję się dobrowolnie. Nic ci nie zrobię.

Stał w świetle reflektora, trzymając ręce z daleka od szarego garnituru. Miał pociągłą twarz, wąski nos i usta, a brwi tak rzadkie, że niemal niewidoczne. Rude włosy kontrastowały z bladą cerą.

Ktoś gwałtownie pchnął drzwi na dziedziniec.

- Jest tutaj? Pendleton, czy to ty?

Mężczyzna w dresie zbliżył się do ściany, przycisnął wyłącznik alarmu i wyszedł na zewnątrz.

- Pendleton? Sopel?...

W pierwszej chwili Sopel chciał się rzucić w ciemności za basenem. Już wyobrażał sobie, jak pędzi w dół stoku do ogrodzenia i drzew i...

Zamiast tego wyprostował się.

- Nie, nie Sopel. Jestem jego synem.

- Tak, synem! - powiedział mężczyzna stojący przed domem. - A ten człowiek - wskazał w kierunku cadillaka - to Set, a raczej syn Seta! Ja nazywam się Halloway, ale jestem synem Malarza!

Pseudonim "Malarz" wywierał wrażenie, ale na dźwięk słowa "Set" Sopel drgnął, jakby został postrzelony. Patrzył na chudego, bladego, niewzruszonego mężczyznę przy samochodzie. Szary garnitur Seta harmonizował z kolorem jego oczu, które nawet w blasku reflektora były zupełnie pozbawione wyrazu i zimne jak lód.

Set ani Halloway nie liczyli się jednak. Tylko jedno miało teraz znaczenie.

Sopel odwrócił się do gospodarza.

- Gdzie jest mój ojciec?

- Nie tylko twój - odparł Halloway. - Gdzie jest mój ojciec?  
- I mój - dodał Set.  
- Dlatego czekaliśmy na ciebie.  
- Co takiego?!

- Żebyś przyjechał i pomógł nam odnaleźć wszystkich naszych ojców - mówił Halloway. - Niemal straciliśmy nadzieję, że kiedykolwiek się zjawisz - wyciągnął rękę w stronę domu. - Chodź. Musimy porozmawiać.

### III.

Gdy weszli do gabinetu, Halloway zamknął drzwi na dziedziniec, zaciągnął zasłony i przyciskiem przy oknie włączył alarm. Obok kontaktu Sopel zauważył płótno przedstawiające krajobraz.

- Dzieło mojego ojca - wyjaśnił gospodarz. Podobne kolorowe pejzaże wisiały na innych ścianach. Sopel pokiwał głową.

- Słyszałem, że był utalentowany, ale nigdy nie widziałem jego prac.

- Nie mogłeś zobaczyć. Wczesne obrazy zostały rozkradzione albo zniszczone, a późniejszych płócien nie oglądał nikt poza tym domem. Mimo to ze względu na ostrożność przerzucił się z akwareli na akryl i - co równie ważne - zmienił styl.

Halloway mówił o ojcu tonem pełnym szacunku. Gdy zwrócił się do Sopla, w jego głosie wyczuwalne było rozgoryczenie:

- Co miałeś zamiar zrobić? Zaatakować mnie?

- Musiałem się upewnić, czy mogę ci ufać.

- Ufać mi? W tej chwili Set i ja jesteśmy jedynymi, którym możesz ufać.

- Musiałem wyjaśnić, co się stało z Kesslerem.

- Pojechał do Australii zobaczyć się z tobą.

- Wiem o tym! Widziałem się z nim! - krzyknął Sopel. - Ale po naszym spotkaniu zniknął. Podobnie jak mój ojciec. Czy Kessler mnie wystawił? Czy posłużył za przynętę, żeby rozdzielić ojca i mnie, i ułatwić komuś zadanie?

Halloway rozłożył ręce.

- Nie wrócił z Australii. Można było na nim polegać. Gdybyś uczestniczył w zebraniu, rozumiałbyś, że jeśli Kessler podejmie się czegoś, już się nie wycofa. Więc kiedy nie wrócił... kiedy zniknął...

- Przypuszczasz, że nie żyje?



- Tak - Halloway zamyślił się. - Według wszelkiego prawdopodobieństwa.  
- Więc albo wasze spotkanie zostało podsłuchane, albo ktoś z grupy zdradził.  
- To niemożliwe. Zastosowałem środki ostrożności - upierał się gospodarz. - Wierz mi, w tym domu nigdy nie było podsłuchu. I nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego ktoś z nas miałby postąpić wbrew własnym interesom. Musiało się zdarzyć coś innego.

Sopel podniósł brwi.

- W chwili gdy zwoływaliśmy zebranie, twój ojciec i ojciec Seta byli jedynymi członkami grupy, którzy jeszcze nie zniknęli - tłumaczył Halloway. - Wysłaliśmy kurierów do obydwóch, aby podkreślić wagę sytuacji i przekonać ich... i was, żebyście do nas dołączyli. Niestety, ojciec Seta zaginął, zanim nasz człowiek do niego dotarł. Pozostał tylko twój ojciec.

Sopel utkwiał wzrok w Hallowayu.

- Mów dalej.

- Jeśli nieprzyjaciel był już na miejscu i odkrył obecność Kesslera, mógł ulec pokusie i pozbyć się go, mając nadzieję, że jeszcze nie zdążył was ostrzec.

Sopel potrząsnął głową.

- Przecież Kessler zniknął niemal dokładnie w tym samym czasie, co mój ojciec. Gdyby chcieli nie dopuścić do tego, aby nas uprzedził, najpierw załatwiliby jego i dopiero wtedy zastawili pułapkę na ojca. Nie, musieli mieć inny powód, żeby sprzątnąć Kesslera.

- Przychodzi mi do głowy kilka możliwości. Mogli chcieć, żebyś podejrzewał - i rzeczywiście podejrzewałeś - że Kessler jest odpowiedzialny za zniknięcie twojego ojca. Wtedy zwróciłbyś się przeciwko nam. Albo chodziło im o to, żebyś zrozumiał, że nikt, nawet synowie nie są bezpieczni. Wówczas zacząłbyś się bać o własną skórę.

- Sądzimy, że przypominają nam Noc i Mgłę -wtrącił Set.

- Tak, bezwzględny terror - ciągnął Halloway. - Nie tylko ukarać głowy rodzin, lecz także siać grozę wśród nas, ich dzieci i dręczyć naszą wyobraźnię, ponieważ nie wiemy, co z nimi zrobiono i co mogą zrobić z nami.

- Z pokolenia na pokolenie - westchnął Sopel. - To się nigdy nie skończy.

- Skończy się - zaprzeczył Set. - Gwarantuję ci, że się skończy. Pomimo gniewnych słów, jego głos pozostał bezbarwny.

Ten kontrast sprawił, że Sopla przeszły ciarki. Patrzył na rude włosy Seta, jego bladą posepną twarz pozbawioną wyrazu. Widok był tak hipnotyzujący, że odwrócenie się do Hallowaya wymagało dużego wysiłku woli.

- Dlaczego byliście tacy pewni, że przyjadę? Do tego stopnia, że czekaliście na mnie?

- Nie miałeś wyboru. Kiedy Kessler nie wrócił, było jasne, że misja się nie powiodła.

Ani ty, ani on nie odpowiadaliście na następne wezwania. Musieliśmy przyjąć, choć z bólem serca, że twój ojciec także zniknął. Ale wiedzieliśmy, że jeśli ty jesteś wolny, nie spocziesz, dopóki go nie odnajdziesz. Gdzie, zgodnie z logiką, powinieneś się udać? Tutaj. Na miejsce spotkania, w którym nie wzięłeś udziału, do grupy, która posłała do ciebie Kesslera. Czy miałeś inny trop?

- Mam nadzieję - dodał sucho Set - że nie masz nic przeciwko pracy ze mną.

Sopel nie potrzebował wyjaśnień. Aż nadto dobrze rozumiał, co Set ma na myśli.

Ich ojców uważano kiedyś za najniebezpieczniejszych ludzi w Europie. Chociaż służyli tej samej sprawie, byli rywalami, a właściwie wrogami. Starali się nawzajem prześcignąć, ponieważ nagrody za odniesione sukcesy i korzyści płynące z pozyskania względów przywódcy były niemałe. Obydwaj kochali tę samą kobietę, przez co zatarg na tle zawodowym nabrał charakteru osobistego. Gdy wybrała ojca Sopla, zazdrość ojca Seta przerodziła się w nienawiść. Konflikt przybrał na sile po upadku sprawy, której poświęcili życie. Później pracując jako niezależni specjaliści, często znajdowali się po przeciwnych stronach, co podsycalo ich wzajemną niechęć. Gdy w końcu się wycofali, osiedli daleko od siebie. Jeden zamieszkał w Australii, drugi w Ameryce Południowej. Na Bondi Beach w Sydney ojciec Sopla zawsze nosił podkoszulek, aby ukryć dwie blizny na piersi, które pochodziły od kuł rywala.

#### IV.

Teraz Sopel stanął przed synem odwiecznego wroga swego ojca. Widok tego chudego posepnego mężczyzny w szarym garniturze wywoływał niemiłe uczucia w żołądku. Już sam pseudonim przywodził na myśl coś wynaturzonego. Set, egipski bóg pustyni i nieurodzaju, suszy i chaosu, ciemności i destrukcji. Czerwony bóg, czerwony jak włosy tego człowieka. Gdy przedstawiano go w ludzkiej postaci, Set był zawsze blady. Jak cera tego mężczyzny. Częściej jednak boga wyobrażano w formie monstualnego zwierzęcia o ciele psa, pysku mrówkojada, prostokątnych uszach i rozwidlonym ogonie.

Bóg Śmierci.

Set. Idealny pseudonim dla mordercy.

A mój przydomek? Sopel?

Set wyciągnął rękę.

- Mój ojciec bardzo kochał twoją matkę.

Sopel skinął głową.

- Mój zawsze żałował, że on i twój ojciec nie mogą być przyjaciółmi.

- Ale ty i ja możemy. Jeśli nie przyjaciółmi, to sojusznikami związanymi wspólnym celem.

Sopel instynktownie wyczuwał, że Set nigdy nie będzie niczym przyjacielem. Nie miało to jednak znaczenia. Między nimi nie było bezpośredniego konfliktu i mieli najlepszy z możliwych powodów, żeby zjednoczyć siły. Żaden przeciwnik im nie dorówna, gdy połączą talenty pracując razem. Odniosą zwycięstwo: albo odnajdą ojców, albo ich pomszczą.

Sopel uściśnął suchą zimną dłoń i ponownie zwrócił się do Hallowaya:

- Od czego, twoim zdaniem, powinniśmy zacząć?

- Od wspólnego mianownika. Nasi ojcowie nigdy nie spotykali się z sobą. Oczywiście byli w kontakcie, żeby w przypadku zagrożenia móc sobie nawzajem pomóc, ale starannie oddzielili przeszłość od teraźniejszości. Mieszkali tysiące kilometrów od siebie. A jednak nieprzyjaciel dowiedział się, gdzie ich szukać.

- Nie ma w tym nic dziwnego - stwierdził Sopel. - Wystarczyło, że zlokalizowali jednego, a on pod wpływem środków chemicznych zdradził, jak znaleźć resztę. Ojca zawsze niepokoił ten słaby punkt paktu.

- W pakcie było pewne ograniczenie - zaproponował Halloway. - Właśnie po to, aby chronić przed niebezpieczeństwem tego rodzaju, każdy z członków grupy znał miejsce pobytu tylko jednego z pozostałych. Na przykład, twój ojciec i ojciec Seta nic nie wiedzieli o sobie nawzajem. Jeśli nieprzyjaciel pojmał jedną osobę i skłonił ją do mówienia, musiałby schwytać następną i następną, po kolei, dopóki nie odkryłby całej grupy.

- Ale to nie przebiegało w ten sposób - wtrącił Set. Halloway mówił dalej.

- Niektórzy członkowie grupy zniknęli jednocześnie. Poza tym pozostaje pytanie, jak wróg znalazł pierwszego człowieka, który zaginął. Nie, nasi ojcowie nie zdradzili siebie nawzajem wbrew swej woli - głos Hallowaya stał się ochrypły. - Informacja pochodziła z zewnątrz.

- Skąd?

- Powiedziałem ci, że istnieje wspólny mianownik. Jedyna osoba, która wiedziała o nich wszystkich. Też ojciec, ale innego rodzaju. Duchowny. Kardynał Pavelić.

Sopel przypomniał sobie nagle, co na koniec usłyszał od Kesslera w Sydney:

- Kardynał Pavelić! On także zniknął.

- Dowiedz się, co stało się z kardynałem, a będziesz wiedział, co zrobili z twoim ojcem - rzekł Halloway - i z moim, i z...

- ... moim - dokończył Set. - I ze wszystkimi innymi.

## “OHYDA, OHYDA”

### I.

*Wiedeń.* Saul z szacunkiem zatrzymał się w progu i wziął Christophera za rękę. Przygnębiona Eryka rozglądała się po pokoju ojca. Mieszkanie zajmowało pierwsze piętro dwupiętrowej kamienicy stojącej przy cichej, wysadzonej drzewami uliczce, trzy przecznice od Dunaju. Dzień był pochmurny z powodu ulewnego deszczu i w środku panował taki mrok, że gdy weszli, Misza Pletz musiał zapalić światło mimo wczesnego popołudnia.

Pokój był urządzony skromnie: fotel bujany, kanapa, mały stolik, zwykły ciemny dywan, ramki z fotografiami Eryki, Christophera i Saula. Saul zwrócił uwagę na brak radia i telewizora, ale zauważył za to regał zapchany książkami - głównie monografiami historycznymi i biografiami. Patrząc na to proste wnętrze nikt obcy nie domyśliłby się, że ojciec Eryki, emerytowany pracownik Mossadu, otrzymuje z Izraela niemałą pensję. Czerpiąc dodatkowe dochody z kilku lokat kapitału, mógłby się otoczyć większą ilością przedmiotów i to w lepszym gatunku. Kiedy jednak przed pięciu laty zmarła mu żona, Joseph Bernstein pozbył się jej rzeczy i zaczął żyć niemal jak asceta. Jedynym luksusem, na jaki sobie pozwalał, była filiżanka gorącej czekolady wypijana rano i wieczorem w małej kawiarence nad brzegiem Dunaju, oraz tytoń do fajki, którego aromatem przesiąkły meble i ściany mieszkania. Saul nie palił - jeszcze jedna zasada wpojona mu przez Eliota - ale ten słodki zastarzały zapach przyjemnie drażnił jego powonienie.

Chociaż nie widział fotografii ojca Eryki, Saul pamiętał go jako wysokiego, krępego, lekko zgarbionego mężczyznę pod siedemdziesiątkę, o gęstych siwych włosach zawsze w nieładzie i krzaczastych brwiach. Na prawym policzku miał cienką bliznę długości dwóch i pół centymetra. Sam z siebie Bernstein nigdy o tej bliznie nie wspominał, a gdy go o nią pytano, nie chciał wyjaśnić, skąd pochodzi. “Przeszłość” - to wszystko, co można było od niego usłyszeć i wówczas szare oczy za okularami pochmurniały.

Od czasu do czasu głaszcząc syna uspokajająco po plecach, Saul przyglądał się, jak Eryka powoli wodzi wzrokiem po pokoju.

- Opowiedz mi o wszystkim jeszcze raz - poprosiła Miszę.

- Cztery dni temu - Pletz westchnął - Joseph nie przyszedł do kawiarni na poranną filiżankę czekolady. Właściciel początkowo nie przywiązywał do tego wagi, ale twój ojciec nie zjawiał się także wieczorem. Dotychczas nawet gdy nie czuł się dobrze, na przykład był przeziębiony, zawsze odwiedzał kawiarnię dwa razy dziennie.

- Zresztą ojciec rzadko chorował.
- Silny organizm.
- Rutyna zawodowa - wtrącił Saul. Misza spojrzał na niego badawczo.
- Przypuszczam, że właściciel jest waszym człowiekiem - mówił dalej Saul. - Z

Mossadu.

Misza nie zareagował.

- Joseph nie chodził do kawiarni tylko na czekoladę. Pomimo przejścia na emeryturę, dalej przestrzegał stałego rozkładu zajęć, co ułatwiało kontaktowanie się z nim bez wzbudzania podejrzeń.

Pletz milczał.

- Nie dlatego, że jego usługi mogły być jeszcze kiedyś potrzebne - ciągnął Saul. - Zresztą, kto wie? Czasami doświadczony starszy człowiek, oficjalnie nie należący już do siatki i na pozór wyłączony z pracy wywiadowczej, jest właśnie taką osobą, jakiej wymaga zadanie. Dzięki temu Joseph mógł myśleć, że w dalszym ciągu jest przydatny i tylko pozostaje w rezerwie. Chociaż nie był już dla was użyteczny, pozwoliliście mu wierzyć, że nie poszedł w odstawkę.

Misza podniósł nieznacznie brwi, nie wiadomo - pytająco czy z irytacji.

- Poza tym... i to było prawdopodobnie waszym głównym motywem... system wpadania do kawiarni dwa razy dziennie pozwalał się dyskretnie upewniać, że Bernsteinowi nic nie jest, nie leży bezradnie w domu, nie dostał jakiegoś ataku czy zawału serca. Albo że dopadli go dawni wrogowie. W ten sposób ochranialiście Josepha, nie raniąc jego dumy.

Eryka podeszła do Miszy.

- Czy to prawda? - spytała.

- Wyszłaś za bystrego faceta.

- Wiem o tym od dawna - odparła. - Czy Saul ma rację?

- Czy było w tym coś złego? Dbaliśmy o własne interesy, jednocześnie sprawiając, że czuł się potrzebny.

- Nic złego - odrzekła z wahaniem. - Chyba że...

- Ostatnio nie pracował nad niczym, jeśli o to ci chodzi - uspokoił ją Pletz. - Chociaż osobiście chętnie powierzyłbym mu jakieś zadanie. Oczywiście nic, co wymagałoby użycia siły, na przykład rutynową misję wywiadowczą czy prowadzenie inwigilacji. Wciąż jeszcze był agentem najwyższej klasy. Musisz pamiętać, Eryka, że twój ojciec wycofał się na własną prośbę.

- Co takiego?

- Chcesz powiedzieć, że nie wiedziałaś o tym?

Potrząsnęła głową.

- Mógłbym nagiąć przepisy i zatrzymać Josepha pomimo jego wieku. Nie mamy aż tylu talentów, żeby móc sobie pozwolić na pozbycie się doświadczonego specjalisty. Ale on sam poprosił o przeniesienie na emeryturę. Wręcz tego zażądał.

- Nie rozumiem - westchnęła Eryka. - Praca była dla niego wszystkim. Kochał ją.

- Nie ma co do tego wątpliwości. Kochał swoją pracę i swój kraj.

- Skoro tak bardzo kochał swój kraj - wtrącił Saul - dlaczego zdecydował się zamieszkać tutaj, w Wiedniu? Dlaczego nie w Tel-Awivie czy Jerozolimie?

Eryka przytaknęła.

- Niepokoiło nas to. Saul zawarł ze swoimi szefami umowę, że jeśli zniknie, zostawią go w spokoju. Inne siatki także. W zamian za informacje, których dostarczył, zgodzili się przymknąć oczy na fakt, że złamał pewne zasady. Pod warunkiem, że zamieszka gdzieś na końcu świata, w takiej wiosce jak nasza. Ale ojciec nie musiał mieszkać tutaj. Wielokrotnie go prosiliśmy, żeby do nas przyjechał, dołączył do rodziny, patrzył, jak rośnie jego wnuk. Zawsze odmawiał. Nie mogłam tego zrozumieć. Wygody cywilizacji niewiele dla niego znaczyły. Mając czekoladę i tytoń byłby szczęśliwy gdzie indziej.

- Może - mruknął Misza.

Eryka obserwowała wyraz jego oczu.

- Czy jest coś, czego nam nie powiedziałaś?

- Prosiłaś mnie, żebym wyjaśnił wszystko od początku, więc to robię. Gdy twój ojciec opuścił poranne spotkanie i nie pojawił się również wieczorem, właściciel kawiarni - Saul ma rację, to nasz człowiek - posłał agenta, który z nim współpracuje, żeby zaniósł Josephowi kanapki i czekoladę, jak gdyby zostały zamówione telefonicznie. Agent zapukał. Nie usłyszał odpowiedzi. Zapukał raz jeszcze i nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Odbezpieczył broń, ale kiedy wszedł do środka, zastał mieszkanie puste. Pościel - Misza pokazał na drzwi sypialni - była wsunięta pod materac i wygładzona po wojskowemu.

- Ojciec zawsze tak ściele łóżko - przerwała Eryka. - Jest fanatykiem porządku. Robi to, gdy tylko wstanie.

- Zgadza się - ciągnął Misza. - To znaczy, że cokolwiek się wydarzyło, twój ojciec albo nie kładł się poprzedniego wieczoru, kiedy wrócił do domu, albo posłał łóżko rano w dniu, gdy zauważono jego zniknięcie i z jakiegoś powodu nie poszedł do kawiarni.

- Więc w grę wchodzi dwadzieścia cztery godziny - dodał Saul.

- Oraz pewność, że Joseph nie był chory. Agent podejrzewał przez chwilę, że coś mu

się stało w drodze do kawiarni albo w drodze powrotnej. Na przykład, wypadek samochodowy. Jednak policja i szpitale nie mają o nim żadnych informacji.

- Użyłeś sformułowania “przez chwilę” - zauważył Saul. Misza spojrzał na niego z ukosa.

- Powiedziałeś, że wasz człowiek przez chwilę podejrzewał, że Joseph opuścił mieszkanie i wtedy coś mu się stało. Dlaczego agent zmienił zdanie?

Pletz wykrzywił się jakby z bólu. Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął dwa przedmioty.

- Znalazł to na stoliku.

Eryka jęknęła. Saul odwrócił się zaniepokojony jej nagłą bladością.

- Dwie ulubione fajki ojca - wyjaśniła. - Nigdy się nigdzie nie ruszał bez przynajmniej jednej z nich.

- Więc cokolwiek się wydarzyło, wydarzyło się tutaj - stwierdził Misza.

- I nie wyszedł stąd z własnej woli.

## II.

W pokoju zapadła cisza. Deszcz mocniej zaczął o szyby.

- Nasi ludzie go szukają - odezwał się Pletz. - Mamy zamiar poprosić o pomoc współdziałające z nami siatki. Trudno jest ukierunkować poszukiwania. Nie wiemy, kto mógłby chcieć uprowadzić Josepha i dlaczego. Jeśli motywem była zemsta za coś, co zrobił, gdy jeszcze dla nas pracował, czemu go po prostu nie zabito?

- Może chcieli - Eryka przełknęła ślinę - poddać ojca torturom?

- W ramach zemsty? Musieliby działać z pobudek osobistych, a nie zawodowych - powiedział Misza. - W ciągu dwudziestu lat pracy w wywiadzie nie słyszałem, żeby jakiś agent dał się ponieść emocjom do tego stopnia, że pogwałciłby zasady i torturował kogoś dla wyrównania rachunków. Zabijanie, owszem, gdy to konieczne. Ale sadyzm? - pokręcił głową.  
- Gdyby dowiedzieli się o tym inni wywiadowcy, zaczęto by takiego człowieka unikać, gardzić nim, na zawsze straciłby reputację. Nawet ty, Saul, mimo wszystkich powodów, jakie miałeś, żeby nienawidzić Eliota, zabiłeś go, ale nie dręczyłeś.

Wzmianka o przeszłości nappełniła Saula goryczą.

- Przecież wszyscy wiemy, że w pewnych okolicznościach tortury są dopuszczalne.

- Tak, w celu zdobycia informacji - odparł Misza. - Chociaż środki chemiczne są skuteczniejsze. W ten sposób powracamy do mojego wcześniejszego pytania. Jakiej siatce

mogło zależeć na Josephie? Czego chcieli się dowiedzieć? Szukamy go. To wszystko, co na razie mam wam do powiedzenia. Kiedy nasi tutejsi ludzie zorientowali się, że sytuacja jest poważna, oczywiście porozumieli się z centralą. Ze względu na powiązania z wami i Josephem - pamiętajcie, że był jednym z moich nauczycieli - postanowiłem przejąć sprawę, zamiast ją komuś zlecić. Woląłem też nie wysłać wiadomości, tylko przekazać wam złe nowiny osobiście. Zresztą i tak bym przyjechał, kiedy usłyszałem o napadzie na wioskę. Nie wolno lekceważyć tego zbiegu okoliczności. Mam złe przeczucia.

- Że te dwa wydarzenia ze sobą się wiążą i jesteście celem ataku podobnie jak ojciec? Przyszło nam już to do głowy - odezwała się Eryka. - Ale dlaczego?

- Wiem o tym tyle samo, co o powodach zniknięcia Josepha. Czy nie byłoby lepiej, żebyście się ukryli na czas śledztwa? Jeśli wam także coś grozi, nie będziecie mogli działać tak swobodnie jak my.

- Czy sądzisz, że będę siedziała i czekała, kiedy mój ojciec jest w niebezpieczeństwie? Misza westchnął.

- Rozsądek kazał mi zaproponować wam takie rozwiązanie. Niemniej zanim się zaangażujecie, jest jeszcze jedna rzecz, o której wam nie powiedziałem...

Saul czekał z niepokojem.

- O tym, co znaleźliśmy w piwnicy - dokończył Pletz.

### III.

Przez chwilę nikt się nie poruszył. Potem Saul chwycił za klamkę z zamiarem wyjścia na klatkę schodową. Misza powstrzymał go.

- Nie, tędy. Wskazał na sypialnię.

- Powiedziałaś: w piwnicy.

- Do tej jej części, o którą mi chodzi, nie można się dostać z dołu. W prawym rogu sypialni są drzwi.

- Przypominam sobie - odezwała się Eryka - że kiedy pierwszy raz przyszedłam tu w odwiedziny, myślałam, że to wejście do ubikacji. Próbowałam je otworzyć. Było zamknięte. Zapytałam ojca, dlaczego. Twierdził, że zgubił klucz. Ale wiecie, że on nigdy niczego nie gubi. Spytałam, co tam jest. Odpowiedział, że nic aż tak ważnego, żeby wzywać ślusarza.

- Więc dlaczego je zamknął? - zdziwił się Saul.

- Zadałam mu dokładnie to samo pytanie - odrzekła. - Tłumaczył się, że nie pamięta.

Weszli do sypialni. Przywitała ich ciemność.



- Nasi wywiadowcy odkryli te drzwi, kiedy przetrząsali mieszkanie szukając czegoś, co mogłoby wyjaśnić zniknięcie Josepha. Oczywiście musieli sprawdzić, co jest za nimi, więc otworzyli zamek narzędziami... Przejrzeli stare księgi adresowe, ustalili, jaka firma budowała kamienicę. Udało im się także ustalić kilku dawnych sąsiadów, dziś już wiekowych... W wyniku tych badań dowiedzieli się, że dom ma swoją historię. W latach trzydziestych właścicielem budynku był pewien lekarz. Nazywał się Bund. Dobrze sytuowany. Liczna rodzina. Siedmioro dzieci. Mieszkali na pierwszym i drugim piętrze. Na parterze mieściła się przychodnia. W piwnicy doktor trzymał akta i środki medyczne.

Misza mówił dalej, ręce zwisały mu luźno po bokach.

- Zaczęła się wojna, a w roku 1942 - holocaust. Ze starannie ukrytego archiwum, które nasi ludzie odkryli pod podłogą piwnicy, wynika, że wielu pacjentów doktora Bunda było Żydami. Co więcej - i to przywraca mi wiarę w człowieka wystawioną niekiedy na ciężkie próby - dokumenty wyraźnie pokazują, że pomimo prześladowań leczył ich nadal po wybuchu wojny. To zadziwiające. Naprawdę dotrzymał przysięgi Hipokratesa. Nasz dobry doktor troszczył się o żydowskich pacjentów do dnia, gdy przyszło SS i zabrało go wraz z całą rodziną do obozu koncentracyjnego w Mauthausen.

Saula przeszył dreszcz.

- Doktor Bund robił dla swoich podopiecznych dużo więcej niż zwykle przepisywanie lekarstw. Ukrywał najciężej chorych, których zły stan zdrowia automatycznie oznaczał egzekucję, zamiast przymusowych robót. Bund - Misza uniósł oczy w górę - ten o Niewymawialnym Imieniu miłuje cię.

- Ukrywał ich? - wyszeptwała Eryka.

- W piwnicy. Dom został zbudowany w ten sposób, że dodatkowe schody prowadziły prosto z sypialni do przychodni na parterze. Aby wejść do gabinetu, Bund nie musiał przechodzić obok pacjentów w poczekalni. Wpuszczał ich tylko do środka. A skoro już takie schody istniały, dlaczego by nie przedłużyć ich do piwnicy? Miałby bezpośredni dostęp z przychodni do archiwum i medykamentów na dole. Skuteczne, proste i łatwe.

- Ale - Eryka potrząsnęła głową - w końcu go to zabiło.

- Gdy prześladowania doszły do szczytu, rozdarty między pragnieniem przetrwania a przysięgą lekarską doktor wstawił w piwnicy przepierzenia. Część frontowa, do której wchodziło się drzwiami z klatki schodowej, była zawalona pudłami kartotek i środków medycznych. Bund liczył na to, że esesmani, straszliwi pedanci, nie będą chcieli brudzić sobie mundurów przedzierając się przez zwały skrzyń, aby dotrzeć do przepierzenia i zbadać je. Jak członkowie elitarniej gwardii mogliby dumnie kroczyć przed motłochem mając na uniformach

ślady kurzu? Przez jakiś czas ta logika ratowała doktorowi życie. Co wieczór, po kolacji schodził do tylnej części piwnicy, gdzie po kryjomu zajmował się chorymi Żydami. Nie wiem, z jakimi medycznymi okropnościami się stykał, ani w jaki sposób SS odkryło jego sekret. Wiem jednak, że ocalał co najmniej tuzin Żydów, którym cudem udało się opuścić Europę, zanim doktora wraz z rodziną aresztowano. W tym rzecz. Nie tylko Bund. Także jego rodzina. Żona i dzieci. Wszyscy wzięli na siebie ryzyko. Wystąpili przeciw nieludzkiej polityce własnego państwa. Poświęcili się dla nas.

- Skąd o tym wiesz?

- Wywiadowcy odszukali w Izraelu dwóch Żydów, którzy w tamtych czasach ukrywali się na dole. Gdyby użyć terminologii chrześcijańskiej, doktor był świętym.

- Więc może jest nadzieja - powiedział Saul.

- A może nie. Przecież został zabity - zaoponował Misza.

- O to mi właśnie chodzi. Umarł za nas. Więc jest nadzieja.

Pletz pokiwał głową. Oczy miał smutne.

- Nie wiemy, czy Joseph postanowił zamieszkać tutaj ze względu na związek domu ze sprawą żydowską, czy też wybrał ten adres przypadkowo. Jeśli był to przypadek, nie sposób stwierdzić, skąd dowiedział się o schodach za ścianą sypialni. SS zlikwidowało obydwie wejścia, to i drugie, z przychodni na parterze. Usunęli futryny i zamurowali otwory. Pytaliśmy właściciela kamienicy o te górne drzwi. Utrzymuje, że nie było ich tu sześć lat temu, gdy kupował budynek. Indagowaliśmy kilku poprzednich lokatorów. Drzwi nie było, kiedy wynajmowali mieszkanie.

- Więc to ojciec musiał odnaleźć wejście i wstawić tu drzwi - powiedziała Eryka.

- Ale potem znów je zamknął - wtrącił Saul. - Nie rozumiem. Co tam ukrywał?

- Musicie się sami przekonać. Doświadczyć tego tak jak ja, bez żadnych powziętych z góry wyobrażeń i uprzedzeń. Może wy zrozumiecie to, czego ja ciągle nie mogę pojąć.

- Czy sądzisz, że to, co znajdziemy, ma związek ze zniknięciem ojca? - zapytała Eryka.

- Sam nie wiem. Jeśli ludzie, którzy uprowadzili Josepha, szukali czegoś, zamek u drzwi na pewno by ich nie powstrzymał. Tymczasem nie widać śladów włamania. Więc jeśli je otworzyli, posłużyli się odpowiednimi narzędziami jak my, albo zmusili twojego ojca, żeby dał im klucz. Po przeszukaniu zamknęli drzwi, zostawiając mieszkanie dokładnie tak, jak je zastali. Przypuszczam jednak, że gdyby odkryli, co Joseph przechowywał w piwnicy i okazało się, że właśnie tego szukają, albo by to zabrali, albo zniszczyli. Aha, lepiej zostawcie syna ze mną. Chyba jest śpiący.

- Chcesz powiedzieć, że nie powinien oglądać tego, co jest na dole?

- Nikt nie powinien.

#### IV.

Saul spojrział na Erykę. Pełni obaw weszli do sypialni. Tu też pachniało dymem fajkowym. Pościel na łóżku była starannie wsunięta pod materac. Na toalecie leżały jedynie chusteczka do nosa i grzebień.

Saul poświęcił tym szczegółom tylko chwilę. Jego uwagę zajęły drzwi. Eryka już chwyciła za klamkę. Nacisnęła ją i drzwi otwarły się na oścież. Zawiasy nawet nie skrzyknęły. Przed sobą mieli ciemność. Eryka bezskutecznie szukała po omacku kontaktu. Trąciła nogą jakiś przedmiot na podłodze. Podniosła go. Była to latarka.

Gdy ją włączyła, światło zalało skręcające w lewo stopnie i nagie poplamione pleśnią ściany. Z sufitu zwieszały się pajęczyny. Kurz pokrywał tylko zewnętrzne partie schodów. Środek był wydeptany do czysta.

Saula kręciło w nosie od ostrego zapachu kurzu. Z trudem powstrzymywał kichanie. Spojrzawszy w dół, zobaczył podest. Dawne wejście z parteru zostało zabudowane, jak to opisał Misza. Kurz i pleśń nie zatarły różnicy między oryginalnym ciemnym drewnem i nowszym jasnym. W mieszkaniu tapety lub farba zamaskowałyby przeróbkę. Tutaj nawet nie próbowano ukryć miejsca, gdzie przedtem były drzwi.

Zeszli niżej. Drewno jednej ze ścian podestu było tego samego koloru, co użyte przez SS do likwidacji wyjścia na parter. Biel sosny prześwitywała przez warstwę kurzu. Saul oparł się o przegrodę. Robiła wrażenie solidnej. Przejechał po niej palcem i wyczuł dwa płytkie rowki oddalone od siebie na długość ramienia. Wyjął scyzoryk, włożył ostrze we wgłębienie i zaczął poruszać rękojeścią jak dźwignią. Fragment ściany ustąpił ze skrzypieniem. Saul pociągnął go do siebie i odstawił na bok. Eryka skierowała latarkę w otwór. Zobaczyli dalsze schody.

Prowadziły jeszcze niżej. Blask oświetlił betonową podłogę piwnicy. Silny zapach stęchlizny i wilgoci uderzył Saula. Zszedłszy na sam dół, odwrócił się podążając wzrokiem za jasną smugą z latarki.

Zaparło mu dech.

Wąski snop światła potęgował grozę. Każdy przedmiot, oddzielnie wydobyty z mroku, robił większe wrażenie niż gdyby był oglądany wśród innych obiektów. Gdy Eryka przesuwiała snop światła po pomieszczeniu, jeden przerażający wizerunek ustępował miejsca

następnemu i następnemu, ciąg obrazów stawał się nie do wytrzymania. Ciemność wydawała się jeszcze czarniejsza pod groźbą tego, co kryła. Saul zeszywniał.

- Boże!...

Eryka przestała poruszać latarką, chociaż nie zbadła całej piwnicy. Nie byłaby w stanie znieść widoku kolejnej potworności. Zniżyła strumień światła, odsłaniając poobijany stół, na którym stała lampa.

Obok leżało pudełko zapalek. Saul podszedł do stołu, potarł jedną i podpalił knot. Płomień rósł rzucając cienie. Saul założył na lampę szklany klosz. Zrobiło się jaśniej.

Zmusił się, aby podnieść wzrok tylko po to, by stwierdzić, że jego pierwsze wrażenie było błędne. Obrazy pojedynczo wydobywane z ciemności wcale nie wyglądały gorzej niż widziane wszystkie naraz.

Miał przed sobą fotografie. Duże i małe, czarno-białe i kolorowe, błyszczące i matowe, z gazet i czasopism, książek i archiwów. Przypięto je pinezkami do ściany, która w przeciwieństwie do trzech pozostałych była nie betonowa, lecz drewniana. Temu służyło teraz przepierzenie, za którym doktor Bund ukrywał chorych Żydów. Miało trzydzieści stóp szerokości i dziesięć wysokości. Każdy jego cal pokrywały zdjęcia.

Obozy koncentracyjne. Więźniowie o zapadniętych policzkach. Komory gazowe. Trupy. Krematoria. Doły wypełnione prochami. Ciężarówki załadowane ubraniami, butami, biżuterią, ludzkimi włosami i zębami. Na zdjęciu migawkowym oficerowie SS z insygniami błyskawic i trupich główek odcinającymi się od niepokalanej czerni mundurów, stoją w szeregu objęci ramionami, uśmiechają się do obiektywu. W tle piętrzy się oszalałymi wysoko piramida ciał.

Saul opadł na kulawe krzesło przy stole. Wziął Erykę za rękę i uściśnął ją.

- Co ojciec tutaj robił? - zapytała. - Nigdy nie wspominał... Nie wiedziałam, że do tego stopnia prześladowało go... To nie było nagłe... Miał ten pokój cały czas.

- Szaleństwo w obliczu szaleństwa.

Saul rozejrzył się po pomieszczeniu. Było zawałone stosami kartonowych pudeł. Jak wciągany w wir, podszedł do jednej ze stert, otworzył karton i znalazł w nim dokumenty.

Oryginały i kopie, odbitki foto- i kserograficzne. Kruchy pożółkły papier obok gładkiego białego. Różne języki: angielski, francuski, niemiecki, hebrajski. Francuski i niemiecki Saula były dobre, a hebrajski Eryki doskonały. We dwójkę udało im się zrozumieć dość, aby mogli wyłowić wspólny motyw wszystkich dokumentów.

Akta obozów koncentracyjnych prowadzone przez niemieckich komendantów. Listy nazwisk oficerów SS i żydowskich więźniów. Dokumenty wojskowe. Raporty o postępach

eksterminacji: ilu więźniów stracono w poszczególnych obozach w danym dniu, tygodniu, roku. Spisy nielicznych Żydów, którzy przeżyli obozy zagłady i równie niewielu hitlerowców ukaranych po wojnie za udział w holocauście.

Saula rozboleły oczy od czytania wyblakłych maszynopisów i niewyraźnych rękopisów. Zwrócił się do Eryki:

- Widziałem twojego ojca tylko raz, kiedy braliśmy ślub. Nie miałem okazji lepiej go poznać. Czy był w obozie?

- Rodzice prawie nigdy nie rozmawiali o tym, co przeżyli w czasie wojny. Raz, kiedy byłam mała, podsłuchałam, jak to wspominają. Nic nie rozumiałam, więc zarzuciłam ich pytaniami. Był to jedyny wypadek, żeby mówili przy mnie o swoich wojennych losach. Owszem, opowiadali dużo o pogromach i prześladowaniach. Chcieli, żebym wiedziała o holocauście wszystko, ze szczegółami, jako o części naszej historii. Ale ich własne doświadczenia... Obydwoje byli w getcie warszawskim, gdy hitlerowcy przystąpili do jego likwidacji.

Saul spojrział na Erykę ze zrozumieniem. W 1943 roku Niemcy zamknęli getto w Warszawie. Nikomu nie wolno było go opuszczać, z wyjątkiem grup transportowanych do obozów koncentracyjnych. Liczbę mieszkańców zredukowano z trzystu osiemdziesięciu do siedemdziesięciu tysięcy. Ci, którzy pozostali, podnieśli bunt. W straszliwym, trwającym cztery tygodnie odwiecie hitlerowcy stłumili powstanie i zrównali getto z ziemią. Spośród Żydów, którzy przeżyli, siedem tysięcy stracono na miejscu. Dwadzieścia siedem tysięcy wywieziono do obozów.

- Rodzice znaleźli się w grupie, którą Niemcy wysłali do Treblinki. Saul wzdrygnął się. Treblinka nie była obozem pracy, lecz zagłady. Najgorszym z najgorszych. Przybywający tam więźniowie żyli krócej niż godzinę.

- W jaki sposób udało im się przeżyć?

- Byli młodzi i silni. Zgodzili się wykonywać pracę, której nie mogli znieść nawet esesmani: wynosili zwłoki z komór gazowych i palili je. Dlatego rodzice nie chcieli mówić o wojnie. Przetrwali kosztem innych Żydów.

- Czy pozostawiono im inny wybór? Jeśli tylko nie współpracowali z hitlerowcami, nie uczestniczyli w zabijaniu, mieli prawo robić wszystko, żeby utrzymać się przy życiu.

- Kiedy ojciec po raz pierwszy i ostatni o tym ze mną rozmawiał, powiedział, że może usprawiedliwić to, co robił, rozumowo, ale nie w głębi serca. Zawsze myślałam, że właśnie dlatego wstąpił do Mossadu i poświęcił życie Izraelowi. Dla zadośćuczynienia.

- Ale przecież nawet pomoc przy usuwaniu ciał mogła ochronić twoich rodziców tylko

do czasu. Niemcy prawie nie karmili więźniów. W końcu byliby zbyt słabi, aby pracować. Esesmani zabiliby ich i zatrudnili innych Żydów.

- Nie pamiętasz, co się wydarzyło w Treblince?

Saul natychmiast uświadomił sobie, co gryka ma na myśli. Więźniowie uzbrojeni w kije i łopaty zaatakowali strażników. Ponad pięćdziesięciu osobom udało się uciec.

- Twoi rodzice brali udział w buncie?

- Najpierw w Warszawie, potem w Treblince.

Uśmiechnęła się blado.

- Powinieneś docenić ich wytrwałość.

Saul rozumiał dumę Eryki i podzielał ją. Ponownie uścisnął rękę żony i odezwał się ze wzrokiem wbitym w ścianę:

- Obsesja. Trwająca całe życie obsesja. A ty niczego nie podejrzewałaś.

- Nikt nie podejrzewał. Ojciec nie mógłby utrzymać swojej pozycji w Mossadzie, gdyby ktoś wiedział, co draży mu mózg. Tam nie ufają fanatykom.

Eryka wyglądała tak, jakby nagle poraziła ją jakaś myśl.

- Co się stało?

- Matka umarła pięć lat temu. Wtedy właśnie poprosił o przeniesienie na emeryturę, wyjechał z Izraela i zaczął w sekrecie urządzać te pomieszczenia.

- Chcesz powiedzieć, że miała na niego łagodzący wpływ?

- Hamowała jego obsesję. Ale kiedy umarła...

- Obsesja wzięła górę.

Saul nie mógł się oprzeć wrażeniu, że przestrzeń wypełniają widma.

- Boże, dopomóż mu.

- Jeśli jeszcze żyje.

- Czy znaleźliśmy w tej piwnicy przyczynę zniknięcia twojego ojca?

- A jeśli tak, to czy go uprowadzono? - zapytała Eryka. - Czy sam uciekł?

- Przed czym? Od czego?

- Od przeszłości.

Twarz Eryki przybrała jeszcze bardziej posępny wyraz. Saul odezwał się, zanim zdał sobie sprawę, co mówi:

- Nie masz chyba na myśli... samobójstwa?

- Gdyby ktoś zasugerował to przed godziną, powiedziałabym, że ojciec jest zbyt silny, by się poddać, zbyt dzielny, by z sobą skończyć. Teraz nie mam już pewności. To miejsce... Najwidoczniej nie mógł znieść poczucia winy.

- Albo nienawiści do ludzi, którzy sprawili, że czuł się winien. Uwagę Saula przyciągnęła leżąca na stole otwarta książka. Podniósł ją i przeczytał niemiecki tytuł *Zakon Trupiej Czaszki - historia SS*. Autorem był Heinz Hohne, została wydana w 1966 roku. Na rozłożonych kartkach podkreślono jakiś fragment. Saul zaczął tłumaczyć:

”W prześladowaniach Żydów najbardziej niesłychane i przerażające było to, że tysiące szanowanych ojców rodzin uczyniło zabijanie swoim rzemiosłem, a pomimo to, poza służbą, uważało się za zwykłych przestrzegających prawa obywateli, którzy nie są zdolni nawet pomyśleć o zejściu z drogi cnoty. Sadyzm stanowił tylko jeden z aspektów masowej eksterminacji, nie pochwalany zresztą przez dowództwo SS. Himmler był zdania, że powinna ona przebiegać spokojnie i czysto. Nawet wykonując rozkaz zabicia kogoś, człowiek SS musi pozostać “przyzwoitym człowiekiem”.

- Przyzwoitym? - wyszeptał Saul z niesmakiem.

Na marginesie drżąca ręka zanotowała w pośpiechu czarnym atramentem kilka hebrajskich słów.

- Charakter pisma ojca - powiedziała Eryka.

- Jesteś specjalistką od hebrajskiego.

- To dwa cytaty. Chyba z *Jądra ciemności* Conrada. Pierwszy znaczy “Ohyda, ohyda”.

- A drugi?

Zawahala się.

- Co się stało? Milczała dalej.

- Masz trudności z przetłumaczeniem?

- Nie.

- Więc?

- Też z *Jądra ciemności*: “Wytepić wszystkie te bestie”.

## V.

Po godzinie poszukiwań mieli w głowach taki sam zamęt, jak na początku. Saul nie był w stanie dłużej wytrzymać w tym ponurym pomieszczeniu. Musiał stąd wyjść.

Eryka zamknęła pudło z dokumentami.

- Jak ojciec mógł stale tu wracać, przypinać fotografie do ścian, przeglądać archiwum?

Ciągle obcowanie z tymi dokumentami musiało wpływać na jego psychikę.

- To jeszcze nie dowód, że popełnił samobójstwo.

- Nie ma też dowodu, że tego nie zrobił - odrzekła Eryka z rozpaczą w głosie.

Zgasili lampę i weszli na schody. W ciemnościach Saul nagle coś sobie przypomniał i złapał żonę za ramię.

- Jest jedno miejsce, do którego nie zajrzeliśmy. Sprowadził Erykę z powrotem do piwnicy i zaczął przesuwac strumień światła po podłodze.

- Czego szukasz...?

- Misza nie powiedział nam, co znajdziemy na dole. Nie chciał, żebyśmy się sugerowali. Ale mimowolnie zdradził pewien szczegół. Podczas wojny doktor ukrywał tutaj chorych Żydów. Przechowywał także ich akta.

- Tak, Misza mówił o tym, ale co to ma... - Eryka zawiesiła głos. - Och! rozumiem.

- Tak, "och". Misza powiedział, że Bund trzymał kartotekę pod podłogą. Gdzieś tu musi być kłapa.

Saul oświetlił posadzkę. Zauważył, że w kącie za stertą kartonów warstwa kurzu jest cieńsza niż gdzie indziej. Wyczuł zagłębienie, w które można było wsunąć palce i podniósł małą płytkę.

Wąska przegródka. Silny snop światła padł na zakurzony notes. Saul wyjął go i otworzył. Chociaż słowa napisano alfabetem hebrajskim, od razu poznał, że to lista.

Nazwiska.

Dziesięć nazwisk.

Wszystkie żydowskie.

## VI.

Deszcz nie ustawał. Christopher spał na kanapie. Misza siedział obok i patrzył na otwarte drzwi sypialni.

Pojawił się w nich Saul, ze złością wymachując notesem.

- Więc znaleźliście - powiedział Misza. Weszła Eryka, jeszcze bardziej rozgniewana.

- Niewiele brakowało, żebyśmy nie znaleźli. Zastanawiam się, czy chciałeś, żebyśmy to znaleźli.

- Nie byłem pewien.

- Czego? Tego, czy chcesz, żebyśmy znaleźli, czy tego, że znajdziemy?

- Co za różnica? Przecież znaleźliście.

- Po raz pierwszy zaczynam ci nie ufać - odrzekła.

- Gdybyście nie odkryli notesu i w dalszym ciągu upierali się, żeby szukać Josepha, sprzeciwiłbym się - wyjaśnił Misza.



Christopher przewracał się przez sen.

- Spójrzcie na to z mojego punktu widzenia. Skąd mogę wiedzieć, czy nie zmiękliście na pustyni?

- Powinieneś sam tam pomieszkać przez jakiś czas - odparła Eryka.

- Mam uczulenie na piasek.

- I na mówienie prawdy.

- Nie kłamałem. Chciałem was tylko wypróbować.

- Przyjaciele nie muszą wystawiać się na próby.

- Zawodowcy tak. Jeżeli tego nie rozumiesz, naprawdę zmiękliście.

- Dobrze. Więc znaleźliśmy. I co dalej?

Saul zacieśnił uścisk na notesie.

- Powiedz nam resztę. Co oznacza ta lista?

- To nie jest spis żydowskich pacjentów, których doktor ukrywał podczas wojny - wtrąciła Eryka. - Notes jest wprawdzie zakurzony, ale nowy. Lista zawiera nazwisko ojca, ale charakter pisma nie jest jego.

- Zgadza się. Notatnik należy do mnie.

- Co ci ludzie mają wspólnego ze zniknięciem ojca?

- Nie mam pojęcia.

- Nie wierzę. Nie zrobiłbyś spisu, gdyby między nimi nie było związku.

- Czy powiedziałem, że nie ma? Znamy ich przeszłość, adresy, zwyczajnie, dawne miejsce zatrudnienia.

- Dawne?

- Wszyscy oni są byłymi pracownikami Mossadu. Ale ty chciałaś wiedzieć, co mają wspólnego ze zniknięciem Josepha, a tej zagadki jeszcze nie jestem w stanie rozwiązać.

- Twierdzą, że nie znają mojego ojca? Nie odpowiadają na pytania? W czym tkwi problem?

- Nie mogłem ich o nic zapytać.

- Znowu uchylasz się od odpowiedzi - rzekła Eryka.

- Nie uchylałam się. Tych ludzi łączą jeszcze dwie rzeczy. Wszyscy przeżyli hitlerowskie obozy zagłady...

- I?

- Wszyscy zniknęli.

## KOŚCIÓŁ WOJUJĄCY

### I.

Podniecenie wzięło górę nad wyczerpaniem. Pomimo rosnącego upału Shean i Arlene szybko posuwali się w kierunku śladu kół na drugim końcu przełęczy...

Po spotkaniu z arabskimi napastnikami umocowali między dwoma głazami płachtę wyjętą z chlebaka Arlene i, ukryci przed słońcem, zjedli figi i daktyle znalezione przy bandytach, oszczędnie popijając je wodą. Zauważyli, że zapasy, które Arabowie zabrali ze sobą, nie starczyłyby na długo.

- A co z wodą? - zastanawiał się Shean. - Przeszukaliśmy zbrocza, z których strzelali.

Potrząsnął dwiema manierkami. Zachlupotała resztką płynu.

- Z tym nie mogliby się wybrać nigdzie dalej. Jak zamierzali powrócić?

Nagły przebłysk zrozumienia poderwał ich na nogi i sprawił, że zlekceważyli zabójcze słońce. Minęli przełęcz, skręcili w prawo i po śladach kół trafili do grupy skał, za którymi stał ukryty samochód...

- Obcy, to jasne - powiedział Shean. - Żaden tutejszy wieśniak nie jeździ jeepem, a już na pewno nie nowym. Ten ma nawet klimatyzację. Ci mordercy byli przyzwyczajeni do podróży pierwszej klasą.

Wóz miał metalowy dach. Słońce padało pod takim kątem, że miejsce kierowcy było zacienione. Arlene z ulgą powitała osłonę przed palącym żarem i zajrzała do środka przez otwarte okienko.

- Mały problem.

- Co takiego?

- Nie ma kluczyków.

- Przecież przeszukaliśmy ciała i niczego nie znaleźliśmy.

- Więc logicznie rzecz biorąc, powinni je zostawić w samochodzie. Piętnaście minut później dalej nie mieli kluczyków.

- W takim razie... Shean wsiadł do wozu.

- Co robisz? - zapytała Arlene.

- Czeka.

- Na co?

- Żebyś zrobiła zwarcie.

Wybuchnęła śmiechem i pochyliła się nad deską rozdzielczą.

Kiedy jednak Arlene uruchomiła silnik i ruszyli przez pustynię podskakując na wybojach, Shean zapadł w ponure milczenie. Dręczyły go wątpliwości. Musiał porozmawiać z księdzem, chociaż nie miał na to najmniejszej ochoty.

## II.

*Kair. Dzień później.* Z łazienki, gdzie Shean brał prysznic, dochodził szum wody. Arlene ze wzrokiem utkwionym w aparacie telefonicznym, siedziała na łóżku w pokoju hotelowym urządzonego w zachodnim stylu.

Nie wiedziała, co robić. Kiedy ksiądz skontaktował się z nią w Nowym Jorku, polecając jej odnaleźć Sheana, dostała kairski numer telefonu. Miała zadzwonić, gdy tylko przywiezie Sheana z pustyni. Była wówczas tak wdzięczna za wiadomość, gdzie on jest, i za szansę zobaczenia go znowu, że z łatwością zgodziła się na podyktowane warunki. Teraz jednak, gdy byli już razem, wahała się. Cokolwiek Bractwo chce od Sheana, na pewno nie chodzi o rozgrzeszenie. Wezwanie od nich mogło oznaczać tylko kłopoty. Już raz straciła Sheana, kiedy wstąpił do klasztoru. Potem znowu, gdy uciekł na pustynię. Nie zamierzała utracić go po raz trzeci.

A jeśli Bractwo Kamienia wymierzy karę za nieposłuszeństwo i chce zabić Sheana? A ją, zamiast również zgładzić, postanowili oszczędzić, aby cierpiała przez resztę życia?

Zdecydowała, że sama zadzwoni, ale ręka wydała się jej tak ciężka, że nie mogła sięgnąć do stojącego na nocnym stoliku aparatu.

W łazience przestała szumieć woda. Shean otworzył drzwi i stanął w nich nagi, wycierając się wielkim miękkim ręcznikiem. Musiała się uśmiechnąć. Po sześciu latach pobytu w klasztorze i złożeniu ślubu czystości, Shean miał pewne zahamowania. Nie odznaczał się jednak wstydlivością. Nagi czy ubrany, był mniej skrępowany swoim ciałem niż jakikolwiek mężczyzna, którego znała. Wycierał się, roześmiany.

- Od czasu do czasu trzeba się wykapać.

Arlene dotknęła swoich jeszcze wilgotnych włosów.

- Wiem. Czuję się tak, jakbym zmyła z siebie tonę piasku.

Shean zużył jej egipskie pieniądze na kupno szamponu, nożyczek, mydła oraz kremu i maszynki do golenia. Pozbył się brody i przystrzygł włosy. Zaczesał je na uszy, przez co jego zapadnięte policzki wydawały się jeszcze chudsze, ale ogólny efekt był pociągający. Odłożył ręcznik.

- Miałem dużo czasu... za dużo... na myślenie - powiedział.

- O czym?

- Niektóre prawa pochodzą od Boga, inne ustanowili ludzie.

Wybuchnęła śmiechem.

- O czym ty, do licha, mówisz?

- O moim ślubie czystości. Gdyby Adamowi i Ewie nie wolno było uprawiać seksu, Bóg nie stworzyłby ich mężczyzną i kobietą.

- Czy chcesz mi w ten sposób powiedzieć, że seks jest czymś naturalnym? Wiem o tym od dawna.

- Ale, jak chyba zauważyłaś, jestem zakłopotany.

- Tak, to rzeczywiście zauważyłam.

- Więc zdecydowałem...

- Tak?

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu...

- Tak?

- Żeby przedłożyć naturę nad sztuczne prawa...

- Tak?

- Chciałbym się z tobą kochać.

- Shean...

Tym razem on zapytał:

- Tak?

- Chodź tutaj.

### III.

Późnym popołudniem leżeli przytuleni do siebie w chłodnym zacienionym pokoju. Zmęczeni po miłości, rozluźnieni, nadzy, czerpali radość ze swojej bliskości. Żadne z nich nie odzywało się przez dłuższy czas. Kłopoty nie pozwoliły jednak o sobie zapomnieć.

- Ksiądz - przypomniał Shean.

- Wiem. Wołałabym nie.

- Problem sam się nie rozwiąże. Zamyślony sięgnął po ubranie.

- Coś mnie zastanawia - powiedziała Arlene. Przerwał zapinanie koszuli.

- Co takiego?

- Poprzednio, gdy opuściłeś klasztor, nie przestawałeś zadawać pytań. Co się zmieniło w kulturze przez te sześć lat, kiedy cię nie było, kto jest prezydentem i co się działo na

świecie. A teraz, po roku na pustyni, nie pytasz o nic.

Zadrgały mu mięśnie policzków.

- Tak. Ponieważ ostatnim razem nie podobało mi się to, czego się dowiedziałem.

- Więc po co dzwonić do księdza? Moglibyśmy zniknąć. Uciec. Razem.

- Nie wierzę już, że ucieczka jest możliwa. Chcę to załatwić raz na zawsze. Żebym nie musiał się obawiać, że Bractwo Kamienia lub ktokolwiek inny znów stanie nam na drodze. Nigdy więcej.

#### IV.

*Kair.* Upał, hałas, tłum i korki uliczne. Zaduch spalin walczył z zapachem arabskiego jedzenia i przypraw sprzedawanych na bazarach. Trzymając się skomplikowanych wskazówek, jakich im udzielono telefonicznie, Shean i Arlene dotarli przez labirynt wąskich uliczek pod drzwi restauracji, której egipską nazwę Shean przetłumaczył jako "Ucho igielne". Rozejrzał się wokół, ale nie zauważył niczyjej reakcji, żadnego zakłócenia naturalnego rytmu tłumu. Oczywiście, brak nagłego poruszenia nie oznaczał, że nikt ich nie obserwuje: zawodowiec nie zdradziłby się tak łatwo. Z drugiej jednak strony, nie mieli też dowodu, że są śledzeni i ta pociecha musiała im na razie wystarczyć.

Weszli do ciemnego wnętrza. Shean najpierw odebrał wrażenia zapachowe: ostry dym tytoniowy, mocny aromat kawy. Potem obudził się dotyk: poczuł pod stopami chłód kamiennej posadzki. Dopiero po chwili oczy przywykły do mroku i mógł się przyjrzeć wystrojowi restauracji. Drewniane stoły i krzesła, żadnych obrusów, ale za to kilka ozdobnych arabskich kobierców na ścianach. W głębi znajdował się bar. Na półkach pod lustrem ustawiono kolorowe butelki i naczynia z błyszczącego mosiądzu. Stoły były gdzieś otoczone wymyślnymi rzeźbionymi w drewnie przepierzeniami. Z wyjątkiem kelnera w białym fartuchu za ladą i dwóch mężczyzn w ciemnych ubraniach oraz czerwonych fezach, którzy siedzieli w kącie na lewo, lokal był pusty.

Shean i Arlene wybrali stolik z prawej strony, znajdujący się w takiej samej odległości od drzwi i od tylnego wyjścia przez kuchnię za barem. Usiedli plecami do ściany.

- O której godzinie ma się z nami spotkać? - zapytał Shean.

- Dokładnie nie wiem. Powiedział tylko, że będzie tu przed zachodem słońca.

Shean bębnił palcami po blacie.

- Chcesz kawy?

- Egipskiej? To świństwo jest tak mocne, że równie dobrze mogłabym przystawić

sobie pistolet do głowy i nacisnąć spust.

Shean nie zdążył się roześmiać. Usłyszeli szumnięcie krzesła. Zza przepierzenia wyszedł mężczyzna w białym garniturze i zbliżył się do nich.

Był dobrze zbudowany, miał oliwkową cerę i gęste ciemne wąsy, które podkreślały jego uśmiech. Był to uśmiech rozbawienia, ale przyjazny.

- Pani Hardesty? Rozmawiałem z panią wcześniej przez telefon.

- Nie jest pan księdzem, który zwrócił się do mnie w Nowym Jorku - odpowiedziała Arlene.

Shean wstał.

- Nie - zgodził się przybyły. - Ma pani rację. Ksiądz, który nawiązał z panią kontakt, ojciec Victor został odwołany w pilnej misji.

Uśmiech nie schodził mu z twarzy.

- Jestem ojciec Sebastian. Mam nadzieję, że zaakceptujecie tę zmianę. Ale oczywiście, potrzebne wam dowody wiarygodne...

Wyciągnął lewą rękę, ukazując pierścień na środkowym palcu.

Wielki czysty rubin zamigotał w mroku. Był osadzony w grubej oprawie z błyszczącego złota. Wyryte w klejnocie insygnia przedstawiały krzyż i miecz. Religia i przemoc. Symbol Bractwa Kamienia. Shean wzdrygnął się.

- Widzę, że jest ci znany - ojciec Sebastian nie przestawał się uśmiechać.

- Każdemu wolno nosić pierścień.

- Ale nie ten pierścień.

- Załóżmy - powiedział Shean. - Pan z tobą.

Uśmiech księdza znikł.

- Ach tak.

- Właśnie - Shean przybrał ostry ton. - Hasło. Dalej, dokończ je. Pozdrowienie Bractwa. Pan z tobą.

- I z duchem twoim.

- A reszta?

- *Deo gratias*. Jesteś zadowolony?

- Dopiero zaczynamy. *Dominus vobiscum*.

- *Et cum spiritu tuo*.

- *Hoc est enim...*

- *Corpus meum*.

- *Pater Noster...*

- *Qiu est in coeli.*

Arlene przerwała im.

- O czym wy mówicie?

- Wymieniamy responsy z mszy rzymskiej - wyjaśnił Shean. - Bractwo jest konserwatywne. Nie zaakceptowało zmiany obrządku z łacińskiego na narodowy w połowie lat sześćdziesiątych. A ty - przyjrzał się badawczo śniademu, wyglądającemu na Egipcjanina mężczyźnie, który przedstawił się jako ojciec Sebastian - jesteś młodszy ode mnie. Masz najwyżej trzydzieści lat. Gdybyś nie należał do Bractwa, od dawna nie widziałbyś prawdziwej mszy i nie mógłbyś pamiętać responsów. Kto założył Bractwo?

- Ojciec Hieronim.

- Kiedy?

- Podczas trzeciej krucjaty. W 1192 roku.

- Jego prawdziwe imię?

- Hassan ibn al-Sabbah. Przypadkowo to samo imię nosił sto lat wcześniej twórca arabskiego terroryzmu. Chociaż był zakonnikiem, ojciec Hieronim został zwerbowany przez krzyżowców jako morderca, ponieważ będąc Arabem mógł się swobodnie poruszać wśród pogan. Ale terror przez niego wprowadzony był, w przeciwieństwie do arabskiego, święty. Od tamtego czasu - ojciec Sebastian wzruszył ramionami - robimy co w naszej mocy, aby ochraniać Kościół. Czy jesteś teraz zadowolony?

Shean skinął głową. Ksiądz usiadł przy stole.

- A twoje listy uwierzytelniające?

- Miałeś okazję dokładnie przyjrzeć mi się zza tej przegrody, a musiałeś widzieć także moją fotografię.

- Chirurgia plastyczna czyni cuda.

- Pierścień zawiera kapsułkę z trucizną. Twój klasztor leży na północno-zachodnim wybrzeżu Francji, na wprost Anglii. W czasach trzeciej krucjaty były to tereny sporne. Tylko ktoś, do kogo Bractwo zwróciło się, aby go zwerbować, może znać te szczegóły.

- To prawda. Zwracaliśmy się do ciebie. A teraz zwracamy się ponownie.

Shean poczuł nagłe zmęczenie. Wszystko wracało. Nie było ucieczki. Głos mu zadrżał:

- Czego chcecie? Jeśli wiedzieliście, gdzie się ukrywam, dlaczego pozwoliliście, żebym spędził rok...

- ...w grocie na pustyni? Musiałeś odpokutować za grzechy. Dla zbawienia duszy. Żeby się oczyścić. Trzymaliśmy cię w rezerwie. Odmówiłeś przyłączenia się do nas, ale

znaleźliśmy sposób, aby cię zachęcić do pomocy, jeśli zajdzie potrzeba.

- Do pomocy?
- W odnalezieniu kogoś.
- Kogo?
- Księdza.

Pomieszczenie eksplodowało.

## V.

Wstrząs szarpnął Sheana ułamek sekundy wcześniej niż usłyszał detonację. Wnętrze rozbłysło, a potem zniknęło w chmurze czarnego dymu. Shean poleciał do tyłu i wyrznął głową o mur. Odbił się i upadł na stół, który runął pod jego ciężarem i od siły eksplozji. Uderzenie o podłogę zaparło mu dech w piersiach. Gdy zwinął się z bólu, wszystko stanęło w ogniu.

Ładunek musiał być ukryty za nieistniejącym już barem. Kelner i dwaj klienci nawet nie krzyknęli. Przypuszczalnie rozerwał ich wybuch. Ta myśl przyszła jednak znacznie później.

Shean usłyszał bowiem czyjś krzyk. Nie swój. Kobięcy. Arlene! Natarczywe, płynące z miłości pragnienie, aby ją uratować, kazało mu rzucić się w płomienie.

Krztusząc się spazmatycznie od dymu, popełznął w kierunku, z którego doszedł go głos. Nagle poczuł, że ktoś go chwyta. Szarpnął się i zaklął, ale nie udało mu się uwolnić - został podniesiony i wyciągnięty na zewnątrz. Na skwarnej mrocznej i wąskiej uliczce, otoczony tłumem, nie słyszał już krzyku Arlene. Zrobił ostatni rozpaczliwy wysiłek, aby wyswobodzić się z rąk, które go przytrzymały i rzucić się w rumowisko.

Zamiast tego upadł. Zobaczył kogoś jak przez mgłę, przekonany, że ma halucynacje. Bowed twarz, która nachylała się nad nim... była twarzą Arlene.

## VI.

- Bałem się, że nie żyjesz.

- Było to uczucie odwzajemnione - odparła Arlene. Shean uściskał jej rękę. Siedzieli na metalowych krzesłach na piaszczystym dziedzińcu otoczonym wysokim kamiennym murem. Dobiegający zzań zgiełk Kairu mącił ciszę. Znajdowali się na tyłach świątyni greckokatolickiej, jednego z nielicznych kościołów w tym arabskim mieście. Jego cebulaste kopuły kontrastowały ze smukłymi minaretami meczetów.



Był wczesny ranek następnego dnia. Cień okrywał jedną stronę dziedzińca. Upał nie dawał się jeszcze we znaki.

- Kiedy nastąpił wybuch, usłyszałem twój krzyk. Shean cały czas trzymał Arlene za rękę.

- Rzeczywiście krzyczałam. Wołałam ciebie.

- Ale głos dolatywał jakby z daleka.

- Ja też miałam takie wrażenie. Wszystko, co słyszałam po detonacji, tak właśnie brzmiało. Nawet mój własny oddech zdawał się dochodzić z zewnątrz. Byłam pewna tylko dwóch rzeczy: że łatwiej mi się poruszać niż tobie i że obydwójce musimy się stamtąd wydostać.

Parsknął śmiechem i natychmiast poczuł ból pod żebrami. Nie dbał o to. Najważniejsze, że Arlene żyje.

- Jak się wydostaliśmy?

- Ojciec Sebastian miał obstawę.

- Zawodowcy.

- Zabrali nas z restauracji, zanim przyjechała policja - wyjaśniła Arlene. - Nie pamiętam wiele z tego, co działo się potem. Wydaje mi się, że przenieśli nas przez tłum i położyli w furgonetce. Dalej wszystko jest zamazane. Następną rzecz, jaką sobie przypominam, to przebudzenie w pokoju na plebanii już w tym kościele.

- Gdzie jest ojciec Sebastian?

- Tutaj. Cały i zdrowy - dobiegł ich głos.

Shean odwrócił się. Ojciec Sebastian stał w otwartych drzwiach. Teraz gdy miał na sobie czarny garnitur i białą koloratkę, wyglądał bardziej na Włocha niż Egipcjanina. Przykładał do nosa chusteczkę. Kiedy wyszedł z cienia na zalany słońcem dziedzińiec, na chustce widać było plamy krwi. Skutek eksplozji, pomyślał Shean.

- Wybaczcie, że nie dołączyłem do was wcześniej, ale odprawiałem poranną mszę świętą.

- Mógłbym służyć do mszy i przyjąć komunię - powiedział Shean.

- Jeszcze spałeś, kiedy do was zajrzałem. W tym wypadku odpoczynek wydał mi się ważniejszy niż zaspokojenie potrzeb duchowych.

- Ale teraz ważniejsze jest co innego.

- To znaczy?

- Żebyś zaspokoił dla odmiany moją ciekawość. Robi mi się cholernie niewyraźnie, gdy ktoś usiłuje wysadzić mnie w powietrze. W innych okolicznościach mógłbym uwierzyć,

że po prostu przypadkiem znaleźliśmy się w mieście, gdzie terroryści podkładają bomby. Gdybyśmy byli na przykład w Izraelu, Paryżu czy Rzymie. Ale w Kairze? To nie ich teren.

- To już nie jest tak. Kiedy żyłeś na pustyni, również Kair stał się polem działania terrorystów.

- Jakiemu celowi politycznemu mógłby służyć wybuch w restauracji na peryferiach miasta? Ładunku nie umieszczono na ślepo. To nie był zbieg okoliczności, że eksplozja nastąpiła, gdy tam siedzieliśmy. To my mieliśmy paść ofiarą zamachu.

- Po raz drugi w ciągu dwóch dni - wtrąciła Arlene. Ojciec Sebastian wyprostował się na krześle.

- To prawda, po raz drugi - potwierdził Shean. - Kiedy wędrowaliśmy z Arlene przez pustynię...

Opowiedział księdzu o arabskich napastnikach z przełęczy. Arlene uzupełniła szczegóły.

- Nie sądzicie, że byli to zwykli bandyci? - Ojciec Sebastian spojrzał na Arlene. - Wspomniała pani o wcześniejszym ataku dwóch niedoszłych gwałcicieli. Na tej samej przełęczy. Możliwe, że druga para... Mogli być krewniakami, którzy chcieli się zemścić.

- Pierwsi byli amatorami - upierała się - ale drudzy...

- Gdyby nie łaska Boża i kobra, zostalibyśmy zabici - ciągnął Shean. - Ci ludzie byli doskonale wyekwipowani. Jak zawodowcy.

- Ktoś musiał wiedzieć, że posłano mnie po Sheana. Ja nie mówiłam o tym nikomu - dorzuciła Arlene.

- Więc przeciek mógł pochodzić tylko z waszej organizacji - stwierdził Shean.

Ksiądz potarł czoło.

- Nie wyglądasz na zaskoczonego. Czy już wcześniej podejrzewałeś...

- Że zakon jest skompromitowany i ktoś w Bractwie wykorzystuje swoją pozycję dla osiągnięcia własnych celów? - Ojciec Sebastian skinął głową.

- Od jak dawna?

- Podejrzenia powziąłem prawie przed rokiem. Od dwóch miesięcy mam właściwie pewność. Zbyt wiele naszych operacji zakończyło się fiaskiem. Dwukrotnie członkowie Bractwa zginęli. Gdyby nie obstawa, ciała poległych braci wpadłyby w ręce władz.

- Razem z pierścieniami - dodał Shean.

- Tak. Razem z pierścieniami. Inne akcje przerwano, zanim podobna katastrofa mogłaby się zdarzyć. Wrogowie zostali przez kogoś ostrzeżeni, zmienili plany i wzmocnili ochronę. Wszyscy w Bractwie obawiamy się, że grozi nam zdemaskowanie.

Oczy Arlene zabłyśły oburzeniem.

- Więc dlatego posłaliście mnie po Sheana. Potrzebujecie agenta z zewnątrz, którego nikt z wami nie łączy, a jednocześnie kontrolowanego przez Bractwo.

Ojciec Sebastian wzruszył ramionami.

- Jak brzmi to karciane wyrażenie? As w rękawie? Zresztą ty naprawdę - zwrócił się do Sheana - oprócz umiejętności i reputacji masz moim zdaniem szczęście gracza.

- Wszyscy mamy szczęście - odrzekł Sean. - Na pewno nie dzięki umiejętnościom wyszliśmy cało z wybuchu, a wyłącznie dlatego, że siedzieliśmy z dala od jedynego miejsca odpowiedniego do ukrycia bomby, czyli baru.

- Dwaj klienci i kelner zginęli - dodała Arlene. - Gdybyście nas tam nie skierowali...

Ksiądz westchnął.

- Ich śmierć jest godna pożałowania, ale w obliczu trudnej sytuacji Bractwa, mało istotna.

- Dla mnie istotne jest to, żeby przeżyć - powiedział Sean. - I żyć z Arlene w spokoju, gdzieś, gdzie ty i twoi ludzie nas nie osiągną.

- Czy jesteś pewien, że takie miejsce istnieje? Jaskinia nim nie była.

- Przynajmniej chcę mieć szansę dalej go szukać. Wczoraj zadałem ci pytanie. Co mam zrobić, żebyście przestali mnie niepokoić? Wspomniałeś o księdzu. Chciałeś, żebym...

- Znalazł go. Nazywa się Krunoslav Pavelić. Nie jest zwykłym księdzem. To kardynał. Ogromnie wpływowy. Członek Kurii rzymskiej. Ma siedemdziesiąt dwa lata. Zniknął dwudziestego trzeciego lutego, w niedzielę wieczorem, po odprawieniu mszy prywatnej w Watykanie. Zważywszy na jego pozycję w Kurii, sądzimy, że uprowadzenie Pavelicia jest poważnym zamachem na Kościół. Jeśli coś mogło się przydarzyć kardynałowi, nikt nie jest już bezpieczny. Obawiamy się, że to początek generalnego ataku. Ponieważ Bractwo jest zagrożone również od wewnątrz, potrzebujemy twojej pomocy. Pomocy kogoś z zewnątrz, niezależnego, ale zdeterminowanego agenta.

- A jeśli Pavelicia nie da się odnaleźć? - zapytał Sean. - Jeśli nie żyje?

- Wówczas ukarzesz winnych jego śmierci.

Sean wzdrygnął się. Ślubował sobie - i Bogu - że już nigdy nie będzie zabijał. Ukrył jednak wstręt i chociaż był zdecydowany dotrzymać przysięgi, przystąpił do pertraktacji.

- Co uzyskam w zamian?

- Ty i pani Hardesty zostaniecie zwolnieni ze zobowiązań wobec nas, a tobie darujemy także pokutę za śmierć jednego z naszych braci. Uważam, że to wspaniałomyślne warunki.

- Nie użyłbym tego określenia...

Shean spojrział na Arlene, która przytaknęła ruchem głowy. Wprowadziwszy w myślí jedną najważniejszą poprawkę, powiedział:

- Ale umowa stoi.

Ojciec Sebastian oparł się plecami o krzesło.

- To dobrze.

- Jeszcze jedno. Jeśli nie dotrzymasz słowa, lepiej zacznij odmawiać Akt Żalu. Ponieważ, wierz mi, ojcze, przyjdę po ciebie, kiedy będziesz się najmniej spodziewał.

- Jeśli złamię słowo, będziesz miał do tego pełne prawo. A jeżeli chodzi o Akt Żalu, moja dusza jest zawsze gotowa.

- Więc się rozumiemy.

Shean wstał.

- Przydałoby się nam śniadanie. Poza tym świeże ubrania i pieniądze na drogę.

- Obydwoje otrzymacie odpowiednią sumę na początek. Ponadto otworzymy dla was konto bankowe i sejf w Zurychu. Będziemy go używać do przekazywania informacji. Klucz do skrytki będzie miało również Bractwo.

- Co z dokumentami? Nieprzyjaciel wie o naszych kontaktach. Byłoby lepiej, gdybyśmy nie używali własnych paszportów.

- Na wyjazd z Egiptu dostaniecie papiery watykańskie. Na fałszywe nazwiska, zakonnicy i księdz.

- Wzbudzimy podejrzenia na lotnisku pełnym Arabów.

- Nie, jeżeli zmieszacie się z duchownymi, którzy byli tu na wycieczce. Lecicie do Rzymu, a tam ksiądz i zakonnica zupełnie nie przyciągają uwagi. Jeśli zechcecie zmienić tożsamość, w Zurychu będą czekać inne paszporty, amerykańskie, kilka kompletów na różne nazwiska.

- Broń?

- Zanim wyjedziecie z Egiptu, musicie mi oddać tę, którą macie. W Rzymie dostaniecie nową. Poza tym zostawimy broń także w skrytce.

- Nie najgorzej. Dodatkowy środek ostrożności... Ojciec Sebastian patrzył na Sheana wyczekująco.

- Nie chcę kusić szczęścia po raz trzeci. Broń i dokumenty mają być dostarczone przez łącznika z zewnątrz, a nie kogoś z waszej siatki. Konto w Zurychu otwórz osobiście.

- Zgoda. Przeciek w organizacji niepokoi mnie tak samo jak ciebie.

- Nie powiedziałaś nam jednego.

Ojciec Sebastian uprzedził pytanie Sheana.

- Gdzie zacząć poszukiwania? Tam, gdzie doprowadził je wasz poprzednik i nie zdołał zakończyć, doznając niepowodzenia.

- Mój poprzednik?...

- Ksiądz, który skontaktował się z panią Hardesty w Nowym Jorku. Ojciec Victor. Mówiłem wam, że został odwołany. Owszem. Do swego Stwórcy. Zabito go w Rzymie, dwa dni temu. Podejmiecie polowanie tam, gdzie ojciec Victor je przerwał. Musiał być bardzo blisko.

## VII.

Shean i Arlene przebrali się w dostarczone przez księdza stroje w pokoju, gdzie spędzili noc. Pomijając białą koloratkę, Shean wyglądał tak naturalnie, jakby założył zwykły ciemny garnitur. Obawiał się jednak, że wysportowana sylwetka Arlene kłócić się będzie z suknią zakonną. Tymczasem wręcz przeciwnie. Czarny habit układał się doskonale na jej figurze, a biały kornet, który ukrył kasztanowe włosy i obramował zielone oczy, zmienił ziemskie piękno w niewinny powab.

- Zdumiewające - powiedział Shean. - Wyglądasz, jakbyś odnalazła powołanie.

- A ty mógłbyś być spowiednikiem.

- Miejmy nadzieję, że nikt nas nie poprosi o posługę duszpasterską.

- Najlepsza rada to "Odejdź w pokoju i nie grzesz więcej".

- Ale co będzie z nami? - zapytał Shean. - Co my zrobimy? Już dwa razy łudziłem się, że nie będę musiał stawać przed tą decyzją. Czy będziemy grzeszyć?

Pocałowała go.

- To już ostatnia misja - odrzekła. - Postaramy się uważać na siebie i zrobimy, co w naszej mocy.

- Jeśli to, co w naszej mocy, wystarczy... - westchnął.

- Będziemy wolni. Przytulili się do siebie.

KSIEGA TRZECIA  
**KLESZCZE**

## TRUPIA CZASZKA

### I.

Halloway stał na granitowych schodach rezydencji i przyglądał się, jak Sopol i Set wsiadają do cadillaka. Spędzili całą noc i rano na układaniu planów. Teraz, wczesnym popołudniem byli wreszcie gotowi do wprowadzenia w czyn. Set podwiezie Sopla do wynajętego samochodu, który ukrył poprzedniego dnia przy drodze. Sopol pojedzie za Setem na lotnisko w Toronto. Tego samego wieczora obaj skrytobójcy polecą do Europy. Wkrótce, pomyślał Halloway, wszystko wróci do normy.

Mrużąc oczy od jasnego czerwcowego słońca i obserwując, jak Sopol i Set odjeżdżają, zaczął się jednak zastanawiać, czy rzeczywiście życie będzie jeszcze kiedyś normalne. Ojciec zaginął przed siedmioma tygodniami. Uprawdono go, gdy szkicował przełom rzeki w pobliżu domu artystów "Elora". Porywacze zostawili przybory malarza - blok, węgiel i pudełko z farbami - na składanym stoliku, niecałe sto metrów od jego samochodu. Nie mając od tamtej pory żadnych o nim wiadomości, Halloway był zmuszony podejrzewać, choć z bólem serca, że ojciec nie żyje.

Stał na schodach, dopóki cadillak nie zniknął między drzewami. Potem odwrócił się ku wielkim dwuskrzydłowym drzwiom rezydencji i nagle znieruchomiał. Ojciec nie żyje? Halloway odetchnął głęboko i przygnębiony ruszył dalej. Nie wolno tracić nadziei. W każdym razie zrobi wszystko, co mógł, aby ochronić rodzinę i siebie, zahamować, to szaleństwo. Jeśli ojciec rzeczywiście został zabity, Hallowaya pocieszał fakt, że Sopol i Set są doskonałymi fachmanami. Wróg za to zapłaci.

Wszedł do domu, minął mroczny korytarz i skierował się do telefonu w gabinecie. Chociaż nie miał ochoty o tym myśleć, należało powziąć pewne decyzje i załatwić inne sprawy. Przed czterema miesiącami, zanim ponownie rozpełtała się "Noc i Mgła", przyjął na siebie zobowiązania, których nie pozwalały lekceważyć nawet największe kłopoty osobiste. Zażądał fortuny, gwarantując dostawę. Towar był niebezpieczny. Klienci jeszcze bardziej. Niedotrzymanie umowy przyniosłoby fatalne skutki. Halloway nie miał wyboru. Pomyślał, co w takiej sytuacji zrobiłby ojciec i podniósł słuchawkę.

### II.

*Miasto Meksyk.* Po raz trzeci odkąd zaczęli się kochać, Aaron Rosenberg doznał niepowodzenia. Spróbował się pobudzić, ale żona powstrzymała jego rękę. Przez chwilę

podejrzewał, że zniecierpliwiła ją ta zła passa i zamierza poprosić, żeby dał spokój. Ale ona pocałowała go w pierś, potem w brzuch i zsuwając się niżej, wyszeptala:

- Pozwól mi prowadzić.

Słońce przeświecało przez zasłony w oknach sypialni. Lekki wiatr chłodził spocone ciała. Rosenberg zamknął oczy. Czuł, jak włosy żony spływają mu na krocze. Przestał słyszeć odgłosy ruchu ulicznego dobiegające z Paseo de la Reforma.

Impotencja Rosenberga miała kilka przyczyn. Była to troska o zaginionego ojca oraz strach o rodzinę i samego siebie. Pomimo obstawy odczuwał lęk za każdym razem, gdy opuszczał willę i w rezultacie wychodził rzadziej niż wymagało tego dobro interesów. Dziś jednak pozostał w domu właśnie ze względu na interesy. Od wczesnego rana czekał na telefon w sprawie tak delikatnej, że nie odważyłby się rozmawiać z biura. Nawet aparat prywatny i cała rezydencja, choć codziennie sprawdzano, czy nie założono urządzeń podsłuchowych, nie były całkowicie pewne.

Czując, że wysiłki partnerki zaczynają odnosić skutek, Rosenberg próbował zapomnieć o jeszcze jednej przyczynie wcześniejszego niepowodzenia. Od dwóch miesięcy, był tego pewien, żona ma romans ze swoim gorylem, Estebanem. Nie sposób było nie zauważyć spojrzeń, jakie wymieniają, ani tego, że katalog jej technik seksualnych powiększył się ostatnio. Na przykład o nagły pociąg do "prowadzenia". Powinien być wdzięczny przynajmniej za jedno - romans był dyskretny. W przeciwnym razie nie chcąc stracić szacunku policji i współników w tym mieście hiszpańskich wartości, nie mógłby udawać, że nie wie o zdradach żony.

Przyznawał, że po części sam ponosi winę za jej postępowanie. Od czasu ostatnich kłopotów jego temperament seksualny stopniowo słabł, a i przedtem interesy tak często zatrzymywały go poza domem, że żona spędzała więcej czasu z Estebanem niż z nim. Wszystko jedno, pomyślał, ogarnięty nagle falą gniewu. Nawet jeśli praca męża wymaga od niej pewnych poświęceń, czy samotności nie rekompensuje luksus? Złoty zegarek, stroje sprowadzane od francuskich projektantów, włoski sportowy samochód za sto tysięcy dolarów?

Członek zaczął go znowu zawodzić. Żona jęknęła z rozczarowaniem, które wyglądało na szczere. To ona zaproponowała tego popołudnia, żeby się kochali. Zastanawiał się, czy jest jeszcze szansa uratowania ich małżeństwa.

Telefon, myślał Rosenberg. Kiedy ten cholerny telefon zadzwoni? Prawdę powiedziawszy, gdyby nie kosztowne kaprysy żony, gdyby nie potrzeba wywarcia na niej wrażenia, nigdy nie przyszłoby mu do głowy, żeby narażać się na ogromne ryzyko, jakie



pociągała za sobą ta rozmowa.

Czy miał jednak inne wyjście? Wyjawić żonie, że wie o jej romansie? Gdyby wynikł z tego publiczny skandal, honor wymagałby, aby się z nią rozwiódł, czego robić nie chciał. Olśniewała urodą. Pochodziła z indiańskiej rodziny królewskiej. Rosenbergowi pochlebiało to małżeństwo, poza tym przy żonie Meksykance łatwiej było uchodzić za Meksykanina. Ufarbował włosy na czarno i czesał się gładko do tyłu. Cerę miał śniadą dzięki zabiegom kosmetycznym. Nosił też szkła kontaktowe, aby nadać oczom ciemny kolor. Potrzebował żony, która pomagała mu zmieniać się jak kameleon. Jeśli zaś chodzi o Estebana, olbrzym stanowił zbyt dobrą obstawę, żeby Rosenberg mógł czuć się bez niego bezpiecznie w obecnej krytycznej sytuacji.

Jego członek znów zaczął reagować.

Zadzwoił telefon. Rosenberg odepchnął żonę i rzucił się do nocnego stolika.

- Halo?

Męski głos w słuchawce nie należał do Hallowaya, ale miał akcent południowego Ontario, lekko gardłową szkocką wymowę. Rosenberg wiedział, jaka była kolejność. Halloway wykonał niemożliwy do wyśledzenia miejscowy telefon do łącznika, który skorzystał z bezpiecznego aparatu, aby przekazać wiadomość.

- Klon.

- Agawa.

- Bądź gotów za czterdzieści minut.

Trzask odkładanej słuchawki zakończył rozmowę. Rosenberg zamknął oczy z mieszaniną ulgi i zdenerwowania.

- Muszę wyjść.

Żona przytuliła się do niego.

- W tej chwili?

- Muszę gdzieś być za czterdzieści minut.

- Ile ci zajmie dostanie się tam?

- Dwadzieścia pięć minut.

- Plus dziesięć na umycie się i ubranie. Zostaje ci jeszcze...

Pięć minut. To wystarczyło.

### III.

Rosenberg kazał swoim trzem goryłom zaczekać w samochodzie. Wszedł do

zaniedbanego budynku, wbiegł po skrzypiących schodach i otworzył kluczem drzwi na drugim piętrze.

Nie było to właściwie mieszkanie, a pokój całkowicie pusty, z wyjątkiem telefonu na podłodze i popielniczki na parapecie. Wynajmował go i płacił rachunki telefoniczne używając nazwiska Jose Fernandez. Wszystko to tylko w jednym celu. Rosenberg potrzebował bezpiecznego lokalu, gdzie mógłby prowadzić delikatne zamiejscowe rozmowy bez obawy o podsłuch.

Wiedział, że w południowym Ontario Holloway ma identyczny czysty telefon w podobnym pokoju. Gdy tylko polecił łącznikowi zawiadomić Rosenberga o czasie kontaktu, wyruszył do swojej kryjówki. Rosenberg domyślał się, że tak właśnie było, ponieważ gdyby Holloway był już na miejscu, nie potrzebowałby pośrednika, zadzwoniłby sam. Sytuacja musiała się zasadniczo zmienić, skoro nie chciał tracić czasu na czekanie, aż Rosenberg dotrze do swojego punktu kontaktowego. Posługując się łącznikiem, Holloway sygnalizował, że nawet te czterdzieści minut ma znaczenie.

Rosenberg otworzył neseser i wyjął urządzenie elektroniczne wielkości przenośnego radia. Włączył je do kontaktu i zaczął obserwować skalę aparatu. Przyrząd zaczął buczeć. Gdyby w pokoju ukryto mikrofony, odebrałby szum przez nie emitowany. Tarcza zarejestrowałaby wówczas zakłócenia. Wskazówka pozostała jednak nieruchoma. Nie ma mikrofonów.

Jeszcze nie w pełni usatysfakcjonowany, Rosenberg wyjął drugie urządzenie i używając spinacza przytwierdził je do odsłoniętych przewodów sznura telefonicznego. Przyrząd kontrolował natężenie prądu elektrycznego na linii. Ponieważ podsłuch pobiera moc, natężenie wzrosłoby automatycznie, aby to zrekompensować. Tarcza urządzenia nie wykazywała jednak zwiększonego poboru. Telefon był czysty.

Rosenberg nerwowo zapalił gauloise'a. Nie znosił meksykańskiego tytoniu. Spojrzał na zegarek, identyczny jak ten, który kupił żonie. Holloway powinien zadzwonić w ciągu najbliższych dwóch minut. Jeśli się nie odezwie, jeśli coś go zatrzymało, zgodnie z ustaleniami należało poczekać trzydzieści minut, a gdy zajdzie potrzeba, następne pół godziny.

Zaciągnął się papierosem i utkwiał wzrok w telefonie. Kiedy w końcu usłyszał sygnał, błyskawicznie podniósł słuchawkę.

- Aztek.

- Eskimos.

- Spodziewałem się twojego telefonu rano. Dlaczego tak długo to trwało?

- Musiałem poczekać, aż wyjadą - wyjaśnił Halloway. Kanadyjski akcent, którego nabrał, był przekonujący. - Zaczęło się. Będą tam jutro.

- W Europie?

- W Rzymie. Wszystko prowadzi do kardynała Pavelicia. Kiedy dowiedzą się, dlaczego zniknął...

- Ile czasu im to zajmie?

- Ile? Tego nie sposób przewidzieć. Ale na pewno nie więcej niż to konieczne. Są najlepsi. Ich ojcowie byli najlepsi. Tylko tyle mogę ci po wiedzieć.

- A ja ci powiem, że jeśli nie dotrzemy umowy...

- Nie potrzebujesz mi o tym przypominać - odparł Halloway. - Jakby nie dość było "Nocy i Mgły", musimy się jeszcze niepokoić o klientów.

- Którzy nas naciskają.

- Gwarancje pozostają w mocy. Na Secie można polegać. Teraz, gdy dołączył do niego Sopol, nic ich nie powstrzyma.

- Ze względu na nas wszystkich mam nadzieję, że się nie mylisz.

- Jeśli się myślę, będziemy mieli do czynienia z dwoma wrogami naraz. Zadzwoń do pośrednika w Brazylii. Powiedz mu, żeby organizował wysyłkę. Klienci są tak zdesperowani, że przymkną oczy na opóźnienie, jeśli tylko im zagwarantujemy, że interes jest bezpieczny. A to możemy zrobić. Gdyby nieprzyjaciel wiedział, czym się zajmujemy, już dawno wykorzystałby tę informację przeciwko nam.

- Może "Noc i Mgła" czeka, żebyśmy wpadli we własne sidła?

- Wkrótce "Noc i Mgła" przestanie istnieć.

- Chciałbym w to wierzyć - westchnął Rosenberg.

- Musimy w to wierzyć. Jeśli nie załatwią ich Set i Sopol, nikomu się to nie uda, a w takim przypadku jesteśmy zgubieni niezależnie od tego, czy wstrzymamy dostawę, czy nie. Więc zrób to. Wydaj polecenia. Wyślij towar.

#### **IV.**

*Rzym.* Znużony Amerykanin z obolałymi plecami od tkwienia przez wiele godzin na twardym krześle, zakrztusił się kanapką z serem i salami, gdy dotarło do niego, co właśnie zobaczył na ekranie monitora.

- A niech to...

Upuścił kanapkę na metalowy stolik obok puszkę coli i gwałtownie pochylił się do

przodu, żeby zatrzymać taśmę.

- Chodźcie! Musicie to obejrzeć!

Dwoje agentów, mężczyzna i kobieta, odwróciło ku niemu oczy zmęczone od wielogodzinnego wpatrywania się w monitor.

- Co obejrzeć? - zapytał mężczyzna. - Nic innego nie robię, tylko ciągle oglądam...

- I nic - dodała kobieta. - Te cholerne gęby zamazują się, zmieniają w punkty na ekranie, a potem...

- Do diabła, mówię przecież, chodźcie i zobaczcie.

Przecięli urządzone po spartańsku pomieszczenie i stanęli obok kolegi.

- Dawaj.

Cofnął taśmę o trzydzieści sekund i włączył start. Punkciki na monitorze stały się obrazami.

- Twarze - westchnęła kobieta. - Znów te cholerne twarze.

- Patrz dalej - powiedział pierwszy agent.

Wskazał pasażerów wyłaniających się z tunelu w hali przylotów.

- Tutaj.

Nacisnął przycisk "pauza".

Siatka drobnych linii pokrywała głowę i tors mężczyzny zatrzymanego w kadrze w chwili, gdy wchodził do hali. Był ubrany w luźny sportowy płaszcz i koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Nawet tak swobodny strój nie mógł ukryć muskularnej klatki piersiowej i ramion. Miał kanciastą i opaloną twarz, inteligentne oczy i spłowiałe od słońca włosy.

- Nie wyrzuciłabym go z łóżka.

- Wątpię, czy jeszcze byś żyła, gdyby cię przeleciał.

- Co takiego?

- Patrz dalej!

Amerykanin zwolnił pauzę i włączył start. Przed kamerą zaczęły się przesuwać nowe twarze. Włoskie służby wywiadowcze zainstalowały ten system na wszystkich terminalach rzymskiego lotniska. Była to próba usprawnienia służby bezpieczeństwa, zwłaszcza dla ochrony przed terrorystami. Taśmy po przejrzeniu przez miejscowych specjalistów, przekazywano różnego rodzaju organizacjom cywilnym, wojskowym i politycznym.

- Dobra, kogo jeszcze mamy sobie obejrzeć? - zapytał drugi.

- Tego. Tutaj.

Pierwszy agent nacisnął przycisk pauzy.

Inny pasażer zamarł w miejscu z siatką linii na twarzy. Był wysoki, chudy, blady,

rudowłosa, o zimnych oczach.

- A niech to...! - powiedziała kobieta.

- Co za zbieg okoliczności, dokładnie to samo powiedziałem. Wyprostował się. Puls miał przyspieszony.

- Gdybyście sprawdzili w kartotece...

- Ten facet to...!

- Pseudonim Set - dokończył. - Nie ma groźniejszego płatnego mordercy. Z wyjątkiem...

Cofnął taśmę.

- Popatrzcie jeszcze raz.

Podniecony, uruchomił monitor. Muskularny blondyn ponownie wyszedł z tunelu i pojawił się przed kamerą.

- Tak... - szepnął drugi agent.

- Pseudonim Sopol - wyjaśnił pierwszy. - Ludzie, to, co tu mamy, to...

- Przypomnienie, żeby uważać - przyznał jego kolega. - Te dranie naprawdę czasem się pokazują, chociaż trzeba się nieźle wynudzić czekając na nich.

- Nie tylko o to chodzi - przerwała kobieta. - Obserwujemy monitory całymi dniami. I nagle mamy dwóch jednocześnie. Razem, chociaż próbują udawać, że podróżują oddzielnie.

- Może sami nie wiedzieli, że są w jednym samolocie?

- Daj spokój - prychnęła kobieta. - Ci faceci są mistrzami.

- W porządku, punkt dla ciebie.

- Pozostaje tylko pytanie - wtrącił pierwszy - czy wiedzieli o tym wcześniej, czy też zorientowali się dopiero po starcie.

- Skąd jest ten lot?

- Z Toronto. Czy coś się tam działo?

- Ostatnio nic, o ile nam wiadomo.

- Więc skoro nie byli na akcji w Toronto...

- Musieli spotkać się tam i zostali wysłani do Rzymu.

- Może przypadkowo złapali ten sam samolot - podsunął drugi.

- Ci faceci niczego nie robią przypadkowo.

- Może pracują po przeciwnych stronach. Chociaż nie, to chyba mało prawdopodobne.

Nie wyglądali na zdenerwowanych, kiedy wysiadali z samolotu.

- Oczywiście, że nie - odrzekła kobieta. - To zawodowcy. Nie tacy jak niektórzy z nas.

Spojrzała znacząco na drugiego agenta i zwróciła się do pierwszego:

- Ale moim zdaniem...

- Podróżują razem - dokończył ten. - Są ostrożni, ale nie próbują się maskować. Nie dbają o to, czy ich zauważymy. Szykuje się coś dużego i dają nam sygnał: "To nie jest interes".

- Porachunki osobiste?

- Wydaje się, że bardzo osobiste. Mówią nam: "Jesteśmy tutaj, gramy otwarcie. Jesteśmy spokojni, więc wy też zachowajcie spokój. To was nie dotyczy".

- Może - powiedziała kobieta. - Ale jeśli się nie mylisz, niech Bóg ma w opiece tego, o kogo im chodzi.

## V.

*St. Paul, stan Minnesota.* William Miller nacisnął pedał gazu w audi, które pozostawiono na parkingu, gdy Frank Miller zniknął przed czterema miesiącami. Chociaż włożył ciemne okulary, słońce raziło go w oczy, głowa mu pękała, ale nie od upału. Skręcił w wysadzaną drzewami aleję, wjechał na podjazd i zahamował tak gwałtownie, że szarpnął pasem bezpieczeństwa. Wysiadając zobaczył żonę, która jak szalona biegła przez trawnik.

- Miałem spotkanie z architektem miasta - powiedział. - Kiedy sekretarka przekazała mi tę wiadomość... - gniew odebrał mu na chwilę głos. - Gdzie to jest?

- W basenie.

- Co?!

- Nie widziałam tego rano, kiedy piłam kawę na tarasie. Ktokolwiek to zrobił, musiał zaczekać, aż wyjdę po południu na tenisa.

Poszła za mężem, który przeciął klomb obok domu. Dotarł na tyły willi, stanął na brzegu basenu i spojrzał z obawą w dół.

Basen był pusty. Miller zamierzał wezwać w ten weekend jedną ze swoich ekip budowlanych i odnowić go, zanim napuści wodę na lato.

Na dnie basenu ktoś namalował czarną farbą groteskowy symbol, rozciągnięty na całej powierzchni, od ściany do ściany.

Miller poczuł suchość w gardle. Musiał przełknąć ślinę, żeby móc się odezwać.

- Dali nam czas. Chcieli, abyśmy myśleli, że odeszli, że zadowolili się uprowadzeniem ojca.

Wydał z siebie zduszony dźwięk, patrząc wciąż na wizerunek w dole: ogromny, czarny, wstrętny. Trupia czaszka.

- Czego oni do cholery chcą? - przerwała milczenie żona. Odpowiedział jej pytaniem na pytanie:

- I co, do diabła, mamy robić?

## TEATR CIENI

### I.

*Wiedeń.* Znowu padało, chociaż w porównaniu z ulewą poprzedniego dnia była to tylko mżawka. Saul idąc promenadą naddunajską z rękami w kieszeniach kurtki, musiał sobie przypominać, że jest czerwiec, a nie marzec.

Z drugiej strony, przyznał, nie ma nic dziwnego w tym, że marznie. Przywykł do upału izraelskiej pustyni. Pomyślał o rowach melioracyjnych, nad których ukończeniem tak ciężko pracował. Dwa dni takiego deszczu zamieniłyby jego jałowe pole w oazę. Wyobrażając sobie podobny cud, do bólu zatęsknił za domem. Zastanawiał się jednak, czy kiedykolwiek będzie mu dane tam wrócić.

Słysząc było warkot barek na zamglonej deszczem rzece. Saul przemknął pod ociekającymi wodą drzewami parku i podszedł do ciemnej estrady dla orkiestry. Drewniana podłoga ugięła się lekko pod jego ciężarem. Na balustradzie siedział obrócony bokiem mężczyzna i paląc papierosa patrzył na deszcz. Ubrany był w jasnobrązowy płaszcz nieprzemakalny z rozpiętymi metalowymi zatrzaskami. Pod nim nosił ciemniejszy, również brązowy garnitur. Miał wystający podbródek, a na policzkach ślady po ospie. Spokojnie wydmuchiwał dym, jakby nie słyszał kroków Saula.

Saul był świadom obecności drugiego mężczyzny w identycznym brązowym płaszczu od deszczu, czekającego pod pobliskim kasztanem i z niezwykle zainteresowaniem obserwującego ptaki, które schroniły się na gałęziach nad jego głową.

Dach estrady przeciekał w kilku miejscach. Krople wody kapały na deski. Saul zatrzymał się w pewnej odległości od mężczyzny siedzącego na balustradzie.

- I co, Romulus - powiedział ospowaty odwracając się - jak się czujesz?

- Jak wolny ptak.

- Bez żartów. Zostałeś rozpoznany, gdy tylko pojawiłeś się na lotnisku. Od początku mamy cię na oku.

- Nie próbowałem przedostać się ukradkiem. Pierwsza rzecz, jaką zrobiłem, to poszedłem do telefonu i nawiązałem kontakt z piekarnią. To spotkanie jest moim pomysłem, nie pamiętasz?

- I tylko dzięki temu, mój drogi, jeszcze chodzisz po ziemi. Mężczyzna cisnął papierosa w deszcz.

- Masz paskudny zwyczaj nieprzestrzegania reguł.



- To mój brat je złamał.
- Zgoda. Ale pomogłeś mu uciec, zamiast go zatrzymać.
- Przypuszczam, że ty nie masz braci.
- Owszem, trzech.
- Na moim miejscu, pomógłbyś im czy stanąłbyś po przeciwnej stronie?

Ospowaty nie odpowiedział.

- Poza tym mój brat został w końcu zabity.

Głos Saula zdrzął. Pomimo upływu trzech lat wspomnienie śmierci Chrisa wciąż sprawiało mu straszliwy ból.

- Jesteśmy tu, żeby rozmawiać o tobie, a nie o nim.

- Przyznaję, że zawarłem z Langley umowę. Wygnanie. Pobyt na pustyni. Zaszły jednak pewne wydarzenia.

- Jakie wydarzenia?

- Zaatakowano osadę, w której mieszkam. Moja żona i syn omal nie zginęli.

- W Izraelu - mężczyzna wrzucił ramionami - takie rzeczy się zdarzają.

- To było coś innego! Chodziło o nas!

Ospowaty zmrużył oczy.

- Dzień wcześniej zniknął ojciec mojej żony. Tutaj, w Wiedniu. Dlatego opuściłem Izrael, żeby się dowiedzieć, co...

- W porządku, rozumiem. Opanuj się.

Ospowaty ruchem ręki uspokoił kolegę pod drzewem, który słysząc, że Saul krzyczy, zaczął się zbliżać.

- Chcesz powiedzieć - zmierzył Saula wzrokiem - że nie wracasz do pracy? Nie wynająłeś się innej firmie?

- Praca? Myślisz, że dlatego tu jestem? Praca? Zaraz szlag mnie trafi!

- To obrazowe, Romulus, ale nic nie znaczy. Kiedy będę zdawał raport, moi zwierzchnicy zażądadają konkretów.

- Cały czas zdajesz raport. Na pewno masz założony mikrofon. W tej niebieskiej furgonetce przy wejściu do parku nagrywają każde słowo. Może zaprzeczysz?

Ospowaty nawet nie spojrzał w stronę samochodu.

- No dobra, więc nagrajcie to - ciągnął Saul. - Nie jestem na niczyjej liście plac. To kłopoty rodzinne. Proszę o zwolnienie z umowy. Czasowe. Dopóki nie załatwię swoich spraw. Potem natychmiast wsiadam w powrotny samolot do Izraela.

Twarz Ospowatego przybrała wyraz zamyślenia.

- Moi zwierzchnicy będą chcieli wiedzieć, dlaczego mieliby się zgodzić na to zwolnienie.

- Przez uprzejmość.

- Ach tak?

- W zamian ja wyświadczę im przysługę.

Ospowaty powoli wstał z balustrady.

- Wyrażaj się jasno. Przysługa? To ma być oficjalna prośba?

- Przysługa za przysługę. Nie mam wyboru.

- Zrobisz wszystko, czego zażądata?

- Z pewnym wyjątkiem.

- Więc oferta nie jest poważna.

- Mylisz się. Jest bardzo poważna. Będę jednak musiał wiedzieć, o jakie zadanie chodzi. Istotny jest nie tyle stopień ryzyka, co cel misji. Wolałbym, żeby nie była samobójcza. Ale nie może być sprzeczna z zasadami moralnymi.

- Od kiedy to przestrzegasz zasad moralnych, Romulus?

- Odkąd mieszkam na pustyni. Na wypadek, gdyby twoi zwierzchnicy o tym nie pomyśleli, chciałbym przypomnieć, że agent oficjalnie wyrzucony z siatki, ale w tajemnicy z nią współpracujący, może mieć wielką wartość. Nikt nie łączyłby mnie z wami.

Ospowaty patrzył na niego z głębokim namysłem.

- Aż tak bardzo chcesz wyjaśnić, co się stało z twoim teściem?

- I ochronić rodzinę przed kolejnym atakiem. Powiedziałem ci, że to nie interes, tylko sprawa osobista.

Ospowaty wzruszył ramionami.

- Moi przełożeni będą musieli przesłuchać taśmę z naszą rozmową.

- Jasne.

- Damy ci znać.

Ospowaty ruszył przez estradę, jego kroki zadudniły na deskach.

- Zatrzymałem się w mieszkaniu teścia. Dałbym ci adres i numer telefonu, ale przypuszczam, że już je znacie.

Mężczyzna odwrócił się, spojrział na Saula i skinął głową. Gest ten był dwuznaczny. Mógł oznaczać zarówno pożegnanie, jak szacunek.

## II.

Eryka obserwowała odjeżdżającą furgonetkę z księgarni po przeciwnej stronie ulicy. Zaczekała, aż samochód zniknie za zakrętem i spojrzała w stronę parku. Estrada była ledwie widoczna w deszczu. Przypuszczali z Saulem, że łącznik Agencji nie będzie sam. Tak więc ona musiała przyjść tu wcześniej jako obstawa męża.

Wyszła z księgarni, naciągnęła na głowę kaptur ortalionowej kurtki i wybiegła na deszcz.

Saul czekał przy estradzie.

- Myślisz, że się zgodzą? - zapytała.

- Jeśli uznają, że będą coś z tego mieli. Musiałem obiecać przysługę za przysługę.

Głos Eryki tchnął rozpaczą.

- Tak mi przykro. Wiem, jak bardzo nie chcesz znów dla nich pracować.

- Czy jest inne wyjście? Mam nie robić nic, żeby odnaleźć ojca i bronić nas samych? Tego bym nie zniósł. Liczy się tylko jedno - bezpieczeństwo naszej rodziny.

- Im lepiej cię poznaję, tym mocniej cię kocham.

- Podejdź bliżej, kiedy mówisz takie rzeczy.

Zdjął kaptur jej kurtki, wsunął dłonie pod długie ciemne włosy i objął Erykę za szyję. Potem delikatnie przyciągnął do siebie i zaczął całować krople deszczu na jej policzkach.

Eryka wyczuwała jednak zdenerwowanie męża.

- A jeśli nie wyrażą zgody?

- Będę musiał robić swoje tak czy inaczej.

- Nie - odrzekła. - Zrobimy to razem. Uścisnęła go.

- I niech Bóg ma w opiece tego, kto spróbuje stanąć nam na drodze - dodała.

### III.

”Zatrzymałem się w mieszkaniu teścia. Dałbym ci adres i numer telefonu, ale przypuszczam, że już je znacie.”

Wydmuchując dym z papierosa, Ospowaty wychylił się ze skórzanego fotela i wyłączył stojący na stole magnetofon. Zwrócił się do szefa austriackiej sekcji CIA:

- Chcesz przesłuchać jeszcze raz?

Zamigotały błyszczące światelka. Trzej pozostali agenci zebrani w wyłożonym dębową boazerią pokoju, siedzieli bez ruchu, niczego po sobie nie pokazując. Szef bębnił palcami po stole.

Nazywał się Gallagher. Niski żyłasty mężczyzna w niebieskim prążkowanym

garniturze, przestał stukać w blat i oparł się mocno na rękach.

- Nie, trzy razy wystarczy. Zrozumiałem, co powiedział, ale ty tam byłeś, a ja nie. Widziałeś wyraz jego oczu. Czy Romulus mówił poważnie?

- Chodzi ci o moje odczucia? Tak.

Ospowaty zgasił papierosa.

- Romulus zrobi dla nas wszystko, pod warunkiem, że misja nie będzie samobójcza, a on nie wysunie zastrzeżeń co do jej celu?

- Znowu pytasz o odczucia? Tak.

- No, no.

Łysawy mężczyzna zdecydował się zaryzykować uwagę:

- To oznaczałoby zasadniczą zmianę w jego położeniu. W pierwotnej umowie zgodził się na wygnanie, a my obiecaliśmy zostawić go w spokoju.

- Człowiek z jego talentem - zabrał głos Gallagher - mógłby być bardzo użyteczny, gdyby znów włączył się do gry, a nikt nie wiedziałby, że pracuje dla nas. Wyborowy agent, światowej klasy zabójca. A poza tym zdaje się na naszą łaskę.

- Ale tylko raz - przypomniał Ospowaty.

Gallagher oderwał od stołu stwardniałe od trenowania karate palce i potarł skronie.

- A zatem, jeśli chce prowadzić prywatną wendetę, pozwólmy mu na to. Coś mnie jednak niepokoi.

Zebrani czekali, by usłyszeć, co takiego.

- Ta prywatna wendeta może mieć konsekwencje zawodowe. Nie wiemy przecież, kto stoi za atakiem na Romulusa i jego rodzinę, ani kto odpowiada za zniknięcie ojca jego żony. Musimy uzyskać pewność, że będzie działał sam, nie związany z nikim.

- Nie rozumiem - powiedział Ospowaty.

- Zaraz zrozumiesz. Romulus na pewno nie może się doczekać wiadomości od nas. Najwyższy czas, żebym zapytał o zgodę Langley.

#### IV.

Deszcz ustał. Światła uliczne odbijały się w kałużach i od mokrej trawy. Nocne powietrze pachniało słodko. Saul skręcił z naddunajskiej promenady i, badając wzrokiem ciemny park, po raz drugi tego dnia podszedł do estrady.

Jak poprzednio, Ospowaty siedział na balustradzie, czekając na niego.

- Romulus - Ospowaty wykrzywił się w uśmiechu, rozkładając ramiona w powitalnym

geście - masz dobry dzień. Zostałem upoważniony przez centralę, żeby wyrazić zgodę na twoją propozycję.

Saul odetchnął z ulgą.

- W porządku.

Odzyskał równowagę.

- Kiedy załatwię sprawy rodzinne, czekam na zlecenie, żeby wywiązać się ze swojej części umowy.

- Nie miej złudzeń. Dostaniesz robotę. Saul odwrócił się, aby odejść.

- Jest jednak pewien problem, Romulus.

- Problem?

Saul zamarł w napięciu.

- No, może nie problem. Nazwijmy to warunkiem albo zastrzeżeniem.

- O co ci chodzi?

- Nie możesz korzystać z pomocy swoich izraelskich przyjaciół.

- Co takiego?

- Z punktu widzenia moich zwierzchników jesteś dla nich cenny tylko wtedy, jeśli będziesz postrzegany jako wolny strzelec.

- Postrzegany jako... Do cholery, mów jaśniej!

- To, co masz zamiar zrobić, musi pozostać twoją prywatną sprawą. Jeśli przyjmiesz pomoc od wywiadu izraelskiego, będzie to wyglądało tak, jakbyś z nimi współdziałał, pracował dla nich.

- Teść był w Mossadzie, na miłość boską. Oczywiście, że z nimi współpracuję. Chcą wiedzieć, co się stało, tak samo, jak ja.

- Powtarzam jeszcze raz: nie możesz korzystać z pomocy Mossadu ani żadnej innej siatki. Nasze plany co do ciebie wymagają pełnej niezależności od wszelkich organizacji. Musisz być całkowicie wolny od obcych wpływów. W przeciwnym razie, jeśli misja, którą ci wyznaczymy, nie powiedzie się, jeśli tobie się nie powiedzie, wróg będzie winił Izrael, Izraelczycy nas i wyładujemy w takim samym gównie, jakbyś nadal był na naszej liście płac. Powiedziałeś, że to sprawa prywatna. Niech tak zostanie. Żadnej pomocy z zewnątrz. Jeśli nie zgodzisz się na ten warunek, będziemy zmuszeni ukarać cię za niedotrzymanie poprzedniej umowy.

- Dranie. Nie powinienem był...

- Pertraktować z nami? Romulus, czy to ci się podoba, czy nie, nie miałeś wyboru. Inaczej już byś nie żył.

- Jak niby mam...

- Użyj swoich słynnych zdolności. Jestem pewien, że wywiad izraelski zebrał już informacje, które naprowadza cię na trop. Proszę bardzo, skorzystaj z nich. Środowisko zawodowe nie będzie zdziwione, że Mossad skontaktował się z tobą w sprawie ojca twojej żony, jednego z ich byłych agentów. Ale od tej chwili koniec z tym. Jesteś sam.

- Kto w to uwierzy?

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Ten park. Ta estrada. Spotykamy się tutaj drugi raz w ciągu jednego dnia. Nawet nie staramy się maskować. Inne siatki na pewno nas obserwują.

- Tak też przypuszczam. Co więcej, mam nadzieję, że tak rzeczywiście jest.

Saul z wściekłością podniósł pięści.

- Doskonale, Romulus. Już czas zacząć przedstawienie.

Zdezorientowany, Saul opuścił ręce.

- Masz mnie zaatakować - wyjaśnił Ospowaty. - Moja obstawa będzie udawać, że chce cię zastrzelić. Masz okazać swoją niechęć do nas. Udowodnić innym siatkom, że nadal nic cię z nami nie łączy. Pozwól, że to ci ułatwię.

Mężczyzna wstał z balustrady i z całej siły uderzył Saula w brzuch.

Nieprzygotowany Saul zgiął się w pół, tracąc oddech.

Ospowaty podniósł pięść do ciosu w twarz.

Instykt okazał się silniejszy niż zaskoczenie i ból. Odskakując, aby uniknąć uderzenia, Saul ze złością pchnął nasadą dłoni bark napastnika. Zatrzeszczał staw. Mężczyzna upadł jęcząc, ze zwichniętym ramieniem.

- Ty głupi skurwysynu! - krzyknął Saul. - Mogłem cię niechcący zabić!

Strzał wstrząsnął ciszą parku. Kula trafiła w słup, który podtrzymywał dach estrady. Saul rzucił się na podłogę.

Ospowaty leżał obok niego, przytrzymując ramię i zwijając się z bólu.

- Witaj z powrotem w teatrze cieni, Romulus. Wynoś się stąd.

- Czy to wasz człowiek? - zapytał Saul z odrazą.

- Powiedziałem, wynoś się stąd!

Pocisk rozszczepił balustradę. Saul poturlał się po deskach. Trzecia kula uderzyła w poręcz schodów. Saul rzucił się do bariery po przeciwnej stronie estrady, przeskoczył ją i wylądował na mokrej od deszczu trawie. Oddzielony sceną od strzelca mającego sprawiać wrażenie, że nie żartuje, pomknął w ciemnościach w kierunku karuzeli. Rozwścieczył go sposób, w jaki starano się nim manipulować. Gotowość łącznika, aby znieść ból, jeśli

organizacja tego zażąda, wzbudzała obrzydzenie. "Witaj z powrotem w teatrze cieni", powiedział Ospowaty. Właśnie! Cienie, złudzenia - myślał Saul z niechęcią. W nocy nawet najzdolniejszy snajper może się pomylić i nie chybi.

Huknął strzał. Kula odłamała nos cętkowanemu koniowi. Dość tego, miał ochotę krzyknąć Saul, już zrobiliście swoje.

Zza karuzeli wyskoczył ciemny kształt. W pierwszej chwili Saul pomyślał, że Eryka idzie mu z pomocą, nie rozumiejąc, że to tylko przedstawienie wyreżyserowane przez siatkę. Postać podniosła broń.

To nie Eryka! Celują we mnie!

Misza Pletz dał mu berettę. Wyszarpnął ją spod skafandra, ale zamiast wypalić do nieprzyjaciela przed sobą, popędził w prawo, z nadzieją, że uda mu się ukryć między drzewami. Strzał oddany ze znacznie bliższej odległości, zadzwonił mu w uszach. Kula ścieła liście krzaka nie opodał. Saul dał nurka za kamienną ławkę i złożył się, aby wygarnąć do napastnika obok karuzeli.

Ale postać zniknęła. Usłyszał za sobą stukot pośpiesznych kroków. Ktoś biegł chodnikiem od strony estrady. Z przodu jakiś cień wychylił się zza drzew i wycelował broń. Saul nacisnął spust. Kształt schował się w zaroślach.

Pocisk trafił w ławkę. Saul musiał się uchylić od kamiennych odprysków. Kula nie nadleciała ani z tyłu, ani z przodu, lecz z boku. Pochodziła od trzeciego strzelca. Saul rzucił się do ucieczki. Ktoś krzyczał. Wyły syreny. Z kluciem w płucach wypadł z parku. Drzewa skończyły się. Miał przed sobą promenadę nad Dunajem. Skręcił w prawo. Pięćdziesiąt jardów dalej jakiś cień wyłonił się zza krzaków. Saul skręcił w lewo. Kolejna postać! Chwycił za metalową barierkę, nabrał powietrza, odbił się i skoczył.

Zalała go lodowata fala. Nie był pewien, ale gdy walcząc z ciężarem mokrego ubrania płynął pod wodą w kierunku środka rzeki, wydawało mu się, że kula uderza o powierzchnię.

## V.

Eryka ukryta w parku od strony ulicy, obserwowała mroczną estradę. Zesztywniała, gdy zobaczyła, że łącznik uderza Saula w brzuch. Biegąc naprzód z wyciągniętym pistoletem, zdecydowana bronić męża, widziała, jak Saul uchyla się od następnego ciosu i powala napastnika na deski. Strzał. Saul skacze z estrady. Zamieszanie. Najpierw jeden, potem dwóch, następnie trzech uzbrojonych ludzi pędzi przez ciemny park. Kolejne strzały. Wycie syren z daleka. Jedyłą myślą Eryki było dołączyć do męża i pomóc mu. Ale zamęt

narastał. Saul pędzi przez park, wypada z krzaków i przeskakuje barierkę nad Dunajem. Jeden z napastników strzela w wodę, odwraca się i widzi inne postaci mknące w jego kierunku. Prowadząc nieprzerwany ogień, nie tyle, aby kogoś trafić, co w celu odwrócenia uwagi, snajper sady promenadą i znika w nocy. Syreny wyją coraz głośniejsze. Cienie wyskakują z parku i rozbiegają się w przeciwne strony.

Eryka była jednym z nich. Nie mogła przewidzieć, w którym miejscu Saul wynurzy się z rzeki. Wiedząc, że mąż uczyni wszystko, co w jego mocy, aby się uratować, musiała pamiętać o własnych obowiązkach. Właściwie założyła z góry, że Saul tego właśnie będzie od niej oczekiwał. Wycofała się w kierunku, z którego przybyła, przebiegła przez jezdnię i skręciła w szeroką aleję. Dotarła do jej końca w chwili, gdy przed parkiem zatrzymały się samochody policyjne. Przecięła jeszcze następną ulicę, myśląc tylko o jednym. Tak, Saul zrozumie, że nie mogła go znaleźć. Musi się sam ratować. Ona powinna strzec...

Zabłyły przed nią światła restauracji. Wpadła do holu, w którym czuć było kiszoną kapustę, i wrzuciła kilka monet do automatu telefonicznego.

Wykręciła numer mieszkania ojca. Jeden sygnał. Drugi. Nikt nie odpowiada. Trzeci sygnał.

Poczuła ulgę, gdy usłyszała w słuchawce znajomy spokojny głos.

- Halo?

- Misza, tu Eryka! Nie mam czasu na wyjaśnienia - z trudem łapała oddech. - Jest niedobrze! Obudź Christophera! Nawet go nie ubieraj! Uciekajcie stamtąd!

Na linii zapadła cisza.

- Halo?!

- Gdzie mam się z tobą spotkać?

- Tam, gdzie ojciec miał pójść, a nie poszedł! - odpowiedziała. - Rozumiesz? Codziennie rano i wieczorem.

- Tak - odparł Misza. - Zaraz obudzę małego. Nic mu nie będzie.

- Dałby Bóg!

- Żeby tylko tobie nic się nie stało.

- Pośpiesz się!

Odłożyła słuchawkę, odwróciła się i zobaczyła zdziwione twarze gości restauracyjnych. Przepchnęła się między klientami i wypadła na zewnątrz.

Co z Saulem, niepokoiła się biegnąc ulicą. Czy żyje? Czy dotrze tam, gdzie byli umówieni?



## VI.

Głos Gallaghera miał siłę krzyku:

- Czy to byli nasi?

Ospowaty skrzywił się z bólu, poprawiając temblak na zwichniętym ramieniu.

- Nie, chyba że wysłałeś jeszcze jedną ekipę, żeby nas kryła. Ci na pewno nie byli z mojej grupy.

- Chryste.

Gallagher siedział sztywno u szczytu stołu. Dwaj inni mężczyźni czekali w pełnej napięcia ciszy. Szef bębnił palcami po blacie.

- Trzech?

- Tak, nie licząc naszych - odparł Ospowaty. - Rozegraliśmy to tak, jak chciałeś. Uderzyłem go. Zaczął się bronić. Nasz strzelec wyborowy otworzył ogień, pozorując, że ma zamiar go zabić.

- Opowiedz o tamtych - zażądał Gallagher.

- Jeden był schowany za karuzelą. Dwaj inni pojawili się nie wiadomo skąd. Próbowali złapać Romulusa w kleszcze.

- Nie udawali? Jesteś pewien, że chcieli go załatwić?

- W każdym razie tak właśnie myślał Romulus. Odpowiedział na ich ogień. Napastnicy uciekli, zanim przyjechała policja. Oczywiście my też zniknęliśmy.

Gallagher przygryzł wargi.

- Szkoda, że Romulusowi nie udało się któregoś sprzątnąć. Przynajmniej mielibyśmy ciało. Wiedzielibyśmy, kto jeszcze bierze udział w grze. Cholera, twoja ekipa powinna była lepiej pilnować parku.

- Nie mogliśmy. Powiedziałeś, że chcesz mieć świadków z innych siatek. Całe to przedstawienie było po to, żeby udowodnić wszystkim organizacjom, że Romulus dalej jest w niełasce. Musieliśmy się wycofać, aby pozwolić publiczności zająć miejsce.

- Wspaniale! Skoro operacja przebiegała tak dobrze, dlaczego się nie powiodła?

- Może jednak odniosła skutek.

Gallagher uniósł pytająco brwi.

- W każdym razie, ponieważ Romulus omal nie został zabity, inne siatki będą tym bardziej przekonane, że nie jest z nami związany - wyjaśnił Ospowaty. - Nic się nie zmieniło. Dalej może prowadzić swoją wendetę. W dalszym ciągu musi nam oddać obiecaną przysługę.

- Czyżby? A jeśli Romulus sądzi, że napastnikami byli nasi ludzie? Jeśli dojdzie do

wniosku, że operacja wymknęła się spod kontroli i rzeczywiście próbowaliśmy go zabić? Nie odda nam żadnej przysługi. Raczej zwróci się przeciwko nam. Co za bagno! Chcąc zatrzymać Romulusa po naszej stronie, aby go później wykorzystać, będziemy może zmuszeni mu pomóc.

- Na razie - mruknął Ospowaty - nawet nie wiemy, czy żyje.

## VII.

Skostniały i wyczerpany Saul brodził w płytkiej wodzie. Wy dostał się spoza zasięgu strzałów, płynąc najpierw z prądem, a potem przez rzekę. Zajęło mu to piętnaście minut. Światła na przeciwległym brzegu lśniły chłodnym blaskiem. Wyszedł z mułu na betonową platformę, minął przystań i znalazł się na wąskiej uliczce za nadbrzeżnymi magazynami. Nikt nie próbował go ścigać. Na razie czuł się bezpieczny. Ale pytania nie dawały mu spokoju. Kto usiłował go zabić? Czy mimo wszystko jego była siatka zdecydowała, że ma ponieść karę? Pokręcił z powątpiewaniem głową, nie mogąc w to uwierzyć. Ospowaty nie ustawiłby się na linii ognia. Więc może przedstawienie zaczęło być zbyt realistycznie? Czy też nieznani jeszcze wrogowie wykorzystali okazję, aby ponowić zamach na niego? Gdyby Saul został zabity w parku, odpowiedzialność przypisano by jego poprzednim pracodawcom. Nie przekonaliby innych siatek o swojej niewinności, a prawdziwych napastników nigdy by nie wykryto.

Drżąc z zimna, Saul zebrał siły, aby rozważyć kwestię, która niepokoiła go jeszcze bardziej. Eryka i Christopher. Żona widząc, co się dzieje, na pewno zdała sobie sprawę, że nie może mu pomóc i zajęła się synem. Liczył na to, że tak zrobiła. Jej pierwszym krokiem powinien być kontakt z Miszą Pletzem i ostrzeżenie go, aby uciekł z Christopherem w bezpieczne miejsce. Zaczął iść z większą determinacją. Teraz myślał już tylko o jednym. Punkt, w którym byli umówieni. Musi się tam dostać.

## VIII.

Christophera wciąż jeszcze bolały oczy od nagłego przebudzenia. Na niebieskiej piżamce miał sweter, który kazał mu włożyć mężczyzna o zgarbionych ramionach, Misza Pletz. W nosku szczypało go od gęstych chmur tytoniowego dymu, do buzi ciekła ślinka od zapachu kakao, który wypełniał salę pełną stolików i śmiejących się ludzi o czerwonych policzkach. Przypomniał sobie pośpiech, z jakim Misza niósł go po schodach, szybką jazdę samochodem do tej kawiarni, jak nazwał to miejsce Misza. Nagle pojawiła się mama i zaczęła

go tulić, z oczami zaczerwienionymi od łez. Wszystko było takie dziwne. Siedział teraz na ławce pod ścianą, między mamą i Miszą. Nic nie rozumiał z ich rozmowy.

- Jeśli go tu nie będzie za kwadrans - mówiła mama - nie możemy dłużej ryzykować.

Muskularny człowiek w białym fartuchu nachylił się ku niej.

- Chodźcie do kuchni. Właśnie dostaliśmy rzadki gatunek kawy. Znowu zrobiło się zamieszanie. Mama niesie go przez wahadłowe drzwi. Misza idzie przodem. Błyszczące metalowe lady. Parujące garnki. Tata w mokrym ubraniu wychodzi z jakiegoś pokoju. Misza śmieje się. Mama płacze, obejmuje tatę.

- Bogu dzięki.

## IX.

- Szybko. Musimy uciekać - powiedział Misza.

- Dokąd? - zapytał Saul.

- Z powrotem do Izraela.

- Nie - sprzeciwiła się Eryka. - My nie.

- Nie rozumiem.

- Tylko ty i Christopher. Zabierz go z sobą. Zaopiekuj się nim.

- A co z wami?

- Christopher nie będzie bezpieczny, dopóki coś grozi nam dwojgu. Jeśli coś się nam stanie, umieść go w kibucu. Daj mu nową tożsamość.

- Nie wierzę, że Agencja próbowała mnie zabić - stwierdził Saul. - To był ktoś inny. Ludzie, których ścigamy.

- Nawet jeśli jest tak, jak mówisz, czy możesz ufać swojej byłej siatce?

- Nie mam wyboru. Ale w zamian za zgodę na mój powrót z wygnania musiałem zawrzeć z nimi umowę. Obiecałem, że nie będę korzystał z waszej pomocy. Musimy działać sami.

- Ale...

- Nie. Mamy informacje, jakich nam udzieliłeś. Musimy podjąć ryzyko. Jeśli przegramy, przejmijcie sprawę. Nie pozwólcie, żeby te dranie zwyciężyły.

- Jesteś pewien, że nie ma innego sposobu?

- Żebyśmy przeżyli - Saul pokręcił z powątpiewaniem głową - i wrócili do Christophera? Nie.

## X.

Tata go całuje. Dlaczego tata płacze?

- Do widzenia, synku. Misza, opiekuj się nim.

- Zawsze pamiętaj, Christopher...

Dlaczego mama też płacze? Znowu całusy. Łzy mamy mokre na jego policzku.

- Kochamy cię.

Krzyk zza wahadłowych drzwi:

- Wstęp wzbroniony!

- Znaleźli nas! Pośpieszcie się! - woła Misza.

Pęd w stronę tylnego wyjścia. Ciemność, niekończąca się aleja. Kiedy spojrzął za siebie, z przerażeniem zauważył, że on i Misza biegną w jedną stronę, a rodzice w drugą. Nie mógł ich już dojrzeć oczami pełnymi łez.

## WIECZNE MIASTO

### I.

Shean i Arlene przebrani za księdza i zakonnice szli zatłoczoną via della Conciliazione w tłumie prawdziwych duchownych. Chociaż aleja nie była wąska, w porównaniu z otwierającą się przed nimi perspektywą wydawała się ciasna. Szeroki wylot ulicy przechodził z obu stron w rzędy doryckich kolumn, które łukiem otaczały plac, wschodni kraniec Watykanu. Piazza San Pietro.

- Dlaczego po angielsku nazywa się St.Peter's Square? - zapytała Arlene. - Przecież nie jest kwadratowy, tylko owalny.

Dotarli na środek placu. Pomiedzy dwiema fontannami stał egipski obelisk. Chociaż same w sobie imponujące, obelisk, fontanny i kolumny były jakby przytłoczone majestatem bazyliki Świętego Piotra, która wyrastała ponad nimi. Potężna kopuła lśniła w aureoli popołudniowego słońca. Po obu bokach bazyliki ciągnęły się renesansowe budynki. Olbrzymie schody prowadziły do wejścia.

- Nie miałam pojęcia, że jest tak wielka - wyszeptała Arlene.

- Wszystko zależy od punktu odniesienia - odparł Shean. - Cały Watykan, wraz z placem i bazyliką zająłby mniej niż jedną siódmą Central Parku w Nowym Jorku.

Odwróciła się ku niemu z niedowierzaniem.

- To prawda - dodał. - Całość ma powierzchnię niespełna pół kilometra kwadratowego.

- Teraz rozumiem, dlaczego Watykan nazywają najmniejszym państwem świata.

- Jest państwem od niedawna - ciągnął Shean. - Niezależność polityczną przyznano Watykanowi dopiero w 1929 roku. Możesz mi wierzyć albo nie, ale zrobił to Mussolini, chcąc uzyskać poparcie Kościoła.

- Myślałam, że nigdy tu nie byłeś.

- Zgadza się.

- Więc skąd to wszystko wiesz?

- Kiedy ty spałaś w samolocie, ja czytałem przewodnik.

- Spryciarz z ciebie - powiedziała widząc jego uśmiech. - Skoro jesteś takim ekspertem, to jak mamy się dostać na miejsce spotkania?

- Proszę za mną, siostró.

Poprowadził ją w lewo, chodnikiem biegnącym obok schodów bazyliki. Pokazując

watykańskie paszporty, minęli szwajcarów tradycyjnej gwardii papieskiej, których pasiaste mundury z bufiastymi rękawami i halabardy osadzone na długich drzewcach wyglądały bardziej teatralnie niż groźnie. Przeszli pod Arco delie Campane i znaleźli się na terenie stolicy Kościoła rzymskokatolickiego. Choć licza stałych mieszkańców Watykanu ledwo przekracza tysiąc, duchowni i oprowadzani przez przewodników świeccy turyści tworzą zawsze znaczny tłum.

Shean i Arlene przecięli mały prostokątny skwer - plac Pierwszych Męczenników Rzymskich. Z prawej strony wylaniała się bazylika. Z lewej, na końcu wąskiej uliczki cyprusy ocieniały niewielki cmentarz.

- Zaszczytu spoczywania tutaj dostępowali tylko wielcy dobroczyńcy Kościoła - wyjaśnił Shean. - Żeby uhonorować ich jeszcze bardziej, Watykan sprowadził ziemię z Jerozolimy, ze wzgórza, na którym ukrzyżowano Chrystusa.

Przeszli pod dwiema kolejnymi arkadami, minęli gmach sądu i okrążywszy bazylikę Świętego Piotra, przez labirynt wysadzanych drzewami alejek dotarli do celu - Ogrodów Watykańskich. Otoczyły ich fontanny i żywopłoty, stawy i kwiaty, stwarzające atmosferę spokoju. Jedna z fontann miała kształt hiszpańskiego galeonu. Woda tryskała z umieszczonych po bokach armat oraz z rogu w ustach putta zdobiącego dziób statku.

- Wiedziałem, że docenicie piękno tych ogrodów - rzekł ktoś za nimi. - Tutaj Rzym i cały świat wydają się takie odległe.

Choć odezwał się nagle, głos ich nie zaskoczył. Shean oczekiwał kontaktu. Odwrócił się do ojca Sebastiana.

- Czy to tutaj zginął?

- Ojciec Victor?

Ksiądz miał na sobie garnitur i białą koloratkę. Patrzył na nich ponuro.

- O drugiej nad ranem. Tam, przy stawie z liliami. Obok tego marmurowego anioła. Dwa strzały w głowę.

Shean zmarszczył brwi.

- Co tu robił tak późno?

- Miał z kimś spotkanie. Ojciec Victor był dokładny. Prowadził terminarz, który przedstawiał nam codziennie przed podjęciem czynności. Zapis pokazuje, że nie wiedział, z kim jest umówiony. Z notatek jednak wynika wyraźnie, że spotkanie dotyczyło zniknięcia kardynała Pavelicia.

Shean spojrział poprzez drzewa w kierunku wyniosłej bazyliki i innych watykańskich budowli.

- Czy zakładamy, że osoba, z którą ojciec Victor miał się zobaczyć, mieszka w Watykanie? To by tłumaczyło, dlaczego spotkanie wyznaczono w ogrodach. Ale z drugiej strony - Shean pokręcił głową - może chciano, żebyśmy właśnie tak pomyśleli. Ktoś z zewnątrz mógł wybrać to miejsce, aby wydawało się, że jest tutejszym rezydentem.

- Może zamiast osoby, z którą ojciec Victor był umówiony, albo po spotkaniu z nią, nadszedł ktoś inny? - podsunęła Arlene. - Niezidentyfikowany rozmówca, miejsce mogące nas skierować na fałszywy trop. Nie wiemy zupełnie nic.

- Oprócz tego, jakiego rodzaju rany odniósł ojciec Victor - powiedział ksiądz.

Shean ożywił się. - To znaczy?

- Strzelono mu prosto w twarz. Ślady prochu wskazują na bardzo małą odległość. Rozumiecie?

- Tak. W nocy wszystko jest możliwe. Ale z tego, co mówiłeś o ojcu Victorze, wynika, że był zawodowcem. Nawet zakładając, że fachowca też można wyprowadzić w pole, ślady prochu dowodzą, że zabójcą był ktoś, kogo znał, komu ufał na tyle, że pozwolił mu podejść blisko.

Ciemne oczy ojca Sebastiana rozbłysły:

- Prawdopodobnie ktoś z naszego Bractwa.

Shean spojrział na pierścień na środkowym palcu lewej ręki ojca Sebastiana. Złota oprawa. Wspaniałe rubiny. Insignia krzyża i miecza. Znowu zmroził go ten symbol połączenia religii i przemocy, przypominający o wymuszonej współpracy z Bractwem Kamienia.

- Może to ten sam człowiek, który dwukrotnie usiłował wam przeszkodzić w nawiązaniu z nami współpracy - ciągnął ksiądz. - Przeszkodzić w wyjaśnieniu, dlaczego zniknął kardynał Pavelić. Bądź ostrożny, bracie MacLane. Idąc na to spotkanie, wielokrotnie sprawdzałem, czy ktoś mnie śledzi. Byłoby jednak nierozsądnie, gdybyśmy się nadal widywali. Do przekazywania informacji używajcie skrytki w Zurychu.

- Nie mamy do niej klucza ani numeru konta bankowego, ani...

- ...zapisków prowadzonych przez ojca Victora, aż do spotkania wyznaczonego mu w ogrodach o drugiej nad ranem. Na pewno chcecie też dostać obiecaną broń.

- Ją przede wszystkim.

- Kiedy was opuszczę, podejście do marmurowego anioła przy stawie z liliami. To miejsce śmierci ojca Victora. Metalowa płytką za rzeźbą przykrywa wgłębienie w kamieniu. Podnieście ją. Pod zaworem kontrolującym przepływ wody w fontannie znajdziecie przesyłkę. Zawiera wszystko, czego wam potrzeba.

## II.

Pakiet dwadzieścia pięć na dwadzieścia pięć centymetrów, gruby na dziesięć, zawinięty w zwykły brązowy papier, zaadresowany nieczytelnie i ostemplowany tak, jakby przeszedł przez pocztę watykańską, był nieproporcjonalnie ciężki w porównaniu z objętością. Shean trzymał go z pozorną niedbałością, gdy przechodząc przez plac Świętego Piotra opuszczali z Arlene Watykan. Do tej pory ich stroje pozwalały łatwo mieszać się z tłumem. Teraz jednak, w obliczu tego, co jak przewidywał Shean, będą musieli robić, wady przebrania szybko wyszły na jaw.

Arlene powiedziała głośno to, o czym myślał.

- Jeżeli nie przestaniemy razem się włóczyć ubrani w ten sposób, zwrócimy na siebie uwagę i wywołamy cholerny skandal.

- Cóż to za język, siostró! Jestem zgorzony.

- Gdzie obejrzymy dokumenty? Chyba nie na ulicy. Zakonnica i ksiądz nie mogą zameldować się w hotelu razem, a jeśli wynajmiemy dwa pokoje, nie będzie mi nawet wypadało cię odwiedzić. Co z nocą? Nie byłoby bezpiecznie spać osobno.

- Bezpiecznie? Twój romantyzm wzrusza mnie głęboko.

Uśmiechnęła się.

- Nie chciałam cię rozczarować, ale...

- Tak?

- Twoje ciało nie jest w tej chwili tym, co interesuje mnie najbardziej.

- Chwalebne, siostró. Trzeba poskramiać cielesne żądze. Shean rzucił okiem na sklepy przy via delia Conciliazione.

- Zmiana garderoby nie jest jednak złym pomysłem.

- Gdzie się przebierzemy? Wzbudzimy wielkie zdumienie, jeśli zrobimy to w sklepie.

- Znajdzie się jakieś miejsce. To nie powinno być trudne.

## III.

Nietrudne? - powtórzył w myślach Shean. Od piętnastu minut mył ręce w męskiej toalecie na dworcu kolejowym, czekając, aż będzie pusta. Wyglądało na niepisane prawo, że każdy użytkownik toalety musi przywitać się z księdzem, z którym dzieli tak intymny przybytek. "Tak, synu. Bardzo dobrze, synu", odpowiadał Shean po włosku, nie przerywając mycia.

Wreszcie pomieszczenie opustoszało. Shean wpadł do kabiny i szybko zmienił czarny garnitur i białą koloratkę na szare spodnie, niebieską koszulę i granatowy sweter. Poprzednie



przebranie wepchnął do papierowej torby, z której wyjął zakupy. Opuścił kabinę, niosąc torbę i małą ciężką paczkę z bronią i dokumentami, dokładnie w chwili, gdy w drzwiach stanął pracownik ochrony kolei. Powstrzymując się, aby nie powiedzieć "Do widzenia, synu", Shean wyszedł na zewnątrz.

Tłum nappełniał przypominającą katedrę halę dworcową przeraźliwym hałasem. Shean z przyzwyczajenia omiótł wzrokiem ludzką falę, szukając kogoś, kto nie wygląda na śpieszącego się podróżnego. Uspokojony, podszedł do kolumny, gdzie czekała Arlene, ubrana w beżowe spodnie i żakiet oraz szmaragdową bluzkę, która podkreślała zieleń jej oczu.

- Dlaczego to tak długo trwało? - zapytała. - Zaczynałam się zastanawiać, czy nie powinnam pójść po ciebie.

- Rozmawiałem ze swoją trzódką. Spójrz na te ręce. Najczystsze w całym mieście.

#### **IV.**

Za zaciągniętymi zasłonami narastał zgiełk wieczornego ruchu ulicznego. Opakowanie paczki leżało na hotelowym łóżku obok klucza do skrytki, włoskich banknotów, dwóch mauzerów i pliku dokumentów.

Shean rozdzielił dokumenty między Arlene i siebie. Wszystkie były fotokopiami wycinków prasowych, terminarza ojca Victora, zapisów rozmów telefonicznych, raportów informatorów, akt zebranych przez przydzielonych do sprawy świeckich wywiadowców.

Arlene uniosła głowę z wyrazem podziwu.

- Wspaniale, to się nazywa dokumentacja! Ojciec Victor miał dostęp do wszystkiego, o czym wiedział Interpol i miejscowa policja.

- A dzięki kontaktom Kościoła, do wielu innych spraw, o których tamci nie wiedzieli. Spójrz na to. Miał nawet dojścia do ważniejszych organizacji wywiadowczych łącznie z KGB.

Minęły trzy godziny, zanim uznali, że przestudiowali dokumenty wystarczająco dokładnie.

- Wygląda na to, że Bractwo zadało sobie daremny trud wciągając nas w tę sprawę. Nie widzę nic, co dawałoby punkt zaczepienia.

Arlene potarła zmęczone oczy.

- Ojciec Victor zrobił wszystko, co ja bym zrobiła na jego miejscu. Uwzględnił każdy aspekt - wyznaniowy, polityczny, kryminalny.

- I najwyraźniej do niczego nie doszedł. A jednak ktoś go zabił. Dlaczego?

- To mogło nie mieć związku ze zniknięciem kardynała.

- Może. Z terminarza wynika jednak, że spotkanie w ogrodach dotyczyło tej sprawy. Niepokoi mnie coś jeszcze. Bractwo jest jedną z najlepszych siatek, jakie znam. Co możemy działać my, jeżeli oni dysponując takimi środkami, nic nie wskórali?

- Ojciec Sebastian to tłumaczył - odparła Arlene. - Bractwu zagraża wróg wewnętrzny. Dwoje ludzi z zewnątrz ma większe szansę wyjaśnić, dlaczego kardynał Pavelić zniknął.

- Bo zdrajca nie dowie się, co robimy i nie będzie próbował nam przeszkodzić?

Shean wstał i zaczął chodzić po pokoju.

- Przecież to nie ma sensu - ciągnął. - Dlaczego ojciec Sebastian nie zacznie działać w izolacji od Bractwa, polegać na własnej pomysłowości? Mógłby sam zrobić to, czego oczekuje od nas. Co za różnica? Dlaczego my? Dlaczego ja?

- Uważasz, że jesteśmy przynętą?

- W każdym razie na to wygląda. Zasadzka na pustyni. Bomba w Kairze. Zdrajca najwyraźniej wie, że posłano cię po mnie. Może ojciec Sebastian wybrał nas dlatego, że jako ludzi z zewnątrz łatwiej nas poświęcić. Zamiast narażać własne życie czy życie innego braci-szka, chce, żebyśmy wzięli ryzyko na siebie i ma nadzieję, że walcząc z nami przeciwnik popełni jakiś błąd. - Ale czy do tego celu nie mógłby posłużyć ktokolwiek? - zapytała Arlene.  
- Oferując odpowiednie wynagrodzenie ojciec Sebastian mógłby wybierać spośród wielu niezależnych agentów.

Zawahała się. Zielone oczy rozblęły.

- Tylko że żadne pieniądze - ciągnęła - nie zatrzymałyby takiego człowieka przy pracy po dwóch zamachach na niego. My mamy lepszą motywację. Jeżeli nie będziemy współpracować, Bractwo zabije nas. Życie wydaje się w tej chwili naprawdę piękne.

Shean uśmiechnął się i uściśnął dłoń Arlene.

- Mamy najlepszy powód na świecie, żeby chcieć żyć - jego głos stał się ochrypły.  
-Więc dokonujemy wyboru między pewną śmiercią i śmiercią prawdopodobną. Wiemy, że jesteśmy manipulowani, ale musimy się na to zgodzić.

- Więc wykonajmy tę robotę.

- I żyjmy dalej.

Shean podniósł fotokopię notatki prasowej sprzed wielu miesięcy.

### **ZNIKNIĘCIE KARDYNAŁA POZOSTAJE TAJEMNICĄ**

**RZYM, WŁOCHY**, 28 lutego /Associated Press/: Chociaż minęło już pięć dni, urzędnicy watykańscy i rzymska policja nie rozwiążali jeszcze zagadki zniknięcia kardynała Krunoslava Pavelicia, wpływowego członka Kurii, administracji Kościoła

rzymskokatolickiego. Po raz ostatni siedemdziesięciodwuletniego Pavelicia widzieli jego bliscy współpracownicy w niedzielę wieczorem, po odprawieniu prywatnej mszy świętej w kaplicy watykańskich apartamentów kardynała. W poniedziałek miał wystąpić z ważnym przemówieniem na głośnej konferencji biskupów katolickich której tematem są stosunki Kościoła z komunistycznymi rządami Europy Wschodniej. Władze podejrzewały początkowo prawicowe ugrupowania terrorystyczne o uprowadzenie kardynała Pavelicia w ramach protestu przeciw mającemu jakoby nastąpić złagodzeniu kursu Watykanu wobec rządów komunistycznych skłonnych rozluźnić restrykcje ograniczające działalność Kościoła. Jak dotąd jednak żadna ekstremistyczna organizacja nie przyznała się do odpowiedzialności za zniknięcie kardynała Pavelicia.

Shean skończył czytać i odwrócił się do Arlene, która zaglądała mu przez ramię.

- Co takiego może powiedzieć notatka prasowa, czego nie opracowano dokładniej w dokumentach zebranych przez ojca Victora? -zapytała.

- W tej chwili interesuje mnie to, czego w papierach księdza nie ma. - Shean zacisnął dłoń na kopii artykułu. - Stwierdziłaś, że ojciec Victor uwzględnił wszystkie aspekty - wyznaniowy, polityczny i kryminalny. Jeden jednak pominął.

- Jaki?

- Może dlatego ojciec Sebastian wybrał nas. To znaczy mnie - Shean mówił z trudem.  
- Kiedyś była to moja specjalność.

Znów poczuł nieznośny ból na wspomnienie eksplozji, która na jego oczach rozerwała rodziców. Wściekłość uczyniła zeń narzędzie zemsty, co w końcu doprowadziło go do pokuty w klasztorze.

- Terrorysty - ciągnął Shean z goryczą. - Artykuł wspomina o możliwości, że to oni uprowadzili kardynała Pavelicia. Z innych natomiast dokumentów ojca Victora nie wynika, by tę ewentualność zbadano do końca i odrzucono. Może to jest nasz trop?

## V.

Poranne słońce z trudem przebijało się przez zaslonę smogu. Uciekając przed ogłuszającym hałasem ruchu ulicznego, Shean wszedł do budki telefonicznej w pobliżu Koloseum i wykręcił numer, którego nie używał od prawie ośmiu lat. Miał nieprzyjemne uczucie *deja vu*.

Chrapliwy męski głos, którego nie znał, odezwał się po włosku:

- Pralnia chemiczna Forum.

Shean odpowiedział w tym samym języku:

- Proszę z panem Carellim.
- Nie ma tu takiego.
- Czy pan może przekazać mu wiadomość?
- Powiedziałem, że nie ma tu żadnego Carellego. Nigdy o nim nie słyszałem - głos wyłączył się.

Shean odłożył słuchawkę na widełki i oparł się o szklaną ścianę budki.

Arlene czekała na zewnątrz.

- Sądząc z twojej miny, nie nawiązałeś kontaktu.
- Musiano wprowadzić jakieś zmiany.
- Nic w tym dziwnego. Minęło osiem lat. Czasem hasła są zmieniane co tydzień.
- Myślałem, że się uda.
- Kim jest ten Carelli?
- To pseudonim człowieka nazywanego też Gatto. Był pośrednikiem w czasach, gdy pracowałem jako agent. Niekiedy używaliśmy go do obstawy, na wypadek, gdyby akcja poszła źle. Częściej kupowaliśmy od niego informacje.

Wyraz oczu Arlene świadczył, że zrozumiała. Terrorysty działają zwykle w małych niezależnych od siebie grupach. Taka taktyka ma swoje zalety - pozwala utrzymać akcję w tajemnicy, ale jednocześnie oznacza, że nie mogą liczyć na nikogo w kwestii uzbrojenia, informacji i ubezpieczenia odwrotu. Zamach wymaga starannego planowania. Jeśli misja nie ma się okazać samobójcza, grupa taka potrzebuje broni czystej, nigdy przedtem nie używanej, która nie doprowadzi do sprawców. Zaraz po zakończeniu akcji wyposażenie zostaje rozmontowane i zniszczone lub rozproszone na rozległym terenie, najczęściej w morzu. Taka dziewicza broń jest droga. Poza tym, jeszcze przed operacją trzeba zlokalizować ofiary, ustalić ich rozkład dnia, określić, kiedy najłatwiej je osiągnąć. Zdobycie tego rodzaju informacji ma swoją cenę. Po przeprowadzeniu akcji terrorysty muszą oczywiście zniknąć. Alibi, plany ucieczki, bezpieczne lokale również nie są tanie. Koszt misji pierwszej wagi, to znaczy takiej, z której zamachowcy wyjdą cało z życiem i nie zostaną zatrzymani przez władze, a więc będą mogli działać nadal, wynosi minimum sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Pieniądzy dostarczają różne rządy i ugrupowania polityczne, którym zależy na wywołaniu zamętu, a terrorysty płacą z kolei pośrednikom. Ci ostatni zapewniają broń, informacje i kryjówki, nie zadając zbędnych pytań. Nie obchodzi ich, do jakich celów klienci wykorzystują te usługi. Carelli alias Gatto był jednym z takich pośredników.

- Miał etykę zawodową - powiedział Shean.

- To znaczy - był ostrożny?

- Właśnie. Informacje, których nam udzielał, nigdy nie demaskowały jego klientów - ciągnął Shean. - Ale bez skrupułów brał pieniądze za wiadomości o ludziach, którzy byli na tyle nierozsądni, by go nie wynajmować.

- Uroczy facet.

- Prawdę mówiąc, gdyby zapomnieć, w jaki sposób zarabia na życie, byłby naprawdę czarujący.

- Oczywiście nienawidziłeś go.

- Jego i systemu, którego był częścią. Ale jeśli ktoś wie, czy to terroryści porwali kardynała, to tylko Gatto.

- Może wiedziałby osiem lat temu. Teraz albo zmienił skrzynki kontaktowe, albo wycofał się z interesu - odparła Arlene. - Jest też trzecia ewentualność. Mógł wiedzieć za dużo i stał się niewygodny dla swoich klientów. Daj diabłu palec...

- ... a weźmie całą rękę. Nigdy nie przypuszczałem, że kiedykolwiek powiem coś takiego, ale w tym wypadku mam nadzieję, że diabeł się wstrzymał.

- Wygląda na to, że się tego nie dowiesz. Shean pokręcił głową.

- Było wiele sposobów kontaktowania się z Gatto. Różne numery telefonów, różni łącznicy.

Wszedł z powrotem do budki. Następne trzy próby skończyły się fiaskiem: "Nie znam żadnego Carellego". Rzucając Arlene spojrzenie pełne rozczarowania, Shean wykręcił ostatni numer.

Odezwał się nosowy głos kobiety: - Artykuły medyczne Pontine.

- Czy może pani przekazać wiadomość panu Carellemu? - zapytał Shean.

Kobieta nie odpowiadała.

- Carelli - powtórzył Shean. - Czy może pani...

- Nie słyszałam tego nazwiska od sześciu miesięcy.

- Ja nie rozmawiałem z nim jeszcze dłużej.

- Jeśli uda mi się z nim skontaktować, to...

- Haverford - przerwał Shean podając pseudonim, którego używał w interesach z Gatto.

- Popytam. Proszę zadzwonić za pół godziny.

Shean zaczął spacerować z Arlene po ulicy. Koloseum. Budka telefoniczna. Jeszcze raz Koloseum... Dokładnie trzydzieści minut później ponownie wykręcił numer.

- Dzwoniłem wcześniej w sprawie pana Carellego.

- Proszę zanotować wskazówki...

## VI.

Pełen złych przeczuć Shean jechał wynajętym fiatem krętą drogą wysadzaną drzewami. Nigdy przedtem podczas licznych pertraktacji nie umawiał się z pośrednikiem w lokalu prywatnym. Regułą były spotkania w miejscach publicznych, jak restauracja czy park, za każdym razem gdzie indziej, aby uniemożliwić wytropienie organizacji Gatto. Nie robi się interesów w niczyim domu. Pośrednik musi mieć niezwykle ważny powód, skoro naraża na niebezpieczeństwo osobę lub osoby mieszkające pod wskazanym adresem.

Gdy tylko Shean wszedł do urządzonego z przepychem salonu dokładnie strzeżonej willi, zrozumiał wszystko: Gatto jest zbyt chory, aby opuszczać posiadłość. Rezydencja była położona na skarpie z rozległym widokiem, dziesięć mil na północ od Rzymu. Jej właściciela otaczał wszelki luksus. Ale ten niegdyś silny mężczyzna, zawsze zachłanny na pieniądze klientów, wyglądał teraz jak szkielet. Na obwisłej skórze twarzy wystąpiły wątrobiane plamy. Utratę włosów ukrywał kapelusz z szerokim rondem. Gatto siedział na kanapie.

- Witaj, Haverford - wyszeptał z trudem. - Dawno cię nie było. I zjawiasz się w tak uroczym towarzystwie.

- Panie Carelli... - uśmiechając się Arlene uściśnęła kościste palce, które do niej wyciągnął. Nie zmieniła wyrazu twarzy, gdy Gatto przycisnął jej dłoń do zasuszonych warg.

W kątach pokoju stali dwaj goryle.

- Tak, upłynęło trochę czasu - przyznał Shean. - Wiele się zmieniło. Można powiedzieć, że przeżyłem przemianę duchową. Wycofałem się z zawodu.

Gatto zakaszłał.

- Ja także. Napijcie się czegoś? Może wina?

- Wie pan, że nigdy nie ulegałem nałogom.

- Pamiętam, ale jeśli pozwolisz...

- Oczywiście.

Gatto napełnił kieliszek szkarłatnym płynem. Miał trudności z przełknięciem napoju. Pokój pachniał lekarstwami.

- Skoro uczyniliśmy już zadość etykietce, czym mogę służyć, Haverford?

Uśmiech pośrednika przypominał grymas bólu.

- W dawnych czasach dostarczał mi pan informacji o tych, co byli na tyle głupi, że nie zostali pańskimi klientami.

Luźne ubranie Gatto zatrzęsło się na nim, gdy wybuchnął śmiechem:

- Na tyle głupi... - zarechotał. - Haverford, czy widziałeś mojego nowego Matisse'a? -

Wskazał na jedną ze ścian.

Shean odwrócił się, aby spojrzeć na płótno.

- Robi wrażenie - przyznał.

- Milion dolarów, Haverford. Czasem tyle zarabiałem na jednym zleceniu. Jak sądzisz, ilu ludzi musiało umrzeć, aby Matisse mógł namalować ten obraz?

- Nikt... z wyjątkiem cząstki samego Matisse'a. Gatto znowu zakaszłał.

- Nawet gdybym go sprzedał z należnym olbrzymim zyskiem, nie uratowałoby mi to życia. Podejdź bliżej, moja droga. Usiądź przy mnie.

Arlene z uśmiechem spełniła prośbę.

- Więc powiedz mi, co byś zrobił na moim miejscu?

- Na pana miejscu?

- Gdybyś był umierający.

- W takiej sytuacji wypowiadałbym się księdzu.

- Tak?

- I zrobił wszystko, co możliwe, dla zbawienia duszy.

- Jesteś wierzący, Haverford?

- Tak, chociaż odkryłem to późno.

- Czy wiara przynosi pociechę?

Shean zastanowił się nad odpowiedzią:

- Nie. W rzeczywistości to ciężkie brzemie. Ale daje siłę.

- Siła. To rozumiem.

- Pomaga się oswoić z myślą o śmierci.

- To, mój drogi, jest bezcenne - szepnął Gatto.

- Więc proszę pozwolić, że złożę pewną propozycję. Zniknął pewien sługa Boży. Czy mógłby mi pan pomóc dowiedzieć się, dlaczego?

- Sługa Boży?

- Konkretnie kardynał. Krunoslav Pavelić.

Gatto skinął głową na znak, że nazwisko nie jest mu obce.

- Sądzimy, że któryś z pana dawnych klientów może być za to odpowiedzialny. Jeśli pomoże mi pan odnaleźć kardynała, poczytam to za przysługę. Bóg niewątpliwie także. Oczywiście, zapłaciłbym panu.

- Zapłacić? Mnie? Jeśli o to chodzi, Haverford, nie dbam o pieniądze.

- A o co?

- Chcę zemsty.

- Na kim?

- Na tych, którzy opuścili mnie w chorobie.

Shean rozłożył ręce.

- Wie pan przecież, jacy są. Nie można ich winić. Oni będą żyć dalej.

- Żyć dalej? Nie, jeśli tylko będę mógł temu zapobiec! Wybuch tak go wyczerpał, że zamknął oczy.

- Dranie, zabijają bez zmrużenia powieki, ale nie potrafią znieść widoku człowieka, który jest na granicy śmierci.

- Czuje się pan aż tak urażony tylko dlatego, że już nie chcą robić z panem interesów?

- Interesy nadawały sens mojemu życiu.

- Więc może nadszedł czas, aby poszukać innego sensu?

- W religii?

Atak bólu minął. Gatto otworzył oczy.

- Sprytnie pomyślane, Haverford. Pomogę ci znaleźć kardynała i w ten sposób ocalę swoją duszę?

- W każdym razie warto spróbować.

- Jeśli nie jest za późno.

- Zwątpienie to ciężki grzech.

- Chodziło mi o to, że może być za późno, aby odszukać Pavelicia. Zniknął wiele miesięcy temu. Z pogłosek, które słyszałem, wynika, że podjęto ogromne wysiłki, aby dowiedzieć się, co się z nim stało. Teraz, kiedy trop jest zimny...

- Interesują mnie inne pogłoski - przerwał Shean.

- O moich byłych klientach? - Powieki Gatto zadrgały. Walczył z nawrotem bólu. - Gdyby ponosili odpowiedzialność za porwanie kardynała, nie sądzisz, że się by tym pochwalili? Listy do gazet, telefony do Interpolu.

- Tego nie zrobili, więc zastanawiam się, czy nie chwalili się między sobą.

- Chcesz usłyszeć prawdę?

- To zawsze krzepi.

- Nie zawsze. Prawda jest taka, że nie wiem o tym nic. Moją chorobę stwierdzono w styczniu. Wiadomość rozeszła się szybko. Od lutego nie docierają do mnie żadne informacje. Zawsze lubiłem omawiać z tobą światowe wydarzenia, więc ze względu na dawne czasy zgodziłem się na to spotkanie. Obawiam się jednak, że twój przyjazd był daremny. Nie jestem



właściwą osobą...

Gatto skrzywił się i wstrzymał oddech. Kiedy wypuścił powietrze, zabrzmiało to jak syk przedziurawionej opony. Shean wstał.

- Proszę mi wybaczyć. Nasza wizyta trwa zbyt długo. Zmęczyliśmy pana.

- Wiem jednak, kogo powinieneś spytać.

Shean zachował kamienny spokój.

- Kogo?

- Tę pluskwę, która zajęła moje miejsce, wesz, która zabrała mi klientów. On będzie miał poufne informacje. Nazywa się Bonato.

- Pseudonim?

- Medici.

- Intrygi polityczne. Chaos. Dobrze wybrał. Czy może mi pan zorganizować dojście do niego?

- Ja? To niemożliwe, Haverford. Kiedy zdobył względy moich klientów, stałem się zbędny. Okazał wspaniałomyślność i nie zabił mnie, ponieważ i tak jestem bliski śmierci. Ale gdybyś mu powiedział, że ja cię przysłałem, takie dojście kosztowałoby cię życie. Wy tłumaczę ci, jak go znaleźć. Reszta należy do ciebie. Zrobisz to na własne ryzyko. Bądź ostrożny.

- Zamierzam być ostrożny, może mi pan wierzyć. Proszę mi wszystko o nim opowiedzieć.

- Może masz rację, Haverford. Może Bóg spojrzy na mnie łaskawiej, jeśli okażę zainteresowanie losem Jego kardynała.

## VII.

Ubrany na czarno Shean stał z Arlene ukryty w cieniu, obserwując samochody na parkingu obok restauracji po przeciwnej stronie ulicy. Minęła ósma wieczorem. Czekali tu od kwadransa i jeśli informacje Gatto były ściśle, pośrednik o pseudonimie Medici powinien się pojawić w ciągu najbliższych pięciu minut.

- Ta restauracja uchodzi za grunt neutralny - powiedział im Gatto. - Medici nigdy nie załatwia tam interesów. Po prostu odpowiada mu menu i karta win. Zawsze przyjeżdża pięć po ósmej, je z apetytem, zostawia hojne napiwki i punktualnie o dziesiątej wraca do swojej rezydencji, gdzie jakaś dziwka, każdej nocy inna, dogadza jego zachciankom. Dom jest oczywiście doskonale strzeżony, ale restauracja to słaby punkt. Zauważ, że w normalnych

okolicznościach ta rutyna nie stanowi żadnego ryzyka. Terroryci nie mają powodów, żeby mu coś zrobić, a władze zdają sobie sprawę, że jeśli wykonają ruch przeciwko Mediciemu, wszystkie grupy, które korzystają z jego usług, automatycznie zmieniają plany.

- Więc jeśli my wykonamy taki ruch - zapytał Shean - czy nie zaalarmuje to ludzi, którzy mogli porwać Pavelicia?

- Kardynał to stara historia. Kto mógłby podejrzewać, że motywem zamachu na Mediciego jest operacja sprzed kilku miesięcy? Niepotrzebnie się martwisz, Haverford.

Shean był jednak zaniepokojony. Czy ich plan jest wykonalny? Normalnie taka akcja wymaga udziału dobrze wyszkolonej ekipy złożonej z co najmniej dziesięciu ludzi. Dwoje może wziąć na siebie lwią część zadania, ale jeśli zajdzie coś nieprzewidzianego i obstawa okaże się niezbędna? Kto będzie osłaniał odwrot?

Shean położył uspokajająco dłoń na ramieniu Arlene. Dziewczyna podniosła rękę i odwzajemniła uścisk. Odezwała się, jakby czytała w myślach partnera:

- Nie wystartujemy, jeśli to nie będzie dobrze wyglądało. Jest nas tylko dwoje, są więc duże szanse, że nie zwrócimy na siebie uwagi, w przeciwieństwie do każdego dużego zespołu, nawet najlepszego. Poza tym Medici na pewno się nas nie spodziewa.

Shean zgadzał się z Arlene. Mieli do wyboru albo ryzykować, albo zrezygnować z tego potencjalnego źródła informacji. I co wtedy? Wobec braku innych tropów pozostałoby tylko ukryć się i czekać, aż Bractwo ich znajdzie i ukarze za niepowodzenie. Ostatniej nocy zdecydowali, że nie mają nic do stracenia. Jeśli chcą odzyskać wolność i być razem, muszą zaryzykować.

Jakaś limuzyna skręciła w ich kierunku na pobliskim skrzyżowaniu. Shean zdjął rękę z ramienia Arlene. Cofnęli się w głąb ulicy. Kiedy samochód podjechał bliżej, zobaczyli kierowcę. Ciemna przegroda oddzielała go od pasażerów. Shean spojrział w okno, ale przydymiona, odbijająca światło i prawdopodobnie kuloodporna szyba zasłaniała tylne siedzenie. Nie było zresztą potrzeby zaglądać do środka. Numery rejestracyjne się zgadzały. Limuzyna należała do Mediciego.

Samochód wjechał na podjazd i zatrzymał się. Szofer wysiadł pierwszy. Zawieszona na ramieniu kabura pistoletu wypychała mu marynarkę liberii. Otworzył tylne drzwiczki, aby wypuścić drugiego goryla. Ten miał na sobie garnitur, zamiast uniformu, ale było widać, że także jest uzbrojony. Wreszcie pojawił się niski mężczyzna o szczurzej twarzy, ubrany w smoking. Jego wygląd odpowiadał rysopisowi Mediciego, który podał im Gatto.

Mieli unieszkodliwić kierowcę, kiedy będzie czekał, aż pracodawca zje kolację. Gdy ten zaś wyjdzie o dziesiątej, załatwią goryla w garniturze i uciekną z Medicim jego własnym

samochodem. Zaletą planu była praktyczność i prostota. Z uzyskanych przez Sheana i Arlene informacji wynikało, że zbyt trudno byłoby porwać pośrednika z jego domu. Ale tutaj? Medici najwyraźniej czuł się nietykalny. Uzbrojoną obstawę zabierał ze sobą *pro forma*.

Handlarz śmiercią ruszył w kierunku restauracji, wyprzedzając goryla. Kierowca odwrócił się do limuzyny. Shean wziął głęboki oddech. Chciał zaatakować szofera, gdy tylko ten ustawi samochód na parkingu.

Ale Arlene nagle wyszeptała:

- Coś się dzieje.

Nie trwało to długo. Najwyżej dwadzieścia sekund. Trudno określić. Wypadki potoczyły się zbyt szybko. Za limuzyną zatrzymał się mały czerwony samochód. Wsiadł z niego jakiś mężczyzna, miotając przekleństwa pod adresem kierowcy Mediciego. Miał na głowie czapkę z daszkiem, niemal całkowicie zakrywającą rude włosy. Uderzała błądź jego wykrzywionej złością twarzy. Był wyższy od szofera, ale przeraźliwie chudy. Wymachiwał pięściami, krzycząc, że zablokowano podjazd. Oburzony kierowca wyszedł mu naprzeciw.

W tej samej chwili z cienia parkingu wyskoczył drugi mężczyzna. Wełniana czapka nie zasłaniała jasnych włosów i kwadratowej twarzy. Był opalony i muskularny. Wyjął spod kurtki pojemnik z gazem i prysnął w oczy goryla. Ten runął na ziemię. Przybrawszy postawę boksera, blondyn wyrzucił Mediciego pięścią w podbródek i zanim pośrednik zdążył upaść, wciągnął go do jego własnej limuzyny.

Rudowłosy, który wziął na siebie szofera, z łatwością uchylił się od ciosu i uderzył przeciwnika w szyję, z siłą wystarczającą do jej złamania. Kierowca zwałił się na chodnik. Rudy wskoczył do samochodu za blondynem i Medicim. Wycofał wóz na ulicę, przejechał szofera i dodał gazu.

Wypadki przebiegły tak błyskawicznie i sprawnie, że gdy wokół ciał zebrał się tłum, limuzyna już zniknęła. Dopiero teraz rozległ się spóźniony krzyk.

## VIII.

Shean mocniej nacisnął pedał gazu w wynajętym fiacie. Opony zapiszczały na zakręcie.

- Nazwać ich zawodowcami to za mało. Ci faceci to artyści. Samochodem tak zarzuciło, że Arlene musiała się przytrzymać deski rozdzielczej.

- Mieli taki sam plan jak my, ale zamiast czekać, aż Medici wyjdzie z restauracji, ruszyli gdy tylko przyjechał. Kim są? Czego chcą od Mediciego?

- Miejmy nadzieję, że wkrótce się dowiemy.

Shean zwolnił. Reflektory oświetliły posiadłość Gatto. Po raz drugi tego dnia przychodzili tu po informacje.

Zaniepokoił ich fakt, że brama jest otwarta. Za nią, z piersiami ciemnymi od krwi, leżeli dwaj wartownicy. Shean skręcił w aleję prowadzącą do romańskiej willi. Zaniechał ostrożności, przypuszczając, że ci, którzy zabili obstawę, dawno już odjechali. Ciemności w domu potwierdzały ten domysł. Napad zdarzył się w biały dzień.

Shean zahamował przed ogromnym frontowym wejściem i wyskoczył z fiata. Arlene biegła za nim. Na schodach leżeli trzej martwi goryle. Shean wpadł do środka, znalazł kontakt, zapalił światło i przez chwilę stał w progu, porażony widokiem następnych ciał. Potem popędził od pokoju do pokoju. Śmierć. Wszędzie śmierć.

Gatto w bawełnianym szlafroku przesiąkniętym krwią, leżał z poderżniętym gardłem na kanapie stojącej obok basenu.

- Dwaj faceci spod restauracji. Blondyn i rudy - powiedziała Arlene. - Musieli tu być.

Shean skinął głową.

- To jedyne wyjaśnienie, jakie mi przychodzi do głowy - ciągnęła. - Zmusili Gatto do mówienia. O Medicim. Tak samo jak my zrozumieli, który moment jest najlepszy do porwania go.

Niepokój chwycił Sheana za gardło.

- Nie wierzę w zbieg okoliczności. To, co zdarzyło się tutaj i wypadki pod restauracją są ze sobą związane.

Spojrzał na ciało Gatto i westchnął.

- Zastanawiam się, co można jeszcze zrobić człowiekowi umierającemu na raka. Jaki ból trzeba zadać, żeby przewyższał cierpienie, które przynosi choroba. Jak przekonać, żeby wyjawiał coś, czego nie chce zdradzić, skoro śmierć i tak jest przesądzona.

Shean odchylił szlafrok Gatto. Odśloniły się straszliwe okaleczenia. Poczł gorycz w ustach.

- Tak, ci faceci to geniusze.

- Gatto nie powiedział im o naszej wizycie - zauważyła Arlene. - W przeciwnym razie próbowaliby nas zlikwidować, zanim zajęli się Medicim.

Shean ponownie skinął głową.

- Mam nadzieję, że Bóg naprawdę spojrzy na ciebie łaskawiej, Gatto. Na koniec zachowałeś się cholernie ładnie.

- Blondyn i rudy - powtórzyła Arlene. - Czego chcieli od Mediciego?

- Może mieli taki sam motyw jak my?
- Znaleźć kardynała?
- Gdybym to wiedział... Czy ci faceci poruszają się równolegle do nas, czy idą po naszych śladach?
- Shean, oni są tak dobrzy, że mogą już być przed nami.

KSIĘGA CZWARTA  
**PRZECIWBIEŻNE TORY**

## GROZA ZNAKÓW

### I.

*Miasto Meksyk.* Korzystając z telefonu zainstalowanego w mercedesie, Rosenberg uprzedził ochronę o swoim powrocie do domu, aby sprawdzili, czy w pobliżu nie kręci się nikt podejrzany. Wprawdzie nic nie wskazywało na to, że zagraża mu bezpośrednie niebezpieczeństwo, ale odkąd podjęli z Hallowayem decyzję o dotrzymaniu umowy, Rosenberg niepokoił się coraz bardziej. Porwanie ojca nappełniło go złymi przeczuciami. Romans żony z członkiem obstawy do reszty odebrał mu spokój ducha. Halloway był przekonany, że Set i Sopol zniszczą “Noc i Mgłę”. Tylko dlatego Rosenberg zgodził się na wysyłkę ładunku. Pomimo jednak zapewnień partnera, pomyslnie nowiny wciąż nie nadchodziły. Jeżeli “Noc i mgła” dowie się o transporcie, a klienci odkryją, że nastąpił przeciek, wspólnicy będą mieli do czynienia z dwoma wrogami naraz. I obie strony zaatakują, chociaż z różnych powodów.

Mercedes utknął w korku. Na początku kolumny samochodów stała odkryta ciężarówka, załadowana klatkami pełnymi kurcząt. Spod maski buchała para, wokół zebrał się tłum gapiów. Co do diabła ja robię w tym kraju, zadał sobie pytanie Rosenberg. Na chwilę nawiedziła go nostalgiczna wizja gór, strumieni i lasów. Spojrzał na członka obstawy po swojej lewej stronie, a potem na goryla obok kierowcy. Obłąd, pomyślał. Zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi, otworzył drzwiczki barku wbudowanego w oparcie przedniego fotela, wyjął butelkę tequili, nappełnił szklaneczkę i jednym haustem wypił oleisty płyn. Gdy alkohol zaczął rozgrzewać mu żołądek, mercedes ruszył. Tarasującą drogę ciężarówkę zepchnięto na bok.

Klimatyzacja w samochodzie źle działała. Nieświeże ciężkie powietrze w połączeniu z tequilą spowodowało, że Rosenbergowi zaczęło się zbierać na wymioty. Podniósł dłoń do ust, jakby chciał stłumić kaszel. Musi zachować twarz. Marzył o tym, żeby wreszcie znaleźć się w domu.

Może Maria znowu będzie miała ochotę na “prowadzenie”? Mógłby wtedy zapomnieć o kłopotach. Doszedł do wniosku, że jest mu to winna. Czyż nie obsypywał jej owocami swojej pracy? Czyż nie udawał, że nie wie o romansie z Estebanem?

Szofer skręcił w szeroką Paseo de la Reforma, przyspieszył i zajechał przed hiszpańską willę wciśniętą między wysokie budynki. Goryle wysiedli z mercedesa, próbując wyczuć ewentualne zagrożenie.

Najwyraźniej nie było żadnego. Jeden z członków obstawy skinął uspokajająco głową. W drzwiach stanęli wartownicy. Rosenberg wyskoczył z samochodu, wpadł do holu i oparł się o ścianę. Musiał przyznać, że to jego wejście trudno by nazwać dostojnym, ale nie jest łatwo zachować godność w obliczu śmiertelnego zagrożenia. Ludzie z ochrony na pewno żartują z jego obaw, płaci im jednak dobrze i mogą sobie kpić, ile chcą, pod warunkiem, że robią swoje.

Wyprostował się na widok pokojówki, która stanęła obok kręconych schodów, obserwując go z zakłopotaniem.

- Wszystko w porządku - uspokoił ją. - Trochę dokucza mi upał. Czy pani jest na górze?

- Nie, señor - odparła służąca. - Pana żona wyszła po południu.

- Wyszła? - niemile zdziwił się Rosenberg. - Dokąd?

- Tego mi nie powiedziała, señor.

- Z Estebanem?

- Oczywiście, że ze swoją ochroną.

Bardzo osobista ta ochrona, pomyślał Rosenberg wbiegając na piętro. Do cholery, oni się całymi dniami pieprzą, kiedy ja ryzykuję życiem.

Na szczycie schodów nagle przystanął usłyszawszy głosy dochodzące z końca korytarza, gdzie znajdował się pokój Estebana. Były zbyt przytłumione, aby mógł je rozpoznać, ale niewątpliwie należały do mężczyzny i kobiety. Zaczął podejrzewać, że dziewczyna się pomyliła albo kazano jej skłamać. Wobec innych problemów jest bezradny, ale na Boga, ten może rozwiązać od ręki.

Popędził w kierunku sypialni goryla. Po chwili zorientował się, że to tylko odgłosy serialu telewizyjnego dobiegające z pokoju służącej, która zapomniała wyłączyć odbiornik. Był jednak zbyt rozwścieczony, żeby się zatrzymać. Gwałtownie pchnął drzwi i wpadł do środka całkowicie przekonany, że zastanie żonę w objęciach Estebana.

W sypialni nie było nikogo, ale widok sceny miłosnej, którą sobie wyobraził, wstrząsnąłby nim mniej niż to, co rzeczywiście zobaczył na łóżku. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Oparł się o biurko, żeby nie stracić równowagi. Gdy tylko drzenie kolan ustąpiło, zdarł z łóżka kapę i przycisnął ją do piersi. Czuł się tak, jakby żelazna obręcz ścisnęła mu żebra. Ukradkiem spojrzął do tyłu, w obawie, że pokojówka przyszła za nim na górę. Mogła nadejść w każdej chwili i zdziwić się, co tu robi. Musiał ukryć narzutę.

Zwinął ją i włożył pod pachę, aby służąca niczego nie zauważyła. Wyszedł na korytarz, minął podest i pośpieszył do małżeńskiej sypialni. Gdy znalazł się w środku,



zamknął drzwi i podszedł do toaletki, żeby schować kapę. Wtedy zobaczył w lustrze odbicie swojego łóżka i tego, co było na nim.

Identyczny znak jak w pokoju Estebana. Ogromny, czarny, groteskowy, tak wstrząsający, że kiedy Rosenberg zmiął narzutę i wepchnął ją do szuflady razem z pierwszą, nawet nie pomyślał, że powinien pojechać do swego bezpiecznego lokalu. Całkowicie ulegając panice, sięgnął po telefon przy łóżku.

## II.

Hallowaya przeraziła bezmyślność Rosenberga. Jak można dzwonić w takiej sprawie z niepewnego telefonu? To niezgodne z ustaleniemi zachowanie i bełkot współnika wyraźnie wskazywały, że zupełnie stracił panowanie nad sobą.

- Powoli, na miłość boską - upominał Halloway. - O czym ty mówisz? Co znalazłeś?

- Czaszkę! Cholerną trupa czaszkę! Namalowaną czarną farbą na kapie mojego łóżka! I na łóżku goryla mojej żony!

- Spokojnie, to wcale nie musi oznaczać tego, co myślisz. Może to tylko pogrożka. Nie widzę powodu, żeby zakładać najgorsze.

- Mając do czynienia z "Nocą i Mgłą" należy spodziewać się najgorszego! To coś więcej niż tylko pogrożka. Przecież znasz ten symbol! Ci, którzy go namalowali, chcą nam przypomnieć, że wiedzą o nas wszystko.

Halloway zniżył głos, aby nie słyszała go służba na korytarzu.

- W porządku, założmy, że masz rację. I co z tego? To niczego nie zmienia. Przecież i tak wiedzieliśmy, że nas odkryli.

- To wszystko zmienia! - Rosenberg był na granicy hysterii. - Dowodzi, że nie wystarcza im porwanie ojców. Teraz chcą nas! Następne pokolenie musi cierpieć za stare grzechy. Są w stanie to zrobić. Potrafili wśliznąć się do mojego domu pomimo środków ostrożności, jakie podjąłem!

- Nie możemy dłużej o tym rozmawiać z tego telefonu - ostrzegł Halloway. - Odłóż słuchawkę. Zadzwoń do mnie za godzinę z...

Rosenberg nie pozwolił mu dokończyć.

- To jeszcze nie wszystko! Dlaczego dwie czaszki? Dlaczego na łóżkach? Moim i u goryla?

- Przypuszczam, że dla spotęgowania efektu.

- Do cholery, nic nie rozumiesz! Oni mają ze sobą romans. Myślałem, że nikt o tym

nie wie! Udawałem, że niczego nie podejrzewam! Ale “Noc i Mgła” to odkryła. Dlatego namalowali znaki na obydwu łóżkach. Dają do zrozumienia, że wiedzą o mnie wszystko, nawet to, kto pieprzy moją żonę! Chwalą się, że znają moje sekrety! Nasze sekrety, Halloway! Towar! Ładunek! Jeżeli o tym też...

- Wyciągasz zbyt pochopne wnioski.

- Pochopne wnioski? - jęknął Rosenberg. - Boże, co mnie podkusiło, żeby wchodzić z tobą w ten interes! Jesteś tak cholernie pewny siebie, że nigdy nie przyznasz...

- Set i Sopel się tym zajmą.

- Zajmą się? Kiedy?! Jakoś jeszcze tego nie zrobili. Tylko to mnie obchodzi. Oni uganiają się za cieniem, a ja mam prawdziwe problemy. Zrywam naszą umowę!

- Co takiego?

- Pozwól mi wstrzymać transport! Nie chcę mieć na karku dwóch wrogów, Halloway. Jeżeli klienci zaczną podejrzewać, że wysłaliśmy towar nie ostrzegając ich, że ktoś może wiedzieć o transporcie, dobiorą się nam do skóry. Przy nich “Noc i Mgła” to drobiazg.

- Posłuchaj...

- Nie, to ty posłuchaj! Odkładam słuchawkę i natychmiast dzwonię do Rio! Już dawno powinienem był to zrobić! Każę pośrednikowi wycofać się, a potem będę prosić Boga, żeby tych dwóch szaleńców znalazło sposób na powstrzymanie “Nocy i Mgły”!

Halloway poczuł suchość w ustach. Nie wątpił, że Rosenberg mówi poważnie. Wypadki wymknęły się spod kontroli. Zwilżył wargi.

- Dobrze - mruknął. - Skoro uważasz, że to konieczne.

### III.

Halloway odłożył słuchawkę. Ukrył przed Rosenbergiem prawdę. Nigdy nie odważyłby się wyznać partnerowi, że dzwonił już do niego trzej inni członkowie grupy, wszyscy w sprawie trupich czaszek. Miller z St Paul w stanie Minnesota znalazł ją wymalowaną na dnie pustego basenu. Culloden z Bristolu - na stole bilardowym w pokoju gier, a Svenson z Göteborga na kuchennej podłodze.

To podobieństwo sytuacji było niepokojące. We wszystkich czterech wypadkach symbole umieszczono w domach, jakby chciano powiedzieć: “Potrafimy osiągnąć was wszędzie, nawet tam, gdzie czujecie się najbezpieczniej. Gdybyśmy mieli ochotę, moglibyśmy namalować trupie czaszki tak, żeby zobaczyli je inni ludzie - sąsiedzi czy koledzy z pracy. Chcemy wam uświadomić, że możemy was zdemaskować w każdej chwili,

upokorzyć wasze żony i dzieci, narobić kłopotów w interesach. A potem? Jak myślicie, czy to nam wystarczy, czy też dobierzemy się do was, jak do waszych ojców? Czy będziecie musieli ponieść najwyższą karę? Jak kiedyś nasi najbliżsi. Jak my sami”.

Halloway wzdrygnął się. Niepokoilo go coś jeszcze. Kiedy Miller, Cullogen i Svenson, a teraz Rosenberg, odkryli trupie czaszki, lekceważąc wymogi ostrożności zadzwonili do niego bezpośrednio, zamiast przez łączników. “Noc i Mgła” osiągała swój cel: osłabiała dyscyplinę, wzbudzała panikę. Ilu jeszcze członków grupy wkrótce się z nim skontaktuje? Kiedy on sam znajdzie trupa czaszkę? Poleciał wzmocnić ochronę wokół domu w Kitchener, gdzie ulokował rodzinę. Wynajął też dodatkową obsługę do pilnowania swojej posiadłości. Może jednak nadszedł czas, aby opuścić tę rezydencję, porzucić piękną okolicę, zrezygnować z dziedzictwa po ojcu?

Potrząsnął głową. Dopóki Set i Soper są na tropie, trzeba wierzyć w zwycięstwo. “Noc i Mgła” zniknie. Należy być cierpliwym.

Nie dam się pokonać, myślał Halloway, to robactwo mnie nie dosięgnie.

Znow opadły go wątpliwości. Kiedy przyjdzie moja kolej, żeby znaleźć trupa czaszkę?

Walcząc ze złymi przeczuciami, zrozumiał, że zadaje sobie niewłaściwe pytanie. Powinien zapytać: kiedy Set i Soper zwyciężą?

#### **IV.**

*Rio de Janeiro.* Przez szklaną szybę apartamentu na ostatnim piętrze wieżowca biznesmen widział rozległą panoramę zatłoczonej plaży Copacabana. Gdyby chciał, mógłby podejść do przeciwległej ściany i popatrzeć na figurę Chrystusa Odkupiciela, wznoszącą się na szczycie wzgórza Corcovado. Rzadko jednak wybierał tę możliwość. Przedkładał Ciało nad Duszę, więc zawsze pociągała go luneta w oknie od strony plaży i widok najbardziej podniecających kobiet świata. Bogactwo stanowiło pokusę, której niewiele spośród nich potrafiło się oprzeć.

W tej chwili jednak czuł tylko gniew. Przyciskał do ucha bezprzewodowy aparat telefoniczny.

- Rosenberg, czy myślisz, że nie mam nic lepszego do roboty, niż zawierać umowy, a potem mówić klientom, że zaszła pomyłka? Mniejsza o to, że interes wart jest sto milionów dolarów, z czego ja dostaję piętnaście procent. Mniejsza o to, że wzięłem już od nich dwadzieścia procent zaliczki i w banku w Zurychu rosną odsetki. Zapomnijmy o tym na

chwilę. Ale umowa pozostaje umową. Po pierwsze, klienci mogliby się zachować bardzo nieprzyjemnie, gdybyśmy zerwali kontrakt. Po drugie, i tak nie możemy tego zrobić, ponieważ ładunek jest już w drodze, a ja zawsze dbam o to, żeby od momentu wysyłki nie mieć z nim żadnego kontaktu. Nawet nie wiem, na jakim płynie statku. Korzystałem z tyłu ogniw pośrednich, że nie potrafię zatrzymać transportu. Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej.

Rosenberg zaczął coś bełkotać. Biznesmen przerwał mu.

- Jeżeli boisz się wody, to do niej nie wchodź. A może to coś więcej niż strach? Czy jest jakiś powód, którego nie znam, żeby nie dostarczyć towaru? Jeśli tak, przyjacielu, i nie ostrzegłeś nas, przekonasz się, jak bardzo nieprzyjemni potrafią być klienci. Powiesz mi wreszcie, co cię gryzie?

- Nic - wyszeptał Rosenberg.

- Co? Ledwie cię słyszę.

- W porządku. Nie ma sprawy.

- Więc dlaczego, do cholery, do mnie dzwonisz?

- Nerwy... ja...

- Nerwy? - biznesmen zmarszczył brwi. - Przyjacielu, ta rozmowa zaczyna mnie nudzić.

- W grę wchodzi takie pieniądze...

- A jakże. Z tego piętnaście procent jest moje.

- Ogromne ryzyko. Towar jest niebezpieczny. Klienci też. Mam kłopoty z żołądkiem.

- To idź do lekarza. Co do klientów - masz rację. Jeśli ktoś zamawia na czarnym rynku broń za sto milionów dolarów, musi być niebezpieczny. Nawiasem mówiąc, nie dzwoń do mnie więcej. Nie będę już robić z tobą interesów. Za bardzo cenię sobie spokój ducha.

## V.

Kiedy Rosenberg odłożył słuchawkę, spostrzegł, że drżą mu ręce. Nigdy nie wierzył w przeznaczenie, ale teraz zaczynał się zastanawiać, czy to nie w jego moc się dostał. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek czuł się tak bezradny. Myślał tylko o jedynej szansie ratunku, jaka mu pozostała. Sopol i Set. Ich pościg za "Nocą i Mgłą".

Optymizm Rosenberga nie trwał nawet pięciu sekund. Miał już wyjść z pokoju, kiedy nagle przystanął zaciskając dłoń na klamce, aż rzeźbiony ornament zaczął mu się wrzynać w ciało. Jeśli "Noc i Mgła" zna jego przeszłość tak dobrze, że używa jako pogroźki wizerunku

trupiej czaszki, jeśli wie tak dużo o jego obecnym życiu, że maluje ten symbol nie tylko na małżeńskim łożu, lecz także w sypialni goryla, który pieprzył Marię Rosenberg, czy nie jest również możliwe, że odkryto inne jego sekrety? Na przykład ten lokal.

Z przerażeniem uświadomił sobie, że w pośpiechu nie sprawdził, zanim zadzwonił do pośrednika w Rio, czy telefon jest czysty. Czyżby próbując ukryć przed wrogiem sprawę transportu, mimowolnie sam się zdradził? Wściekły na siebie zatrzasnął drzwi, przekręcił klucz w zamku i zbiegł po schodach.

## VI.

Szyba okienna absorbuje wibracje fal dźwiękowych w pomieszczeniu.

Po drugiej stronie ulicy, w otwartym oknie pokoju hotelowego na drugim piętrze, naprzeciwko wynajętego mieszkania Rosenberga stał wentylator. W rzeczywistości był to przekaźnik emitujący fale elektromagnetyczne i odbierający drgania z rozmów prowadzonych w mieszkaniu. Dekoder przekładał impulsy na słowa i zapisywał je na taśmie magnetofonowej, którą codziennie zabierano.

Willa Rosenberga także była objęta podobną inwigilacją, tak jak domy Hallowaya i pozostałych członków grupy. Sprawdzanie, czy nie zainstalowano mikrofonów lub podsłuchu telefonicznego, nie miało znaczenia. Słyszano wszystko, co mówią. Niczego nie mogli utrzymać w tajemnicy.

## VII.

William Miller patrzył na dużą szarą kopertę, którą sekretarka przyniosła mu do gabinetu.

- Przyszła jako przesyłka polecona - wyjaśniła. - Zaczęłam ją otwierać razem z inną pocztą, a je jak pan widzi, ma napis "Poufne" podkreślony, z wykrzyknikiem, więc pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli pan sam ją otworzy.

Miller przyjrzał się kopercie. Miała wymiary dwadzieścia na trzydzieści centymetrów i była wypchana do granic możliwości. Ogarnął go niepokój.

- Dzięki, Marge. To pewnie nowa kampania reklamowa albo jakiś młody architekt, który chciałby pracować w firmie, próbuje mnie olśnić swoimi projektami.

- Jasne, to może być wszystko - odparła Marge ze złośliwym błyskiem w oczach. - Ale przez moment zastanawiałam się, czy nie zapnumerował pan jakiegoś pisma pornograficznego i nie chce pan, żeby żona o tym wiedziała.

Miller zmusił się do uśmiechu.

- Cokolwiek jest w paczce, ja tego nie zamawiałem.

- Nie otwiera pan?

- Za chwilę. Muszę najpierw skończyć ten raport. Trzeba przekonać radę miejską do projektu renowacji.

Spuścił oczy, udając, że koncentruje się na kosztorysie wstępnym.

- Jeśli będę mogła w czymś pomóc, proszę mnie wywołać przez interkom.

Wyszła zamykając za sobą drzwi.

Koperta leżała na biurku. Słowo "Poufne" podkreślono czarnym atramentem. Koszt wysyłki łącznie z opłatą za polecenie wynosił dziewięć dolarów i piętnaście centów. Adresu nadawcy nie było.

Dlaczego tak się denerwuję? Przecież to tylko koperta.

Rzucił okiem na kosztorys, ale coś go zmuszało do patrzenia na przesyłkę. Nie mógł oderwać od niej wzroku.

Może nie otwierać? Może wyrzucić do kosza? Nie, Marge mogłaby ją znaleźć i otworzyć. Więc może wziąć przesyłkę ze sobą wychodząc z biura i pozbyć się jej w drodze do domu? A zresztą, jeśli nawet Marge zobaczy, co jest w środku, jakie to ma znaczenie?

Ma ogromne znaczenie ze względu na napis "Poufne". Pamiętasz, co namalowano na dnie basenu? Więc powinieneś uważać, kiedy włącza się twój wewnętrzny alarm. Możesz nie chcieć otworzyć koperty, ale, do cholery, lepiej to zrób.

Siedział jednak bez ruchu, wpatrzony w szary papier.

W końcu wziął głęboki oddech i powoli przesunął palce po blacie. Koperta była wypchana i ciężka. Naddarł brzeg i zamarł.

To może być bomba, pomyślał. W pierwszym odruchu chciał odłożyć przesyłkę na biurko i wybiec z gabinetu, ale opanował się. Pchany impulsem silniejszym od strachu, delikatnie przejechał dłonią po powierzchni pakietu. Zawartość wyglądała na jednolitą, nie ugiwała się pośrodku, gdzie tektura mogłaby zakrywać wgłębienie wypełnione materiałem wybuchowym. Ostrożnie rozdarł kopertę i zajrzał do środka.

Zobaczył gruby plik fotografii. Odbitka na wierzchu była czarno-białą reprodukcją zdjęcia, które zrobiono niewątpliwie przed wielu laty.

Groza zaparła mu dech. Z niesmakiem przerzucał fotografie, odkrywając dalsze ohydne sceny. Jedną bardziej wstrętną od drugiej. Plugawość za plugawością. Poczł, że się dusi. Trupy. Pierwsze zdjęcie i niezliczone odbitki pod nim przedstawiały trupy, sterty trupów. Ręce i nogi wygięte pod groteskowym kątem, sterczące z zagłodzonych ciał żebra.

Wychudzone policzki, zapadnięte oczy, niektóre otwarte, jakby oskarżały nawet po śmierci. Ogolone głowy. Wykrzywione usta odsłaniające bezzębne dziąsła. Rysy twarzy zniekształcone grymasem bólu i strachu. Starcy, kobiety, dzieci. Mnóstwo.

Miał ochotę krzyczeć.

## VIII.

- To prawda! Nic nie wiem! - upierał się Medici. - Musicie mi uwierzyć! Błagam!

Set ponownie wymierzył mu policzek. Chociaż uderzenie otwartą dłonią było mniej bolesne niż cios pięścią, paradoksalnie budziło większy strach, jakby upokorzenie pośrednika stanowiło klucz do złamania go.

-Ksiądz! - krzyknął Set. - Kardynał Pavelić! Zaczynam tracić cierpliwość! Kto porwał księdza?

- Gdybym wiedział, powiedziałbym wam!

Tym razem Set ze złością uderzył Mediciego mocniej, wierzchem dłoni. Głowa pośrednika opadła na bok, na policzku zostały czerwone pręgi. Policzki Seta również były czerwone, a jego oczy, zwykle pozbawione wyrazu, błyszczały zadowoleniem.

Znajdowali się na samotnej farmie, którą uprzednio wynajęli. Sopol stał w kącie kuchni i z zainteresowaniem obserwował scenę. Jego ciekawość budziły dwie rzeczy: technika przesłuchania, jaką posługiwał się Set, i reakcje Mediciego. Set przywiązał pośrednika do krzesła, skrupował mu ręce za oparciem, a na szyję założył pętlę, której koniec przymocował do liny oplatającej nadgarstki więźnia. Każde szarpnięcie głową wskutek uderzenia powodowało, że sznur wbijał się Mediciemu w gardło i podrywał do góry wykręcone przeguby rąk.

Pomysłowe, uznał Sopol. Maksymalny efekt przy minimum siły. Więzień wie, że sam zadaje sobie ból. Próbuje dzielnie znosić ciosy, ale uniemożliwia mu to sposób, w jaki został związany. Własne ciało staje się jego wrogiem. Jest to sytuacja upokarzająca, w której trudno zachować godność. Jeszcze chwila i zaczniesz pękać, Medici - pomyślał. Łzy płynące po policzkach pośrednika, potwierdzały ten wniosek.

- Pytam po raz ostatni - warknął Set. - Kto uprowadził kardynała? Medici patrzył z ukosa, zastanawiając się nad odpowiedzią. Ból rozjaśnił mu umysł. Zdał sobie sprawę ze swojego położenia. Jego ludzie nie wiedzą, gdzie jest. Nikt nie przyjdzie mu z pomocą. Mniejsza o ból. Co zrobić, żeby przeżyć?

- Wysłuchaj mnie. Dlaczego nie wysłuchasz, zanim mnie uderzysz?

Set wzruszył ramionami.

- Muszę mieć czego słuchać.

Medici usiłował przełknąć ślinę. Pętla zacisnęła mu się mocniej na szyi.

- Jestem tylko pośrednikiem. Przychodzą do mnie klienci. Potrzebują informacji, broni, ekip do prowadzenia inwigilacji, bezpiecznych lokali. Świadczę im te usługi. Oni nie mówią mi, po co im to, a ja nie zadaję pytań.

Set zwrócił się do Sopła, udając, że ziewa.

- Pytam o kardynała, a on opowiada mi historię swojego życia.

- Nie pozwalasz mi skończyć! - krzyknął Medici.

- Pozwolę, kiedy wreszcie zaczniesz mówić. Pośrednik pośpieszył z wyjaśnieniami:

- Klienci nie informują mnie o swoich planach, ale czasem coś mi wpadnie do ucha.

- Teraz myślisz, że jest u laryngologa - mruknął Set.

- Muszę przecież być na bieżąco z tym, co się dzieje w środowisku, żeby utrzymać wysoką pozycję. Ale nie słyszałem żadnych pogłosek, ani słowa o tym, że kardynała porwali terroryści. Wierz mi, gdyby tak było, wiedziałbym o tym.

Medici próbował się poruszyć, wskutek czego pętla na jego szyi zacisnęła się mocniej. Wszeptał zduszonym głosem:

- Pavelicia nie uprowadzili terroryści ani...

- Terroryści to hołota - przerwał Set ściągając usta z obrzydzeniem. - Twoi klienci nie mają klasy. Są ordynarni i stosują prostackie metody. Bomby w autobusach. Dzieci rozerwane na strzępy.

Sopel zastanawiał się przez chwilę, czy Set ma takie strony charakteru, o jakie go nie podejrzewał. Szybko jednak uświadomił sobie, że zarzuty partnera były natury estetycznej, a nie moralnej. Gdyby mu odpowiednio zapłacono i gdyby plan wymagał zabicia dzieci, na przykład dla odwrócenia uwagi od głównego celu, powiedzmy, zamachu na jakiegoś dyplomatę, ten człowiek by to zrobił. Sopel gorąco wierzył, że sam nigdy nie zgodziłby się na zabicie dziecka. Pod żadnym warunkiem.

Medici mówił dalej:

- Terroryści mogliby zaatakować Kościół jako instytucję, którą uważają za skorumpowaną i porwać jakiegoś kardynała, ponieważ są przeciwni jego polityce. Zrobili przecież zamach na papieża kilka lat temu. Powtarzam jednak, nie słyszałem, żeby ktoś z nich interesował się Paveliciem. Nie sądzę, żebyście byli na właściwym tropie.

- W takim razie - Set rozłożył ręce - między nami zawodowcami - słowa udawały szacunek, ale ton był kpiący - co byś nam radził?



Oczy Medicego błysnęły czujnie. - Czy pomyśleliście o Kościele? O kimś z Kościoła?

Set spojrzał pytająco na Sopla.

- Zawsze to jakaś możliwość.

- Nie jestem przekonany - odparł Set.

- Że kardynał mógł paść ofiarą Kościoła? - Że ta hiena mówi prawdę.

- Mówię prawdę! - upierał się Medici.

- Zaraz to sprawdzimy. - Set zwrócił się do Sopla: - Kolej na ciebie.

- Dzięki za zaufanie. Lepiej późno niż wcale.

- Chodziło mi o to, żeby spróbować obu sposobów. Używając siły można uzyskać przekonujące kłamstwa. W wypadku środków chemicznych można otrzymać wyuczone wcześniej odpowiedzi. Obie metody się uzupełniają.

- Więc sięgam po strzykawkę z amytalem sodu. Odsuń się. Sam powiedziałaś, że teraz moja kolej.

## IX.

Bez pętli na szyi, ale wciąż przywiązany do krzesła, Medici osunął się na wpół świadomy. Teoretycznie amytał sodu pozbawia człowieka samokontroli, umożliwiając uzyskanie informacji, których przesłuchiwany mógłby nie ujawnić nawet pod wpływem bólu. Sztuka polega na tym, aby nie zaaplikować zbyt dużej dawki, gdyż odpowiedzi stałyby się bezsensowne albo więzien straciłby przytomność.

Nadeszła kolej Sopla, aby stanął przed pośrednikiem. Trzymając w ręku prawie pustą strzykawkę, zadał pytanie, które przywiodło go z Australii do Kanady, a w końcu do Włoch.

- Czy mówi ci coś nazwa "Noc i Mgła"?

Medici odpowiadał powoli, jakby język stawał mu kołkiem w ustach.

- Tak... wojna...

- Zgadza się. Druga wojna światowa. Faszyci stosowali taktykę terrorystów. Ludzie nielojalni wobec Trzeciej Rzeszy ryzykowali, że znikną bez śladu, rozpląną się w nocy i mgle. - Soplel mówił wolno i wyraźnie, aby słowa docierały do pośrednika. - Czy "Noc i Mgła" powróciła? Czy słyszałeś pogłoski o jej reaktywacji?

Medici potrząsała głową. - Żadnych plotek. Żadnej "Nocy i Mgły".

- Spróbuj sobie przypomnieć. Czy terroryści albo ludzie udający terrorystów zwracali się do ciebie? Czy ktoś prosił o informacje na temat kardynała Pavelicia? Czy ktoś cię

wynajął, żebyś go śledził?

- Nie śledziłem kardynała - wyszeptał Medici. - Nikt mnie o niego nie pytał.

- Jak myślisz, kto porwał Pavelicia?

- Nie wiem.

- Dlaczego został uprowadzony?

- Nie wiem.

- Czy mógł być za to odpowiedzialny ktoś z Kościoła?

- Nie wiem.

Set zrobił krok naprzód. - Ostatnia odpowiedź jest interesująca. Nie wie, czy stoi za tym Kościół.

Sopel zrozumiał, o co chodzi Setowi. Przed czterdziestoma minutami Medici upierał się, że powinni skierować uwagę na Kościół.

- Wtedy chwycił się wszystkiego, żeby nas zająć. On nic nie wie.

- Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jego sugestia wydaje mi się warta zbadania - ciągnął Set.

- Kościół? Czemu nie. Musimy sprawdzić wszystkie tropy. Może ktoś z Kościoła odkrył, co wie kardynał i przekazał informacje "Nocy i Mgle".

- Albo ten ktoś sam należy do "Nocy i Mgły".

- Pavelić - głos Sopla tchnął nienawiścią. - Przez czterdzieści lat ten drań trzymał naszych ojców w szachu. Te jego cholerne akta. Bóg jeden wie, ile pieniędzy dostał w zamian za ich nieujawnianie. Był jedynym człowiekiem z zewnątrz, który znał powiązania między członkami grupy. "Noc i Mgła" nie mogłaby zorganizować swojego terroru bez dostępu do archiwum kardynała.

- Logiczne - odparł Set - ale niekoniecznie prawdziwe. Mogliśmy coś przeoczyć.

- Na przykład?

- Problem polega na tym, że za mało wiemy. Ale ten facet też nic nie wie. Proponuję, abyśmy zajęli się prywatnym życiem Pavelicia.

Sopel wybuchnął śmiechem. - Nie sądziłem, że księżom wolno mieć "prywatne życie". - Zawahał się. - A co z nim? - pokazał na Mediciego.

- Oczywiście trzeba go zabić. Jest dla nas bezużyteczny, a mógłby się stać groźny. Jeszcze jeden zastrzyk amytału powinien wystarczyć. Bezbolesna śmierć. - Set wzruszył ramionami. - A może nawet przyjemna.

- Co z mężczyzną i kobietą, którzy stali po drugiej stronie ulicy, kiedy zabieraliśmy Mediciego? Też ich zauważyłeś. Nie ukrywali się tam przypadkiem. Byli zainteresowani

Medicim tak samo jak my.

- Jeśli znowu się pokażą, zabijemy ich.

Błysk w oczach Seta wskazywał, że to także byłoby przyjemne.

## KOSZMARY W CZORAJ I DZIŚ

### I.

W miarę jak droga wiodła coraz wyżej, silnik wynajętego volkswagena zaczął prychać. Samochód nie nabierał prędkości i z trudem jechał pod górę. Pół kilometra dalej Saul poczuł zapach benzyny. Skręcił na pobocze i wyłączył stacyjkę.

Eryka obudziła się i przeciągnęła. Gdy spojrzała na dolinę pod nimi, jasne poranne słońce ukłuło ją w oczy. Niebo było turkusowe, pola uprawne tonęły w soczystej zieleni. Ziewając zerknęła na zegarek.

- Dziesiąta czterdzieści sześć? Troska o męża otrzeźwiła ją całkowicie.
- Prowadzisz od świtu. Musisz być wykończony. Zmienię cię.
- Dam sobie radę. Zostało nam piętnaście kilometrów.
- Tylko tyle? Więc dlaczego stoimy?
- Niewiele brakowało, a mielibyśmy pożar. Pociągnęła nosem.
- Teraz czuję. Benzyna.
- To chyba gaźnik.

Saul otworzył drzwiczki, obszedł samochód i podniósł maskę. Na ściankach chłodnicy osiadła wilgoć. Unosiła się para. Eryka stanęła obok i popatrzyła na silnik.

- Daj mi scyzoryk - poprosiła.

Wyciągnęła ostrze i przekręciła śrubę regulacyjną gaźnika. Saul wiedział, dlaczego to robi. Volkswagen, który wynajęli w Wiedniu, był przystosowany do jazdy po mieście, na płaskim terenie. Pracując w rozrzedzonym górskim powietrzu, przy niedostatku tlenu gaźnik wytwarzał zbyt bogatą mieszankę. Zalane świece nie dawały iskry. Nadmiar paliwa spływał przez cylindry do rury wydechowej. Dlatego czuli zapach benzyny. Prosta regulacja gaźnika załatwiła sprawę.

- Jeszcze pięć minut i musielibyśmy iść pieszo - powiedział Saul.
- Raczej biec - Eryka uśmiechnęła się ironicznie - żeby zdążyć przed wybuchem zbiornika paliwa. Za długo mieszkaliśmy na pustyni. Zapomnieliśmy już, jakie problemy może spowodować wysokość.

Długie ciemne włosy Eryki lśniły w porannym słońcu. Beżowy żakiet podkreślał głęboki brąz jej oczu. Saul nigdy nie kochał żony bardziej niż teraz.

- Mam nadzieję, że niczego poza tym nie zapomnieliśmy. Wołałbym, żeby nie okazało się, że wyszliśmy z wprawy, tylko do tej pory po prostu dopisywało nam szczęście.

- Lepiej tak właśnie myśleć. Dzięki temu nie będziemy zbyt pewni siebie.

- Ja na pewno nie jestem.

Chcieli ruszyć jak najszybciej, ale musieli poczekać, tłumiąc niezadowolenie, aż benzyna wyparuje z silnika. Trudno było oddychać rozrzedzonym powietrzem na wysokości sześciu tysięcy stóp. Okoliczne stoki porastała bujna, wiecznie zielona roślinność. W oddali wznosiły się ośnieżone szczyty gór. W innych okolicznościach ta teatralna sceneria Alp Szwajcarskich robiłaby na nich ogromne wrażenie.

Saul zamknął maskę.

- Chyba możemy już jechać. Na mapie droga schodzi do sąsiedniej doliny. Misza prowadził dochodzenie w sprawie ludzi z listy. Jego agenci na pewno byli tu przed nami. Gdyby odkryli coś ważnego, wiedzielibyśmy o tym. Lepiej przygotujmy się na rozczarowanie.

- Od czegoś musimy zacząć.

Saul odezwał się zdławionym głosem: - Masz rację. Jeśli nie znajdziemy odpowiedzi tutaj, spróbujemy gdzie indziej. Będziemy szukać aż do skutku.

## II.

Wieś nazywała się Weissendorf. Było to skupisko może stu budynków na niewielkim płaskowyżu otoczonym łagodnie pochyłymi stokami pastwisk. Droga biegła środkiem osady, między rzędami wąskich trzypiętrowych domów. Górne piętra wysunięte nad parterem na długość ramienia, wyglądały jak osłony zaprojektowane specjalnie po to, aby chronić przechodniów od deszczu. Dzięki ostrym szczytom dachów i lekko pochyłonym okapom budynki przypominały kształtem jodły. Zawile rzeźbione wzory na balustradach, okiennicach i drzwiach przywodziły na myśl chatki z piernika.

Zaparkowali samochód przed gospodą. Nad wejściem wisiał ogromny kufel z pokrywką.

- Które z nas powinno zapytać o drogę do Ephraima Avidana? - odezwał się Saul.

Eryka rozumiała, na czym polega problem. Szwajcaria nie ma języka narodowego. Jej mieszkańcy mówią językiem najbliższego sąsiedniego kraju.

- Twój niemiecki jest lepszy od mojego - odparła. - Ale to południowa Szwajcaria. Francuskim posługujemy się mniej więcej jednakowo, ale mój włoski...

- Jest lepszy. Poza tym, wybaczone ten męski punkt widzenia, może będą chętniej rozmawiać z kobietą. Chcesz spróbować?

Z uśmiechem, który nie mógł ukryć jej niepokoju, Eryka wysiadła z samochodu i weszła do gospody.

Saul czekał, denerwując się. Zanim obiecał swoim byłym pracodawcom, że nie będzie korzystał z usług żadnej organizacji wywiadowczej, zdążył już otrzymać ogromną pomoc od Miszy Pletza i Mossadu. Nie uważał, że ktoś może go z tego powodu oskarżyć o naruszenie umowy. Misza wyposażył ich w izraelskie paszporty na fałszywe nazwiska. Gdyby Saula i Erykę przesłuchiwały władze, nową tożsamość potwierdziłyby związane z Mossadem osoby prywatne i instytucje. Dostali też pieniądze na prowadzenie poszukiwań oraz broń, którą jednak przed opuszczeniem Austrii ukryli, nie chcąc ryzykować na granicy.

Najważniejszą przysługą Pletza było udostępnienie im fotokopii jego notesu - listy osób i informacji, które o nich zebrał. Pierwsze imię i nazwisko brzmiało: Ephraim Avidan.

- Co ci ludzie mają wspólnego ze zniknięciem ojca? - zapytała Eryka.

- Nie mam pojęcia.

- Nie wierzę. Nie zrobiłbyś spisu, gdyby między nimi nie było związku.

- Czy powiedziałem, że nie ma? Znamy ich przeszłość, adresy, dawne miejsce zatrudnienia.

- Dawne?

- Wszyscy oni są byłymi pracownikami Mossadu. Ale ty chciałaś wiedzieć, co mają wspólnego ze zniknięciem Josepha, a tej zagadki jeszcze nie jestem w stanie rozwiązać.

- Twierdzą, że nie znają mojego ojca? Nie odpowiadają na pytania? W czym tkwi problem?

- Nie mogłem ich o nic zapytać.

- Znowu uchylasz się od odpowiedzi - rzekła Eryka.

- Nie uchylam się. Tych ludzi łączą jeszcze dwie rzeczy: wszyscy przeżyli hitlerowskie obozy zagłady...

- I?...

- Wszyscy zniknęli. Tak jak ojciec Eryki.

Otworzyły się drzwi gospody. Saul nie potrafił odczytać wyrazu twarzy żony.

- I co? - zapytał, gdy Eryka wsiadła do samochodu.

- Nie mogę powiedzieć, żeby byli zbyt rozmowni. Zdaje się, że nie jesteśmy pierwszymi, którzy pytają o Avidana, a ci ludzie nie są przyjaźnie nastawieni do obcych, obojętne, jakiej płci. Uznają tylko turystów przyjeżdżających tu, aby wydawać pieniądze.

Saul zamyślił się.

- Nasi poprzednicy musieli być agentami Miszy.

- Może. Sprawdźmy to. Udało mi się dopytać o drogę. Saul włączył silnik i ruszył wąską ulicą.

- Powiedz mi, gdzie mam skręcić.

- Za wsią. Trzecie gospodarstwo po lewej stronie.

Saul przyśpieszył.

Dom leżał u podnóża trawiastego stoku. Był stary i szerszy niż budynki we wsi. Miał bielone ściany i ostro zakończony dach, którego sylwetka odpowiadała kształtem najbliższemu wzgórz. Saul skręcił w zryty koleinami błotnisty podjazd. Gdy zahamował przed zagrodą, usłyszał dzwoneczki krów na pastwisku. W pełnym słońcu dolina wyglądała jeszcze piękniej. Nie zwracał jednak uwagi na krajobraz. Jego myśli całkowicie pochłaniała lista. Pierwsze nazwisko na liście.

Wysiedli z samochodu.

Przed dom wyszła przystojna postawna kobieta po trzydziestce. Miała krótkie spłowiałe od słońca włosy, rumiane policzki i niemal męskie rysy twarzy. Była ubrana w mocne, wysokie do kostek buty, wełniane podkolanówki, skórzane spodenki i koszulę w niebieską kratę, z podwiniętymi rękawami. Jej kroki zastukały na drewnianym ganku, a potem na schodkach. Zatrzymała się z podejrzliwym błyskiem w oczach.

Saul założył, że Eryka będzie prowadzić rozmowę. Do niego należałoby to wtedy, gdyby mieli do czynienia z mężczyzną. Zaczęła po włosku.

- Przepraszam, że panią niepokojmy, ale poinformowano nas, że mieszkał tu Ephraim Avidan.

Kobieta odezwała się po angielsku: - Pani akcent. Amerykanka?

Eryka odpowiedziała w tym samym języku.

- Nie, pochodzę z Izraela, ale przez wiele lat mieszkałam w Stanach. Właściwie łatwiej mi mówić po angielsku niż w ojczystym języku. Czy nie zechciałaby pani...

- ...mówić po angielsku? - gospodyni potrząsnęła głową i przeszła na włoski: - Mogłabym spróbować, ale nie wtedy, gdy mamy rozmawiać o Ephraimie Avidanie. Mieszkał tutaj, ale już nie mieszka - ciągnęła gniewnie. - Czy to wasi znajomi pytali o niego poprzednio?

- Poprzednio?

- Pięć dni temu. Dwaj mężczyźni. Podali się za starych przyjaciół Avidana, ale byli o dobre trzydzieści lat za młodzi. Twierdzili, że pochodzą z Izraela jak Avidan i są mu winni

pieniądze. Cóż za sumienni dłużnicy, prawda? Pytali, dokąd wyjechał.

- I co im pani odpowiedziała?

- To samo, co powiem wam. Nie mam pojęcia. Zniknął nagle w lutym. Wieczorem jeszcze tu był, a następnego ranka - ani śladu. Wydaje mi się, że niczego z sobą nie zabrał. Po kilku dniach zawiadomiłam policjanta w miasteczku. Zorganizowali poszukiwania - pokazała na góry - ale nie znaleźliśmy ciała. Zresztą nie spodziewaliśmy się go znaleźć. Zimą nikt nie spaceruje w nocy po lasach. Może popełnił samobójstwo. Miał zmienne nastroje. Ale bez ciała... Nasz policjant poinformował władze w Bernie. Sprawa przeszła w inne ręce. Traktowaliśmy go dobrze, jakby był jednym z nas. On też zachowywał się wobec mnie uczciwie. Zanim zniknął, zawsze płacił czynsz. Nigdy nie miałam z nim kłopotów.

- Oczywiście.

Kobieta zaplotła ręce na piersiach.

- A wy kim jesteście? Także starymi znajomymi, którzy są mu winni pieniądze? - skierowała pytanie do Saula.

- Wcale go nie znaleźliśmy.

Uśmiechnęła się. Najwyraźniej nie oczekiwała szczerzej odpowiedzi. Saul wskazał na Erykę.

- Ojciec mojej żony był przyjacielem Ephraima Avidana - Saul zrobił pauzę dla efektu. - I również zniknął.

Gospodyni zdawała się wahać między zaskoczeniem i niedowierzaniem.

- Wasze wyjaśnienie może być po prostu bardziej pomysłowe niż to o starych znajomych i długu.

- Dlaczego jest pani taka podejrzliwa? - wtrąciła Eryka. - Potrzebujemy tylko informacji.

- Podejrzliwa? Gdyby mąż panią opuścił... Gdyby musiała pani sama prowadzić gospodarstwo... - głos jej się załamał. Popatrzyła na nabrzmiałe wymiona krów na pastwisku.

- Prawdopodobnie nie byłabym podejrzliwa, gdyby nie wizyta tamtego księdza.

Saulowi serce zabiło mocniej.

- Księdza?...

- Nie powiedział, że jest księdzem. Podał się za turystę. Był męski, przystojny. Przyjechał tu dwa tygodnie przed Izraelczykami. Miał niebieskie oczy i włosy koloru słomy. Narąbał mi drewna w zamian za kolację. Był muskularny, miał silny tors! Ale przede wszystkim zwróciłam uwagę na jego dłonie.

- Dlaczego?



- Wyjątkowo o nie dbał. Nic dziwnego, że do rąbania drzewa włożył rękawiczki. Aby je ochronić przed drzazgami i powstaniem pęcherzy. Potem jednak, kiedy je zdjął i umył ręce... kiedy jedliśmy kolację, nie sposób było nie zauważyć, jakie są delikatne i gładkie... zwłaszcza w porównaniu z tymi muskularni. Był opalony, ale na lewej ręce... tutaj, na środkowym palcu została na skórze biała obwódka, jakby niedawno zdjął pierścień. W dalszym ciągu nie rozumiem, dlaczego to zrobił. Kto wie? Może po prostu go zgubił... Ale prawa dłoń... kciuk, pierwszy i drugi palec... o te troszczył się szczególnie. Nie chciał dotykać nimi jedzenia, a później, gdy pomagał mi zmywać, prawą rękę owinał ścierką i podnosił talerze lewą. Rozumiecie, o czym to świadczy?

- Przykro mi - odparła Eryka - obawiam się, że nie rozumiem.

- Przypuszczam, że jako Żydówka nie może pani tego wiedzieć. Ja jestem luteranką, ale wiem, że dla księdza katolickiego kciuk i dwa pierwsze palce u prawej ręki są najważniejszymi częściami ciała, gdyż zostały pobłogosławione. Trzyma w nich opłatek, który poświęca i przemienia, jak wierzą katolicy, w ciało Jezusa Chrystusa. Gdyby mu je amputowano, nie mógłby być księdzem, w każdym razie nie w pełni. Nie mógłby odprawiać mszy świętej, konsekrować hostii i udzielać komunii. Ponieważ te palce są błogosławione, musi je chronić nie tylko od fizycznych uszkodzeń, ale także od rzeczy nieczystych.

- Może po prostu był leworęczny i dlatego wydawało się pani, że oszczędza prawą rękę - podsunęła zaintrygowana Eryka.

- Po kolacji znów włożył rękawiczki i zaproponował, że pójdzie do stodoły jeszcze popracować. Potrzebowałam pomocy, więc obiecałam mu śniadanie i zgodziłam się. - Wskazała na stodołę, której węgiel wystawał zza domu. - Siedział tam dłużej niż się spodziewałam. Kiedy weszłam do środka, żeby sprawdzić, czy nic się mu nie stało, przyłapałam go. Wpychał do chlebaka małą czarną książeczkę. Wtedy byłam już pewna.

- Nie rozumiem - powiedziała Eryka.

Saul rozumiał. Przypomniał sobie, czego nauczył się o Kościele od Chrisa, swojego przybranego brata, irlandzkiego katolika.

- Mała czarna książeczka to prawdopodobnie brewiarz - wyjaśnił. - Zbiór modlitw, które ksiądz musi codziennie odmawiać. Twierdzi pani - zwrócił się do kobiety - że była pani pewna. Proszę mi wybaczyć, ale to ciągle tylko przypuszczenie.

- Nie - zaproponowała gospodyni. - W nocy poszłam do stodoły, gdzie spał i przeszukałam jego chlebak. Czarna książeczka była brewiarzem.

- Przeszukała pani...

- Uważacie, że pozwoliłam sobie na zbyt wiele? Ten ksiądz nie miałby prawa mnie

upomnieć, bo sam zachował się podobnie. Wymknął się ze stodoły i poszedł na wzgórze, żeby grzebać w pokoju Avidana!

Twarz kobiety poczerwieniała z oburzenia.

- Nie ruszyłam niczego w chacie, odkąd Avidan zniknął. Mógł przecież jeszcze wrócić, a ponieważ nikt inny nie chciał chaty wynająć, szkoda mi było czasu na przenoszenie rzeczy. Zresztą gdzie bym je umieściła? Kiedy podkrałam się na wzgórze, usłyszałam, że ksiądz jest w środku, otwiera i zamyka szuflady. Przez szczeliny w okiennicach widziałam światło latarki.

- Co pani zrobiła?

- A jak myślicie? Samotna kobieta i pozornie zwyczajny gość, który okazał się włamywaczem...? Wróciłam do domu i nie zrobiłam nic. Rano udałam, że nie wiem o jego wycieczce do chaty Avidana, a ksiądz, jeśli nawet zorientował się, że przeszukałam chlebak, niczego po sobie nie pokazał. Zjadł śniadanie, które przygotowałam i zaproponował, że coś jeszcze zrobi. Kiedy odmówiłam, ruszył dalej, jakoby kontynuować wycieczkę. Przez kilka następnych nocy czuwałam, więc o ile mi wiadomo, nie pojawił się więcej.

- Co miałyby oznaczać pierścień, który zdjął? - zastanawiała się Eryka.

- Mógł być symbolem przynależności do jakiejś organizacji kościelnej - wyjaśnił Saul.

- Wiele bractw religijnych je nosi.

- Nie znalazłam pierścienia w bagażu księdza - zauważyła kobieta.

- Może jest tak cenny, że trzymał go w kieszeni.

- Parę tygodni później zjawili się dwóch Izraelczyków. Prosilili, abym im pokazała kwaterę Avidana. Myśleli, że znajdą coś, co wskaże, dokąd wyjechał. Rozumiecie, chcieli mu oddać ten fantastyczny dług.

- Zgodziła się pani?

- Tak. Przeczynałam, że jeśli odmówię, wrócą w nocy i tak czy inaczej przeszukają chatę. Albo zrobią to od razu, pomimo mojego sprzeciwu. I nie chciałam napytać sobie biedy. Łudziłam się, że jeśli im na to pozwolę, ta sprawa wreszcie się skończy. Poza tym, co miałabym ukrywać?

- A co miałby ukrywać Avidan? - zastanawiał się Saul.

- Teraz przyjeżdżacie wy i pytacie, dlaczego jestem podejrzliwa. Kim był ten Avidan? Dlaczego tylu ludzi o niego pyta?

- Nie mogę mówić za księdza - odparł Saul. - Jego osoba intryguje mnie tak samo, jak panią. Dwaj mężczyźni natomiast byli prawdopodobnie agentami wywiadu izraelskiego. Avidan pracował kiedyś dla Mossadu. Gdy któryś z ich członków, nawet emerytowany,

przepada bez śladu, muszą sprawdzić, dlaczego. Zwłaszcza że wiąże się to ze zniknięciem jeszcze jednego byłego pracownika tej organizacji, ojca mojej żony.

Kobieta oddychała szybko.

- Nie chcę mieć nic wspólnego z polityką.

- Nie jesteśmy pewni, czy w grę wchodzi polityka. Może to osobiste porachunki sprzed lat. Naprawdę nie wiemy. Dla nas to wyłącznie rodzinna sprawa.

- Czy wy też jesteście z Mossadu? Eryka zawahała się.

- Już nie.

- Więc jednak polityka.

- Powiedziałam, że już dla nich nie pracuję. Zdradziliśmy pani o wiele więcej niż powinniśmy. Co mamy robić, żeby nam pani ufała?

- Poradźcie mi, jak powstrzymać obcych od przyjeżdżania tutaj i pytania o Avidana.

- Jeśli pani nam pomoże, może uda się nam wyjaśnić przyczynę jego zniknięcia i wtedy ludzie przestaną panią nachodzić.

Gospodyni popatrzyła na nich badawczo.

- Czy możemy zobaczyć chatę Avidana? - zapytał Saul i wstrzymał oddech.

Kobieta stała przez chwilę nieruchomo. Potem skinęła głową.

### III.

Chata stała za domem i stodołą, na stoku pastwiska. Była nieduża, parterowa, zbudowana z drewnianych bali. Z dachu, który wymagał nowego pokrycia, sterczała zardzewiała rura od piecyka.

Rosnący za chatą gęsty las dochodził pod skalną ścianę. Alpejskie powietrze przesiąknięte aromatem żywicy pachniało czysto i słodko. Saul odwrócił się, aby popatrzeć na panoramę doliny. Bujna zieleń, niewielkie jezioro, częściowo zasłonięte jodłami dachy miasteczka. Zastanawiał się, dlaczego Avidan wybrał tak prymitywną i odosobnioną kwaterę.

- Jak długo tu mieszkał? - zapytał kobietę.

- Przyjechał jesienią zeszłego roku. W październiku.

- Zamierzał spędzić tutaj całą zimę?

- Powiedział, że jest pisarzem i potrzebuje samotności i spokoju, aby skończyć książkę.

Emerytowany agent Mossadu - pisarzem? Czemu nie? Wszystko jest możliwe, myślał Saul. Ale to mało prawdopodobne. Kiedy zaczęły się śnieżyce... samotność i spokój? Avidan

chyba popadł w przesadę. Dlaczego wybrał to miejsce?

Weszli do chaty. Składała się z sypialni i kuchni. Z braku kominka żeliwny piec służył zarówno do ogrzewania pomieszczenia, jak do gotowania posiłków. Wnętrze było urządzone po spartańsku. Zwykle sosnowe deski pokrywały ściany. Drewniany blat na kozłach pełnił rolę stołu. Obok stała ława. W sypialni zobaczyli proste szafki, bujany fotel, drugą ławę i pryczę z materacem wypchanym słomą. Nad poobijaną komodą wisiało pęknięte lustro. W szufladach wyłożonych poźółkłymi gazetami z 1975 roku, leżało kilka sztuk odzieży. Książki przeważnie na temat historii Izraela, zajmowały półkę obok komody. Tu i ówdzie przypięto do ścian fotografie izraelskiej pustyni i zatłoczonego centrum Tel-Awiwu. W kredensie kuchennym Eryka odkryła plastikowe kubki i talerze oraz konserwy. W skrzynce pod zlewem stał płyn do zmywania naczyń.

Można by oszaleć spędzając tutaj zimę, doszedł do wniosku Saul.

- Nie usunęła pani rzeczy Avidana, ponieważ myślała pani, że może wróci? - zapytał kobietę. - Nie wygląda na to, żeby miał wiele do pakowania.

- Jeśli rzeczywiście pracował nad książką - dodała Eryka - musiał ją zabrać ze sobą. Nie widzę maszyny do pisania. Nigdzie nie znalazłam też rękopisu.

Gospodyni stała w otwartych drzwiach, zasłaniając słońce.

- Od października do lutego prawie go nie widywałam. W zamieci często nie mogłam nawet dojrzeć chaty. Czasami myślałam, że śnieg całkowicie ją zasypie. Ale dopóki w pogodne dni widziałam dym z komina, nie martwiłam się. Poza tym pierwszego każdego miesiąca Avidan brnął przez zasy, żeby zapłacić czynsz.

Saul przypomniał sobie, że kobietę opuścił mąż. Pieniądze za komorne musiały jej być bardzo potrzebne, skoro nie zwracała uwagi na dziwactwa lokatora.

- Coś nie było w porządku - ciągnęła gospodyni. - Czułam to. Kiedy zniknął, postanowiłam niczego nie dotykać, na wypadek gdy by policja wznowiła śledztwo.

- Więc pani zdaniem ksiądz i Izraelczycy nic nie znaleźli podczas swoich poszukiwań - stwierdził Saul. - My też moglibyśmy przekartkować książki, przetrząsnąć pojemniki z jedzeniem, sprawdzić, czy w podłodze nie ma obluzowanych desek. Sądzę jednak, że tylko stracilibyśmy czas. Avidan był zawodowcem.

- Ksiądz i tamtych dwóch chcieli mnie podejść i oszukać - rzekła gniewnie kobieta. - Nie proponowali pieniędzy.

Saula przeszył dreszcz emocji.

- A gdybyśmy my je zaoferowali?

- Trudno mi samej prowadzić gospodarstwo.

- To zrozumiałe - wtrąciła Eryka. - Chcielibyśmy pani pomóc. Mamy ograniczone środki, gdyż ostatnio musieliśmy opuścić nasz dom w Izraelu, ale chętnie zapłacimy.

Kobieta pokręciła głową, kalkulując w myślach i wymieniła sumę.

Kwota była wysoka. Stanowiła niemal połowę tego, co im dał Misza Pletz. Jeśli jednak informacje okażą się tak cenne, jak wskazuje poważny wyraz twarzy gospodyni, pieniądze nie mają znaczenia, pomyślał Saul.

- Dobrze - powiedział. - Pod warunkiem, że nie przedstawi nam pani jakiegoś nieaktualnego notesu z adresami albo...

- To dziennik - przerwała. - Prowadzony od października do momentu zniknięcia Avidana. Opowiada o jego życiu, o tej chacie. Są też zdjęcia. Niedobrze mi się zrobiło na ich widok.

Coś ścisnęło Saula w piersi. Eryka zrobiła krok naprzód.

- Skąd go pani ma?

- Znalazłam. Tam, gdzie był schowany.

- Gdzie?

- Zastanowiło mnie, czego ksiądz szukał w chacie. Kiedy się upewniłam, że wyniósł się stąd na dobre, przyszedłam tutaj i sama zaczęłam przeglądać rzeczy Avidana. Sprawdziłam podłogę, ściany, sufit. Nawet przesunęłam piec i rozebrałam palenisko.

- I?

- Niczego nie znalazłam. Ale ksiądz nie był dokładny. Nie znał zwyczajów Avidana, nie potrafił się postawić na jego miejscu. Jest tu jeszcze jedno pomieszczenie.

- Szalet - zgadł Saul.

- Dziennik i fotografie były ukryte pod deską do siedzenia, nad samym dołem. Codziennie, kiedy Avidan chodził ścieżką, którą przekopał w śniegu, musiał zabierać je ze sobą, schowane pod ubraniem.

- Czy dokumenty są warte sumy, jakiej pani żąda?

- To wasza sprawa, ile są warte. Sumę znacie.

Eryka sięgnęła do kieszeni.

- Mamy tylko austriackie pieniądze.

- Dla mnie mogłyby być nawet japońskie. To Szwajcaria. Każda waluta jest dobra.

Gospodyni przeliczyła banknoty.

- Gdzie są rzeczy, za które zapłaciliśmy?

- Zejdźmy do domu.

## IV.

Siedzieli przy stole w wiejskiej kuchni. Gospodyni parzyła kawę. Saul otworzył zawinięte w folię pudełko, które im dała. Wzdrygnął się, gdy zobaczył fotografie. Eryka zaczęła je przerzucać drżącymi dłońmi.

Hitlerowskie obozy koncentracyjne. Żołnierze SS celujący z pistoletów maszynowych do ofiar, które wyskakują z ciężarówek i bydłowych wagonów. Więźniowie o wychudzonych policzkach, patrzący błędnymi oczyma zza ogrodzenia z drutu kolczastego. Rowy, ciała pokryte wapnem, spychacze zasypujące doły. Komory gazowe, nadzy ludzie, przeważnie dzieci, starcy i kobiety, tak stłoczeni, że umierają stojąc. Otwarte klapy olbrzymich pieców. Niewyobrażalne ilości kości i popiołów.

Saul obejrzał wszystkie zdjęcia, jedno ohydniejsze od drugiego, i znalazł tylko potwierdzenie czegoś, co wiedział od dawna. Ludzka pomysłowość w zakresie brutalnych metod zabijania jest nieograniczona.

Złożył fotografie, odwrócił je i popatrzył na dziennik.

- Odechciewa się żyć... - powiedział zdławionym głosem. - Bóg jeden wie, co jeszcze przyjdzie nam...

- Tej nocy, gdy otworzyłam paczkę - wtrąciła kobieta - bez przerwy dokładałam drew do ognia i wciąż było mi zimno. Chodziłam po pokoju do świtu. Słyszałam o tych okrucieństwach, ale zobaczyć je, czytać o nich...

- Czytać?

Eryka spojrzała na dziennik. Wyciągnęła rękę i natychmiast ją cofnęła, jakby dotknęła nieczystości.

- Tak, przeczytałam o tym w dzienniku - wyjaśniła gospodyni. - Avidan mieszkał w Monachium z rodzicami, siostrą i dwoma braćmi. W roku 1942, kiedy zaczął się holocaust, SS aresztowało całą rodzinę i wywiozło ich do obozu koncentracyjnego w Dachau, dwadzieścia kilometrów od miasta. Był to obóz pracy, nie zagłady, chociaż Avidan opisuje go w taki sposób, że nie widzę między nimi wielkiej różnicy. Avidan i jego bliscy zostali wykorzystani razem z innymi więźniami jako siła robocza w fabryce amunicji. Dostawali minimalne ilości pożywienia, nie mieli dość czasu na odpoczynek i sen. Warunki sanitarne były straszne. Ubikacje na wolnym powietrzu. Skażona woda pitna. Baraki przeciekały. Mnożyły się szczury. Przez dwa lata rodzina Avidanów niewolniczą pracą wspierała "niemiecki wysiłek wojenny". Umierali jedno po drugim. Najpierw matka. Upadła w fabryce z wyczerpania i skołała. Ojciec nie mógł pewnego ranka wstać z podłogi baraku. Esesman

wywłócił go na zewnątrz i zastrzelił na oczach pozostałych więźniów. Ciało leżało na placu apelowym przez trzy dni, zanim rozkazano wywieźć je taczkami i zrzucić do dołu. Potem dziesięcioletnia siostra Avidana zakaszła się na śmierć. Starszy brat nie był tak szybki, jak chciał strażnik, i roztrzaskano mu głowę pałąką. Drugi brat zwariował i podciął sobie żyły drewnianą drzazgą. Avidan postanowił za wszelką cenę przeżyć. W niezauważalny sposób odpoczywał podczas pracy i oszczędzał siły. Jadł wszystko, co tylko mógł znaleźć: pająki, muchy, robaki. I udało mu się. We wrześniu 1944 roku włączono go do grupy, która wyjechała z obozu, aby przywieźć z miasta napoje i jedzenie na mające się odbyć wieczorem przyjęcie dla esesmanów. Ciężarówka złapała gumę. W zamieszaniu więźniowie wyskoczyli. Żołnierze szybko oprzytomnieli i zastrzelili trzech spośród czterech uciekinierów. Tym czwartym był Avidan. Radość z odzyskania wolności podziałała na niego tak potężnie, że znalazł w sobie siły, o które się nie podejrzewał. Kradł jedzenie, spał w stogach, I cały czas wędrował. Dachau leży sto kilometrów od granicy szwajcarskiej. Avidan nie pisze, w jaki sposób przedostał się przez Jezioro Bodeńskie, ale dotarł na terytorium neutralne i szedł dalej, wciąż niepewny, czy jest już bezpieczny. W końcu trafił tutaj. Kupiliśmy z mężem to gospodarstwo w 1978 roku. Nie mam pojęcia, kto był właścicielem podczas wojny. W każdym razie pewnej nocy ci ludzie znaleźli Avidana ukrytego w stodole. Gdy opowiedział im swoją historię, zlitowali się i pozwolili mu zamieszkać w chacie. Dostawał od nich jedzenie. Pozostawał tu od października 1944 do końca wojny w maju następnego roku, kiedy wyjechał do Palestyny. Kobieta zamilkła. W pokoju zapadła dziwna cisza. Saul słuchał w takim skupieniu, że dopiero po chwili uderzyła go końcowa uwaga i ogarnęło gorąco.

- Dotarł tu w październiku czterdziestego czwartego? Czy nie mówiła pani, że w zeszłym roku przybył do wioski...

- Też w październiku - dokończyła gospodyni. - Zważywszy, co napisał w dzienniku o swoich doświadczeniach wojennych, wątpię, żeby ta zbieżność była przypadkowa. Myślał o przeszłości. Coś musiało go pchać do powrotu. Notatki są tak obrazowe, jakby nie tyle przypominał sobie te okropności, co przeżywał je na nowo.

- Był opętany... - wzdrygnęła się Eryka.

- Tak samo jak twój ojciec - dodał Saul.

W obecności kobiety nie chciał wspominać o fotografiach znalezionych w piwnicy wiedeńskiego budynku.

- Powiedziała pani, że w 1945 Avidan wyjechał stąd w maju, po zakończeniu wojny - zauważyła Eryka. - W tym roku opuścił chatę w lutym. Więc nie wszystko się zgadza.

- Może zamierzał odejść w maju - podsunęła gospodyni - ale coś zmusiło go do

wcześniejszego wyjazdu, podobnie jak przedtem do powrotu tutaj. Zniknął bez uprzedzenia. Nie wziął ze sobą prawie nic. Musiał powziąć decyzję nagle.

- Albo ktoś zdecydował za niego - stwierdziła Eryka. - Podejrzewam, że tak właśnie było w przypadku mojego ojca.

- Porwanie? - zapytała kobieta.

- Możliwe - westchnęła Eryka. - Ciągle jeszcze za mało wiemy.

Przez otwarte okno Saul usłyszał warkot nadjeżdżającego szosą samochodu. Hałas stawał się coraz głośniejszy. Nagle ucichł.

Saul zastygł w napięciu. Potem wyszedł z kuchni i ostrożnie, tak, aby nie pokazać się w dużym oknie od frontu, wyjrzał przed ganek. W otwartej bramie, na porytej koleinami drodze prowadzącej od szosy do domu, stał czarny renault. W środku zobaczył sylwetki trzech mężczyzn.

Eryka weszła do pokoju. Gospodyni za nią.

- Co się dzieje?

- Czy poznaje pani samochód? - zapytał Saul. Kobieta zrobiła krok w kierunku okna.

- Lepiej, żeby pani nie zauważyli - ostrzegł ją. Posłusznie przesunęła się na bok.

- Nigdy przedtem go nie widziałam.

Mężczyźni wysiedli z samochodu. Byli wysocy i dobrze zbudowani, po trzydziestce. Wszyscy trzej mieli na sobie buty na grubej podeszwie, ciemne spodnie i obszerne wiatrówki z zasuniętymi zamkami błyskawicznymi.

Kto w czerwcu chodzi w zapiętej pod szyję kurtce? W taki ciepły dzień? - zdziwił się Saul. Zbliżając się do zabudowań nieznajomi rozpięli zamki. Saul poczuł, że Eryka stoi obok niego.

- Mogli podjechać pod sam dom - stwierdziła.

- Chcieli zablokować bramę. Nie wydostaniemy się, dopóki nie ruszą.

Mężczyźni szli obok siebie, z pozornie obojętnym wyrazem twarzy badając wzrokiem volkswagena, dom, pastwiska po obu stronach, las i góry. Trzymali lewe dłonie na wysokości pasa. Byli już w połowie drogi. Dostatecznie blisko, aby Saul mógł dojrzeć błyszczące czerwone pierścienie, które wszyscy nosili na środkowym palcu.

- Czy ma pani strzelbę? - zwrócił się do gospodyni.

Kobieta cofnęła się o krok, jakby odrzucona tym pytaniem, ale dopowiedziała spokojnym głosem:

- Oczywiście, przecież to Szwajcaria.

Nie potrzebowała niczego wyjaśniać. Chociaż Szwajcaria jest państwem neutralnym,



przywiązuje się tu dużą wagę do gotowości militarnej. Każdy mężczyzna w wieku od dwudziestu do pięćdziesięciu lat jest zobowiązany odbywać szkolenia wojskowe. Każda rodzina powinna mieć w domu broń.

- Proszę ją przynieść. Szybko - polecił Saul. - I sprawdzić, czy jest naładowana. Musimy stąd natychmiast uciekać.

- Ale dlaczego...?

- Natychmiast!

Z rozszerzonymi strachem oczami kobieta podskoczyła do schowka i wyjęła szwajcarski Sturmgewehr, czyli karabinek szturmowy. Saul dobrze znał tę broń. Średnica lufy odpowiada pociskom kalibru 7.62 mm używanym przez NATO. Automat ma składany statyw i gumową nakładkę, która łagodzi odrzut.

Gospodyni po omacku chwyciła z półki dwa magazynki. Eryka wzięła je i sprawdziła, czy są pełne. Załadowała jeden, odbezpieczyła broń, nastawiła ją na ogień półautomatyczny i wprowadziła pierwszy nabój do komory. Drugi magazynek wsunęła za pasek.

Kobieta zamrugnęła oczami z przerażenia.

- Oni na pewno nie...

- Nie ma czasu na dyskusję! Wynośmy się stąd!

Saul porwał z kuchennego stołu dziennik i fotografie, i wepchnął je do kartonowego pudełka. Z automatem w ręce Eryka otworzyła tylne drzwi. Saul złapał gospodynię za ramię i ciągnąc ją pośpieszył za żoną. Przebiegli przez porośniętą trawą podwórko, minęli stodołę i ruszyli pod górę w kierunku chaty Avidana.

Saul usłyszał za sobą krzyk. Przycisnął paczkę mocniej do piersi i ryzykując, że się potknie, rzucił okiem do tyłu. Dwóch mężczyzn wypadło zza lewego rogu stodoły. Trzeci pojawił się z prawej strony, pokazując na stok.

- Ici! - wrzasnął po francusku.

Napastnicy wyciągnęli spod wiatrówek pistolety.

- Eryka! - zawołał Saul.

Spojrzała przez ramię, zobaczyła, że mierzą do nich i odwróciła się. Płynnym ruchem przyklękła na jedno kolano, oparła łokieć na drugim i wycelowała. Zanim przeciwnicy zdążyli wypalić, trzykrotnie nacisnęła spust. Dzielilo ją od nich pięćdziesiąt metrów. Była doskonałym strzelcem, ale nie miała czasu, aby usztynić mięśnie i lufa automatu drgnęła. Pierwsza kula drasnęła jednego z mężczyzn w bark, pozostałe trafiły w stodołę.

Ranny złapał się za ramię i uskoczył za szopę. Jego towarzysze zniknęli wewnątrz. Przynajmniej zatrzymała ich na chwilę. Zerwała się i pobiegła za Saulem i kobietą, którzy

byli już na szczycie wzgórza. Gdy mijiała chatę Avidana, pocisk oderwał kilka drzazg z drewnianego bala.

Saul i gospodyni czekali na Erykę oddychając głęboko. Zaryzykowała i strzeliła jeszcze dwa razy w dół zbocza, do pędzących za nimi napastników. Padli płasko na ziemię.

- Zna pani te lasy - zwrócił się Saul do kobiety. - Proszę nas zabrać w góry.

- Ale...

- Żadnego ale. Ruszamy.

## V.

Kobieta przedarła się przez krzaki na wąską ścieżkę wiodącą w górę porośniętego lasem stoku i długimi pewnymi krokami muskularnych nóg zmierzała w kierunku szczytu. Saul i Eryka nie przyzwyczajeni do wysokości, z trudem nadążali za przewodniczką. Na wierzchołku dróżka skręcała w lewo, prowadząc w dół, między wysokie do piersi skały. Gęste drzewa zasłaniały słońce. Saul czuł żywiczny zapach sosen, a pod stopami miękkie igliwie, ale jego uwagę całkowicie pochłaniał dochodzący z tyłu trzask gałązek i stłumione echo gniewnych głosów.

Dotarli do płytkiego strumienia. Saul przeprowił się przezeń z pluskiem i nie zważając na zimną wilgoć spodni, które przywarły mu do nóg, skoczył w las. Słyszał za sobą, jak Eryka brnie przez wodę.

Kobieta prowadziła ich teraz innym zboczem, bardziej stromym, po niemal niewidocznej ścieżce. Saul omijał wiatrołomy, zarośla, skałki. Na szczycie odwrócił się, aby złapać oddech i spojrzeć w dół. Mężczyzn nie było widać, ale doszedł go odgłos kroków rozpryskujących wodę w strumieniu.

Wyszli na polanę. Sto metrów dalej ciągnęło się kolejne pasmo gęstego lasu. Pobiegli ku niemu. Saul zaczął butami o wysoką trawę. Wstrząsnął nim dreszcz, gdy wyobraził sobie, że trzech napastnicy nagle pojawiają się z tyłu, ale żadna kula nie przeszła mu kręgosłupa. Runął na ziemię za krzakami po drugiej stronie przesieki. Eryka przykucnęła obok i wycelowała broń. Kobieta pośpieszyła dalej, ale gdy zorientowała się, że jej obrońcy nie idą za nią, przystanęła za drzewem i opadła na kolana.

W przeciwieństwie do Szwajcarki, która nie ukrywała przerażenia, Saul był niemal szczęśliwy. Udało się! Nie złapali nas na otwartej przestrzeni! Teraz nasza kolej!

Eryka wyrównała oddech i, mierząc z opartego na statywie automatu, znieruchomiła jak kamień.

Już niedługo, myślał Saul. Otarł pot z czoła i utkwiał wzrok w przeciwległym krańcu polany, gdzie w każdej chwili mogły się rozstąpić zarośla.

Minęło pięć sekund. Potem dziesięć. Piętnaście. Trzydzieści. Po mniej więcej dwóch minutach Eryka poczołgała się do tyłu. Saul dobrze wiedział, dlaczego. Źle ocenili sytuację. Przeciwnicy powinni już byli dotrzeć do przesieki. Powinni się już pokazać.

Podążył za Eryką, która doganiała kobietę. Kiedy Szwajcarka otworzyła usta, aby się odezwać, Saul położył dłoń na jej wargach i wskazał las. Odczytała rozkaz w jego oczach i ruszyła między drzewami pod górę.

Saulowi przyszedł na myśl tylko jeden powód, dla którego mężczyźni się nie pojawili. Najwidoczniej zwietrzyli zasadzkę na polanie i rozdzielwszy się, zaczęli obchodzić otwartą przestrzeń, aby wyprzedzić uciekających. Możliwe, że już to zrobili.

Odgłos strzału z lewej strony przynaglił Saula do biegu. Słyszał, jak kula świszając obok niego szarpie liście. Czy wystrzał miał ich popędzić w kierunku zaczajonego na szczycie snajpera, czy też zmusić do zatrzymania się i ukrycia, co ułatwiłoby myśliwym osaczenie zwierzyny?

Zdecydował instynkt. Ruch i ucieczka to jedyne wyjście. Saul rozumiał, dlaczego Eryka nie próbuje odpowiedzieć na ogień. Nie widziała nieprzyjaciela, a gdyby nawet go zobaczyła, drzewa uniemożliwiały oddanie celnego strzału. Zdawał sobie sprawę, że nie mogą liczyć na pomoc z wioski. W Szwajcarii obowiązkowe szkolenie wojskowe wymaga od farmerów regularnych ćwiczeń. Odgłosy kanonady są w Alpach czymś tak zwyczajnym, jak dźwięk dzwonek na pastwiskach. Nie zwracają niczyjej uwagi.

Ochłodziło się. Niebo pociemniało. Wielkie krople zaczęły bębnić Saulowi po plecach. Mocniej przycisnął do piersi kartonowe pudełko z fotografiami i dziennikiem Avidana, zadowolony, że jest zawinięte w folię. Deszcz zacinał i przesiąkał przez ubranie. Wiatr pędził ciemne chmury. Drżąc z zimna Saul uzmysłowił sobie, jak niebezpieczna jest dla nich ta zmiana pogody. Wspinając się coraz wyżej, bez żadnej aklimatyzacji, w końcu zasłabną z wyczerpania i niedostatku tlenu. Te czynniki plus długotrwały lodowaty deszcz mogą doprowadzić do hipotermii: szybkiego zaniku sił i obniżenia temperatury ciała.

Najwyżej trzy godziny, pomyślał Saul. Trwająca dłużej hipotermia powoduje śmierć. Tylko tyle mamy czasu. Jediną pociechę stanowił fakt, że przeciwnicy są w identycznej sytuacji.

Trzęsąc się z zimna, dotarł na szczyt wzgórza i z przerażeniem stwierdził, że ma przed sobą następny zalesiony grzbiet przesłonięty ciemnymi chmurami i ścianą deszczu. Ulewa zagłuszyła strzał z prawej strony. Kula trafiła w drzewo.

Kobieta przyśpieszyła, pchana strachem. Saul z trudem za nią nadążał. Prowadziła ich przez liczne przeszkody, coraz wyżej i stromiej. Musimy już być na wysokości dwu i pół tysiąca metrów, zgadywał. Od rozrzedzonego powietrza kręciło mu się w głowie. Bez względu na to, jak szybko i głęboko oddychał, płuca nie pobierały dość tlenu. Wszystko wirowało. Poruszał się jak automat. Dwukrotnie upadł, Eryka pomogła mu wstać. Potem ona się przewróciła i Saul ją podniósł. A kobieta, zwinna jak kozica, wciąż parła do przodu, coraz wyżej.

Nie zauważył, kiedy drzewa się przerzedziły, a pokryta igliwem ziemia ustąpiła miejsca skale. Nagle oprzytomniał i zorientował się, że wyszli z lasu na otwartą przestrzeń i przed sobą mają już tylko ośnieżone granitowe szczyty.

Wpadliśmy w pułapkę, pomyślał. Nie możemy iść dalej. Zasłabniemy.

I zamrzniemy na śmierć. Deszcz, który mroził ich do szpiku kości, przeszedł w śnieg. Powyżej granicy lasu czerwcową zamieć nie jest niczym niezwykłym. Doświadczeni alpinści biorą takie niebezpieczeństwo pod uwagę i pakują do plecaków wełnianą odzież. Oni nie przypuszczali jednak, że znajdą się tak wysoko. Mieli na sobie letnie ubrania. Z dołu, z zalanej słońcem wioski odległa burza wyglądałaby 50 procent malowniczo. Tutaj, w górze stanowiła zagrożenie dla życia. Śnieg zaczął już osiadać Saulowi na głowie i ramionach. Kostniały mu ręce.

Umrzemy tu, pomyślał. Zaszliśmy tak daleko, że gdybyśmy nawet zawrócili, zemdlejemy z wyczerpania i zamrzniemy, zanim uda się nam dotrzeć na farmę. Albo gdzieś po drodze wpadniemy w zasadzkę.

Śnieg zasłaniał szare skalne granie. Pomimo lodowatego wichru kobieta uparcie wspinała się wyżej. Zwariowała, stwierdził Saul. Tak bardzo boi się tych ludzi, że będzie parła do góry, dopóki starczy jej sił, a tymczasem oni rozumieją, jakie niebezpieczeństwo nam grozi. Przeczekają zamieć poniżej granicy lasu i podkradną się, kiedy zawierucha ustanie. Znajdą nas, zamarzniętych, tam, gdzie padniemy i tak zostawią. W lipcu, gdy śnieg stopnieje, turyści odkryją nasze ciała i doniosą o jeszcze jednym wypadku w górach.

Saul ze złością podążał za kobietą. Płatki śniegu przerzedziły się na chwilę i zobaczył, że dotarli na następny całkowicie pusty płaskowyż. Szwajcarka wciąż parła naprzód. Ale tym razem nie w kierunku kolejnego grzbietu, tylko ku drewnianym drzwiom osadzonym w granitowej ścianie.

Drzwi zostały tu umieszczone właśnie na wypadek sytuacji takiej jak ta - powszechne w Alpach zabezpieczenie przed niespodziewaną burzą. Śnieg kotłował z taką siłą, że Saul nie widział już prawie nic. Nie mieli wyboru musieli wejść do środka.

Kiedy jednak kobieta pociągnęła za kłamkę i odsłoniła mroczne wnętrze jaskini, Saul się zawahał.

- Deski są grube na dwa cale! - zaczęła go przekonywać. - Kule ich nie przebija! Tamci prędzej umrą, niż się nas doczekają!

Saul rozumiał sposób myślenia kobiety, uwarunkowany latami mieszkania w górach. Dla niej grotą była schronieniem. Ale jego własne doświadczenia przemawiały przeciwko takiemu zamknięciu. Schronienie może stać się pułapką. A jeśli zamieć ustanie? Albo jeśli mężczyźni postanowią nie czekać poniżej granicy lasu, tylko pójść po śladach na śniegu i przystąpią do oblężenia? Jeśli pod luźnymi kurtkami ukrywają coś więcej niż pistolety? Na przykład materiały wybuchowe?

Nie. Musi zmierzyć się z wrogiem na otwartej przestrzeni, mając swobodę ruchów. Nie może jednak zostawić Eryki bez broni. Kusilo go, żeby sięgnąć po automat, który niosła, ale powściągnął ten odruch.

- Zaraz wracam. Jeżeli nie rozpoznacie mojego głosu, strzelajcie, gdyby ktoś próbował otworzyć drzwi.

Płatki śniegu przywarły do twarzy Eryki. Pobladła na skutek spadku temperatury ciała. Uścisnęła ramię męża.

- Kocham cię.

Padło coraz mocniej.

- Gdyby był inny sposób... - wyszeptał. - Ale nie ma. Otworzyła usta, żeby coś jeszcze powiedzieć.

- Kocham cię - dodał, i wiedząc, że go rozumie, popchnął ją w kierunku jaskini.

Eryka bezwolnie weszła za kobietą do środka i zniknęła w ciemności. Drzwi zatrzęsły się za nimi z niemal niesłyszalnym na wietrze stukiem.

## VI.

Saul zaczął schodzić w dół. Z zamieci wynurzały się ciemne kontury skał. Miał teraz wiatr w plecy, dzięki czemu widział lepiej niż poprzednio. Dawało mu to niewielką przewagę nad przeciwnikami. Ich będzie oślepił syjący prosto w oczy śnieg. Może to zrekompensuje brak broni. Ale tamci i tak przewyższają go liczebnie. Trzech na jednego. Tylko paralizujące zimno wszyscy czują tak samo.

Nie miał jednak czasu na analizy. Musiał działać. Zadymka gęstniała. Śnieg pokrywał ziemię i Saul nie wiedział, gdzie może bezpiecznie postawić stopę. Skręcenie nogi byłoby

katastrofą, ale nie mógł zwolnić. Powinien jak najszybciej dostać się na dół i znaleźć kryjówkę, zanim przeciwnicy nadejdą.

Trzymał się z dala od tropu, który on, Eryka i kobieta zostawili na śniegu. Chociaż kurzawa szybko zasypywała ślady, były one wciąż na tyle wyraźne, że mężczyźni mogli się nimi kierować. Oczywiście nie będą szli w grupie. Niżej, w lesie kule nadlatywały z prawa i z lewa. Myśliwi rozdzielili się, próbując osaczyć zwierzynę. Teraz trudne warunki prawdopodobnie zmusiły ich do zmniejszenia dystansu, ale nie zlikwidowali go całkowicie. Saul powinien więc zachować znaczną odległość od pozostawionych przez siebie śladów. Chciał potajemnie zejść bokiem poniżej przeciwników, zawrócić, zakraść się od tyłu i załatwić jednego po drugim.

Gdyby tylko mógł opanować dreszcze. Jego koszula i spodnie były przerażająco zimne, ręce sztywniały mu od lodowatego wiatru, tracił czucie w palcach. Pośliznął się na gładkiej płycie, upadł i poleciał w dół, objając się o skały. Zatrzymał się dopiero na pniu sosny u podnóża stoku. Przez dłuższą chwilę leżał na plecach, osłonięty niskimi gałęziami, próbując złapać oddech. Wzrok mu się mącił. Zmusił oczy i mięśnie do wysiłku. Z najwyższym trudem usiadł i miał właśnie wstać opierając się o drzewo, gdy zobaczył sylwetkę, która pełzła pod górę obok przysypanych śniegiem zarośli. Znieruchomiał.

Mężczyzna w wyraźnie odcinających się od bieli ciemnych spodniach i kurtce, często przystawał, mierzył z pistoletu, a potem patrzył w prawo, prawdopodobnie w kierunku niewidocznego dla Saula partnera. Zimny metal broni musi być bolesny w dotyku, pomyślał Saul. Palce mogą odmówić strzelcowi posłuszeństwa.

Śnieżyca zelżała na krótką chwilę. Dostatecznie jednak długą, aby Saul zrozumiał, jak bardzo się pomylił. Zobaczył, że mężczyzna nosi rękawiczki. Przypomniał sobie opis księdza "turysty". Gospodyni mówiła, że na środkowym palcu lewej dłoni widziała u niego jasną obwódkę, jakby niedawno zdjął pierścień. Saul zaczął się zastanawiać, czy był on taki sam, jak te, które dostrzegł, gdy napastnicy zmierzali w kierunku domu.

Przypomniał sobie coś jeszcze. "Turysta" niezwykle dbał o swoje ręce. Gdy tylko mógł, wkładał rękawiczki. Podobnie ci mężczyźni mieli je ze sobą pomimo lata. Czy istniał jakiś związek między nimi i tamtym? Czy byli księżmi, jak podejrzewała kobieta?

Księża, którzy noszą broń? Podchodzą jak zawodowcy? Są gotowi zabić? To nie wyglądało prawdopodobnie. Gospodyni musiała się pomylić. Co duchowni mogliby mieć wspólnego ze zniknięciem ojca Eryki i Avidana? Wiara i przemoc? Powinny się nawzajem wykluczać.

Wiatr zmienił kierunek. Przeszywał gałęzie, kłuł w oczy. Saul drżał, zazdroszcząc

przeciwnikom kurtek i rękawic. Stawy zdrewniały mu od licznych uderzeń odniesionych podczas upadku. Czuł, że pokrywa go warstwa lodu. Nie masz czasu! Nie zastanawiaj się! Działaj!

Mężczyzna podszedł bliżej. Saul schował się za pniem i przywarł do ziemi. Widział, jak buty mijają drzewo. Wyobraził sobie, że przeciwnik obserwuje teraz okolicę.

Nagle buty przystanąły i odwróciły się, jakby ich właściciel patrzył na sosnę. Saul ze strachu zacisnął zęby, sądząc, że nieprzyjaciel zajrzy pod gałęzie i strzeli. Ten jednak skręcił pod górę. Saul poczołgał się za nim. Gęsty śnieg ograniczał widoczność.

Teraz! Saul przykucnął i skoczył. Impet ataku rzucił mężczyznę na skałę. Saul wylądował mu na plecach, chwycił za głowę i szarpnął z całej siły. Kręgosłup ofiary pękł chwilę wcześniej niż podstawa czaszki. Pomimo ogłuszającego wichru, Saul usłyszał dwa nieprzyjemne trzaski. Przeciwnik zadrżał, wypuścił powietrze przez zęby i zastygł.

Z rozpaczliwym pośpiechem, w obawie, że ktoś go zauważy, Saul zawłókł ciało pod sosnę i ukrył wśród gałęzi. Niezdarnie ściągnął trupowi skórzane rękawiczki. Włożenie ich było jeszcze trudniejsze. Opuchnięte i sztywne palce jakby nie należały do niego. Nie chciały się zginać. Próbował rozgrzać dłonie pod pachami, ale tam także było przeraźliwie zimno. Zdał sobie sprawę, że jest bliski punktu krytycznego. Jeśli ciepłota ciała jeszcze spadnie, straci przytomność.

Na chwilę poddał się marzeniom o upale izraelskiej pustyni. Rozkoszował się urojonymi promieniami słońca. Nagle odzyskał świadomość straszliwego wichru i pokrytego śniegiem stoku. Przerażony objawami choroby wysokościowej i hipotermii, zmusił się, żeby zedrzeć z zabitego kurtkę i włożyć ją. Dawała minimalną ochronę, ale w porównaniu z cienką koszulą ta dodatkowa warstwa stanowiła luksus.

Popędził na brzeg zagajnika i spojrzał w prawo, gdzie, jak sądził, posuwali się w górę dwaj pozostali. Ruszył naprzód i dotarł do miejsca, w którym zaatakował pierwszego przeciwnika. Wygrzebał spod śniegu upuszczony przezeń pistolet, ale palec odmówił mu posłuszeństwa i nie chciał wejść w kabłąk spustowy. Daremnie Saul zacierał dłonie, aby przywrócić im giętkość. Nie miał czucia od nadgarstków w dół. Wsunął broń za pas i wycofał się do gęstego lasu u podnóża stoku. Korzystając z osłony drzew, zaczął iść w prawo, w kierunku nieprzyjaciół, z zamiarem zajścia ich od tyłu. Wkrótce zauważą brak partnera z lewej strony. Sprawdź, co się z nim stało. Osłabiony, pozbawiony przewagi, jaką daje zaskoczenie, Saul będzie miał niewielkie szanse, aby pokonać obu naraz. Musi zmierzyć się z przeciwnikami pojedynczo, zanim zdadzą sobie sprawę, że na nich poluje.

Śnieg sypał mocniej. Po przejściu odległości, którą ocenił na pięćdziesiąt metrów,

natknął się na świeże ślady. Prowadziły w górę. Idąc po nich wyszedł z lasu na otwartą przestrzeń. Zobaczył przez zadymkę plecy ciemnej postaci i zebrawszy siły rzucił się naprzód. Rękawiczki rozgrzały mu dłonie na tyle, że był w stanie nimi poruszać i uchwycić broń, chociaż palce miał wciąż zbyt sztywne, żeby z niej wystrzelić. Z furią wyrzucił męczyzną lufą pistoletu w skroń. Metal zarył się głęboko w kość. Gorąca krew trysnęła Saulowi na twarz. Przeciwnik jęknął. Saul zadał drugi cios z większą siłą. Męczyzna runął na ziemię w drgawkach. Saul uderzył jeszcze raz. I jeszcze raz. Nie mógł przestać. Tłukł kość na miazgę, aż ofiara znieruchomiała na szkarłatnej zaspie.

Saul skierował się w prawo, wypatrując trzeciego. Biegł w poprzek stoku, mrużąc oczy od śniegu, z nadzieją, że zaraz migną mu ciemne spodnie i kurtka. Przebył tak pięćdziesiąt metrów, a przeciwnika wciąż nie było widać.

Czyżby już wspiął się na szczyt? Może minąłem go, idąc niżej? Spojrzał w stronę niewidocznej w zamieci grani. Jeśli nieprzyjaciel jest nade mną, przeciąłbym jego ślad! Nie, musi być dalej!

Jednak po następnych dwudziestu metrach nie dostrzegł ani mężczyzny, ani jego tropu. Zatrzymał się. Straszliwe podejrzenie napęliło go paniką.

Napastnicy nie oddaliliby się od siebie aż na taką odległość. Popęliłem błąd w ocenie sytuacji. Ten, którego załatwiłem pierwszego, nie był na lewej flance. Był w środku! Gdzieś na zboczu, za mną, trzeci przeciwnik, ten, który naprawdę szedł z lewej strony, musiał już zauważyć, że jest sam. Znajdzie plamy krwi na śniegu, gdzie zabiłem jego współtowarzysza! Znajdzie ciało! Zacznie mnie szukać!

Saul popatrzył za siebie, przerażony, że zostawił tak wyraźny trop. Wystarczy, że trzeci męczyzna pójdzie po śladach, aż zaprowadzą go do...! Rozległ się szcęk broni. Kula musnęła rękaw Saula. Zanurkował w zaspie i poturlał się w dół, nie zważając na ostre skały. Pistolet odezwał się ponownie. Pocisk wzbili tumany śniegu. Saul dotarł do podnóża stoku, z trudem wstał i usłyszał trzeci wystrzał. Nie wolno mi się zatrzymać. Nie mogę pozwolić, aby przeciwnik mnie przygwoździł. W skostniałych dłoniach nie utrzymam broni, by odpowiedzieć na ogień. Nieprzyjaciel będzie krążył, aż wyraźnie zobaczy cel, podejdzie na bezpieczną odległość i zastrzeli mnie.

Ruszył dalej, obawiając się, że zaraz zwymiotuje z wysiłku. Drzewa rosły coraz gęściej. Był już na następnym zboczu. Męczyzna nie pójdzie prosto po śladach, będzie się trzymał z boku, aby uniknąć pułapki. Licząc na tę strategię, Saul uskoczył w skalną szczelinę. Zobaczył sterczącą ze śniegu gałąź i wyciągnął ją. Korzystając z osłony zarośli, zawrócił pod górę. Na szczycie skręcił w kierunku, z którego dochodziły strzały. Miał zamiar zatoczyć



duże koło, odnaleźć trop przeciwnika i podkraść się od tyłu. Po chwili przeciął własne ślady i wszedł na terytorium wroga. Śnieżycą zamieniła popołudnie w zmierzch. Już obiekty oddalone o dziesięć metrów były niewyraźne. Pełznąąc od drzewa do drzewa, Saul nagle natknął się na ślady swojego prześladowcy.

Zaczął obmyślać następne kroki. Do tej pory nieprzyjaciel powinien już odszukać jego trop i dotrzeć do miejsca, gdzie Saul przestał schodzić i zawrócił. Na pewno zorientuje się, że zwierzyna zamierza okrążyć i podejść myśliwego. Pośpieszy z powrotem po własnych śladach, aby ją uprzedzić.

Ściskając rozwidloną gałąź, Saul patrzył na zbiegający w dół trop przeciwnika. Zobaczył grupę skał. Zszedł ku nim, stawiając stopy w zagłębienia pozostawione przez mężczyznę i skoczył najdalej, jak tylko mógł. Miał nadzieję, że nowe ślady będą dostatecznie odległe od starych, by prześladowca nie dostrzegł ich w porę i nie zorientował się, że Saul ukrywa się między skałami.

Wciśnięty w rozpadlinę, wyobrażał sobie idealny przebieg wypadków. Nieprzyjaciel idzie tędy wypatrując Saula na zboczu i nie patrząc pod nogi. Gdy dochodzi na wysokość skał, widzi w górze miejsce, gdzie trop Saula przecina jego własny. Zdezorientowany, staje się łatwym celem ataku.

Tego życzyłby sobie Saul. Na wiele czynników nie miał jednak wpływu. Mężczyzna może nie iść po własnych śladach, tylko obok nich i minie skały z lewej strony, zamiast z prawej. Saulowi trudno było się skoncentrować na jednym kierunku, a co dopiero na dwóch. Albo myśliwy zatoczy koło, podążając za tropem zwierzyny, i podejdzie do skał od przodu, a nie od tyłu. Wówczas Saul będzie doskonale widoczny.

Powinienem był biec dalej, pomyślał.

Ale dokąd? Gospodarstwo jest zbyt daleko. Zgubiłbym drogę w zamieci. A co z Eryką i kobietą? Nie mogę ich tak zostawić.

Przecież one mają schronienie i automat. A ja tylko pistolet, z którego zgrabiałe palce nie pozwalają mi strzelać. I tę gałąź.

Całe to "uzbrojenie" wydało mu się teraz groteskowe. Drżał z zimna. Bał się, że zamarznie na śmierć, zanim przeciwnik do niego dotrze. Miał zawroty głowy i mdłości. Czuł, że ogarnia go słabość.

Nie wierzę, że to zrobiłem.

Nagle przyszło mu na myśl, że nieprzyjaciel musi się trząść tak samo jak on. Jego zdolność oceny sytuacji także jest osłabiona. Może ich siły są równe. Mijały pełne napięcia sekundy i minuty. Śnieg zbierał się wokół Saula. I na nim. Zesztywniały mu stawy. Zaczynał

wątpić, czy będzie w stanie się ruszyć, nawet jeśli mężczyzna wpadnie w pułapkę.

Ściemniało się. Wkrótce całkowicie straci orientację i nie znajdzie ani przeciwnika, ani powrotnej drogi do jaskini. Albo oba te problemy przestaną w ogóle istnieć. Jeśli pozostanie tak bez ruchu, umrze na długo przed zapadnięciem nocy.

Śnieg już na pół zasypał ślady. Jeśli mężczyzna nie będzie widział tropu, są małe szanse, aby dotarł do skal. Upłynęło tyle czasu, że musiał chyba wybrać inną drogę. Albo nie mógł dłużej znieść zimna i wycofał się, aby wrócić do wioski.

Powiniem wstać, rozruszać mięśnie, pobudzić krążenie krwi!

Cierpliwość Saula wyczerpała się. Wyszedł z kryjówki, spojrzął w prawo i...

Znalazł się twarzą w twarz z przeciwnikiem. Mężczyzna pilnie obserwując stok, dotarł właśnie na wysokość skal. Zaskoczenie sparaliżowało ich obu.

Saul zamachnął się kijem w chwili, gdy nieprzyjaciel wycelował pistolet. Wystająca z gałęzi, długa na palec odnoga ugodziła go w prawe oko. Trysnął śluz, a zaraz potem krew. Mężczyzna krzyknął rozdzierająco z bólu i wściekłości. Siła ciosu Saula była tak wielka, że gałąź przeszła oczodół na wylot i wbiła się w mózg. Ranny zatrzepotał rękami, jakby próbował wzlecieć w niebo. Jego krzyk zawisł na chwilę w powietrzu i ucichł. Usta pozostały otwarte. Mężczyzna upuścił broń i chwycił za gałąź, potem wspiął się na palce, rozłożył ramiona, popatrzył ocalałym okiem na Saula i runął na ziemię.

Gałąź sterczała groteskowo z twarzy zabitego. Wstręt, strach, wyczerpanie, zimno i wysokość zrobiły swoje. Saul zwymiotował. Nie wierzył, że zawartość jego lodowatego żołądka może tak parować. Chwiejnie podszedł do skal, między którymi był przedtem ukryty, kurczowo zacisnął ręce na kamieniu, zgiął się w pół, wyprostował plecy i w końcu padł na kolana. Las zawirował wokół niego. Umieram, pomyślał. Zwyciężyłem, ale umieram. Obrzydzenie do siebie za to, co był zmuszony zrobić, nagle przerodziło się we wściekłość. Na okoliczności, pogodę, własną słabość. Podniósł głowę i zawył.

Nie! Jeśli już mam umrzeć, to nie dlatego, że się poddałem. Z trudem wstał, odepchnął się od skały i zaczął na chwiejnych nogach brnąć przez zaspy. Przed oczyma przesunęła mu się twarz Eryki, potem syna. Rozpaczliwie pragnął żyć. Nie ze względu na siebie. Dla rodziny.

Ramiona miał jak drewniane kłocę, nogi jak ciężkie Mody, ale nie przestawał iść pod górę. Dotarł na szczyt jednego zbocza. Wszedł na następne. Śnieg wciąż sypał. Saul stracił równowagę i upadł. Wstał. Znowu upadł.

Zaczął się czołgać. Wyżej.

Dalej.

Poczuł silniejsze porywy wiatru. Pomimo przyćmionej świadomości, zrozumiał, że wyszedł z lasu na otwartą przestrzeń.

Płaskowyż zdawał się ciągnąć bez końca. Saul miał wrażenie, że im bardziej wyteża siły, tym krótszą drogę pokonuje. Pełznąąc na rękach i kolanach, uderzył głową o kamień. Próbował przejść górą. Nie mógł. Wtedy uświadomił sobie, że to skalna ściana.

Ściana na płaskowyżu.

Drzwi. Jeśli pamięć go nie zawodzi, w ścianie muszą być drzwi. W którą stronę powinien iść? W prawo czy w lewo? Jego życie zależy od natychmiastowej decyzji. Całkowicie zdezorientowany, skręcił w lewo.

Niewiele brakowało, a minąłby wejście. Wyczerpanie zabiło wszelką radość. Oszołomiony zaczął skrobać do drzwi, łamiąc sobie paznokcie.

- Eryka, to ja, Saul. Na miłość boską, Eryka.

Śnieg przykrył go jak ciepły koc. Drzwi otworzyły się. Runął do środka, wylądował na kamiennej podłodze i usłyszał krzyk żony.

## VII.

W pierwszej chwili pomyślał, że przerażona twarz Eryki wirująca mu przed oczyma, jest tą samą wizją, która jak latarnia morska prowadziła go przez zamieć. Resztki świadomości mówiły mu jednak, że dotarł do drzwi i został wpuszczony do środka.

Potem usłyszał syk pełgającego płomienia. Lampa naftowa. Jej niemal mistyczne światło wydobywało z mroku półki zastawione konserwami i butelkami z wodą, białe plastikowe pudełko ozaaczone czerwonym krzyżem, płaszcze, koszule, skarpety, spodnie i nadajnik radiowy.

Trzecie i najważniejsze wrażenie, jakie odebrał, to ciepło. Ciepło tak wielkie, że aż bolało. Wił się i jęczał, gdy Eryka ciągnęła go do światła. Zdał sobie sprawę, że obok lampy stoi grzejnik benzynowy, a mira w suficie odprowadza gazy. Szczypanie gorąca na skórze sprawiło, że cały się skulił. Natarczywy uścisk Eryki był nieznośny. Próbował protestować, ale nie miał dość siły.

Kobieta zatrzasnęła drzwi, odcinając pomieszczenie od śniegu i wiatru. Podeszła do Saula i dotknęła jego czoła.

- Ma za niską temperaturę. Ciało nie rozgrzeje się samo.

Saul zrozumiał. Gdzieś w środku ma piec. Jeśli piec przestanie pracować, ciepło z zewnątrz mu nie pomoże. Musi przyjść od wewnątrz. Trzeba zmusić piec, żeby znowu zaczął

grzać.

- On umrze, jeśli...
- Koce - powiedziała Eryka.
- To nie wystarczy
- Podgrzejemy kakao.

Kobieta pokręciła głową.

- Gorący płyn też nic nie da. Poza tym on nie ma dość siły, żeby przetykać.
- Więc co mam robić? Jak mogę uratować męża?
- Własnym ciepłem.
- Co takiego?
- Ciepłem swojego ciała! Nie stój tak!

Eryka zrozumiała. Zdarła z Saula mokre ubranie. Zadrżał i objął ramionami klatkę piersiową. Chwyciła z półki śpiwór, rozścieliła go na podłodze i rozpięła zamek błyskawiczny. Ułożyła męża w środku i zaciągnęła suwak.

Śpiwór był gruby i miękki.

Ale zimny.

- Zimno - wyszeptał Saul.

W świetle lampy widział, że Eryka też się rozbiera. Rzuciła w kąt wszystko: kurtkę, bluzę, spodnie, buty, skarpetki, bieliznę i wskoczyła do śpiwora.

Przytuliła się do Saula i objęła go ramionami. Przywarła do męża brzuchem, biodrami i piersiami. Choć uścisk żony sprawiał mu ból, Saul czuł, że wewnątrz śpiwora, który ledwie pomieścił ich dwoje, wypełnia się jej ciepłem. Gorąco promieniowało na niego. Eryka włożyła kolano między nogi Saula, udo między jego uda. Całowała jego policzki, szyję, ramiona. Oddychała mu na piersi równo i głęboko. Robiła wszystko, aby chłonął ciepło jej ciała.

Saul nigdy nie doświadczył bardziej intymnego kontaktu. Dzięki nieustającym wysiłkom Eryki, aby przekazać mężowi swoje ciepło, stopić własne ciało z jego ciałem, powstało między nimi zespolenie, jakiego sobie nawet nie wyobrażał. Cały organizm stał się najczulszym receptorem, sumą wszystkich zmysłów. Saul nie wiedział, jak długo Eryka przywiera do niego. Ciałem do ciała. Duszą do duszy. Czuł jednak, że stopniowo gorąco wsącza się weń i przenika do głębi. Najpierw rozgrzał mu się brzuch, potem płuca i serce. Kiedy poczuł łaskotanie w krzyżu, zrozumiał, że jego organizm odzyskał zdolność samodzielnego wytwarzania ciepła.

Oddychał swobodniej, pełną piersią. Przestał drżeć. Uśmiechnął się do Eryki, dotknął

jej pięknej twarzy, która zaczynała mu się zamazywać, i zapadł w sen.

## VIII.

Gdy się obudził, w dalszym ciągu leżał w śpiworze, ale był kompletnie ubrany, w suche rzeczy. Czuł się słaby, a jednak zadziwiająco wypoczęty. Rozprostował nogi, wyjął na wierzch ręce, potarł oczy i zobaczył w świetle lampy Erykę i kobietę oparte o ścianę jaskini, przyglądające mu się uważnie. Eryka także miała na sobie ubranie.

- Jak długo...?

- Jest dziesiąta rano - odpowiedziała otwierając drzwi. - Rusz się. Słońce już dawno wstało.

Zasłonił oczy dłonią i odwrócił głowę. Na zewnątrz było przeraźliwie jasno.

- To nie słońce - jęknął. - To promień laserowy.

- Nie możesz przespać całego życia.

Woda ściekała po drzwiach jaskini. Śnieg lśnił oślepiająco. Saul naciągnął na twarz róg śpiwora.

- Skoro się upierasz... - rzekła Eryka.

Kiedy wyjrzał spod przykrycia, zobaczył żartobliwy błysk w jej oczach. Przymknęła drzwi. Teraz do środka wpadała tylko kilkunastocentymetrowa smuga światła.

- Wiesz, jak ukołysać faceta do snu.

- Przyjemność po mojej stronie.

Saula przebiegł dreszcz, tym razem nie z zimna, tylko z emocji.

- Kocham cię.

Szwajcarka wyraźnie zmieszana tą wymianą czułości, zakaszła.

- Nie jest pan głodny? Ugotowałyśmy zupę z koncentratu.

- Umieram z głodu.

Był już dość silny, żeby samodzielnie jeść łyżką.

- Co się tam wydarzyło? - zapytała w końcu Eryka.

- Zabiłem ich.

Kobieta zbladła. Eryka tylko pokiwała głową. Saul pominął szczegóły.

- Mamy dużo do zrobienia.

Wyczołgał się ze śpiwora. Poczuł ból w krzyżu i musiał chwilę poczekać, zanim odzyskał równowagę.

Eryka pozbierała mokre rzeczy męża i podała mu paczkę zawierającą fotografie i

dziennik Avidana. Podniosła automat. Upewnili się, że grzejnik, lampa oraz piec kuchenny są wyłączone, i wyszli na zewnątrz.

Szwajcarka zamknęła drzwi.

- Będę musiała uzupełnić zapasy, które zużyliśmy.

- Zapłacimy za to - powiedział Saul.

- Nie. Zapłaciliście mi już dość. Nie tylko pieniędzmi. Uratowaliście mi życie.

- Nie potrzebowałyby pani tej pomocy, gdybyśmy się tu nie pojawili. Nadal jesteście pani dłużnikami.

Schodzili stokiem po topniejącym śniegu. Saul zorientował się, że są w pobliżu miejsca, gdzie zabił pierwszego przeciwnika. Nie chce tego robić, pomyślał. Ale to konieczne.

- Lepiej zaczekajcie tutaj.

Pobiegł ku sośnie. Eryka została w tyle, aby odwrócić uwagę kobiety. Saul z niechęcią pochylił się i podniósł zwisające gałęzie, aby spojrzeć na ciało mężczyzny, któremu złamał kręgosłup. Wstrzymał oddech i z trudem ściągnął pierścień ze środkowego palca zeszywniałej lewej ręki.

W złotej oprawie lśnił ogromny rubin. Znaki wyryte na kamieniu przedstawiały krzyż i miecz. Saul dokładnie przeszukał zwłoki, ale znalazł tylko paszport i portfel. Paszport był francuski, wystawiony na niejakiego Jeana Lapierre'a. Nazwisko popularne i prawdopodobnie fałszywe. Na dalszych stronach zobaczył stemple austriackiej i szwajcarskiej kontroli granicznej. Jechaliśmy tą samą trasą, pomyślał. Czy to ci mężczyźni zaatakowali mnie w wiedeńskim parku?

W portfelu odkrył równowartość około tysiąca dolarów amerykańskich w różnych europejskich walutach. Na karcie kredytowej i francuskim prawie jazdy widniał ten sam podpis co w paszporcie. Adres był paryski. Fotografia atrakcyjnej kobiety z jasnoocą córeczką miała zapewne dodać autentyzmu temu, co zdaniem Saula było po mistrzowsku podrobionym zestawem dokumentów.

Zajął mu to czterdzieści minut, ale w końcu znalazł pozostałe ciała. Zdjął pierścienie, zabrał portfele i paszporty. Często spotykane nazwiska. Adresy - marsylski i lionński. Zdjęcia rodzinne. Dokumenty wyglądały całkowicie w porządku i, jak poprzedni komplet, były niewątpliwie doskonale sfalszowane.

Saul wrócił do Eryki i kobiety, które siedziały na nagrzanym słońcem skale.

- Ukrywamy ciała czy zostawiamy je tam, gdzie są? Szwajcarka zareagowała gwałtownie.

- Ukryć? Ale dlaczego...?

- Ze względu na panią - odparł Saul. - Żeby nie wplątano pani w tę sprawę. Przy dobrej pogodzie, jak daleko jest stąd do gospodarstwa? Godzina drogi? Jaskinia, w której nocowaliśmy, świadczy o tym, że turyści lubią tędy chodzić. Znajdą ciała. Władze zaczną panią przesłuchiwać. Czy będzie pani potrafiła ich przekonać, że nie wie, co się tu wydarzyło?

- Jeśli będę musiała... Zrobię wszystko.

- Wiem. Już pani tego dowiodła. Proszę się jednak zastanowić nad tym, co powiedziałem i zdecydować, zanim odejdziemy.

Kobieta zadrżała.

- Wyżej jest wąż. Turyści go unikają. Przez większą część roku leży tam śnieg. Schowajcie tam ciała.

- Nie musi nam pani pomagać.

Szwajcarka nie wykonała najmniejszego gestu sprzeciwu. Patrzyła przed siebie.

Saul spojrział na Erykę. Wstała. Po upływie półtorej godziny i trzech nieprzyjemnych spacerach do wąwozu, wrócili do kobiety.

W głosie Saula czuć było napięcie.

- Zrobione.

Nie zmieniła pozycji. Dalej wpatrywała się w dolinę. Nagle jakby wyrwana z transu, zamrugała powiekami.

- Często przychodziliśmy tu z mężem. To był kiedyś mój ulubiony zakątek.

Zaczęli schodzić w dół.

## IX.

Na zalanej słońcem farmie nie wydojone krowy ryczały z bólu. Kobieta pobiegła do nich. Saul wyczuwał, że jej chęć oddalenia się tylko częściowo wynika z troski o zwierzęta. Jesteśmy wyrzutkami, pomyślał. Popatrzył na góry. Pokryte śniegiem szczyty wyglądały jak potężne płyty nagrobne. Poszli z Eryką w kierunku volkswagena, którym tu przyjechali.

Saul pokazał żonie kluczyki zabrane jednemu z mężczyzn.

- Wsiadaj do naszego wozu. Ja poprowadzę renault. Pojedziemy do Zurychu. To na tyle daleko, że jeśli nawet ciała zostaną odkryte, nikt ich nie będzie kojarzył z samochodem. Daj mi kilka minut. Przypuszczam, że to wynajęty wóz, ale dotąd nie znalazłem pokwitowania z firmy. Prawdopodobnie jest w schowku. Chcę też zapisać numer rejestracyjny i

numer silnika. Wszystko jedno, ilu pośredników użyli, ktoś musiał zapłacić za wypożyczenie samochodu i powinniśmy się dowiedzieć, kto to był.

- Do zdobycia tego rodzaju informacji potrzebna jest siatka. Pamiętaj o umowie.

- Że mamy działać na własną rękę? Jasne. Myślę jednak, że znalazłem sposób, aby skłonić Agencję do współpracy, do uznania, że już im oddałem przysługę.

- Nie wiem, jak.

- Tak.

Saul wyjął z kieszeni spodni jeden z pierścieni.

- Chciałem się pozbyć kobiety, zanim ci go pokażę. To by ją tylko zdenerwowało.

Eryka obejrzała pierścień.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Złota oprawa. Czystej wody rubin z wrytym krzyżem i mieczem. Wzór średniowieczny, prawda?

- Tak, ale powierzchnie są gładkie. Świeży wyrób.

- Krzyż i miecz.

- Religia i przemoc. Wszyscy trzej mieli te urocze błyskotki. To musi być symbol jakiejś organizacji. Znak rozpoznawczy dla wtajemniczonych. Prawdopodobnie przed przyjściem na farmę "turysta" zdjął z palca taki sam pierścień.

Saul nacisnął błyszczący rubin. Kamień z lekkim trzaskiem odskoczył na zawiasie. Odśloniła się przegródka.

Wewnątrz Eryka zobaczyła żółtą kapsułkę. Wyjęła ją i powąchała.

- Cyjanek.

- Albo coś o jeszcze szybszym działaniu. Saul zamknął skrytkę.

- Przypuszczam, że gdyby ci ludzie żyli, połknęliby kapsułki, zanim zdążyłbym ich o cokolwiek zapytać. Myślę, że mamy do czynienia z jakimś kultem śmierci. Bardzo starym i bardzo dobrze przygotowanym. Razem przepracowaliśmy w zawodzie prawie trzydzieści lat. A jednak nikt z nas nigdy nie widział ani takiego pierścienia, ani znaku. Istnieje siatka, o której nie wiemy, i założę się, że nie tylko my.

- Jak to możliwe?

- Nie mam pojęcia, w jaki sposób udało im się utrzymać swoją działalność w tajemnicy i dlatego teraz ryzykują, że zostaną zdemaskowani. Ale najwyraźniej istnieją i najwyraźniej są dobrze wyszkoleni. Czy nie sądzisz, że gdybym podał tę informację Agencji, potraktowaliby to jako przysługę i zwolnili mnie ze zobowiązań? Zgodzisz się, żebym to zrobił?

- Pod warunkiem, że wyjaśnię, co się stało z ojcem i znowu zobaczę mojego syna.



- Naszego syna. - Saul podniósł głos, przypominając sobie zalany krwią śnieg: - Jeśli przyjmą propozycję, może nie będę już musiał zabijać.

## NIEZWYKLE POŁĄCZENIE

### I.

*Zurych.* Za dawnych czasów Shean często szukał tu schronienia. Było to jedno z jego ulubionych miast. Teraz jednak, gdy w ten ciepły jasny poranek szedł z Arlene wzdłuż płynącej przez centrum rzeki, ledwo zauważał nadbrzeża, statki wycieczkowe, ogrody i kupieckie kamienice po drugiej stronie. Wciąż miał przed oczami martwych strażników w podrzymskiej willi i zmalretowane ciało Gatto, rozciągnięte na sofie obok basenu kąpielowego. Po odkryciu tej masakry poprzedniej nocy, Shean i Arlene natychmiast opuścili Rzym, lecąc do Zurychu pierwszym samolotem. Skręcili właśnie z nadrzecznego bulwaru w zabudowaną okazałymi gmachami ulicę i bez słowa zmierzali w kierunku Swiss Zurichsee Bank, w którym ojciec Sebastian przyrzekł otworzyć dla nich skrytkę. W kieszeni spodni Shean miał klucz, a w pamięci hasło: "Matka Boska" - mające umożliwić im dostęp do sejfów.

Gdy stanęli przed wejściem do banku, zielone oczy Arlene zabłyśły lękiem.

- A jeśli klucz nie będzie pasował? Albo hasło jest niewłaściwe? Jeśli ojciec Sebastian nie zamierza nas wspierać tak, jak obiecał?

- Do tej pory dotrzymywał słowa. Przyszedł na spotkanie w Ogrodach Watykańskich. Dostarczył nam broń, paszporty, pieniądze i wyniki śledztwa ojca Victora w sprawie zniknięcia kardynała Pavelicia. Na pewno dzieje się coś bardzo złego, ale nie sądzę, żeby ojciec Sebastian był temu winien.

- Zaraz się przekonamy.

Weszli do banku. Marmurowa podłoga, potężne kolumny i wysoko sklepiony sufit przypominały Sheanowi świątynię, a echo głosów brzmiało jak chór wiernych podczas mszy. Minęli strażników i urzędników, biurka i okienka. Znaleźli napisy w językach niemieckim, francuskim, włoskim i angielskim, które wskazywały drogę do depozytów w podziemiach, i zstąpili w dół jak do krypty.

- Matka Boska - powiedział Shean po niemiecku do kobiety o poważnej twarzy, strażniczki tego sanktuarium, i pokazał jej numer na kluczu.

Sprawdziła wykaz numerów sejfów i haseł, po czym podniosła na Sheana badawcze spojrzenie. Usiłował opanować napięcie.

- Zgadza się, proszę pana.

Kobieta zaprowadziła ich do pomieszczenia ze skrytkami i używając dwóch kluczy, klienta i własnego, otworzyła zamek. Wyciągnęła metalową kasetkę i podała ją Sheanowi z

czcią kapłanki udzielającej sakramentu.

Trzy minuty później Shean i Arlene zostali sami za zamkniętymi drzwiami kabiny. Shean podniósł wieczko kasetki. W środku znaleźli dwa pistolety, paszporty oraz kopertę, która zgodnie z obietnicą ojca Sebastiana zawierała pieniądze.

- Dotrzymał słowa - szepnął Shean. - Dobrze jest wiedzieć, że można ufać księdzu należącemu do Bractwa.

- Jak dotąd - odparła Arlene.

Ukryli broń pod kurtkami. Zanim przeszli przez detektory metalu na rzymskim lotnisku, wynajęli schowek i złożyli w nim pistolety, które ojciec Sebastian dał im wcześniej. Shean czuł nieprzyjemny ciężar broni za pasem. Wsunął pieniądze do kieszeni, wyjął długopis oraz kartkę papieru i napisał wyraźnie drukowanymi literami: KONIECZNE SPOTKANIE JAK NAJSZYBCIEJ. ZOSTAW INSTRUKCJE CO DO CZASU I MIEJSCA. POKUTNIK.

Włożył notatkę do kasety, zamknął wieko i otworzył drzwi kabiny. Strażniczka stanęła w pozie pełnej szacunku, jakby miała otrzymać świętą relikwię. Gdy skrzynka znalazła się w bezpiecznym miejscu, a klucz w kieszeni Sheana, opuścili świątynię pieniądza. Rozejrzeli się badawczo po zatłoczonej ulicy i, nie dostrzegając żadnych oznak tego, że są śledzeni, ruszyli z powrotem w stronę rzeki.

- Teraz pozostaje nam tylko czekać - powiedział Shean. - Wrócimy tu po południu i jutro rano, tyle razy, ile będzie trzeba. Może zdarzy się cud i nikt nie nawiąże z nami kontaktu. To nie nasza rozgrywka. Zostaliśmy zmuszeni do współpracy i zrobiliśmy swoje. Reszta należy do ojca Sebastiana. Nie można nas winić, jeśli się nie odezwie. Chętnie czekałbym tutaj z tobą bez końca.

- Przecież wiesz, że tak nie będzie - odparła Arlene. Shean z rozpaczą skinął głową:

- Bractwo nigdy nie rezygnuje. Nie uwolnimy się od nich, dopóki nie wypełnimy zadania. Nienawidzę robić rzeczy, do których mnie wyszkolono, ale wykorzystam swoje umiejętności, żeby z tym wreszcie skończyć. Żebyśmy mogli zacząć wspólne życie.

Arlene wzięła Sheana za rękę.

- Już je zaczęliśmy. I te chwile są wszystkim, co mamy.

## II.

O czwartej po południu Shean ponownie otworzył sejf. W miejscu wiadomości, którą zostawił, znalazł notatkę napisaną bardziej zdecydowanym niż jego własny charakterem

pisma. Instrukcje były jasne, fachowe, dokładne. Poniżej, w kropli stopionego wosku, odciśnięto znak krzyża i miecza.

Tym razem Shean wszedł do banku sam. Po wyjściu na zewnątrz poszedł w kierunku przeciwnym do rzeki i dotarł na Bahnhofstrasse, główną arterię handlową Zurychu. Zatrzymał się, aby popatrzeć na kwiaty w jakimś oknie. W chwilę później stanęła obok niego Arlene. Zobaczył jej odbicie w szybie. Szła za nim, odkąd opuścił bank.

- Nikt się tobą nie interesował - stwierdziła.

Co nie dowodziło, że nie są obserwowani. Niemniej byłiby nierozsądni, gdyby nie podjęli środków ostrożności. Zmieszali się z tłumem przechodniów.

- Dostaliśmy wiadomość - powiedział Shean.

Nie pokazał Arlene notatki. Nie mógł. W kabinie bankowej podarł kartkę na mikroskopijne kawałeczki i schował je do kieszeni. Idąc w stronę Bahnhofstrasse, wyrzucał strzępki papieru pojedynczo na chodnik.

- Zakładając, że informacja rzeczywiście pochodzi od ojca Sebastiana - ciągnął Shean - ksiądz wyznaczył nam spotkanie wieczorem. Podał też dwa miejsca i godziny na jutro, na wypadek, gdyby wiadomość nie dotarła do nas dzisiaj.

- Przewidujący.

- Jak należało się spodziewać po członku Bractwa. Oczy Arlene znów zabłyśły lękiem.

- Gdzie mamy się z nim spotkać?

### III.

Pierwsza w nocy. Skręcili z ciemnej alei na wąski kamienny Rathausbrücke i dotarli pod zabytkową fontannę. Znad rzeki płynęła mgła.

- Widywałam w życiu lepsze miejsca na spotkania - stwierdziła Arlene.

- Mniej odsłonięte? - zapytał Shean.

- Może. Z drugiej strony, jeśli ktoś nas śledzi, musiałby przejść przez most. Tak późno w nocy, kiedy prawie nie ma tu ludzi, na pewno byśmy go zauważyli.

Instrukcje nakazywały stawić się pod fontanną pięć po pierwszej, ale Shean i Arlene wiedzieli, że kontakt nie może nastąpić od razu. Zanim ojciec Sebastian sam się pokaże, będzie chciał zyskać pewność, że nie są obserwowani.

Minęło jednak pół godziny i księdza wciąż nie było.

- Nie podoba mi się to - zdecydował Shean. - Lepiej spływajmy stąd. Spróbujemy jutro rano, tam gdzie podali.

Arlene nie potrzebowała zachęty. Odeszła od fontanny, ale nie z powrotem w kierunku mostu, lecz w stronę nadrzecznego bulwaru. Shean ruszył za nią.

Mgła się rozrzedziła. Skręcili w ciemną boczną uliczkę i minęli restaurację o nie oświetlonych oknach. Przed nimi młody mężczyzna na motocyklu przecinał skrzyżowanie z takim hałasem, że w pierwszej chwili Shean nie usłyszał samochodu za sobą. Rozbłysły reflektory. Kierowca jechał prosto na nich. Shean pchnął Arlene w jakąś bramę i sięgnął po pistolet. Wóz właśnie hamował.

Z otwartego okna odezwał się głos ojca Sebastiana.

- Wskakujcie. Szybko. Wsiedli. Shean ledwie zdążył zamknąć drzwiczki, a już ksiądz nacisnął pedał gazu. Samochód pomknął w dół ulicy.

- Co cię tak długo zatrzymało? - zapytał Shean. - Dlaczego nie przyszedłeś na miejsce spotkania?

Ojciec Sebastian wziął ostry zakręt.

- Obserwowałem was z sąsiedniej przecznicy. Na wypadek, gdybyście byli śledzeni, chciałem, aby pomyślano, że nikt się nie zjawił i zrezygnowaliście z dalszego czekania.

Ksiądz był ubrany w ciemne spodnie i zapinaną na suwak kurtkę. Pierścień na środkowym palcu lewej ręki wypychał skórę czarnej samochodowej rękawiczki.

- Jestem zaskoczony, że tak szybko odebrałeś naszą wiadomość. Zostawiliśmy ją w banku zaledwie dziś rano - przerwał milczenie Shean. - Mieszkasz teraz w Zurychu?

- Nie. W Rzymie.

- Więc jak...

- Kiedy dałem wam klucz od sejfu, mój najbardziej zaufany współpracownik dostał przeniesienie do tutejszego klasztoru. Sprawdza skrytkę codziennie. Gdy znalazł kartkę od was, zadzwonił do mnie do Rzymu. Poleciałem mu zorganizować kilka wariantów spotkania i natychmiast poleciałem do Zurychu. Mój samolot wylądował wieczorem.

- Ale jeśli pomocnik zna twoje plany...

- Właśnie dlatego, chociaż mu ufam, przezorność nakazywała mi wprowadzić poprawkę. Dzięki takim środkom ostrożności Bractwo nie zostało wykryte przez tyle wieków. Poza tym nie wolno ci zapominać, że zwerbowałem ciebie, człowieka z zewnątrz, który nie ma wyboru i musi nam pomagać, ponieważ mam powody, aby wierzyć, że do organizacji wkradł się zdrajca.

Ksiądz skręcił jeszcze raz i spojrzął w lusterko wsteczne.

- Nikogo za nami. Zdaje się, że osiągnęliśmy cel. Czy macie coś przeciwko nocnej przejażdżce?

Samochód pomknął na północ, w kierunku lesistych wzgórz za miastem.

#### IV.

- Prośba o spotkanie była dość niespodziewana, a z punktu widzenia bezpieczeństwa bardzo niepokojąca. Czego chcesz? - zapytał ojciec Sebastian.

- Informacji - odparł Shean.

- Nie mogłeś przedstawić pytań na piśmie i zostawić w banku?

- Żeby twój współpracownik dowiedział się, czego potrzebuję, wcześniej od ciebie? Jakie środki ostrożności podjąłeś na taką ewentualność?

- Punkt dla ciebie.

- Poza tym od naszej rozmowy w Watykanie wiele się zdarzyło.

- Mam nadzieję, że to oznacza postępy w sprawie.

- To oznacza, że w tej grze są jeszcze inni zawodnicy. Ojciec Sebastian odwrócił się gwałtownie.

- Kto?

- Gdybym wiedział, nie ryzykowałbym spotkania. Potrzebne mi są źródła, jakimi dysponuje siatka.

Ksiądz skoncentrował się na drodze.

- Słucham.

Shean zaczął od decyzji zbadania możliwości, że za zniknięciem kardynała Pavelicia stoją terroryści.

- Ostatecznie walka z terroryzmem była moją specjalnością - zauważył kwaśno. - A dokumenty ojca Victora pokazują, że tej ewentualności nie sprawdzono.

- Porwanie kardynała jako pierwszy etap ataku na Kościół? Gratulacje. Mnie to nie przyszło do głowy.

- Nie jestem pewien, czy mam rację. Ale dwaj inni ludzie powzięli takie same podejrzenia.

Shean opowiedział o rozmowie z Gatto i o tym, jak były handlarz bronią, pozbawiony następnie dostępu do poufnych informacji, skierował ich do Mediciego.

- Zastawiliśmy z Arlene pułapkę na pośrednika, ale tamci dwaj nas wyprzedzili. Kiedy wróciliśmy do Gatto, aby zapytać, co wie o tych facetach, okazało się, że jego willa została zdemolowana. Goryle nie żyli. On sam był torturowany i na koniec podejrnięto mu gardło.

Ojciec Sebastian zacisnął ręce na kierownicy.

- Więc przypuszczasz, że ci mężczyźni zmusili Gatto do powiedzenia tego, co wcześniej zdradził wam?

- Tak. Jestem przekonany, że męczyli go, aby wydobyć informację, czy terroryści byli zamieszani w zniknięcie kardynała. Sądzę, że także chcą odnaleźć Pavelicia. Muszę wiedzieć, co to za jedni.

- Opisz ich.

Shean zaczął sobie przypominać, co widział w głębi alei, gdy dwaj nieznajomi załatwili goryla i kierowcę Mediciego, a potem wepchnęli pośrednika do jego własnego samochodu. Wypadki toczyły się niezwykle szybko, trwało to nie dłużej niż dwadzieścia sekund, ale wyćwiczona pamięć Sheana zarejestrowała wszystko jak taśma filmowa.

- Byli trochę po czterdziestce. Obydwaj nosili czapki, ale mimo to widziałem włosy z tyłu głowy i koło uszu. Jeden był blondynem, drugi rudy. Blondyn miał sześć stóp wzrostu, był opalony i dobrze zbudowany, jakby trenował podnoszenie ciężarów: szerokie ramiona i klatka piersiowa, wydatna szczeka. Rudy był wyższy, może o pięć centymetrów, wyjątkowo chudy i blady. Miał zapadnięte policzki i wąską twarz.

- Czarująca para - orzekł ojciec Sebastian. - Ale nie sądzę, by udało się ich zidentyfikować przy tak małej ilości danych. Muskularny blondyn i wymoczkowaty rudzielec? Domyślasz się chociaż, jakiej są narodowości?

- Tylko jakiej narodowości nie są. Miałem wrażenie, że to nie Francuzi i nie Hiszpanie, ani Włosi. Wiem jednak coś jeszcze.

- Tak?

- Ci mężczyźni są zawodowcami. Nie chodzi mi o to, że znają się na robocie. Oni reprezentują światową klasę. Niewielu widziałem w życiu lepszych zawodników, a w przeszłości miałem do czynienia z wieloma specjalistami. Nie mogą być nieznani, skoro są tak dobrzy. Wydaje mi się, że kolor włosów jest częścią ich znaku firmowego. Popytaj o czołówkę płatnych skrytobójców. Sprawdź, czy nie ma wśród nich takiej pary. I jeszcze coś. Jeśli przyjmiemy, że nie są Włochami, musieli przejść kontrolę graniczną. Zbadaj to przez informatorów z Opus Dei we włoskiej służbie bezpieczeństwa, z Interpolu i CIA. Może nasi przyjaciele przyjechali do Włoch niedawno. Może ktoś ich zauważył.

- To w dalszym ciągu słaby trop.

- To wszystko, co mamy - odpowiedział Shean. - Wszystko, co ty masz. Na razie przekazuję ci sprawę.

- Na razie? Czy próbujesz wykręcić się sianem? Chyba nie zapomniałeś o umowie. Jeśli będziesz z nami współpracować, odpuścimy ci grzechy popełnione przeciw Bractwu.

- Nie zapomniałem. Chcę być z Arlene i wiem, że jeśli was zdradzę, nigdy mi na to nie pozwolicie. Ale jak mam współpracować, jeśli nie dostaję informacji, o które proszę?

Ojciec Sebastian zastanawiał się przez chwilę.

- Tak jak mówisz, sprawa jest teraz w moich rękach. Zagląajcie do sejfu codziennie o dziesiątej rano i o trzeciej po południu.

Shean wyczerpany dyskusją, zapadł głęboko w fotel. Czuł na sobie palący wzrok Arlene, siedzącej obok niego z tyłu samochodu.

- Postaram się wkrótce dać wam odpowiedź - rzekł ksiądz.

## V.

Park krajobrazowy Langenberg, położony w bok od malowniczej drogi prowadzącej z Zurychu na południowy zachód, pozwala zwiedzającym zobaczyć z bliska świstaki, jelenie i dziki. Zostawiwszy za sobą dziesięć hektarów skalistych, porośniętych lasem wzgórz parku, Shean i Arlene posuwali się dalej na południe krętą jak serpentyna szosą, aż dotarli do przełęczy Albis. Z wysokości siedmiuset osiemdziesięciu metrów rozciągał się rozległy widok na pagórkowatą okolicę. Co ważniejsze, takie warunki umożliwiały ojcu Sebastianowi sprawdzenie, czy nie są śledzeni.

Dziesięć minut później ksiądz zatrzymał się obok nich. Gdy Shean i Arlene wsiedli, samochód pomknął w dół. Wkrótce ojciec Sebastian skręcił w boczną leśną drogę i spojrział w lusterko wsteczne. Działo się to nazajutrz po nocnym spotkaniu. Niebo było zachmurzone. Deszcz wisiał w powietrzu.

- Sopol i Set.

Shean nie rozumiał.

- Sopol i...?

- ...Set - powtórzył ksiądz. - To ich pseudonimy. Muszę przyznać, nie wierzyłem, że uda mi się cokolwiek dowiedzieć. Wystarczyło jednak, że wspomniałem o blondynie i rudym, a dostałem natychmiastowy odzew od moich ludzi z Opus Dei w Interpolu. Wstyd mi, że dotąd nie słyszałem o tych dwóch. Może mnie usprawiedliwić tylko fakt, że nigdy nie występowali przeciw Kościołowi. To nie terroryści. Dlatego ty też ich nie znasz.

- Więc kim są? - zapytał Shean.

- Płatnymi mordercami. Wyjątkowo drogimi, wyjątkowo sprawnymi i wyjątkowo groźnymi. Nie pracują często, ale jeśli już się czegoś podejmą, jest to zwykle poważna robota. Są specjalistami w zacieraniu śladów. Nikt nie wie, gdzie mieszkają.



- Oczywiście - odparł Shean. - Inaczej narażaliby się na akcje odwetowe.

- Interpol ma teorię, że dużą część dochodów przeznaczają na opłacanie ochrony. Jednak pomimo tego w swojej karierze popełnili parę błędów. Kilkrotnie pozwolili się sfotografować. Obraz wyszedł zamazany. Dzisiaj jednak komputery dokonują cudów, żeby dodać ostrości ciemnym zdjęciom. Tych fotografii użyto do identyfikacji dwóch mężczyzn, którzy dwa dni temu przylecieli z Kanady na rzymskie lotnisko. Każdy z osobna mógłby nie wzbudzić zainteresowania. Ale obydwaj w jednym samolocie...

- Jasne. Zwracali na siebie uwagę. Musieli zostać zauważeni.

- Nie o to chodzi - ciągnął ojciec Sebastian. - Jest ważniejszy powód, aby uznać ich pojawienie się razem za coś niezwykłego. Jak powiedziałem, noszą pseudonimy Sopel i Set. Obydwa odpowiednie dla morderców.

- Sopel - lodowaty jak technicznie śmierci? Set to czerwono włosy egipski bóg podziemnego świata.

- Czterdzieści lat temu ludzie o tych pseudonimach byli śmiertelnymi wrogami.

- To niemożliwe! Czterdzieści lat temu mężczyźni, których widziałem, byli małymi dziećmi.

- Mówię o ich ojcach, po których odziedziczyli przydomki. W czasie drugiej wojny światowej Sopel i Set pełnili funkcje głównych zabójców na osobistych usługach Hitlera. Jeden chciał prześcignąć drugiego liczbą ofiar, aby zdobyć uznanie wodza. Nie przestali ze sobą rywalizować nawet po upadku Trzeciej Rzeszy. Kilkrotnie próbowali się nawzajem pozabijać. Niektóre źródła podają, że z powodu kobiety. Czyżby synowie starych nieprzyjaciół działali teraz w porozumieniu? Podróżują tym samym samolotem. Wspólnie porywają informatora. To przede wszystkim zwróciło uwagę Interpolu. Cokolwiek się dzieje, jest bardziej niepokojące, niż sądziłem. Sopel i Set To niezwykle połączenie.

## VI.

Niebo poszarzało. Gdy Shean i Arlene opuszczali samochód ojca Sebastiana, na przełęczy Albis zaczął padać lekki deszcz. - Teraz sprawa znowu należy do ciebie - stwierdził ksiądz. - Nie wiem, w jaki sposób wykorzystasz informacje, których ci udzieliłem, ale pamiętaj, że zaangażowałem cię właśnie po to, aby nie ryzykować wciągania Bractwa w śledztwo. Po co mi nasza umowa, jeśli muszę wykonywać robotę za ciebie. Zaczynam tracić cierpliwość.

Ojciec Sebastian odjechał z gniewnym błyskiem w oczach.

Shean patrzył, jak samochód księdza znika w dolinie. Deszcz przypominał ciężką mgłę, osiadał na twarzach. Przygnębieni, wsiedli do swojego wozu.

- Co teraz? - zapytała Arlene. - Nawet z tym, co nam powiedział, czuję się bezradna. Dokąd pojedziemy?

- Z powrotem do Rzymu. - Shean usiłował przybrać pewny siebie ton. - Tam zniknął kardynał Pavelić, tam zastrzelono ojca Victora, tam Sopel i Set załatwili Gatta i Mediciego.

Oczy Arlene zaśniły nadzieją.

- Ale jaki jest związek...

- Między synami bliskich współpracowników Hitlera a porwaniem kardynała? Nie mam pojęcia, czy w ogóle jest jakiś związek, w każdym razie chyba nie bezpośredni. Gdyby Set i Sopel uprowadzili Pavelicia, to by go nie szukali. Tymczasem oni także próbują wyjaśnić tę zagadkę. Tylko dlaczego? Dlaczego tak ich to interesuje? Co sprawiło, że synowie zbrodniarzy hitlerowskich - a pamiętaj, że ich ojcowie byli wrogami - chcą połączyć siły, aby znaleźć zaginionego kardynała? Przeoczyliśmy coś ważnego. Pavelić jest kluczem do sprawy. Do tej pory myśleliśmy o nim wyłącznie jako o ważnej figurze, dostojniku Kościoła, a nie jako o człowieku. Kim był? Nie wiemy o nim prawie nic.

Shean przekreślił kluczyk w stacyjce i spojrzął na szosę. Natychmiast zauważył prowadzone przez jakiegoś mężczyznę renault, które minęło ich z dużą prędkością, mknąc w kierunku Zurychu. W niewielkiej odległości za renault podążał volkswagen. Kobieta za kierownicą tak intensywnie wpatrywała się w samochód przed sobą, jakby stracenie go z oczu było najgorszą rzeczą, jaka może się jej zdarzyć. Shean miał absolutną pewność, że nigdy dotąd nie widział tej pary, a jednak poczuł intrygujące pokrewieństwo. Wjechał na szosę i ruszył za nimi, ale dokądkolwiek zmierzali tamci, on i Arlene udawali się na lotnisko, a stamtąd pierwszym samolotem do Rzymu.

## VII.

Saul znalazł miejsce na zatłoczonym parkingu w pobliżu dworca kolejowego w Zurychu. Czuł, że skórę na twarzy ma naprężoną z wyczerpania. Próbowałem za wiele zdziałać, pomyślał. Powiniennem być dłużej odpocząć w jaskini. Zebrawszy siły wysiadł z renault i zamknął samochód. Mżawka nie ustępowała. Spojrzął na bagażnik, w którym odkryli broń automatyczną, materiały wybuchowe oraz trzy komplety dokumentów umożliwiających zmianę tożsamości mężczyznom podróżującym dotychczas tym samochodem.

Nie ryzykowaliby przewożenia takich rzeczy przez granicę szwajcarską, pomyślał

Saul. Dostali wszystko po przyjeździe na miejsce. To znaczy, że nie działali sami. Mieli kontakty, wsparcie jakiejś organizacji. Najwyraźniej sądzili, że nie będziemy niczego podejrzewać i nie uciekniemy. Inaczej zaatakowaliby nas wcześniej. Popelnili błąd.

Nadjechał volkswagen Eryki. Saul podszedł do jej wozu.

- Kilka razy straciłeś panowanie nad kierownicą - powiedziała. - Masz błędne oczy. Jesteś błąd. Źle się czujesz?

Zaschło mu w gardle. Musiał odkasznąć.

- Nie mówmy o tym, dopóki nie zadzwonię.

- A potem twoja małżonka zadba o ciebie.

- Trzymam cię za słowo - uśmiechnął się Saul. - Jedź w stronę jeziora.

Mógł skorzystać z telefonu na stacji kolejowej, ale z zasady unikał automatów na dużych dworcach. Agencje wywiadowcze często zakładają tam podsłuch. W połowie Bahnhofstrasse wskazał budkę telefoniczną.

- Przypuszczam, że ta będzie równie bezpieczna, jak każda inna. Eryka zaparkowała samochód przy krawężniku.

- Krąż dookoła - polecił Saul wyskakując z volkswagena. Podniósł słuchawkę i wrzucił do aparatu kilka monet.

- Kwaciarnia - odezwał się po niemiecku gruby głos.

- To zamówienie priorytetowe. Proszę mnie połączyć z działem wysyłki międzynarodowej.

- Czy prowadził pan już z nami interesy? W celu przyśpieszenia dostawy potrzebny mi numer pańskiego rachunku.

- Mam konto imienne.

- Jak brzmi nazwisko?

- Romulus.

Głos zawahał się, ale trwało to tylko chwilę.

- Sprawdzę pana fakturę i zobaczę, czy dostawca jest obecny.

- Proszę mu powiedzieć, że znalazłem kwaciarnię, o której moim zdaniem nie wie.

- Jestem pewien, że będzie zainteresowany. Jeśli tylko uda mi się z nim skontaktować.

- Na pewno się panu uda.

Saul spojrział na zegarek. Po czterdziestu sekundach na linii odezwała się inna osoba, mówiąca po angielsku.

- Jakie kwiaty pan sobie życzy?

- Róże. Dzwonię z Zurychu, z automatu. Chciałbym je przesłać do piekarni razowca w

Wiedniu. Mój tamtejszy znajomy ma przydomek Ospowaty. Oto numer mojej budki - podyktował. - Nie dysponuję innym aparatem. Proszę przekazać Ospowatemu, żeby do mnie jak najszybciej zadzwonił. Chcę z nim omówić kwestię pewnej przysługi.

- To może trochę potrwać.

Saul wiedział, że wykorzystają numer, aby go zlokalizować i naocznie sprawdzić, czy jest tym, za kogo się podaje.

- Rozumiem. Niech tylko na pewno zadzwoni.

Saul odłożył słuchawkę i spojrzał przez zalaną deszczem szklaną ścianę budki. Zobaczył, że mijają go volkswagen Eryki i pomachał do niej uspokajająco.

Czekał. Przez zaparowane oddechem szyby jeszcze kilkakrotnie widział przejeżdżającą obok żonę.

Dziesięć minut później zabrzączał telefon. Głos na linii znów odezwał się po niemiecku, ale tym razem brzmiał tak, jakby jego właściciel uczył się tego języka w Nowej Anglii.

- Dzwonię w sprawie kwiatów, które chcesz mi przysłać.

- Masz okropny akcent.

- A ty jak zwykle jesteś nieuprzejmy. Poza tym przyrzekłeś, że nie będziesz się z nami kontaktować.

- Chciałbym porozmawiać o moim niedoszłym wypadku w Wiedniu.

Ospowaty zaprotestował pośpiesznie.

- Nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

- Wiem. Odkryłem, kto był w to zamieszany. Zdziwisz się. Pogadamy teraz czy zmienimy aparat?

W słuchawce zapadła cisza.

- Romulus?

- Słucham?

- Jesteś pewien, że będę zaskoczony?

- A nawet zachwycony.

- Co byś powiedział na wynajęcie pokoju w hotelu? Firma stawia.

- W którym hotelu?

- Do tej pory kwaciarnia powinna zlokalizować twoją budkę.

- Od pięciu minut na zewnątrz moknie jakiś facet. Wygląda na przemarzniętego.

- Spróbuję się z tobą zobaczyć wieczorem. Połączenie przerwano. Saul wyszedł z budki. Siwy mężczyzna stał obok, chowając się przed deszczem.

- Lubi pan kwiaty? - zapytał go Saul.
- Tak, róże.
- Zna pan jakiś dobry hotel?
- O, tak - odparł agent. Zza rogu wyjechała Eryka.

## VIII.

- Au! Jest za gorąca!
- Musisz się wypocić.
- Wolałem sposób, w jaki rozgrzałaś mnie ostatniej nocy.
- Jakim cudem odgadłeś mój plan? Teraz rozbieraj się i włącz do wanny.

Zdjął ubranie i powoli zanurzył się w parującej wodzie. Wyszorowała mu plecy. Nie mógł powstrzymać uśmiechu, gdy wycierała go ręcznikiem do sucha.

- A co z twoim planem? Potrząsnęła głową.
- Zaraz będziemy mieć towarzystwo.

Saul zrobił smutną minę.

- Poza tym - dodała - powinieneś oszczędzać siły. Musisz coś zjeść.

Był wieczór. Zamówili już kolację do pokoju. Saul właśnie kończył się ubierać - w szafie znaleźli garderobę różnych rozmiarów - kiedy usłyszeli pukanie. Saul upewnił się, że to służba hotelowa i otworzył drzwi. Twarz kelnera pchającego barek na kółkach, pokrywały ślady po ospie.

- Chyba nie macie nic przeciwko temu - powiedział Ospowaty, zamykając drzwi - że zamówiłem dla trzech osób. Od śniadania nic nie jadłem.

- Skoro to na koszt firmy... - odparł Saul.

- No właśnie. Wszyscy mamy nadzieję, że to, co oferujesz, okaże się warte naszej gościnności.

- Nie dzwoniłbym, gdybym nie uważał, że jest warte znacznie więcej.

Przed pięcioma minutami Saul był głodny. Teraz nawet nie spojrzał na zastawiony barek.

- A to musi być Eryka - stwierdził Ospowaty. - Dotąd nie miałem przyjemności...

Uścisnął jej rękę i nalał trzy filiżanki kawy. Ani Saul, ani Eryka nie sięgnęli po swoje. Ospowaty upił kilka łyków.

- Zróbmy przegląd sytuacji. Ustalono pewne reguły. Przymknęliśmy oczy na fakt, że je pogwałciłeś wracając z wygnania. W zamian obiecałeś nam przysługę. Aby móc z tego

maksymalnie skorzystać, chcieliśmy, żebyś trzymał się z daleka od nas... i od wszystkich innych organizacji. Powinieneś robić wrażenie, że działasz sam. Chyba nie powiesz, że twój ostatni telefon pozostaje w zgodzie z tymi zasadami. Cały czas kontrolujemy nasz system łączności pod kątem podsłuchu, ale żadne zabezpieczenia nie pomogą, jeśli ktoś zachowuje się nieodpowiedzialnie. Możliwe, że inne siatki już wiedzą o tej rozmowie. Przedstawiłeś się pseudonimem. Zachodzi ryzyko, niewielkie, ale kłopotliwe, że trafiło to do niewłaściwych uszu. Naraziłeś nasze plany związane z przysługą, której od ciebie oczekujemy.

- Uważam, że już wam oddałem przysługę. Ospowaty upił kolejny łyk.
- Trudno mi to sobie wyobrazić.
- Zdobywając informacje, których nie posiadacie.
- To już powiedziałeś przez telefon. Mów konkretnie. Jakie informacje?
- Czy masz ukryty mikrofon?
- To rozmowa w cztery oczy.
- Jasne. Czy masz ukryty mikrofon? Ospowaty wzruszył ramionami.
- Przypuszczam, że zaraz będziesz chciał mnie zrewidować.

Wyjął z kieszeni białej marynarki miniaturowy magnetofon i położył go na nocnym stoliku. Mimo pewnej odległości, Saul widział, jak obracają się maleńkie szpule.

- Czy to wszystko? - zapytał podchodząc do barku. - Nie masz przekaźnika radiowego?

- W porządku - powstrzymał go Ospowaty. - Zostaw to. Spieprzysz transmisję.

Delikatnie podniósł biały obrus, odsłaniając mikrofon i transformator na dolnej półce.

- Teraz jesteś zadowolony?

- To jest rozmowa oficjalna. Lepiej, żeby twoi szefowie o tym wiedzieli. Chcę uniknąć nieporozumień.

- Wierz mi, że my także niczego innego bardziej nie pragniemy.
- Trzech mężczyzn usiłowało nas zabić.
- Tak. W Wiedniu. Nie pamiętasz, że przy tym byłem?
- Nie tylko w Wiedniu.

Zaskoczony Ospowaty odstawił filiżankę.

- Tu, w Szwajcarii - ciągnął Saul. - W górach, na południe od Zurychu. Sądzę, że to ci sami. Tym razem zniechęciłem ich skutecznie.

- Współczuję im.
- Mam ich pierścienie.
- Co takiego?

- Pierścienie. Dostaniesz je, jeśli dojdziemy do porozumienia. To jest moja przysługa dla Agencji. Wywiązałem się z umowy.

Ospowaty zamrugał oczami.

- Chwileczkę. Czyja dobrze słyszysz? Mówisz, że pokazanie jakichś pierścieni zwalnia cię ze zobowiązań?

- Oprócz pierścieni mam jeszcze automaty, materiały wybuchowe i sfalszowane dokumenty. Spodobają ci się. Istnieje organizacja, o której nikt nie wie.

Ospowaty roześmiał się.

- Nie żartuj.

- Dobrze. Więc wyłącz ten magnetofon, wyjedź ze swoim barkiem i daj nam pięć minut, żebyśmy się wynieśli.

- Pięć minut? Nie mogłoby się wam udać. To, że użyłem słowa "żart", nie znaczy, że nie posłucham.

- Nie tylko posłuchasz. Zgodzisz się. Dam ci pierścienie. Powiem, gdzie znajdziesz samochód, którym ci faceci podróżowali. Ale nasza umowa zostanie uznana za rozwiązaną. Nie chcę mieć wokół siebie cieni.

Ospowaty zawahał się.

- Będę musiał porozmawiać z...

Zadzwoił telefon. Saul spodziewał się tego, ale agent aż podskoczył ze zdziwienia.

- To na pewno nasi wierni słuchacze - zauważył Saul. - Dowiedzmy się, jakie mamy notowania.

Ospowaty podszedł do aparatu. Słuchał kiwając głową, jakby przytakiwał każdemu słowu.

- Tak, sir. Oczywiście. Jeśli pan sobie życzy. Odłożył słuchawkę.

- Więc dobrze, Romulus, niech cię diabli. Mów, co masz. Jeśli twoje informacje się potwierdzą i są tak rewelacyjne, jak utrzymujesz, uznamy, że oddałeś nam obiecaną przysługę. Podkreślam: jeśli. Nie próbuj nas wykołować. I pamiętaj: moglibyśmy uzyskać to samo z pomocą środków chemicznych.

- Środki chemiczne pozwalają jedynie wydobyc odpowiedzi na pytania, a wy nie wiecie, o co pytać.

Saul był świadom, że Eryka siedzi na łóżku z pistoletem ukrytym pod kocem.

- Poza tym mam zbyt wiele do stracenia. Ospowaty wyciągnął rękę.

- Pierścienie.

Saul wyjął je z kieszeni i położył na dłoni agenta.

- Krzyż i miecz?

- Religia i przemoc - wyjaśnił Saul. - Z jednej strony kamienia jest zawias.

Ospowaty podniósł rubin. Zmrużył oczy na widok kapsułki.

- Trucizna?

- Widziałeś kiedykolwiek taki pierścień?

- Jasne. Codziennie oglądam takie rzeczy.

- Nie wątpię. Ci, którzy je nosili, byli wyjątkowo dobrze wyszkolonymi mordercami.

Ospowaty pokręcił głową.

- Te informacje nie wystarczą, żeby uznać twoje zobowiązanie za wypełnione. To jeszcze nie dowodzi, że należeli do nowej siatki.

- Czy powiedziałem, że siatka jest nowa? Spójrz na wzór na pierścieniu. Średniowieczny. Myślę, że to bardzo stara organizacja.

- I nikt nigdy o niej nie słyszał? Absurd.

- Dzięki mnie masz szansę sam się o tym przekonać.

Saul zapisał zapamiętany numer rejestracyjny i podał kartkę Ospowatemu.

- Samochód to czarne renault. Zeszłoroczny model. Stoi na parkingu przy dworcu kolejowym. W bagażniku znajdziesz broń, materiały wybuchowe i fałszywe dokumenty. Może odciski palców, ale wątpię. Ci faceci mieli słabość do rękawiczek. Jednak wynajmując wóz, musieli zostawić ślad na papierze.

- Z podrobionymi dokumentami ten trop daleko nas nie zaprowadzi.

Saul niespodziewanie stracił panowanie nad sobą. - Przestań udawać głupiego. Żeby wynająć samochód, musieli się posłużyć kartą kredytową. Nawet jeśli została wystawiona na fałszywe nazwisko, ktoś musi zapłacić rachunek. Pieniądze muszą skądś napływać.

- Uspokój się.

- Nie obiecywałem rozwiązania zagadki! Powiedziałem ci wszystko, co wiem! Ubijamy interes, czy nie? Co z naszą umową? Powiedz swoim szefom, żeby się zdecydowali! Chcę odnaleźć ojca Eryki i znów zobaczyć syna!

## **IX.**

Piętro niżej, dokładnie pod pokojem Saula, siedzący przy długim wąskim stole Gallagher obserwował, jak obracają się szpule magnetofonu połączonego z odbiornikiem radiowym. Szef Agencji na Austrię, od czasu do czasu rzucał okiem na swego szwajcarskiego kolegę, niskiego mężczyznę o miękkich, białych, wypielegnowanych dłoniach.



Gallagher wygniął sobie garnitur podczas pośpiesznego lotu z Wiednia. Ściśle rzecz biorąc, nie miał pełnomocnictw na ten teren. Ale Romulus nalegał na kontakt z wiedeńską piekarnią, nie z kwiaciarnią w Zurychu. Poza tym umowę zawarto w Wiedniu, więc Gallagher musiał być obecny przy pertraktacjach, czy się to Zurychowi podobało, czy nie. W rzeczywistości Szwajcar zdawał się nie mieć nic przeciwko temu.

- Co o tym sądzisz? - zapytał Gallagher udając szacunek dla gospodarza.

Twarz mężczyzny przybrała wyraz głębokiego zastanowienia.

- Sprawa nie leży w naszych kompetencjach. Decyzję i tak podejmie Langley.

- Ale biorąc pod uwagę naszą opinię - odparł Gallagher. - Co o tym sądzisz?

- Muszę zobaczyć pierścienie i samochód.

- Nie taki układ proponuje Romulus. Chce usłyszeć odpowiedź, zanim sprawdzimy wóz.

- Romulus nie ma w tej kwestii wiele do powiedzenia. Czy pozostaje mu jakieś wyjście, jeśli jego informacje zaprowadzą nas donikąd i oznajmimy, że dalej jest nam winien przysługę?

Gallagher skrzywił się z niesmakiem, rozgoryczony stanowiskiem Szwajcara.

- Zdaje się, że nigdy nie pracowałeś z Romulusem.

- Nie. I co z tego? Wiem na jego temat tyle, ile trzeba. Zawsze są z nim kłopoty.

- To facet z charakterem. W Wiedniu w dobrej wierze zawarł z nami umowę. Jestem całkowicie przekonany, że oddałby nam przysługę.

- Oddałby? Tryb warunkowy? - zapytał zaintrygowany Zurych.

- Ponieważ teraz oczekuje uczciwości od nas. Jeśli go wykołujemy, odmówi współpracy.

Szwajcar rozłożył ręce.

- Wówczas ukarzymy go dla przykładu. Aby pokazać innym, co może stać się komuś, kto sprawia kłopoty. Naprawdę nie widzę tu problemu.

Gallagher miał ochotę uderzyć pięścią w stół. Opanował się jednak i odparł spokojnie:

- Pozwól sobie coś wyjaśnić. Pracowałem z Romulusem i znam jego sposób myślenia. Facet jest sprytny. Zakładam, że nie powiedział nam wszystkiego. Zachował jakiś ważny szczegół dla siebie, do dalszych pertraktacji.

- Więc dopóki go nam nie zdradzi, udawajmy, że się zgadzamy.

- A jeśli się rozejdzie, że próbowaliśmy go oszukać? Co wtedy? Następstwa byłyby katastrofalne. Żaden samodzielny agent nie chciałby już z nami współpracować. Musimy powiedzieć Romulusowi "tak" lub "nie". "Może" nie wystarczy. Poza tym potrzebujemy go.

- Aby uzyskać dodatkową informację, którą twoim zdaniem ukrywa? - zapytał Zurych.
- W przeciwieństwie do ciebie, wątpię, żeby miał taką informację.

I tym razem Gallagher okazał cierpliwość:

- Posłuchaj. Romulus wpakował się w tę historię, ponieważ zaginał ojciec jego żony. Chce odkryć, co się z nim stało. Teraz twierdzi, że trafił na ślad siatki, o której nikt nie słyszał. Jeśli ta organizacja naprawdę istnieje, musi być zamieszana w zniknięcie Bernsteina. Jedno wiąże się z drugim. Szukając swojego teścia, Romulus jednocześnie wyświadcza nam przysługę. Powinniśmy go zachęcać, a nie zniechęcać.

Szwajcar zaskoczył Gallaghera. Tym razem zgodził się z nim:

- Tak, poszukiwanie ojca może zaprowadzić Romulusa do nieznanej siatki. Teraz to widzę. Popieranie go ma rzeczywiście sens. Ale wynika stąd coś jeszcze. Chcemy, aby Romulus pracował dla nas. Tymczasem, jeśli rozpoczniemy śledztwo w sprawie tajemnej organizacji, i jeśli ona stoi za zniknięciem starego, ułatwimy Romulusowi zadanie. To my wyświadczymy przysługę jemu. Jest tak sprytny, jak mówisz. Znalazł sposób, żeby odwrócić sytuację i zmusić nas do pomocy.

Gdy Zurych zaczął dzwonić do Langley, Gallagher podniósł słuchawkę drugiego telefonu i wykręcił numer pokoju wyżej.

- Daj mi Romulusa... Tu Gallagher. Jestem tu w hotelu. Słuchałem z zainteresowaniem. Prosimy Langley, żeby zgodzili się na twoją propozycję. Zrozum, możemy cię jedynie poprzeć. Oni mają ostatnie słowo.

- Jasne.

- To jest gest dobrej woli - ciągnął Gallagher. - Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy, ale potrzebuję czegoś więcej. Nie powiedziałaś nam wszystkiego. Jestem tego pewien. Daj mi coś jeszcze, coś, co mogłoby przeważać szalę w rozmowie z Langley.

- Uczciwie?

- Przyrzekam. Może manipulowałem tobą, Romulus, ale nigdy cię nie okłamałem. Powiedz mi coś więcej.

- Ci trzech mężczyzn, którzy nosili pierścienie - Saul zawahał się - ci, których zabiłem...

- Tak?

- Myślę, że byli księżmi.

KSIĘGA PIĄTA  
**ZDERZENIE**

## MEDUZA

### I.

*Waszyngton, D.C.* Chociaż była dopiero dziewiąta szesnaście rano i koszerna restauracja nie otworzyła jeszcze podwoi dla klientów, ośmiu starych mężczyzn siedziało przy stole bankietowym w zamkniętej sali na tyłach lokalu. Pomieszczenie wynajmowano zwykle na wesela i przyjęcia z okazji Bar Micwy, ale to zebranie nie miało nic wspólnego ze świętowaniem. Wspomnienia o zmarłych bliskich i rozpacz ściągały wszystkie twarze. Powaga nie wykluczała jednak ponurej satysfakcji, z jaką mężczyźni podnosili kieliszki i uroczyście je wychylali. Za zemstę. Za wyrównanie rachunków.

Nosili imiona: Abraham, Daniel, Ephraim, Jacob, Joseph, Moshe, Nathan i Simon. Wszyscy mieli około siedemdziesiątki i każdy miał wytatuowany na przedramieniu numer.

- Czy niczego nie pominęliśmy? - zapytał Ephraim. Spojrzał badawczo na towarzyszy. Pokręcili głowami.

- Mechanizm jest gotów - odparł Nathan. - Pozostaje tylko wprawić go w ruch. Za tydzień będzie po wszystkim.

- Dzięki Bogu - westchnął Abraham.

- Za to, że sprawiedliwości wreszcie stanie się zadość - powiedział Jacob.

- Nie, za to, że skończy się nasz udział w jej wymierzaniu - odrzekł Abraham. - To, co uczyniliśmy do tej pory, jest dostateczną karą. Teraz jednak chcemy pójść jeszcze dalej.

- To, co robimy, jest konieczne - zaprotestował Moshe.

- Po tylu latach? Czemu ma to służyć?

- Nieważne, ile czasu upłynęło. Zasady sprawiedliwości są niezmiennie - argumentował Simon. - Chyba ich nie kwestionujesz?

- Czy namawiasz nas do bierności i przebaczenia? - zapytał Joseph.

Abraham zareagował gwałtownie.

- Bierność? Oczywiście, że nie. Bierność grozi zagładą. - Zawahał się. - Ale przebaczenie jest cnotą, a słowa sprawiedliwość zbyt często używa się wtedy, gdy chodzi o zwykłą zemstę. Naród wybrany musi się bronić. Czy pozostaniemy jednak wybranymi przez Boga, jeśli opętają nas niegodziwe motywy?

- Skoro nie pochwalasz tego, co robimy, dlaczego nie odejdziesz? - zapytał Jacob.

- Nie - wtrącił Joseph. - Abraham ma rację podnosząc tę kwestię. Jeśli będziemy działać bez przekonania o moralnej słuszności, rzeczywiście staniemy się niegodziwcami. - A

ja przyznaję się do nienawiści - powiedział Ephraim. - Nawet teraz widzę ciała moich rodziców, braci i siostr. Chcę i żądam kary.

- Mam tyle samo powodów do nienawiści, co ty - odparł Abraham. - Ale staram się ją przezwyciężyć. Tylko pozytywne uczucia są wartościowe.

- Szanujemy twoje zdanie - zapewnił go Ephraim. - Jest jednak możliwe, abyśmy działali wspólnie, choć z różnych pobudek. Chciałbym ci zadać dwa proste pytania.

Abraham czekał.

- Czy uważasz, że tym, którzy skorzystali na naszym cierpieniu, należy pozwolić zachować te korzyści, aby dalej się nimi cieszyli?

- Nie, to nie jest sprawiedliwe.

- I ja tak sędzę. Czy uważasz, że należy pozwolić, aby dzieci powtórzyły grzechy ojców?

- Nie, zło nie może się krzewić. Chwasty trzeba niszczyć, zanim się rozplenią.

- W tym wypadku - oni już się rozmnożyli. Nasz naród znów jest zagrożony. Musimy działać, nie rozumiesz tego? Nie ma znaczenia, że niektórymi z nas powoduje chęć zemsty. Liczy się tylko cel, a cel jest słuszny.

W sali zapadła cisza.

- Czy wszyscy się zgadzają? - zapytał Joseph. Pokiwali głowami. Abraham z ociąganiem.

- Więc zjedzmy razem posiłek - powiedział Ephraim. - Niech to będzie symbol naszej wspólnej decyzji i początku zbyt długo odkładanego końca.

## II.

*Miasto Meksyk.* Aaron Rosenberg siedział w swoim kuloodpornym mercedesie, mając po bokach członków obstawy. Między kierowcą a trzecim gorylem widział jadący przodem oldsmobile wypełniony ochroniarzami. Odwrócił się, aby spojrzeć przez tylną szybę na chryslera wiozącego resztę ekipy. Wyobraźnię Rosenberga torturowały obrazy tego, co prawdopodobnie żona robi w tym czasie z Estebanem. Jednocześnie obawiał się nowych groźnych znaków, jakie "Noc i Mgła" może zostawić w willi pod jego nieobecność. Potroił środki ostrożności, zarówno w domu, jak i podczas wyjazdów. Nie ruszał się nigdzie bez dwóch wozów obstawy. Mimo to i tak nie opuściłby dziś willi, gdyby nie było to absolutnie konieczne, gdyby nie został wezwany przez jednego z rosnącej liczby ludzi, którym nie mógł odmówić. Nie ma co do tego wątpliwości, myślał Rosenberg. Życie wymknęło mi się spod

kontroli.

Karawana sunęła Paseo de la Reforma, zachowując stałą niewielką prędkość i utrzymując zwarty szyk. Wkrótce skręcili na południe, w stronę chłodniejszych okolic nad jeziorem Chalca, zostawiając za sobą rozprażone upałem miasto. Brama, przez którą przejechał mercedes, była Rosenbergowi dobrze znana. Czerwony, kryty gontem rozłożysty budynek mieszkalny został odnowiony na jego koszt. Duży basen za domem, z oszołamiącym widokiem na jezioro, był prezentem dla właściciela posiadłości. Liczna służba i ogrodnicy otrzymywali pensje ze specjalnego konta bankowego, na które Rosenberg wpłacał znaczną sumę pierwszego dnia każdego miesiąca.

Cena robienia interesów, pomyślał Rosenberg, co znów przypomniało mu, do jakiego stopnia stracił kontrolę nad własnym życiem. Przygnębiony wysiadł z samochodu i zaczął iść w kierunku domu.

Wysoki rangą funkcjonariusz policji miasta Meksyk wyszedł na zewnątrz, aby go powitać. Nazywał się Chavez. Miał na sobie sandały, szorty i rozpiętą jaskrawoczerwoną koszulę, która odsłaniała potężny brzuch. Kiedy się uśmiechnął, jego cienki jak ołówek wąsik zachował prostą poziomą linię.

- Senor Rosenberg, jak to miło, że pan przyjechał.

- To dla mnie zawsze przyjemność, kapitanie.

Rosenberg podążył za gospodarzem. Zaniepokoił go fakt, że nie zaproponowano mu drinka i poczuł się nieswojo. Wyszli z cienia domu na osłepiające słońce obok basenu.

- Proszę zaczekać - polecił kapitan.

Zniknął w rozsuwanych oszklonych drzwiach i po chwili wrócił z płaską teczką.

- Otrzymałem informacje, które mogą być dla pana ważne.

- Jakież problemy?

- Pan mi to wyjaśni.

Kapitan wyjął z koperty dużą czarno-białą fotografię i wręczył ją gościowi.

Strach ścisnął Rosenbergowi serce.

- Nie rozumiem - podniósł oczy na Chaveza. - Dlaczego pokazuje mi pan zdjęcie jakiegoś niemieckiego żołnierza z czasów drugiej wojny światowej?

- Nie "jakiegoś żołnierza", tylko oficera. Podano mi jego stopień... proszę wybaczyć mój zły akcent... był oberführerem, czyli pułkownikiem. Należał do Totenkopfverbande, czyli formacji Trupiej Głównki. Może pan zobaczyć na jego czapce srebrną blaszkę w kształcie trupiej czaszki, a na rękawie munduru dwie błyskawice - symbol SS. Fotografia jest tak dokładna, że widać nawet na klamrze pasa słowa przysięgi Führerowi: "Moim honorem jest

wierność”. Proszę zwrócić uwagę na tło - sterty trupów. Totenkopfverbände tworzyły straż obozów koncentracyjnych.

- Nie potrzebuje mi pan opowiadać o holocauście - najeżył się Rosenberg. - Dlaczego każe mi pan oglądać to zdjęcie?

- Nie rozpoznaje pan tego oficera?

- Oczywiście, że nie. Dlaczego miałbym...

- Ponieważ wykazuje uderzające podobieństwo do pana ojca, którego fotografię dał mi pan kilka miesięcy temu, prosząc o podjęcie śledztwa w sprawie jego zniknięcia.

- Ten człowiek nie jest moim ojcem.

- Niech pan nie kłamie! - wybuchnął Chavez. - Dokładnie porównałem zdjęcia! Trzeba tylko dodać zmarszczki! Odjąć trochę włosów i posiwieć resztę! Wziąć poprawkę na drobne zabiegi chirurgii plastycznej! To jest pański ojciec!

- Jak Żyd mógłby być oficerem SS?

- Ojciec pana nie był Żydem i pan też nim nie jest! Wasze prawdziwe nazwisko brzmi Rodenback! Pański ojciec miał na imię Otto, a pan - Karl!

Chavez wyjął z teczek pliki dokumentów.

- Fotografia tego oficera znajdowała się w kartotece SS i na formularzu imigracyjnym przy wjeździe do Meksyku. Twarz jest ta sama, tylko nazwisko inne. Władze zostaną wkrótce poinformowane, kim był naprawdę. Będą zmuszone powiadomić Departament Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych, a obydwaj wiemy, że Stany podtrzymują dobre stosunki z Izraelem, udając potępienie dla hitlerowskich zbrodniarzy wojennych.

Rosenberg nie mógł się poruszyć.

- Kto panu to wszystko powiedział?

- Nie sądzi pan chyba, że zdradzę swoje źródła - Chavez rozłożył ręce w geście pozorującym dobrą wolę. - Ale zastanawiam się, ile byłby pan skłonny zapłacić za zatuszowanie całej sprawy i zapewnienie władz, że zaszła pomyłka.

Rosenbergowi zbierało się na wymioty. Szantaż nigdy nie ma końca. Pozwala tylko zyskać na czasie. Ale czas jest ograniczony. Mija, gdy zabraknie pieniędzy. Pomyślał o ładunku płynącym na statku w kierunku Morza Śródziemnego, ku - jak teraz zakładał - pewnej katastrofie.

- Ile pan chce? - zapytał.

Błysk w czarnych jak węgiel oczach kapitana mówił mu, że nie będzie to mało.

### III.

St Paul, stan Minnesota. William Miller przeciął salę restauracyjną z udawanym uprzejmym uśmiechem i podszedł do mężczyzny przy stoliku z lewej strony.

Przez telefon nieznajomy przedstawił się nazwiskiem Sloane i twierdził, że pracuje dla Associated Press. Chciał porozmawiać z Millerem o jego ojcu.

Sloane odwzajemnił powitalny uśmiech Millera, wstał i wyciągnął rękę.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Co panu przysłało? - zapytał Sloane. - Przez telefon wspomniał pan o jakimś plugastwie.

- Naprawdę jest pan dziennikarzem?

- Jak Boga kocham.

- Cholera - wyrwało się zawstydzonemu Millerowi. - Przepraszam, że straciłem panowanie nad sobą, kiedy pan zadzwonił. Byłem pewien, że...

- Właśnie po to tutaj jesteśmy. Żeby porozmawiać.

Sloane wskazał Millerowi krzesło. Usiedli naprzeciw siebie. Reporter był po trzydziestce, niski, krępy, miał ciemne rzadkie włosy i inteligentne oczy.

- Więc co to za plugastwo?

- Fotografie.

- Jakie fotografie?

- Hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Trupów. Popiołów. Miller potarł skronie.

- Boże, mój ojciec znika. Potem ktoś maluje trupa czaszkę na dnie basenu kąpielowego...

- Trupa czaszkę?

- A teraz pojawia się pan...

- Sądził pan, że...

- Pan by tak nie pomyślał? Żona nic nie wie o zdjęciach.

- Powoli - przerwał Sloane. - To, co pan mówi, wiąże się ze sprawą, z którą przychodzę. Przedstawię ją panu i zobaczymy, do czego dojdziemy.

- Najpierw dowody.

- Co takiego?

- Jest pan dziennikarzem z agencji Associated Press? Proszę to udowodnić.

Sloane westchnął i wyjął legitymację prasową.

- Każdy może sobie wydrukować taki papierek.



- Tu jest numer telefonu centralnego biura agencji.

- I każdy może wynająć głos, który będzie twierdził, że to biuro agencji.

- W porządku. Założę się, że ma pan także różne fascynujące teorie na temat zabójstwa Kennedy'ego, handlarzy narkotyków kontrolujących ONZ i muzyki heavy-metalowej jako dzieła szatana.

Miller roześmiał się nieco wymuszenie.

- Bardzo dobrze - pochwalił go Sloane. - Dopóki potrafi pan śmiać się z siebie, panuje pan nad sobą.

- Czasem w to wątpię. Chciał pan ze mną rozmawiać o moim ojcu. Dlaczego?

- Mam kontakty w Departamencie Sprawiedliwości. Można by to nazwać symbiozą. Wyświadczam im przysługę pisząc artykuły, które podtrzymują ich publiczny wizerunek. Oni robią mi grzeczność udzielając informacji, kiedy pracują nad czymś, co mógłbym wykorzystać.

- Dalej nic nie rozumiem. Co Departament Sprawiedliwości ma wspólnego z moim ojcem?

- Ktoś przysłał im dokumenty, po których obejrzeniu postanowili rozpocząć dochodzenie w jego sprawie. Miller tak mocno zacisnął dłoń na kieliszku, że przestraszył się, czy szkło nie pęknie.

- Coraz większy obłęd.

- A ponieważ pana ojciec zniknął...

- Wiedział pan o tym?

- ...stwierdziłem, że teraz pan jest pierwszą osobą, z którą powinienem porozmawiać.

- W porządku - powiedział Miller znużonym głosem. - Niech pan nie owija w bawełnę i zacznie od najgorszego.

- Pański ojciec nazywa się Frank Miller. Wiele wskazuje na to, że jego prawdziwe imię i nazwisko brzmi Franz Müller i że podczas drugiej wojny światowej był niemieckim oficerem w stopniu obersturmbannführera - Sloane mówił kulawo po niemiecku. - Czyli podpułkownikiem. Dowodził jednym z oddziałów formacji SS zwanej Einsatzgruppen. Były to grupy operacyjne do zadań specjalnych, które wchodziły na tereny okupowane za regularną armią hitlerowską - na przykład do Czechosłowacji, Polski i Związku Radzieckiego - i likwidowały wszystkich Żydów, jakich mogły znaleźć. Zabijano ich na miejscu albo wywożono do lasu i ustawiano nad dołami, aby łatwiej było pochować ciała, kiedy pluton egzekucyjny zrobi swoje. Liczba ich ofiar w samej tylko Rosji wyniosła pół miliona.

- Chce mi pan powiedzieć, że w Departamencie Sprawiedliwości podejrzewają mojego

ojca o udział w tym szaleństwie? Że był mordercą?

- Więcej niż podejrzewają. Są o tym przekonani. Twierdzą, że mają dowody. Według nich pana ojciec zniknął, ponieważ ostrzeżono go, że rozpoczęto dochodzenie w jego sprawie. Po prostu uciekł. Nic panu nie jest? Zbladł pan.

- Cholera, cały mój świat wali się w gruzy, a pan pyta, czy coś mi jest. Ktoś musi powstrzymać ten obłęd. Tylko dlatego, że ojciec nazywa się podobnie do Franza Müllera...

- Nie, jest coś więcej. Departament Sprawiedliwości nie opierałby oskarżenia na tak wątpliwych przesłankach. Pana ojciec wyemigrował z Niemiec. Wiedział pan o tym?

- Oczywiście. Po wojnie. Wielu Niemców tak postąpiło. Nie ma w tym nic nielegalnego.

- Czy wiedział pan także, że zmienił nazwisko? Mięśnie policzków Millera zadrgały.

- Boże, jednak pan wiedział - uświadomił sobie Sloane.

- Niech mi pan pozwoli wyjaśnić. Wiedziałem. Ale nie znałem szczegółów. Ojciec tłumaczył, że zamerykanizował nazwisko ze względu na antyniemieckie nastroje po wojnie.

- Czy powiedział panu, że był żołnierzem?

- Nie mam zamiaru słuchać tych bzdur.

Miller wstał.

Sloane wyciągnął rękę, ostrożnie, aby go nie dotknąć.

- Będzie pan musiał słuchać, gdy przyjdzie do pana śledczy z Departamentu Sprawiedliwości. Na pana miejscu traktowałbym nasze spotkanie jako próbę generalną. Poza tym bardzo pomogłoby panu i pana rodzinie życzliwe stanowisko prasy.

Miller zawahał się.

- Życzliwe?

- Przeszłość powraca i prześladowuje nieświadomą niczego rodzinę. Mogę na tym zbudować wzruszającą historię. Historię na pana korzyść. Oczywiście zakładając, że mówi pan prawdę.

- Mówię prawdę - powiedział Miller siadając. - Nie jestem w stanie uwierzyć, że ktoś mógłby oskarżać ojca o...

- Oskarżenie to jedno, a to, czy znał pan przeszłość ojca, to co - innego. Naprawdę wierzy pan w jego niewinność?

- Tak, do cholery.

- Więc proszę odpowiadać na pytania. Czy ojciec mówił panu, że był żołnierzem?

Miller zamyślił się.

- Odkąd się zestarzał, czasami wspominał wojnę. Twierdził, że pod koniec wojny

wszyscy mężczyźni, których znał, a nawet chłopcy zostali powołani do wojska. Mimo braku doświadczenia mianowano go sierżantem i rozkazano bronić jakiegoś mostu. Po wkroczeniu aliantów ukrył się, aby przeczekać najgorsze, a potem złożył broń.

- Nie wydawało się panu dziwne, że niemieckiemu żołnierzowi pozwolono przyjechać do Ameryki? To bardzo rzadki wypadek.

- To także mi wytłumaczył. Wojskowych umieszczano w obozach dla jeńców wojennych. Alianci nie traktowali ich dobrze i nikt nie wiedział, jak długo uwięzienie potrwa. Stosowano więc pewien wybieg. Zanim cię złapią, musisz znaleźć trupa cywila i zamienić się z nim na ubranie i dokumenty. W ten sposób ojcu udało się dostać do obozu dla uchodźców, zamiast do obozu jenieckiego. Przebywał tam ponad rok. Wreszcie jakiś urzędnik zwrócił uwagę na jego podania i zezwolił na emigrację do Ameryki. Jeśli to, co pan powiedział, jest prawdą, ojciec miał pecha i martwy cywil, któremu zabrał papiery, nazywał się Franz Muller. Muller to często spotykane nazwisko. Musiały być setki, może nawet tysiące Franzów Müllerów. Ale tylko jeden dowódca oddziału SS.

Sloane przeciągnął palcem po mokrym kółku, które jego szklanka pozostawiła na blacie stolika.

- Departament Sprawiedliwości dysponuje zdjęciami tego oficera SS. Oraz fotografią pana ojca z formularza imigracyjnego. Twarz jest ta sama. Dlaczego zniknął?

- Nie wiem! Boże, przecież on ma siedemdziesiąt trzy lata. Dokąd mógłby uciec? Departament Sprawiedliwości całkowicie się myli.

- Dobrze. Niech pan się trzyma tej wersji, a kiedy Departament poruszy sprawę publicznie, może pan liczyć na artykuły, w których przedstawię pana jako osobę godną współczucia. Nawet jeśli wygrają, dalej będzie pan uchodził za niewinną ofiarę, kochającego, nieświadomego niczego syna. Ale ostrzegam, jeśli pan coś ukrywa albo kłamie, odkręcę całą historię i opiszę pana i pańską rodzinę jako członków spisku.

- Nie kłamie.

- Niech tak zostanie. Dla mnie to nie jest zwykła sprawa dziennikarska. Powinienem być obiektywny, tymczasem ogarnia mnie wściekłość. Ten cholerny kraj jest pełen hitlerowskich zbrodniarzy wojennych. Mógłbym panu podać dziesiątki nazwisk i adresów choćby w tej chwili. Nie są żadną tajemnicą. Departament Sprawiedliwości wie o tych ludziach. Większość ma koło siedemdziesiątki. Strzygą swoje trawniki. Dają napiwki roznosicielom gazet. Zapraszają sąsiadów na *barbecue*. Mógłbym ich oskarżyć przed przyjaciółmi. To nie miałyby znaczenia i nikogo by nie obeszło. Ponieważ nie sprawiają kłopotów. Ten miły starszy pan z naszej ulicy miałby popełnić wszystkie te okropności? A

poza tym, to było tak dawno. Po co odgrzebywać nieprzyjemne wspomnienia?

- Przesadza pan.

- Wręcz przeciwnie.

Sloane wyciągnął z kieszeni marynarki kartkę papieru.

- Oto lista, którą zdobyłem dzięki kontaktom w Departamencie Sprawiedliwości. Dwudziestu zbrodniarzy. Kuba Rozpruwacz, Syn Sama i John Wayne Gacy to przy nich pętaki.

- I wszyscy są zbrodniarzami wojennymi?

- Jest ich dużo więcej. To tylko wierzchołek góry lodowej.

- Skoro Departament Sprawiedliwości wie, kim są...

- Dlaczego nie stanęli przed sądem? Ponieważ po wojnie wywiad amerykański zawarł z nimi układ. Pomóżcie nam przejąć waszą siatkę szpiegowską i wykorzystać ją przeciw Rosjanom, a w zamian zapewnimy wam nietykalność. Zresztą i tak nie możemy was ścigać sądownie, bo wasze zbrodnie zostały popełnione w Europie. Chętnie byśmy was deportowali, aby oszczędzić sobie problemów natury dyplomatycznej. Niestety, jesteśmy skazani na waszą obecność, gdyż jeśli cofniemy wam obywatelstwo, żaden inny kraj was nie przyjmie. Więc zapomnijmy o całej sprawie. W końcu i tak powymieracie. W każdym razie tak sytuacja wyglądała do niedawna. Teraz grupa prawników idealistów z Departamentu postanowiła skończyć z tą pobłażliwością. W roku 1979 utworzono Specjalne Biuro Śledcze.

- Więc coś się jednak robi.

- Tak, ale wciąż nie dość. Nie sposób określić ich dokładnej liczby, ale przypuszcza się, że do tego kraju przybyło aż dziesięć tysięcy hitlerowskich zbrodniarzy wojennych. Do tej pory Departament Sprawiedliwości skazał czterdziestu. Karą jest pozbawienie obywatelstwa i deportacja.

- Dla winnych zbrodni ludobójstwa?

- Te morderstwa nie zostały popełnione w Stanach. W rezultacie jedynym przestępstwem, za które można ich sądzić, jest sfałszowanie danych w formularzach imigracyjnych.

- Gdyby społeczeństwo o tym wiedziało, byłoby oburzone.

- Tak pan myśli? W przypadkach, które trafiły do sądu, przyjaciele i sąsiedzi oskarżonych chcieli, aby zostawiono przeszłość w spokoju.

- Czy dlatego pan się tym zajmuje?

- Chcę pomóc Departamentowi. Jeśli uda mi się poruszyć opinię publiczną, może dostaną więcej rządowych funduszy. Te dranie - nie obchodzi mnie, ile mają lat - powinny

przeżyć taki sam koszmar jak ich ofiary.

- Mój ojciec również?

- Jeśli jest winny, tak.

Miller wytrzymał gniewne spojrzenie Sloane'a.

- Przez całe życie ufałem ojcu i szanowałem go. Jeśli jakimś cudem Departament Sprawiedliwości ma rację... jeśli ojciec jest tym, na kogo wskazują dowody...

- Zgadza się pan, że powinien ponieść karę?

- Nawet mój ojciec... - Millerowi zrobiło się niedobrze. - Jeśli rzeczywiście jest winny, nawet własnego ojca nie mogę rozgrzeszyć.

#### IV.

Pomimo godzin szczytu, Millerowi udało się skrócić czas przejazdu, trwającego zwykle dwadzieścia minut, do prawie dziesięciu. Za to winda na piąte piętro zdawała się jechać bez końca. Gdy otworzył drzwi biura "Miller i Spółka. Architekci", zobaczył, że sekretarka nie poszła jeszcze do domu.

- Jak tam zebranie? Czy uzyskał pan zlecenie?

- Trochę za wcześnie, aby o tym mówić. Muszę porobić notatki, Marge. Nie ma mnie dla nikogo. Nie chcę, żeby mi przerywano.

- Czy będę panu potrzebna?

- Nie, dziękuję. Idź do domu, kiedy skończysz to, co przepisujesz.

- Jak pan sobie życzy.

- Wszedł do gabinetu, zamknął drzwi i oparł się o nie. Skąd można wiedzieć, czy ktoś, kogo się kocha, nie jest potworem?

Pot zalewał mu oczy. Po pięciu długich jak wieczność minutach stukanie w klawiaturę litościwie ucichło. Usłyszał trzask wyłącznika komputera i lekki szelest osłony przed kurzem, zakładanej na monitor.

- Dobranoc panu.

- Dobranoc - odpowiedział przez drzwi.

Stuk obcasów. Szczęk klamki. Trzaśnięcie drzwi wyjściowych. Cisza.

Miller odetchnął z ulgą i spojrzał na stojący w kącie sejf, w którym przechowywał bieżące dokumenty. Gdy przed dwoma dniami otrzymał ohydne fotografie trupów i popiołów, chciał pozbyć się zdjęć. Intuicja kazała mu jednak postąpić rozważnie. Przesyłka nie była głupim kawałem. Gdyby ją zniszczył, straciłby jedyny ślad mogący służyć do rozwiązania

zagadki. Teraz żałował, że zachował fotografie - ze strachu przed prawdą, którą mógł odkryć. Przyklęknął, wykręcił kombinację cyfrową, wyjął kopertę i zaczął oglądać czarno-białe zdjęcia.

Śmierć. Straszliwa śmierć.

Skłamał Sloane'owi. W odpowiedzi na jedno tylko pytanie i tylko częściowo. Tyle że to kłamstwo dotyczyło rzeczy najważniejszej.

Tak, przyznał, wiedziałem, że ojciec pochodzi z Niemiec. Wiedziałem, że zmienił nazwisko. Wiedziałem, że był żołnierzem.

Owszem, żołnierzem. Miller zdawał sobie jednak sprawę, że jego ojciec nie był przypadkowym uczestnikiem wojny, niedoświadczonym młodym poborowym, absurdalnie awansowanym do stopnia sierżanta. Był podpułkownikiem SS.

Im bardziej Frank Miller był starszy, tym częściej wspominał przeszłość. Sentymeny budziły się w nim zwłaszcza w pewne dni, które miały dlań jakieś nie znane synowi, osobiste znaczenie: trzydziestego stycznia, dwudziestego kwietnia i ósmego listopada. Wówczas odbierał tajemnicze telefony i sam dzwonił. Którejś nocy wyznał, co robił podczas wojny.

- Tak, byłem w SS. Wykonywałem rozkazy Führera. Wierzyłem w rasę panów. Wierzyłem, że potrzebujemy Lebensraum - przestrzeni życiowej. Nie uważałem jednak, że powinno się wytepić inne rasy. Skoro jesteśmy rasą wyższą, dlaczego nie moglibyśmy żyć w harmonii z rasami niższymi? Dlaczego nie mielibyśmy im pozwolić dla nas pracować? Nie należałem do TotenkopfVerbände. Nie brałem udziału w eksterminacji. Służyłem w Waffen SS, regularnych oddziałach wojskowych Schutzstaffeln. Byłem przyzwoitym żołnierzem. Służyłem swojemu krajowi godnie. Ten kraj przegrał. Niech i tak będzie. Historia decyduje o tym, co jest moralne. Teraz mieszkam w Ameryce, którą jej obywatele nazywają największym państwem świata. Niech i tak będzie. Mam czyste sumienie i gdyby zaszła potrzeba, walczyłbym w obronie Ameryki z takim samym poświęceniem, jak przedtem za Niemcy.

To przekonało syna Millera. Wojna z natury zaciemnia sądy i chwieje hierarchią wartości. Miał jednak nadzieję, że pewne wartości są niezmiennie.

Jego ojcu i innym dowódcom z Waffen SS udało się uniknąć następstw klęski Niemiec. Dzięki dokumentom zabranym martwym cywilom uciekli do Boliwii, Meksyku, Kanady, Anglii i Szwecji. Pozostali w kontakcie i dzwoniли do siebie, wspominając wspólną przeszłość i zapewniając się wzajemnie, że bez względu na to, jak dotkliwie Historia udowodniła, że nie mieli racji, dalej należą do elity swojego narodu.

Kontakt utrzymywali również ich potomkowie. Miller został w końcu wciągnięty w

krąg dawnych przyjaciół ojca. On i inni synowie zobowiązali się pomagać sobie, gdyby ktoś zagroził ich ojcom. Na początku każdego roku natężano wniesć opłatę wysokości dwudziestu tysięcy dolarów od rodziny. Była to łapówka dla jedyne go człowieka z zewnątrz, który znał ich tajemnicę, swego rodzaju składka ubezpieczeniowa gwarantująca jego milczenie.

Teraz Miller widział, że łapówki na nic się nie zdały i wszelkie próby ochrony grupy zawiodły. Pomimo środków ostrożności, ojców zaatakowano, a synowie żyli w niepewności.

Szałeństwo.

Zapomnijcie o przeszłości, myślał Miller. Liczy się terażniejszość i przyszłość. Nasi ojcowie nie są tymi, za których ich bierzecie. Oddajcie ich. Zostawcie nas w spokoju. Popelniliście pomyłkę. "Noc i Mgła" musi się skończyć.

A jednak młody przystojny oficer SS patrzący dumnie z fotografii, której Miller nie potrafił odłożyć, niesamowicie przypominał mu ojca. Nie! Ojciec by mnie nie okłamał.

Ale czy miałby odwagę wyznać tak przerażającą prawdę?

Muszę się mylić. Przyglądałem się temu samemu człowiekowi dwa dni temu. Nie przyszło mi do głowy, że mógłby to być mój ojciec.

A jeśli po prostu nie dopuszczałem do siebie takiej możliwości?

Teraz ta myśl nie dawała mu spokoju. Wyteżył wzrok, skupiając uwagę na czole mężczyzny, poniżej daszka wojskowej czapki. Chciał uwierzyć, że to, co widzi, jest tylko niedoskonałością fotografii, zadrapaniem na negatywie, ale nie potrafił. Była to blizna. Identyczna jak ta na czole ojca, który w wieku dziesięciu lat przeżył niebezpieczny wypadek samochodowy.

Jak można kochać potwora? Skąd można wiedzieć, czy ktoś, kogo się kocha, nie jest potworem?

Zanim zdał sobie sprawę, co robi, Miller podniósł słuchawkę.

**V.**

- Departament Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych? Kto ci o tym powiedział?

Halloway mocniej przycisnął słuchawkę do ucha.

- Dziennikarz z Associated Press.

- Jezu Chryste.

- Twierdzi, że mój ojciec jest przestępcą wojennym - ciągnął Miller. - Że był dowódcą oddziału SS zajmującego się eksterminacją.

- Przecież to absurd.

- Czyżby? Zaczynam w to wątpić. Pewne fakty, które ujawnił...

- Chcesz powiedzieć, że mu uwierzyłeś? Jest dziennikarzem! Oni wymyślają różne historie.

- Jeszcze raz przyjrzałem się tym fotografiom i...

- Powinieneś był je zniszczyć!

- Jedna przedstawia ojca w mundurze TotenkopfVerbande! Na tle sterty trupów!

- Zdjęcie z drugiej wojny światowej! Skąd wiesz, jak twój ojciec wtedy wyglądał?

Fotografia o niczym nie świadczy!

- Ojciec miał bliznę z prawej strony czoła. Ten oficer SS także.

- Zbieg okoliczności! - To nie jest wystarczające wyjaśnienie! - Miller podniósł głos.

- Muszę wiedzieć, czy ojciec rzeczywiście dowodził oddziałem eksterminacyjnym! Co z innymi? Czy też byli zbrodniarzami wojennymi?

- Jeśli sugerujesz, że mój ojciec... To śmieszne! Obrażasz mnie! Nie mam zamiaru słuchać...

- Przestań wykręcać się od odpowiedzi, Halloway! Mów!

- Nie mam zamiaru...

- Czy byli zbrodniarzami wojennymi?

- Oczywiście, że nie. Owszem, służyli w SS, ale w Waffen SS, w regularnej armii, nie w TotenkopfVerbande SS, które zabijało Żydów. Ludzie z zewnątrz nie dostrzegają między nimi różnicy! Myślą, że wszyscy członkowie SS byli przestępcami. Dlatego nasi ojcowie musieli kłamać. "Noc i Mgła" popełniła tę samą pomyłkę, której wcześniej obawiali się ze strony władz imigracyjnych. Podobnie myli się dziennikarz z Associated Press.

- Próbujesz mi wmówić, że Departament Sprawiedliwości nie potrafi odróżnić Waffen SS od TotenkopfVerbande SS? Bzdura!

- Jak inaczej można wytłumaczyć tę pomyłkę?

- Nasi ojcowie i inni członkowie grupy zawsze dzwonili do siebie w dni, które miały dla nich szczególne znaczenie. Trzydziestego stycznia. Dwudziestego kwietnia. Ósmego listopada. Czy te daty coś ci mówią?

- Oczywiście - odparł Halloway. - To urodziny niektórych spośród nich.

- Ty draniu! - krzyknął Miller. - Mógłbyś chociaż nie kłamać!

- Kłamać?

- Dwudziesty kwietnia to rzeczywiście czyjeś urodziny. Tego dnia, w roku 1889, urodził się Hitler. Ósmy listopada jest rocznicą tak zwanego puczu monachijskiego, pierwszej próby obalenia prezeń rządu niemieckiego. Było to w 1923 roku. Zamiar nie powiódł się.



Hitlerowi udało się przejąć władzę dopiero dziesięć lat później. Trzydziestego stycznia. To trzy najświętsze daty w hitlerowskiej tradycji. W te dni nasi ojcowie nie zważając na ryzyko, ulegali pokusie i dzwoniли do siebie.

- Dobrze - przyznał Halloway. - Nie zdawałem sobie sprawy ze znaczenia tych dat.

- Nie wierzę ci. Wiedziałaś, co to za rocznice. Poznaję po twoim głosie.

- Oczywiście uwierzysz tylko w to, w co chcesz wierzyć, ale zapewniam cię...

- Mam jeszcze jedno pytanie - przerwał Miller. - Wszyscy nasi ojcowie byli wyższymi oficerami. To znaczy, że nie służyli razem. Dowodzili samodzielnie jednostkami. Po zakończeniu wojny znaleźli się daleko od siebie. Co jest przyczyną ich więzi? Co ich łączyło?

- Ojciec mówił mi, że odbywali wspólnie szkolenie - odrzekł Halloway.

- Przecież armia hitlerowska była rozciągnięta na ogromnych terenach. Front wschodni, front zachodni, północna Afryka. Rosja, Francja, Włochy, Egipt. Jeśli nawet rozpoczynali służbę razem, prawdopodobnie nie widzieli się przez resztę wojny. Znowu skłamałaś. Ich więź nie ma żadnego związku ze wspólnym szkoleniem. Dlaczego spośród wszystkich niemieckich żołnierzy, którzy próbowali zataić swoją wojenną przeszłość, właśnie oni nawiązali kontakt i utrzymują go, chociaż rozproszyli się po całym świecie? Do cholery, dlaczego?

Halloway milczał.

- Kto ich szantażował? - zapytał Miller. - Dlaczego? Na drugim końcu linii panowała cisza.

- Myślę, że dziennikarz miał rację - ciągnął Miller. - Myślę, że ojciec ukrył przede mną cholernie wiele rzeczy i ty też nie chcesz mi nic powiedzieć. Ale powiesz. Przyjeżdżam, Halloway. Przyjeżdżam do Kanady, żeby wydusić z ciebie prawdę.

- Nie, to szaleństwo! Nie wolno ci tu przyjechać! Jeśli Departament Sprawiedliwości cię obserwuje, ściągniesz ich uwagę na mnie i...

Halloway nie dokończył zdania. Miller rzucił słuchawkę.

## VI.

Halloway odłożył słuchawkę powolnym ruchem. Przez kilkanaście sekund był jak sparaliżowany. Z wysiłkiem odwrócił się ku pejzażom ojca. Kontemplował je ze wzruszeniem, zanim zadzwonił Miller. Obrazy wisiały między okami wychodzącymi na dziedziniec, przez które widział strażników patrolujących teren.

W normalnych okolicznościach nigdy nie zgodziłby się rozmawiać z Millerem z tego

aparatu. Pojechałby do czystego telefonu w pobliskim Kitchener. Czuł jednak, że nie powinien ryzykować opuszczenia posiadłości. Nawet po to, żeby odwiedzić rodzinę w bezpiecznym domu w mieście. Boleśnie i rozpaczliwie tęsknił za żoną i dziećmi, ale bał się ich narażać przywożąc z powrotem tutaj.

Trochę wcześniej dzwonił z Meksyku Rosenberg, bełkocząc, że władze odkryły prawdę o jego ojcu. Podobne niepokojące wiadomości dochodziły do Hallowaya od pozostałych członków grupy. Powoli, stopniowo odgrzebywano przeszłość. “Noc i Mgła” znakomicie prowadziła akcję odwetową, zaciskając pętlę zemsty coraz mocniej i ciaśniej.

Halloway miał nieprzyjemne przeczucie, że śruba nie została jeszcze dokręcona do końca i najgorsze dopiero nastąpi. Transport, powtarzał w myślach. Do tej pory powinien już minąć Cieśninę Gibraltarską i płynąć po Morzu Śródziemnym. Halloway żałował, że nie przykładał wagi do słów Rosenberga i nie uznał jego obaw za słuszne. Teraz jest już za późno. Nawet gdyby spróbował, nie zdążyłby się przedostać przez skomplikowany system pośredników, aby ostrzec załogę.

Nie mam żadnego wpływu na to, co się stanie. Jeśli “Noc i Mgła” wie o statku, tak jak wiedziała o wszystkim innym, jeśli prawda o ładunku wyjdzie na jaw, będziemy mieli do czynienia z dwoma wrogami naraz: z “Nocą i Mgłą” oraz klientami, pomyślał Halloway.

I nie jestem pewien, który z ich okaże się gorszy.

## VII.

Statek handlowy Meduza miał rejestry tak zagmatwane jak sploty węży na głowie swojej mitycznej imienniczki. Oficjalnie armatorem było boliwijskie towarzystwo Transoceanic Enterprises. Jednak dokładne zbadanie dokumentów Transoceanic wykazałoby, że firma podająca jako adres skrytkę pocztową, wchodzi w skład liberyjskiej korporacji Atlantis Shipping, a biuro tej spółki równie trudno odnaleźć, jak legendarną Atlantyde, od której pochodzi jej nazwa.

Właścicielem tej z kolei Firmy był Mediterranean Transport, szwajcarski koncern wykupiony przez korporację meksykańską, podległą przedsiębiorstwu kanadyjskiemu. Większość figurujących na papierze urzędników w ogóle nie istniała, a reszcie płacono wyłącznie za zgodę na używanie ich podpisu na dokumentach. Jednym z faktycznych dyrektorów był Aaron Rosenberg z Mexico City Imports, drugim Richard Halloway z Ontario Shipping.

Meduza regularnie kursowała przez Atlantyck, przewożąc tekstylia, maszyny i żywność

do i z Grecji, Włoch, Francji, Hiszpanii, Anglii, Kanady, Meksyku i Brazylii. Dochody z tego handlu były jednak minimalne, i gdyby nie inny towar, który ukrywano między tekstyliami, maszynami i żywnością, ani Rosenberg, ani Halloway nie mogliby sobie pozwolić na tak luksusowy tryb życia.

Właśnie tego rodzaju ładunek znajdował się teraz na pokładzie Meduzy. Statek płynął na spotkanie frachtowca o równie zagmatwanych rejestrach, którego właściciel miał wspaniałą posiadłość na wybrzeżu libijskim. Następnej nocy, z dala od północnych brzegów Afryki, skrzynie zostaną przeładowane, a Meduza weźmie kurs do Neapolu z dostawą brazylijskiej kawy. Statek będzie miał mniejsze zanurzenie, gdyż nie będzie już wiozł materiałów wybuchowych, granatów obronnych, min przeciwpiechotnych, pistoletów automatycznych, karabinów szturmowych i maszynowych, przenośnych wyrzutni rakietowych i samonaprowadzających pocisków.

W zwykłych okolicznościach towar zostałby kupiony w Belgii, która jest głównym europejskim dostawcą czarnorynkowej broni, i przetransportowano do Marsylii. Tam Meduza wzięłaby na pokład "środki medyczne" i rozprowadziła je wzdłuż południowych wybrzeży Europy wśród ugrupowań terrorystycznych.

Ostatnio jednak kontrole antyterrorystyczne, skutek coraz częstszych zamachów bombowych, sprawiły, że Marsylia i inne porty europejskie stały się zbyt niebezpieczne dla przemytu broni. Jedynym wyjściem było przywieźć ją z Ameryki Południowej, gdzie liczne wojny domowe spowodowały nagromadzenie radzieckiego i amerykańskiego sprzętu zbrojeniowego, który na ogół chętnie sprzedawano. Tak więc Meduza wiozła pod brazylijską kawą broń dostarczoną *contras* przez CIA, aby za trzydzieści godzin spotkać się na Morzu Śródziemnym z libijskim frachtowcem. Transoceanic Enterprises nie interesowało, co Libijczycy zrobią z towarem. Rosenberga i Hallowaya obchodził wyłącznie zysk w wysokości stu milionów dolarów.

## VIII.

*Tel-Awiw, Izrael.* Misza Pletz wyskoczył, gdy tylko helikopter dotknął ziemi, i pobiegł w kierunku najmniejszego z blaszanych baraków stojących na południowym krańcu lotniska. Czekał tam na niego krępy mężczyzna w białej koszuli z krótkimi rękawami.

- Przywiozłeś to z sobą? - krzyknął Misza. Agent pokazał na neseser, który trzymał w ręku.

- Przeczytasz w samochodzie czy...

- Nie - przerwał Pletz. - Tutaj.

- Odebraliśmy wiadomość przed czterdziestoma minutami - powiedział mężczyzna, wyjmując z neseseru jakiś dokument. - Gdy zobaczyłem kryptonim, natychmiast się z tobą skontaktowałem.

Misza wziął papier do ręki. Wracał z kibucu położonego trzydzieści kilometrów za miastem. Spełnił obietnicę daną Eryce i Saulowi, że zapewnił ich synowi bezpieczeństwo. Zostawienie małego Christophera pod opieką związanych z Mossadem ludzi było najtrudniejszą rzeczą, jakiej kiedykolwiek od niego zażądano.

- Rodzice cię kochają i niedługo wrócą - tłumaczył małemu. - Ja też cię kocham.

Pocałował chłopca i niepewny, czy Eryka i Saul jeszcze żyją, obawiając się, że jego widoczny niepokój mógłby udzielić się dziecku, pośpieszył do czekającego helikoptera.

Gdy lecieli z powrotem do Tel-Awiwu, pilot kazał Miszy włożyć słuchawki. Wzywała go centrala. Chociaż radio w helikopterze było wyposażone w skrambler, agent nie chciał ujawnić treści pilnej wiadomości, którą odebrali. Podał jednakiej źródło: Wielobarwna Tarcza.

To było jak uderzenie. Kryptonim zaginionego ojca Eriki, Josepha Bernsteina.

Gdy oczy przywykły do ciemnego wnętrza, Misza uważnie przestudiował dokument.

- W jaki sposób to wpłynęło? Z której placówki? Z jakiego kraju?

- Z ambasady w Waszyngtonie - odparł agent. - Dziesięć lat temu Joseph szkolił jednego z naszych ludzi stamtąd, ów człowiek poszedł dziś rano do kawiarni. Rozgląda się i zgadnij, kogo widzi przy barze?

Misze przeszył dreszcz.

- Czy nasz człowiek jest całkowicie pewien? Nie ma żadnych wątpliwości?

- Najmniejszych. To na pewno był Joseph. Prawdopodobnie dlatego, że tak dobrze się znali, Joseph wybrał na pośrednika właśnie jego. Najwyraźniej nie chciał, żeby źródło informacji wydało się nam podejrzanym. Kontakt trwał najwyżej minutę. Joseph powiedział, żebyśmy się o niego nie martwili. Załatwia stary interes. Koniec jest bliski.

- Co to miało znaczyć?

- Agent zapytał o to samo. Joseph odmówił podania szczegółów. Zamiast tego wręczył mu kartkę, zapewniając, że informacja jest prawdziwa. Chciał, żebyś się o wszystkim dowiedział i oczekuje, że zaczniesz działać. Zaraz potem wyszedł.

- Tak po prostu? Nasz człowiek nie próbował iść za nim?

- "Próbował" to odpowiednie słowo. Joseph zna wszelkie możliwe sztuczki. Zgubił go

po dwóch przecznicach.

- Czy mówił, jak Joseph wygląda?

- Okropnie. Błady. Wychudzony. Trzęsą mu się ręce. Powiedział, że najgorsze były oczy.

- Dlaczego?

- Wydawały się, cytuję - nasz człowiek pozwolił tu sobie na subiektywne odczucie - udręczone.

- Jak to: udręczone?

Mężczyzna wzruszył ramionami. Misza pokręcił głową.

- Szukaliśmy Josepha wszędzie. A on ni stąd ni zowąd pojawia się w waszyngtońskim barze.

- Przynajmniej wiemy, że jeszcze żyje.

- Możesz mi wierzyć, dziękuję za to Bogu. Ale co robił przez cały ten czas? Dlaczego jest w Waszyngtonie? - Misza postukał palcem w dokument. - Jak zdobył te dane?

- Zawsze powtarzałeś, że należy do najlepszych. Podkreślam: powiedział naszemu człowiekowi, że to informacja pewna.

Misza ponownie przeczytał notatkę. "Statek handlowy Meduza spotka się jutrzejszej nocy z libijskim frachtowcem w celu przeładunku uzbrojenia przeznaczonego do terrorystycznych ataków przeciwko Izraelowi." Dalej podano planowany czas dostawy, współrzędne punktu na Morzu Śródziemnym oraz hasła, jakich obydwie jednostki miały użyć, aby się nawzajem rozpoznać.

- Jak zdobył te dane? - powtórzył Misza.

- Jest ważniejsze pytanie. Co zamierzasz w związku z tym zrobić?

Misza czuł się jak sparaliżowany. Pomimo przekazanych zapewnień Joseph mógł popełnić pomyłkę. Obowiązująca procedura wymaga, aby inne źródła potwierdziły informację, zanim zacznie się rozważać, jakie kroki należy podjąć. Tym razem jednak nie było na to czasu. Jeśli ta broń istnieje i do jutra w nocy nie zrobi się nic, aby zapobiec przeładunkowi, uzbrojenie zostanie przekazane wrogom Izraela. Z drugiej strony, jeśli na statku nie ma broni, a izraelskie samoloty zbombardują Meduzę... Pletz wolał sobie nie wyobrażać konsekwencji międzynarodowych.

- Co chcesz zrobić? - zapytał ponownie agent.

- Zawieź mnie do centrali.

- I?...

- Powiem ci, kiedy tam dojedziemy.

Tak naprawdę, Misza sam jeszcze nie wiedział. Gdy wyszli z baraku, opanowała go jedna myśl - skontaktować się z Eryką i Saulem.

Eryka, twój ojciec żyje - chciał jej powiedzieć. Widziano go w Waszyngtonie. Nie jestem pewien, do czego zmierza, ale z tego, co usłyszałem, wynika, że to ważne i nie potrafię zdecydować, co robić. Znajdź go. Pomóż mi. Muszę odkryć, co się dzieje.

Saul, nie jesteś już sam. Twoja była siatka nie może ci zabronić przyjęcia pomocy Mossadu. Będziemy nalegać. Odwołamy się do oficjalnego protokołu. W grę wchodzi nasze narodowe bezpieczeństwo. Twoje poszukiwania są naszymi i to tak dalece, jak sobie nie wyobrażaliśmy. Poprzemy cię.

Misza wszedł do samochodu. Nie zapamiętał prawie nic z drogi do centrali Mossadu w Tel-Awiiwie. Ale tuż przed przyjazdem na miejsce powziął decyzję.

Ufasz Josephowi?

Tak.

Wierzysz, że wiadomość jest prawdziwa?

Po namyśle: Tak.

Zamierzasz zarządzić atak powietrzny?

Nie. Mam lepszy pomysł, który rozwiąże wiele trudności i pozwoli uniknąć międzynarodowego konfliktu. Poza tym, po co niszczyć tę broń? Znajdziemy dla niej lepsze zastosowanie niż Libijczycy.

Musiał mówić chyba do siebie, bo agent odwrócił się do niego, marszcząc brwi.

- Co powiedziałeś?

- Zawsze chciałem być piratem.

## **IX.**

Sopel siedział w pokoju rzymskiego hotelu i z rosnącą niechęcią przyglądał się synowi człowieka, który był wrogiem jego ojca. Set robił właśnie przegląd prasy, szukając, jak to nazwał: "recenzji".

Rudowłosy skrytobójca kupił egzemplarze wszystkich ważniejszych europejskich i amerykańskich dzienników, jakie udało mu się zdobyć. Jego znajomość języków obcych była niemała, a w przypadku kilku, w których nie był biegły, prosił o pomoc Sopla.

- Wiedziałem, że trafimy do włoskich gazet - przerwał milczenie Set. - Spodziewałem się Paryża, Londynu i Berlina Zachodniego. Ale wiadomości dotarły także do Nowego Jorku i Waszyngtonu, a nawet do Aten i Madrytu.

Sopel nie starał się ukryć znudzenia i niesmaku.

- Przyznaję, że nie jesteście na pierwszych stronach - ciągnął Set.

- Ale też tego nie oczekiwałem.

Artykuły w prasie były mniej więcej podobnej treści. Pod Rzymem wyłowiono z Tybru zwłoki człowieka znanego we włoskim świecie przestępczym jako Medici. Zabito go - jak podejrzewają władze - śmiertelną dawką narkotyku. Wyniki autopsji nie są jeszcze dostępne. Ponieważ powszechnie wiadomo o powiązaniach Medicio z międzynarodowym terroryzmem, rzymska policja wysunęła teorię, że z nie ustalonych dotąd powodów zwrócili się przeciw niemu wspólnicy lub klienci.

Sama w sobie historia ta nie miałaby aż takiego znaczenia, aby zasłużyć na odnotowanie w prasie światowej. Prowadzący śledztwo zadawali sobie jednak pytanie, czy zabójstwo Medicio nie ma związku z dużo bardziej sensacyjnym odkryciem w willi pod Rzymem, gdzie znaleziono dziewięć trupów. Osiem ofiar, wszystkie zastrzelone, zidentyfikowano jako członków obstawy. Dziewiątą był człowiek z włoskiego podziemia, znany jako Gatto. Torturowano go, a następnie poderżnięto mu gardło. Gatto, o którego kontaktach z międzynarodowym terroryzmem ogólnie wiadomo, wycofał się ostatnio z działalności przestępczej z powodu złego stanu zdrowia. Wiarygodne, choć anonimowe źródła twierdzą, że Medici zajął jego miejsce w czarnorynkowym handlu bronią. Zamordowanie obu mężczyzn skłania władze do wysunięcia domysłu, że toczy się wojna gangów, o niewątpliwych konsekwencjach międzynarodowych.

- Jeśli chodzi o policję, wyświadczyliśmy im przysługę - powiedział Set. - My też nie możemy narzekać, podejrzewają niewłaściwe osoby.

- Ale co się stanie, kiedy badanie krwi wykaże, że Medici umarł z przedawkowania amytalem sodu? - zapytał Sopel. - Policja skojarzy to ze śladami noża na ciele Gatto i wyciągnie wniosek, że obydwaj byli przesłuchiwanymi.

- I co z tego? Nigdy się nie domyśla, że to my, ani o jakie informacje chodziło.

Sopel patrzył ze zdumieniem, jakich rumieńców nabrała teraz twarz jego towarzysza. Tak jakby Set czerpał siły życiowe z zadawania śmierci. Zaniepokoiło to Sopla. Dla niego zabijanie było zawodem, podczas gdy dla Seta najwyraźniej stanowiło potrzebę. Sopel nigdy nie zabił nikogo, jeśli nie miał moralnego przekonania, że osoba ta zasługuje na śmierć, jak w wypadku dyktatorów, handlarzy narkotyków, podwójnych agentów komunistycznych. Set przeciwnie, robił wrażenie, że nie obchodzi go, kogo ma zlikwidować, jeśli tylko wynagrodzenie jest odpowiednie. Jeżeli Set choć trochę przypominał swojego ojca, Sopel nie dziwił się, dlaczego jego własny ojciec nienawidził tego człowieka.

Zgoda, obydwaj byli mordercami na usługach Hitlera. Ale ojciec Seta specjalizował się w usuwaniu przywódców organizacji podziemnych, które pomagały Żydom, podczas gdy ojciec Sopla likwidował alianckich szpiegów i nie raz jeden prosił o pozwolenie na zamach na Churchilla. Była więc między nimi istotna różnica. Prześladowania rasowe są czymś ohydny bez względu na okoliczności. Zabójstwo polityczne daje się usprawiedliwić, jeśli zależy od niego dobro państwa.

Jeśli jednak państwo nie miało racji? - zadawał sobie pytanie Sopol. Przecież jego polityka opierała się na nienawiści rasowej. Czy należało jej bronić w imię patriotyzmu? Czy rzeczywiście obrona narodowa była jedynie zrozumiałą samoobroną?

Czy mój ojciec oszukiwał samego siebie?

Sopol nie spuszczał wzroku z mężczyzny, którego nienawidził. Te oczy, myślał. Im więcej Set zabija, tym bardziej błyszcza.

- Co cię gryzie? - zapytał Set.

- Mamy niezłą liczbę trupów. Poza tym niczego nie osiągnęliśmy.

- Nieprawda. - Set odłożył gazetę. - Wyeliminowaliśmy jedną możliwość, ustaliliśmy, że nie ma związku między terrorystami a zniknięciem kardynała.

- Nigdy nie uważałem, że jest.

- Należało to sprawdzić. Wiadomo przecież, że Halloway handluje z terrorystami czarnorynkową bronią.

- Na miłość boską, co takiego?

- Nie wiedziałeś? Właśnie tak Halloway zarabia na życie.

- Chcesz powiedzieć, że to wszystko z powodu nielegalnego handlu bronią?

- Oraz wymuszania przez kardynała corocznych opłat za milczenie. O tym musiałeś wiedzieć.

- Nie miałem nic przeciwko temu. Nie traktowałem tego jako szantażu, raczej jako wynagrodzenie za oddane usługi.

- Niektórzy z nas myśleli o całkowitym wyrównaniu rachunków poprzez zabicie kardynała.

- Wyświadczył naszym ojcom przysługę.

- Która leżała w jego własnym interesie. A raczej w interesie jego Kościoła. Przez ponad czterdzieści lat z tch składek uzbierała się niezła suma. Osiem milionów dolarów.

- Jeśli chcesz usłyszeć moje zdanie - wtrącił Sopol - to całkiem tanio, zważywszy na okrucieństwa, jakich się dopuścili.

- Razem z twoim ojcem - rzucił Set.



Sopel wstał.

- On nie! Mój ojciec odciął się od pozostałych!

- Naprawdę? Przykro mi pozbawiać cię złudzeń, ale twój stary zabił tyle samo żydowskich wybawców, co mój. Ich konflikt nie dotyczył Żydów, tylko kobiety, twojej matki! Wybrała twojego ojca, zamiast mojego! Mogłem być tobą! A ty nigdy byś się nie urodził!

Sopel uświadomił sobie, jak głęboka jest ich wzajemna nienawiść. Podniósł ręce w geście poddania się.

- Ta kłótnia jest idiotyczna. Mamy przed sobą zbyt wiele problemów.

Oczy Seta przygasły.

- Oczywiście. Jeszcze nie odnaleźliśmy naszych ojców.

Z wysiłkiem odzyskał panowanie nad sobą i mówił dalej:

- Tak więc - odetchnął głęboko - moim zdaniem - znów nabrał powietrza - sytuacja przedstawia się następująco.

Sopel czekał.

- Wyeliminowaliśmy teorię, że to, co nazywamy "Nocą i Mgłą", jest ugrupowaniem terrorystycznym, które odkryło, co wie kardynał, porwało go i chce przejąć czarnorynkową siatkę Hallowaya.

- Zgadza się - przyznał Sopel. - Ta teoria upadła.

- Zaginięcie kardynała ma jednak związek ze zniknięciem naszych ojców - ciągnął Set.

- "Noc i Mgła" nie znalazłaby ich bez Pavelicia.

- Z tym też się zgadzam.

- Więc skoro celem porwania naszych ojców nie było trzymanie ich jako zakładników dla okupu, pozostaje tylko możliwość, że "Noc i Mgła" działa z pobudek osobistych. Że "Noc i Mgła" to Żydzi. Aby jednak powziąć podejrzenia co do osoby kardynała i odkryć to, co wiedział, Żydzi musieliby przeniknąć do systemu bezpieczeństwa Kościoła katolickiego.

- Wątpię w to.

- Ja także. I dlatego zastanawiam się, czy...

- Czy co?

- Eliminując możliwości po kolei... Czy "Nocą i Mgłą" nie jest ktoś... albo jakaś grupa... wewnątrz Kościoła?

## CZARNY ZAKON

### I.

*Zurich.* Osiem przecznic na wschód od rzeki Limmat minawszy wystawioną na ulicy czujkę Agencji, Saul i Eryka otworzyli drzwi garażu i weszli do środka.

Pomieszczenie było duże, a jego betonowa podłoga nieskazitelnie czysta. Górne lampy dawały więcej światła niż poranne słońce na zewnątrz. Stał tu tylko jeden samochód - renault należące do trzech zamachowców. Ekipa z Agencji kierując się wskazówkami Saula znalazła pojazd na parkingu obok dworca kolejowego. Zespół specjalistów pracował przez całą noc; zdjęto odciski palców, rozmontowano i przeszukano wóz. Został teraz z niego sam szkielet.

- Ci faceci byli przygotowani na wybuch trzeciej wojny światowej - odezwał się chrapliwy głos.

Saul odwrócił się. Gallagher podszedł do nich trzymając ręczny granatnik RPG-7. Ruchem głowy wskazał rozłożoną na podłodze broń. Materiały wybuchowe, granaty, uzi, AK-47.

- Znaleźliście jakieś odciski palców?

- Całe mnóstwo - odparł Gallagher. - Ale to wynajęty samochód i nie sposób odróżnić, które należą do twoich znajomych, a które do poprzednich użytkowników.

- Wiesz, gdzie ukryliśmy ciała. Mógłbyś posłać ekipę, żeby zdjęła im odciski.

- Już to zrobiłem. Moi ludzie powinni do wieczora wrócić. Oprócz tego arsenału nie było w wozie nic nadzwyczajnego. Poza tym, że został wynajęty w Austrii. Nie ryzykowaliby przekraczania granicy z bagażnikiem pełnym broni. Musieli się zaopatrzyć w Szwajcarii.

- Słusznie. A ponieważ jechali za nami, nie mieli dużo czasu na odebranie towaru, bo by nas zgubili - zauważył Saul. - Muszą być świetnie zorganizowani.

- Siatka, o której nie wiemy? - mruknął Gallagher. - Możliwe. Prędzej uwierzę w jej istnienie niż w twoją teorię, że napastnicy byli księżmi. Tylko dlatego, że nosili pierścienie?!

- Z wizerunkiem krzyża i miecza.

- Z tego jeszcze nie wynika, że są duchownymi. - Gallagher położył granatnik obok AK-47 i mówił dalej: - Religia i przemoc nie bardzo pasują do siebie - jest przecież powiedziane, że cisi posiadają ziemię. Kiedy rozmawiałem z Langley, nie wspominałem o religijnym aspekcie sprawy. Wolę poczekać, aż będę pewny. W tej chwili specjaliści badają dokumenty, które zabrałeś tym facetom. Paszporty i prawa jazdy są prawdopodobnie

falszywe. Nasi ludzie z wywiadu francuskiego wkrótce dadzą nam znać.

- Karty kredytowe - wtrącił Saul. - One stanowią klucz do zagadki.

- Nie ulega kwestii. Moim zdaniem, okaże się, że mają pokrycie. Jestem cholernie ciekaw, kto płaci rachunki.

Zadzwoił telefon. Gallagher poszedł go odebrać. Saul popatrzył na Erykę. Nie słyszeli ani słowa; Gallagher prawie nic nie mówił, a kiedy wrócił, wyglądał na podekscytowanego.

- Ludzie, na których nazwiska wystawiono paszporty, nie żyją od lat. Pod adresami kryją się umeblowane pokoje do wynajęcia. Ale karty wystawiono zaledwie trzy miesiące temu i rachunki były płacone regularnie.

- Przez kogo?

- Każdy z tych trzech miał inną kartę i konto w innym banku. Banki zachowały fotokopie wpływających czeków. Nie są podpisane nazwiskami zabitych przez ciebie ludzi. Wszystkie чеки wystawiał jeden człowiek - księgowy. Czy nie sądzicie, że rzadko się zdarza, aby ktoś, kto mieszka w wynajętym pokoju, potrzebował księgowego? Jeszcze rzadziej, aby trzy osoby, z trzema różnymi adresami, korzystały z usług tego samego księgowego. Dalej jest jeszcze lepiej. Ten urzędnik nie istnieje. Jego чеки są w porządku, ale on sam spoczywa na cmentarzu w Marsylii, a zamiast biura ma skrytkę pocztową. Więc omijamy fałszywego księgowego i co znajdujemy? Miałaś rację, Romulus. Przykro mi, że ci nie dowierzałem.

- Mów.

- Kościół katolicki. Rachunki były płacone przez Rzym. Przez watykańską kancelarię kardynała nazwiskiem Krunoslav Pavelić. A teraz bomba. Kardynał przepadł kilka miesięcy temu. Co ma wspólnego zaginiony kardynał z trzema mordercami, którzy mogli być księżmi, i zniknięciem...

- Mojego ojca - przerwała Gallagherowi Eryka. - Żyda, a nie katolika.

- Jeśli kardynał zniknął, to kto regulował rachunki? - zapytał Saul.

- Jego sekretarz - odpowiedział Gallagher. - Ojciec Jean Dusseault.

## II.

Pochyleni nad drewnianym stołem, w ciszy czytelni rzymskiej biblioteki Vallicelliana, Shean i Arlene przeglądali książki, które przyniósł im bibliotekarz. Pół tuzina tytułów, wszystkie po włosku. Były to kościelne słowniki biograficzne, odpowiedniki *Who is who* dla Watykanu, Kurii i całego Kościoła rzymskokatolickiego. Znaleźli fragmenty, których szukali,

spojrzeli na siebie z rozczarowaniem i zwróciwszy książki wyszli z biblioteki. Uderzyło ich słońce i hałas Rzymu.

- No cóż, trzeba było przynajmniej spróbować - odezwał się Shean.

Odpowiedź Arlene zaskoczyła go.

- Moim zdaniem, sporo się dowiedzieliśmy.

- Niby czego? Wzmianki w tych książkach dotyczyły przede wszystkim działalności publicznej kardynała.

- Na pewno nie cierpi na nadmiar skromności - odparła Arlene. - Większość *Who is who* opiera biogramy na informacjach od samych zainteresowanych. Kardynał najwyraźniej chciał się zaprezentować jako święty. Ma medale i dyplomy uznania od różnych organizacji kościelnych, a nawet order papieski. Spis odznaczeń nie jest jednak biografią. Pavelić nie podaje zbyt wielu szczegółów na temat swojego życia. Albo uważa, że było nudne, w co wątpię sądząc po tym, jak chętnie zawiadamia o swych rozlicznych tytułach i godnościach, albo...

- Coś ukrywa?

- Podsumujmy nasze informacje - ciągnęła Arlene. - Wiemy, że urodził się w 1914 roku w Jugosławii i tam też się wychował. Wiemy, że wcześniej poczuł powołanie i gdy miał osiemnaście lat obrał stan duchowny. Kształcił się w seminarium w Rzymie. Przez jakiś czas był przedstawicielem Kościoła przy Czerwonym Krzyżu. Szybko piął się po szczeblach hierarchii kościelnej. W trzydziestym piątym roku życia jako jeden z najmłodszych wszedł do Kurii. Zarządzając finansami Kościoła, zajmuje niezwykle ważną pozycję w Watykanie.

- Niewątpliwie musiał objawić talent - przyznał Shean. - Pytanie tylko, do czego? Nic w jego życiorysie nie tłumaczy, dlaczego tak szybko awansował. Jeśli masz rację i Pavelić rzeczywiście coś ukrywa, nie przeczytamy o tym w żadnej oficjalnej biografii. Wątpię, czy znaleźlibyśmy coś nawet w archiwach watykańskich. Członek Kurii ma rozległą władzę. Może wybielić swoją przeszłość.

- Skąd weźmiemy nieoficjalną wersję biografii Pavelicia? - zapytała Arlene.

- Sądzę, że przyszedł czas na szczerą rozmowę z bliskimi współpracownikami kardynała - odparł Shean. - Z artykułów prasowych dotyczących jego zniknięcia, zapamiętałem wzmiankę o osobistym sekretarzu Pavelicia. Nazywa się chyba ojciec Jean Dusseault.

- Francuz.

- Możemy ograniczyć pogawędkę z nim do jednego tematu. Interesuje mnie tylko...

- ...druga wojna światowa - dokończyła Arlene. - I dlaczego dwóm płatnym

skrytobójcom, synom zbrodniarzy hitlerowskich, tak bardzo zależy na odnalezieniu zaginionego kardynała. Wracajmy do Watykanu.

### III.

Ojciec Jean Dusseault mieszkał w jednym z licznych na terenie Watykanu renesansowych pałaców. Oczywiście najprościej byłoby zadzwonić do księdza i umówić się na wizytę w jego kancelarii. Było jednak mało prawdopodobne, aby taka rozmowa przyniosła pożądane wyniki. Saul wyobrażał sobie lodowatą reakcję na pytania, które chciał zadać. “Czy ojciec wie o związkach kardynała Pavelicia z czekami wystawionymi w jego biurze dla trzech morderców, przypuszczalnie księży? Czy ojciec słyszał o tajnej siatce wywiadowczej wewnątrz Kościoła katolickiego? Bzdura? Oczywiście. Przepraszam, że zabrałem ojcu czas.” Nie, myślał Saul czekając we wnęce naprzeciw apartamentów ojca Dusseault. Wizyta w kancelarii nic by nie dała. Jedynym sensownym wyjściem jest spotkanie prywatne i rozmowa bez świadków. Przy użyciu siły, jeśli okaże się to konieczne.

Saul zgadzał się z Gallagherem, że pomimo obecnej gotowości Agencji do pomocy, lepiej będzie, jeśli przeprowadzą akcję sami - tylko on i Eryka. Nie pracują teraz dla nikogo. Gdyby ich złapano, w najgorszym wypadku zostaliby oskarżeni o zbyt energiczne wypytanie katolickiego księdza o zaginionego Żyda.

Poza tym, myślał Saul, w dalszym ciągu jest to sprawa osobista. Obchodzi mnie wyłącznie ojciec Eryki. Gallagher udzielił mi brakujących informacji o związkach moich przeciwników z Kościołem. W zamian dowiedział się o siatce wywiadowczej, której istnienia nikt nie podejrzewał. To uczciwa transakcja.

W kilku mieszkaniach zgasły światła. Noc zrobiła się jeszcze czarniejsza. Watykan zamykano dla turystów o siódmej wieczorem, ale Saul i Eryka ukryli się w podziemiach jednego z gmachów i wyszli na zewnątrz dopiero po zachodzie słońca. Saul spojrzął ze swego punktu obserwacyjnego w głąb wąskiej uliczki, gdzie w podobnej niszy czekała Eryka. Zajęli pozycje z dwóch stron wejścia do budynku, w którym mieścił się apartament ojca Dusseault. Jeśli zgasną tam światła, pójdą na górę. Jeśli zaś ksiądz wyjdzie, ruszą za nim.

Ksiądz wyszedł. Saul zapamiętał młodego, dobrze zbudowanego Francuza o gęstych włosach i słabo zarysowanej szczęce z popołudniowej wizyty, którą złożył w kancelarii ojca Dusseault, udając dziennikarza zainteresowanego postępami w poszukiwaniach kardynała Pavelicia. Ksiądz odniósł się do niego z rezerwą, szorstko i lekceważąco. Saulowi nie będzie przykro, jeśli teraz będzie go musiał trochę przycisnąć.

Ojciec Dusseault przystanął pod latarnią nad wejściem do pałacu, a potem ruszył na prawo od Saula, w stronę Eryki. Czarny strój zlewał się z otoczeniem, ale biała koloratka pozostała widoczna.

Saul dał Eryce czas, aby podążyła za księdzem pierwsza i opuścił kryjówkę. Starał się wypatrzeć w nikłym świetle, jaki kierunek obierze ojciec Dusseault.

Ksiądz poszedł prosto. Pałac, w którym mieszkał, leżał na prawo od placu Świętego Piotra, bliżej centrum Watykanu, gdzie znajdowały się supermarket, apteka i poczta. Trasa wybrana przez ojca Dusseault prowadziła Saula i Erykę pomiędzy Kaplicą Sykstyńską a bazyliką Świętego Piotra, obok Papieskiej Akademii Nauk, głęboko w Ogrody Watykańskie, których ciemności tylko gdzieniegdzie rozpraszały latarnie. Dwukrotnie Saul musiał się zatrzymać i ukryć. Raz, gdy mijalo go dwóch księży przechodzących z budynku do budynku, i ponownie gdy szwajcar z gwardii papieskiej patrolował ulicę. Pod osłoną krzaków i drzew w ogrodach poczuł się mniej nieswojo. Zaniepokoiły go jednak dwie rzeczy, które zrobił ojciec Dusseault. Po pierwsze, ksiądz zdjął koloratkę i wepchnął ją do kieszeni. Po drugie, przesunął prawą dłoń wzdłuż środkowego palca lewej, jakby wkładał pierścień.

Z wizerunkiem krzyża i miecza?

Czy ojciec Dusseault ma powiązania z trzema mężczyznami, którzy próbowali mnie zabić? Czy dlatego ich rachunki płaciła kancelaria kardynała?

Ruchy księdza, dotąd niedbałe, stały się teraz ostrożne. Duchowny na nocnej przechadzce przeistoczył się w przygotowanego na niebezpieczeństwo agenta. Zaczął unikać bladego światła ogrodowych latarni. Po zdjęciu koloratki czarny garnitur był całkowicie niewidoczny wśród ciemnych krzewów. Nagle ojciec Dusseault zniknął.

Saul wiedział, że gdzieś z przodu, zza krzewów i drzew obserwuje księdza Eryka. Może jest dość blisko, aby zobaczyć, dokąd poszedł. Ale jeśli ona go widzi, czy ojciec Dusseault nie zauważy jej? Czy nie domyślił się, że jest śledzony? Saul liczył na jedno. On i Eryka zawsze rozumują tak podobnie, że na pewno to samo przyszło jej już do głowy i zachowa wyjątkową ostrożność. Sunął bezszelestnie, mijając wodotryski, żywopłoty, posągi. Marmurowe anioły zawsze kojarzyły mu się ze śmiercią. Zapach kwiatów był tak odurzający, jak w zakładzie pogrzebowym. Saul przypadł do ziemi i poczołgał się między krzakami. Zobaczył przed sobą niewielki plac, a na nim dużą fontannę w kształcie hiszpańskiego galeonu.

W pierwszej chwili pomyślał, że ksiądz odwrócony tyłem do fontanny, to ojciec Dusseault. Nagle zza chmur wynurzył się księżyc i Saul uświadomił sobie, że ten duchowny ma koloratkę i jest wyższy. Na widok profilu o mocno zarysowanej szczęce przeszył Saula

dreszcz. W ogrodach, które przypominały cmentarz, doznał dziwnego wrażenia, że widzi ducha. Przez moment był gotów przysiąc, że patrzy na swego nieżyjącego przybranego brata Chrisa.

Wstrząśnięty, utkwiał wzrok w postaci. Czyżby Chris jakimś cudem ocalał? Saul nigdy nie widział ciała brata; powiedziano mu tylko, że zginął od pchnięcia nożem. Pomimo tęsknoty, Saul czuł jednak w głębi duszy, że jego nadzieja jest bezpodstawna. Nieznajomy, choć tak bardzo podobny, nie był Chrisem.

Uwagę Saula zwróciło nieznaczne poruszenie krzewów obok fontanny. Czyżby Eryka próbowała zająć lepszą pozycję do obserwacji drugiego księdza, którego się tu nie spodziewali?

Nie, zdecydował. Eryka jest zbyt dobrym fachowcem, aby dla zaspokojenia ciekawości ryzykowała wpadkę.

Ruch w zaroślach był coraz wyraźniejszy. Od tła oderwała się ciemna postać. Na placyk wyszedł człowiek. Duchowny w czarnym stroju, ale bez koloratki, z pierścieniem na środkowym palcu lewej ręki.

Ojciec Dusseault.

Drugi ksiądz najwyraźniej oczekiwał jego przybycia. Powoli odwrócił się ku niemu, podnosząc dłoń w geście pokoju. Tak przynajmniej mogło się wydawać. Dokładnie w ten sam sposób agent daje znak, że nie jest uzbrojony.

#### IV.

Chcąc zachować zdolność widzenia w ciemności, Shean starał się nie patrzeć na księżyc ani na latarnie w pobliskiej alejce. Utkwił wzrok w najciemniejszej grupie krzewów i stanął plecami do fontanny. Ojciec Dusseault powinien był już przybyć, ale Shean przypuszczał, że ksiądz podejdzie powoli i ostrożnie, mając się na baczności przed pułapką. Kiedy usłyszał za fontanną lekki szelest, odwrócił się przesadnie powoli, podnosząc ręce w pokojowym geście. Był wdzięczny, że ksiądz wybrał do wejścia na placyk miejsce najmniej oświetlone, niechcący pozwalając mu zobaczyć się lepiej, niż gdyby musiał patrzeć pod światło.

Oczywiście duchowny wcale nie musiał być ojcem Dusseault, którego Shean nigdy przedtem nie widział. Po południu zadzwonił do watykańskiej kancelarii księdza, prosząc o spotkanie.

- O czym chciałby pan ze mną rozmawiać? - zapytał melodyjny głos z lekkim

francuskim akcentem.

- O kardynale Paveliciu - odparł Shean.

- Proszę wyrażać się ściślej. Jeżeli chodzi o zniknięcie kardynała, miałem tu już dziś wizytę dziennikarza i powiem panu to samo, co jemu. Nie udzielamy żadnych informacji. Proszę zwrócić się do policji.

- Nie jestem dziennikarzem - wyjaśnił Shean. - I nie sądzę, że dobrze ojciec robi odsyłając mnie do policji. To mogłoby przysporzyć ojcu kłopotów.

- Nie mam pojęcia, o co panu...

- Prosił ojciec, abym wyrażał się ściślej. Co więc ojciec na to, że kardynała szuka dwóch płatnych morderców. Są synami esesmanów z drugiej wojny światowej. Ich ojcowie podlegali bezpośrednio Hitlerowi. Czy to nie budzi zainteresowania księdza?

Na linii przez chwilę panowała cisza.

- Nedorzecznosc - odezwał się w końcu ojciec Dusseault. - Na jakiej podstawie przypuszcza pan...

- Nie przez telefon. Powiedziałem, że chcę się z ojcem spotkać. Jak najszybciej. Dziś wieczorem.

- Kto mówi?

- Przykro mi - odrzekł Shean.

- Nie oczekuje pan chyba, że zaufam nieznajomemu, który proponuje potajemne spotkanie i chce rozmawiać o mordercach.

Oburzenie ojca Dusseault wydawało się raczej wykalkulowane niż spontaniczne. Shean postanowił księdza wypróbować.

- Po referencję mogę ojca skierować do Bractwa. W słuchawce ponownie zapadła cisza.

Ośmielony Shean zdecydował się posunąć próbę jeszcze dalej i rozpoczął hasło.

- *Dominus vobiscum.*

- Nie rozumiem, dlaczego mi pan to mówi.

- Z pewnością poznaje ojciec cytaty z łacińskiej mszy.

- Oczywiście. "Pan z wami".

- *Et cum spiritu tuo.*

- Zgadza się. "I z duchem twoim".

- *Deo gratias.*

Shean wstrzymał oddech, czekając na ostatnią część hasła.

- "Bogu niech będą dzięki". Amen - dokończył respons ojciec Dusseault.



Shean odetchnął z ulgą.

- W Ogrodach Watykańskich jest fontanna w kształcie hiszpańskiego galeonu.

Wzmianka o fontannie również była testem. Kilka dni wcześniej, gdy Shean i Arlene przebrani za księdza i zakonnice, spotkali się w ogrodach z ojcem Sebastianem, rozmawiali z nim właśnie tam.

W tym samym miejscu został zastrzelony ojciec Victor, członek Bractwa, który posłał Arlene, aby odnalazła Sheana w Egipcie.

Każdy mieszkaniec Watykanu natychmiast skojarzyłby miejsce zaproponowane przez Sheana z morderstwem, które się tam niedawno wydarzyło. Każdy oburzony, ale niewinny watykański urzędnik zwróciłby uwagę na ten dziwny wybór. Jednak ojciec Dusseault, zawahawszy się przez chwilę, odpowiedział tylko:

- Będę tam o pierwszej w nocy.

## V.

Spóźniony na spotkanie o piętnaście minut, ojciec Dusseault wyszedł z ciemności za fontanną. Nie wydawał się zdziwiony, że Shean jest ubrany jak ksiądz. To zrozumiałe, pomyślał Shean. Należało przecież oczekiwać, że ktoś, kto podaje hasło Bractwa, będzie w Watykanie nosił odpowiedni strój. Gdzież indziej mógłby bezpieczniej pokazać swe prawdziwe oblicze?

Shean spostrzegł jednak, że ojciec Dusseault sam nie odsłania się całkowicie - zdjął koloratkę, aby lepiej wtopić się w noc. Taktyka ta utwierdziła Sheana w podejrzeniu, że wyszkolenie księdza nie miało charakteru wyłącznie teologicznego.

Ojciec Dusseault nie zauważył obecności Arlene, która podobnie jak Shean, i tym razem weszła do Watykanu w przebraniu zakonnym.

Przybyła do ogrodów grubo przed pierwszą i, odpiąwszy biały kornet, położyła się płasko na ziemi. Jej czarny habit był zupełnie niewidoczny wśród pobliskich krzewów, tych samych, na które patrzył Shean, gdy nadszedł ojciec Dusseault.

W blasku księżyca Shean zobaczył pierścień na środkowym palcu lewej ręki księdza: rubin z wizerunkiem krzyża i miecza. Było oczywiste, że ojciec Dusseault włożył go, aby udowodnić swoją przynależność do Bractwa. Równie oczywiste było to, że brak pierścienia stawia Sheana w podejrzanym świetle.

Ojciec Dusseault istotnie wskazał na palec Sheana.

- Sądziłem, że jesteś jednym z nas.

- Nie.

- Skąd znasz hasło?

- Podał mi je kiedyś członek Bractwa... gdy próbował mnie zwerbować.

- Jeśli próbowano cię zwerbować, musisz mieć wyjątkowe talenty.

Shean milczał.

- Dlaczego odmówiłeś przystąpienia do nas?

- Nienawidzę wszystkiego, co reprezentuje Bractwo. Ojciec Dusseault uśmiechnął się.

- Nienawidzisz? To niedobre uczucie. Powinieneś się wypowiadać i prosić o rozgrzeszenie. Ale przecież właśnie po to tu jesteśmy.

Podniósł prawą rękę i pobłogosławił Sheana.

- Bóg ci wybacza. Teraz powiedz mi, dlaczego tak bardzo interesuje cię zniknięcie kardynała.

Shean potrząsnął głową.

- Dla kogo pracujesz?

Shean ponownie pokręcił głową.

- Wolałbym porozmawiać o mordercach, o których wspomniałem, o dwóch mężczyznach szukających Pavelicia.

- Ach tak, o tych, którzy, jak twierdzisz, są synami oprawców pracujących dla Hitlera. Skoro wolisz mówić o tym, proszę bardzo. Jak się o nich dowiedziałeś?

- Powiedzmy, że nasze drogi się skrzyżowały. Noszą pseudonimy Set i Sopol.

Chociaż na twarzy ojca Dusseault nie drgnął żaden mięsień, zdradziły go oczy.

- Słyszałeś o nich? - zapytał Shean.

- Nie - skłamał ksiądz. - Jestem pewien, że zapamiętałbym tak wdzięczne imiona.

- Synowie zbrodniarzy hitlerowskich - ciągnął Shean. - To mnie zastanowiło. Dlaczego chcą odnaleźć kardynała? Odwróciłem to pytanie. Co Pavelić może mieć wspólnego z nimi? Zacząłem myśleć o przeszłości kardynała. Co zrobił, że tak szybko wspiął się po szczeblach hierarchii kościelnej?

- Nie ma w tym nic tajemniczego - odparł ojciec Dusseault. - Kardynał niestrudzenie służył Wierze. Jego nadzwyczajne wysiłki odpowiednio wynagradzano.

- Służbę, o którą mi chodzi, odbywał w 1945 roku. Tuż przed swoim awansem. Jakie są powiązania Pavelicia z hitlerowcami?

## VI.

Saul obserwował scenę leżąc wśród zarośli na mokrej od rosy ziemi. Dwaj księża rozmawiali ze sobą zbyt cicho, aby mógł słyszeć, co mówią, gdy nagle ojciec Dusseault zrobił krok naprzód, zamierzył się lewą ręką. W świetle księżyca błysnął...

## VII.

...nóż, który ojciec Dusseault musiał mieć ukryty w rękawie. Shean odskoczył do tyłu, czując, że ostrze przecina mu sutannę na piersiach. Oblało go gorąco. Wzmoczone wydzielanie adrenaliny przyspieszyło jego reakcje. Uchylił się od kolejnego ciosu, próbując tak wymanewrować, aby mieć księżyc za plecami, z nadzieją, że blask oślepi księdza.

Ojciec Dusseault przejrzał jednak zamiary Sheana i zaczął zataczać koło, sam usiłując obrócić się tyłem do księżyca.

Gdy nóż błysnął ponownie, Shean zablokował ramię przeciwnika i pchnął nasadą dłoni w pierś ojca Dusseault, celując w żebra powyżej serca. Ale ksiądz, uprzedzając cios, obrócił się w lewo i przyjął uderzenie na bok. Jednocześnie, wykorzystując siłę rozpędu, zrobił wysoki wymach prawą nogą, mierząc w szczękę Sheana.

Ten odrzucił głowę do tyłu i spróbował chwycić stopę, która chybiła celu. Ojciec Dusseault zrobił unik i na ślepo zamachnął się nożem.

Shean odepchnął uzbrojone ramię i nasadą dłoni zmiażdżył przegrodę nosową przeciwnika. Cios nie był śmiertelny, ale tak bolesny i ogłuszający, że na kilka sekund pozbawił księdza możliwości obrony. Shean wykorzystał sytuację i zadał serię szybkich silnych uderzeń w przeponę, szczękę i nos.

Ojciec Dusseault runął na ziemię.

## VIII.

Saul w osłupieniu obserwował starcie. Szybkość reakcji drugiego księdza była zadziwiająca. Zadawał ciosy nasadą dłoni. Tak samo jak uczono Chrisa i jego. Zręczność nieznajomego, jego styl i rytm ruchów, wszystko przypominało Saulowi brata.

Czy dlatego, że Chris zginął w walce na noże, a ja bardzo chciałbym, żeby przeżył, wmawiam sobie, że to on?

Nie, stwierdził Saul. Nie wymyśliłem sobie tego podobieństwa. Ksiądz nie jest Chrisem. Wiem o tym. Ale wygląda tak, jak on. To dziwne.

Rozmyślenia Saula przerwał jakiś odgłos. W ogrodach był ktoś jeszcze. W pierwszej chwili przyszło mu do głowy, że ciemna postać, która wyłoniła się zza krzaków po prawej

stronie, to Eryka. Szybko jednak uświadomił sobie pomyłkę. Owszem, była to kobieta, ale ubrana jak zakonnica. Zwycięski ksiądz odwrócił się ku niej. Rozmawiali żywo, przykucnąwszy obok ojca Dusseault.

Saul powziął nagłą niebezpieczną decyzję. Sprzeciwiały się jej lata doświadczeń zawodowych i instynkt samozachowawczy. Nie dbał o to. Jeśli intuicja go zawodzi, zawsze może z powrotem skoczyć w ciemność. Wstał z ziemi i wyszedł na placyk.

## IX.

Ksiądz i zakonnica odwrócili się ku niemu spłoszeni.

- To największe ryzyko, jakie kiedykolwiek podjąłem - powiedział Saul, podnosząc rękę. - Nie jestem sam, więc zostańcie na swoich miejscach. Zaufałem wam. Proszę, nie atakujcie mnie.

Ksiądz wydawał się rozdarty sprzecznością: uciekać czy uderzyć. Zakonnica wyciągnęła spod habitu pistolet. Nie opuszczając rąk, Saul podszedł bliżej.

- Nie wiedzieliście, że was obserwuję. Mogłem was zabić, gdybym chciał. Załóżmy, że mamy wspólne zainteresowania.

- Wspólne zainteresowania? - powtórzył ksiądz.

Saul poczuł kolejny dziwny dreszcz. Ten głos należał do Chrisa. To niemożliwe. A jednak tak było. Czy zaczynam tracić zmysły?

- Chcieliśmy zrobić to samo, co wy - odparł.

- To znaczy? - zapytała zakonnica, nie przestając mierzyć z pistoletu.

- Dostać w swoje ręce ojca Dusseault i wydobyć z niego, co wie o... Ksiądz podniósł głowę.

- O czym?

Saul zawahał się, niepewny, ile może wyjawić. W końcu zdecydował się postawić wszystko na jedną kartę:

- O zaginionym ojcu mojej żony i dlaczego trzech ludzi - sędzę, że byli księżmi - próbowali nas zabić.

- Mówisz, że twoim zdaniem, byli księżmi?

- Tak, podobnie jak człowiek, który cię zaatakował. Nosi taki sam pierścień jak oni. Rubin z wizerunkiem krzyża i miecza.

## X.

Shean osłupiał.

- Wiesz o Bractwie?

Obcy był dobrze po trzydziestce. Wysoki, muskularny, opalony i ciemnowłosy, z kwadratowym podbródkiem.

Shean doznał wrażenia *deja vu*. Wydawało mu się, że widział już tego mężczyznę, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie. Próbując nie zważać na to dziwne uczucie, czekał na odpowiedź.

- Bractwo? - nieznajomy zmarszczył brwi. - Więc tak siebie nazywają? Nie, nie wiem o nich nic, ale bardzo chciałbym się dowiedzieć. - Postąpił krok naprzód. - Odkryłem tylko tyle, że pierścień zawiera pod rubinem kapsułkę z trucizną.

- Tak, pod kamieniem - odparł Shean. - Bractwo Kamienia. Mają obowiązek połknąć kapsułkę, jeśli zachodzi niebezpieczeństwo, że mogą zostać schwytani i zmuszeni do wyjawienia tajemnicy swojego zakonu.

- Zakonu? - powtórzył obcy. - Więc nie myliłem się. Wszyscy są księżmi?

Shean skinął głową. Przypomniawszy sobie o truciznie, przykucnął obok ojca Dusseault i na wszelki wypadek zdjął mu pierścień z palca.

- Mam nadzieję, że go nie zabiłeś - powiedział nieznajomy.

- Staralem się tego nie zrobić. Obudzi się trochę obolały.

- O ile w ogóle się obudzi. Chcę mu zadać kilka pytań. Ale skoro, jak mi się zdaje, ty sporo wiesz o Bractwie, może mógłbyś mi oszczędzić kłopotu. Nie nosisz pierścienia. Przypuszczam, że nie należysz do nich. Coś mi mówi, że nawet nie jesteś księdzem. Nie bardziej niż twoja towarzyszka zakonna.

- Widziałem cię już - przerwał Shean.

## **XI.**

Saul drgnął jak porażony prądem.

- Wczoraj. W Szwajcarii - wyjaśnił ksiądz. - Na przełęczy Albis.

- Przejeżdżałem tamtędy w drodze do Zurychu.

- Prowadziłeś renault.

- Skąd do diabła...

- Za tobą jechała kobieta - ciągnął ksiądz - volkswagenem golfem.

- To moja żona. Skąd...

- Wyglądała na bardzo spiętą i zmęczoną, a jednak rozpaczliwie starała się nie stracić

cię z oczu. Nie potrafię wytłumaczyć dlaczego, ale kiedy nas mijaliście, doznałem wrażenia, że coś nas łączy.

Saul przeżył drugi wstrząs. Chciał powiedzieć o Chrisie i własnym dziwnym poczuciu więzi, ale jego uwagę zwrócono na ojca Dusseault.

- Musimy go stąd zabrać - stwierdził ksiądz.

- Zanim nadejdzie strażnik - zgodził się Saul spoglądając za siebie. - Moja żona na pewno zastanawia się, o czym rozmawiamy. Dam jej znak, że może wyjść bez obawy.

Odwrócił się do kępy krzewów i pomachał ręką.

- Nie przedstawiliście się jeszcze. Chyba że nadal mi nie wierzycie. Mężczyzna i kobieta popatrzyli na siebie niezdecydowanie.

- Shean.

- Arlene.

- Saul. Moja żona ma na imię Eryka. Spodoba się wam.

Saul ponownie dał znak ręką, zachęcając Erykę do pokazania się. Odczekał chwilę. Zamachał trzeci raz. I nagle uświadomił sobie, że Eryka nie wyjdzie z kryjówki, że musiało się stać coś bardzo złego i całe jego życie zawisło nad przepaścią.

## **XII.**

Saul dotarł na skraj mrocznych ogrodów i spojrzał w stronę potężnej bazyliki Świętego Piotra otoczonej aureolą nocnych świateł Rzymu. Przeszukał połowę terenu. Shean podjął się sprawdzić resztę. Widząc przed pałacem wartownika, Saul uświadomił sobie, że nie ma sensu iść dalej. Jeśli Eryki nie było w ogrodach, nie może liczyć na to, że odnajdzie ją w labiryncie watykańskich budynków. Znow zaczął myśleć, co się z nią stało. Analizując sytuację, doszedł do wniosku, że są tylko dwie możliwości. Albo została zmuszona do ucieczki, albo schwyтана. Ale przez kogo? Przez strażników? Przez kogoś z Bractwa?

Od rozpoczęcia poszukiwań upłynęło więcej czasu niż uzgodnione dwadzieścia minut. Do tej pory Shean powinien już wrócić pod fontannę. Może on znalazł Erykę.

Saul popędził w ciemność, wpadł na placyk i, oszołomiony, stwierdził, że nie ma tam nikogo.

Zaciskał już pięści w gniewie, gdy usłyszał z prawej strony kroki i zobaczył Sheana wychodzącego zza krzaków.

- Schowaliśmy się na wypadek, gdyby przechodził strażnik - wyjaśnił Shean. - Spóźniłeś się.

- Znalazłeś ją?

- Nie... Przykro mi.

Saul miał wrażenie, że serce mu pęka.

- Obawiam się, że musimy się stąd zabierać - dodał Shean.

- Rozumiem.

- Idziesz z nami czy chcesz szukać dalej?

Saul utkwiał wzrok w ciemnościach. Walczył z silną pokusą.

- Nie - odparł z trudem. - Gdyby tu była, pokazałaby się albo byśmy ją znaleźli. Będę szukał gdzie indziej - głos mu zadrżał. - Tylko nie mam pojęcia gdzie.

- Pozostaje jeszcze problem, dokąd zabrać księdza.

Saul ostatni raz powiódł wzrokiem po ogrodach. Potrzebował całej swojej dyscypliny, aby się otrząsnąć. Eryce nic nie pomoże, jeśli on da się złapać. A ojciec Dusseault może wiedzieć, dlaczego zniknęła.

W końcu zdecydował.

- Lepiej chodźcie ze mną.

Zdawał sobie sprawę, że ich możliwości są ograniczone. Mogli spróbować zanieść księdza do jego mieszkania, ale istniało ryzyko, że strażnik ich zauważy i podniesie alarm. Gdyby nawet udało im się jakoś dotrzeć do apartamentów ojca Dusseault, co dalej? Przesłuchiwać go tam? Nieobecność księdza na pewno zaniepokoi personel kancelarii i rano przyjdą go szukać. Nie, muszą zabrać ojca Dusseault z Watykanu. Tylko jak? Gdyby usiłowali przenieść księdza o drugiej w nocy przez strzeżoną bramę, z pewnością zostaliby zatrzymani. Mogliby znaleźć kryjówkę i zaczekać do rana, ale co wtedy? Przeprowadzić jeńca przez furkę, licząc na to, że tłum turystów zajmie uwagę wartowników? Jak to zrobić, aby nikt nie zauważył obrażeń na twarzy ojca Dusseaulta albo ksiądz nie wywołał zamieszania? Realnie wydawało się tylko jedno wyjście. Opuścić Watykan teraz, ale nie przez bramę.

Przed przybyciem do ogrodów Saul i Eryka przeprowadzili rozpoznanie, obchodząc Watykan dookoła. Państwo Kościelne otacza wysoki kamienny mur, na który nie sposób wspiąć się bez pomocy. Próba sforsowania ściany przy użyciu drabiny lub sznura skończyłaby się z pewnością interwencją policji.

- Tym razem jednak nie chodziło o dostanie się do środka, lecz o ucieczkę i dużo łatwiej było wejść na mur watykański od wewnątrz niż z zewnątrz. Poprzedniego dnia Saul zauważył, że w kilku miejscach blisko ściany rosną drzewa.

Wyprzedził Sheana i Arlene niosących nieprzytomnego księdza, W nadziei, że

znajdzie Erykę. Dotarli do muru i szli wzdłuż niego, aż trafili na rozłożyste drzewo, po którego konarach można się było wspiąć na szczyt kamiennej ściany.

Wywindowanie księdza do góry po gałęziach nie powinno przedstawiać trudności. Gorzej natomiast ze spuszczeniem go na dół. Dwie osoby będą musiały stanąć pod murem, podczas gdy trzecia na szczycie, trzymając jeńca za ręce, zacznie go obniżać, dopóki nie wpadnie w rozpostarte ramiona pomocników. Kiedy wszyscy wylądują po drugiej stronie, należy liczyć się z tym, że mogą zwrócić na siebie uwagę policji. Bezwarunkowo muszą natychmiast opuścić okolicę.

- Przejdę pierwszy - zdecydował Saul. - Zostawiliśmy w pobliżu wynajęty samochód. Dajcie mi dwadzieścia minut na sprowadzenie go. Potem zacznijcie się wspinać i podnieście księdza na szczyt muru. Kto wie? Może Eryka czeka przy wozie?

- A jeśli samochodu nie będzie tam, gdzie go zaparkowałeś? - zapytał Shean.

- Ukradnę jakiś. Bez względu na wszystko, zaraz wracam.

### **XIII.**

Shean opadł na ziemię plecami do muru, drżąc od wilgoci. Niepokoiło go, że ojciec Dusseault może się obudzić, udawać nieprzytomnego i nieoczekiwanie zaatakować. Sprawdził tętno księdza. Było równe, ale słabe; z pewnością nie tak bije serce zbierającego siły mordercy.

Siedząca obok Arlene nachyliła się do ucha Sheana.

- Ufasz mu?

- Saulowi? Tak. Nie mam pojęcia dlaczego, ale tak.

Uspokojona, oparła mu głowę na ramieniu.

- Co takiego powiedziałaś ojcu Dusseault, że rzucił się na ciebie?

- Nie wiem, dlaczego się na mnie rzucił. Shean miał na ten temat sprzeczne teorie i potrzebował czasu, aby się zastanowić.

Może ojciec Dusseault przyszedł na nocne spotkanie w takich samych zamiarach jak on - aby siłą zdobyć informacje.

Albo ksiądz działał pod wpływem impulsu, wyprowadzony z równowagi pytaniem o kardynała i hitlerowców.

Gdy jednak Shean przypomniał sobie całe zajście, doszedł do wniosku, że ten pozornie spontaniczny atak był w rzeczywistości dobrze obliczony. Ojciec Dusseault nie celował na przykład w tętnicę szyjną, aby spowodować szybką i pewną śmierć. Starał się



zranić Sheana w pierś lub w brzuch, aby nie zabić go od razu. Chciał się najpierw dowiedzieć, kim jestem i dlaczego tak bardzo interesuje mnie kardynał. Skończyłby ze mną dopiero potem.

Sądzę, że znalazłem człowieka, który przy tej samej fontannie zastrzelił ojca Victora.

Tylko dlaczego jeden członek Bractwa chciał zabić drugiego? Czy podejrzenia ojca Sebastiana, że wewnętrzny wróg próbuje zniszczyć Bractwo, są słuszne? Czy tym zdrajcą jest ojciec Dusseault?

Wkrótce poznam odpowiedź, pomyślał. Kiedy Saul wróci z samochodem.

Co takiego mówił Saul? Że zginął ojciec jego żony? Że to zniknięcie ma coś wspólnego z trzema księżmi, członkami Bractwa, którzy usiłowali zabić żonę Saula i jego samego?

Teraz przepadła również Eryka. Shean zaczynał podejrzewać, że misje jego i Saula są jakoś powiązane i wyjaśnienie problemów nowego znajomego pomoże mu wybrnąć z własnych kłopotów.

Spojrzał na zegarek. Dwadzieścia minut upłynęło.

Arlene go uprzedziła.

- Już czas.

Wspięła się na drzewo balansując po gałęziach i wyciągnęła rękę. Shean podniósł ojca Dusseault.

#### **XIV.**

Pod murem zahamował peugeot z zapalonymi światłami. Przez pełną napięcia chwilę Shean zastanawiał się, czy samochód nie należy do policji lub Bractwa. Widząc Saula odetchnął z ulgą. Arlene zsunęła się po ścianie i gładko wylądowała na ziemi. Shean spuścił w ich ramiona nieprzytomnego księdza i sam zeskoczył. Kilka sekund później siedzieli w wozie.

Ku rozpaczycy Saula, Eryka nie czekała przy samochodzie.

- Wynajęliśmy z żoną pokój w hotelu - odezwał się, gdy ruszyli. - Jeśli nic jej nie jest, jeśli po prostu musiała przed kimś uciekać, tam będzie mnie szukała.

Rzucił okiem do tyłu, na Sheana i Arlene. Ksiądz leżał na podłodze.

- Proponuję, żebyśmy go tam zabrali.

Poczuł ulgę, słysząc odpowiedź Sheana.

- W tych okolicznościach to jedyne wyjście.

Saul wyjaśnił, że wybrali hotel ze względu na jego rozkład. Windy, schody przeciwpożarowe znajdują się w głębi niewidocznego z recepcji korytarza, do którego prowadzi tylne wejście z parkingu hotelowego.

Była trzecia rano. Nikt nie zwrócił uwagi na księdza pomagającego iść drugiemu księdzu, ani na zakonnice, która weszła do hotelu i minut później. Nie zauważono również wysokiego, opalonego mężczyzny niosącego walizkę.

Walizka zawierała ubrania, które Shean i Arlene mieli na sobie, zanim przebrali się za księdza i zakonnice. Shean odebrał ją ze schowka na stacji w drodze do hotelu. Nie natknęli się na nikogo ani windzie, ani na korytarzu wiodącym do pokoju Saula. Po wejściu środka Shean i Arlene kolejno zmienili w łazience stroje, podczas gdy Saul badał nieprzytomnego księdza leżącego na łóżku.

- Ma złamany nos.

- Zrobiłem to celowo - wyjaśnił Shean. - Staralem się go unieszkodliwić. A co ze szczęką?

- Kości wyglądają na nie naruszone. Będzie mógł mówić.

- Ale budzi się cholernie powoli - zauważyła Arlene.

- Tak, i to mnie niepokoi - odparł Saul. - Sprawdziłem oczy. Źrenice reagują na światło. Ma prawidłowe odruchy. Może powinniśmy przyłożyć mu do nosa lód.

- Wolałbym, żeby odczuwał ból. Będzie chętniej odpowiadał na pytania - sprzeciwił się Shean.

- Nie macie środków chemicznych, żeby zmusić go do mówienia?

- Nie - odrzekł Shean. - Dostaliśmy dokumenty, broń i pieniądze. To wszystko.

- Co znaczy: "dostaliśmy"? Od kogo?

- Ktoś z Bractwa wymógł na nas pomoc.

Saul otworzył szeroko oczy.

- Splacamy dług - wyjaśnił Shean.

- Uwierz nam - dodała Arlene - nie poczuwamy się do lojalności wobec Bractwa.

Saul popatrzył na nich badawczo i z ociąganiem mówił dalej:

- W porządku. Skoro już wam zaufałem... Gracie uczciwie, więc ja postąpię tak samo.

Ja także jestem winien przysługę pewnej organizacji.

- Komu?

- Kiedyś dla nich pracowałem. Nie chciałem mieć z tym już nic wspólnego, ale zmusili mnie do współdziałania.

- Pytałem cię...

- CIA.

- Boże!

- Chciałbym teraz do nich zadzwonić - ciągnął Saul. - Możemy się oszukiwać co do stanu księdza, ale prawda jest taka, że jeśli nie otrzyma pomocy lekarskiej, nie będzie w stanie odpowiadać na pytania. Nieźle go załatwiłeś. O ile znam się na tym, jest w szoku. Potrzebujemy ekipy z odpowiednim sprzętem, żeby przywrócić mu przytomność.

W pokoju zapadła cisza.

Arlene zwróciła się do Sheana.

- On ma rację. Stracimy zbyt wiele czasu, zanim ojciec Dusseault w pełni odzyska świadomość.

- A CIA? - zaprotestował Shean. - Wiesz, jaki mam stosunek do...

- Widząc twój styl walki, sądziłbym, że pracowałeś dla nich.

- Nie dla Agencji. Dla Departamentu Stanu. Ale ja też nie chcę do tego wracać.

- Zgodziłeś się jednak na współpracę z Bractwem - zauważył Saul.

- Nie miałem wyboru.

- Posłuchaj uważnie. Moja żona zniknęła. Tylko to mnie teraz obchodzi. Wierzę, że jeśli uzyskam od księdza odpowiedzi na kilka pytań, uda mi się ją odnaleźć. Mogę tu sprowadzić ekipę specjalistów. Zrobię co w mojej mocy, żeby Agencja nie dowiedziała się o was. Proszę, żebyście pozwolili mi zadzwonić.

Shean wbił wzrok w podłogę. Arlene odezwała się pierwsza:

- Shean, jeśli to ma pomóc zakończyć całą sprawę, powiedz mu, że się zgadzasz.

Shean podniósł głowę.

- Pakujemy się za głęboko.

- Zgódź się.

- Dobrze - westchnął Shean. - Dzwon.

Saul podszedł do telefonu i wykręcił numer.

- Tu Romulus. Przekaż Gallagherowi, że mam odporne źródło informacji. Potrzebuję ekipy medycznej. Natychmiast.

- Adres? - zapytał chrapliwy głos.

- Gallagher wie, gdzie się zatrzymałem. Saul odłożył słuchawkę na widełki.

- Gdzie do cholery jest moja żona?

## **XV.**

Pół godziny później usłyszeli pukanie. Saul spojrział przez wizjer, spodziewając się, że zobaczy Ospowatego. Widok Gallaghery we własnej osobie zaskoczył go. Dał ostrzegawczy znak. Gdy Shean i Arlene, zabrawszy walizkę, zamknęli się w łazience, otworzył drzwi.

Gallagher wszedł do środka. Miał oczy zapuchnięte z niewyspania.

- Oporne źródło informacji?

Saul przekręcił klucz w zamku. Gallagher mówił dalej:

- Ściśle rzecz biorąc, moim terenem jest Austria. Zurych nie sprzeciwiał się wejściu na obszar podlegający ich kompetencjom, ale nasi ludzie w Rzymie lubią sami dbać o swoje sprawy. Gdybyś zgodził się odpowiadać przed szefem tutejszej sekcji...

- Sam chciałeś tej współpracy. Teraz się nią udław - przerwał mu Saul. - Nie ufam nikomu innemu.

- Miło jest być lubianym. Co tam masz?

Saul zaprowadził go krótkim korytarzykiem do sypialni. Gallagher zbladł widząc, kto leży na łóżku.

- Wielki Boże! Nie wierzę własnym oczom! Porwałeś księdza! Jak do cholery mam to przedstawić w raporcie? A jego twarz! Co zrobiłeś? Przejechałeś go ciężarówką?

- To nie jest zwykły ksiądz, tylko osobisty sekretarz kardynała z watykańskiej Kurii.

Gallagherowi opadła szczęka.

- Tego już za wiele! Właśnie zrujnowałeś mi...

- Zanim zaczniesz martwić się o swój stołek, popatrz na to. Saul pokazał mu pierścień, który Shean zabrał ojcu Dusseault. Gallagher obejrzał przedmiot ze zdziwieniem.

- Wszystko powoli układa się w całość. Sam dowiodłeś, że ludzie, którzy próbowali mnie zabić, byli finansowani przez Watykan. Przez kancelarię tego człowieka - wskazał na księdza. - Zaginiony kardynał jest jego szefem.

Saul uniósł prawą rękę jeńca, podwinął rękaw, aby odsłonić pochwę i podał Gallagherowi nóż ojca Dusseault.

- Czy to według ciebie należy do podstawowego wyposażenia księdza? Możesz mi wierzyć, umiał się nim posługiwać.

- Mów dalej. Zaczynasz mnie przekonywać.

- Siatka, o której nigdy nie słyszeliśmy, nie tylko istnieje, ale miałem również rację twierdząc, że składa się z księży - ciągnął Saul. - Jej nazwa pochodzi od rubinu w pierścieniu. Bractwo Kamienia.

Gallagher chrząknął.

- Romulus, jak zwykle jesteś świetny. Zdobyłeś dużo informacji.

- Ale jeszcze nie dość. Przekazałem telefonicznie twojemu człowiekowi, że potrzebuję ekipy medycznej.

- Nie będą wiedzieli, jakie pytania zadawać.

- Ale ja wiem. Chcę, żeby mnie wezwano, gdy tylko ksiądz będzie gotów. Sam zajmę się przesłuchaniem. Zamierzam go zdrowo przycisnąć.

- Co z tobą? Co ci się stało? Masz taki dziwny głos.

- Moja żona zniknęła.

- Co takiego?

- Była ze mną, kiedy obserwowaliśmy mieszkanie ojca Dusseault. Gdy ksiądz wyszedł, poszliśmy za nim oddzielnie, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Pamiętając o obecności Sheana i Arlene w łazience, Saul pominął milczeniem ich udział w nocnych wydarzeniach.

- Kiedy już go miałem, zacząłem szukać Eryki. - Saula ścisnęło w gardle, z trudem mówił dalej: - Przepadła. Szukałem wszędzie, ale jej nie było. Jeżeli ksiądz wie, dlaczego zniknęła, na Boga, powie mi to. Jeśli coś się jej stało, ktokolwiek jest winien, będzie musiał umrzeć.

Gallagher zrobił krok do tyłu.

Zadzwoił telefon. Saul rzucił się do aparatu.

- Eryka?

Usłyszał jednak tylko:

- Daj mi Gallaghiera.

Saul zamknął oczy, próbując opanować rozczarowanie. Oddał słuchawkę szefowi.

- Tak, wchodźcie na górę - polecił Gallagher i rozłączył się.

- To ekipa - wyjaśnił Saulowi. - Są na dole. Nie chciałem ich brać z sobą, dopóki nie zobaczę, co się tu dzieje.

- Teraz jesteś zadowolony?

- Spokojnie, Romulus. Stoję po twojej stronie.

- Naprawdę? Ostrzegam cię - powiedz swoim ludziom, żeby przygotowali księdza.

Reszta należy do mnie.

- W innych okolicznościach nie tolerowałbym takiego tonu - Gallagher spojrzał na Saula z ukosa. - Ale sądzę, że masz do tego prawo. Prześpij się trochę. Zjedz coś. Wyglądasz okropnie.

- Spać? Jeść? Jak mógłbym... kiedy Eryka...

- Rób, co mówię, Romulus. Na nic się nie przydasz ani jej, ani nikomu, jeśli się

wykończysz.

Saul nagle zdał sobie sprawę, że jest na granicy wytrzymałości. Odetchnął głęboko.

- Masz rację. Przepraszam.

- Za co? Na twoim miejscu chodziłbym po ścianach. Możesz na mnie liczyć. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

Saul uśmiechnął się z wdzięcznością.

Pięć minut później do pokoju weszło trzech mężczyzn. Jeden z nich był niski i nosił okulary. Zobaczywszy twarz ojca Dusseault, ściągnął usta. Zbadał księdza i zwrócił się do Gallaghera:

- Można go spokojnie przenieść. Gallagher skinął głową.

Sanitariusze wystąpili naprzód. Obydwaj byli dobrze zbudowani.

- Dokąd go zabieramy? Do biura czy...

- Czy nie moglibyście zająć się nim tutaj? - zapytał Gallagher. - W innym pokoju?

- Prędzej czy później będziemy musieli zrobić mu rentgen czaszki, ale nie widzę obrzęku pod oczami, więc prawdopodobnie przesadzam z ostrożnością. Ciśnienie krwi ma w normie. Tak, myślę, że możemy załatwić to w tym hotelu.

- Już dzwoniłem w sprawie rezerwacji. Mają wolny pokój na tym samym piętrze.

Gallagher skinął na jednego z mężczyzn:

- Idź do recepcji i zamelduj się. Weź klucz.

Dziesięć minut później ekipa była gotowa do przeniesienia ojca Dusseault.

- Będę potrzebował sprzętu z furgonetki - powiedział lekarz.

- Dostaniesz wszystko, co ci potrzebne - odparł Gallagher. Wyjrzeni na korytarz. Był pusty. Sanitariusze wzięli księdza między siebie i zarzuciwszy jego ręce na swoje szyje, opuścili pokój. Mężczyzna w okularach poszedł za nimi. Nikt ich nie zauważył.

Gdy zniknęli mu z oczu, Gallagher przeniósł wzrok na Saula:

- Pamiętaj, masz odpocząć. Zadzwoń, kiedy wszystko będzie gotowe.

Saul oparł się o ścianę. Z wyczerpania nogi ugięły się pod nim.

- Będę czekać - powiedział i przekręcił klucz w zamku.

## **XVI.**

Otworzyły się drzwi łazienki.

- Masz posłuchać rady Gallaghera - powiedziała Arlene. - Zamawiam jedzenie do pokoju.

- Wyobraża sobie, że jest Florence Nightingale. Robi się nieprzyjemna, kiedy pacjenci są nieposłuszni - wyjaśnił Shean.

Saul uśmiechnął się i ze zmęczenia opadł na krzesło. Arlene podeszła do telefonu.

- Mój przyjaciel rzadko jada mięso. Miałbyś ochotę na jajecznicę, bułki i kawę? - zapytała Saula.

- Żadnej kawy - odparł. - I bez tego jestem spięty.

- Mleko - polecił Shean. - I owoce. Dużo owoców.

Arlene złożyła zamówienie. Saul obserwował ją. Była wysoka i gibka, co przypominało mu Erykę. Ale tutaj podobieństwo się kończyło. Arlene nie miała tak długich i ciemnych włosów. Jej twarz, choć również piękna, była bardziej owalna, a skóra, chociaż opalona, nie tak smagła z natury jak u Eryki. Dużą różnicę stanowiły oczy. Arlene miała zielone, Eryka brązowe.

Eryka.

Chcąc oderwać myśli od żony, Saul przeniósł wzrok na Sheana i znów przypomniał mu się Chris.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, czy masz święcenia kapłańskie.

- Nie - odrzekł Shean z zadumą. - Ale byłem kiedyś bratem zakonnym.

Ta uwaga zaskoczyła Saula.

- Bratem...?

- Jestem katolikiem. Byłem mnichem.

Saul usiłował nadać swemu głosowi obojętne brzmienie:

- Miałem bardzo bliskiego przyjaciela, właściwie przybranego brata, który był irlandzkim katolikiem.

- Ja jestem Szkotem.

- Mój przyjaciel wstąpił do klasztoru cystersów i spędził tam sześć lat.

- Co za zbieg okoliczności!

- Tak? - Saula przeszył dreszcz. - Dlaczego?

- Przebywałem w klasztorze niemal równie długo. Ale ja byłem kartuzem.

- Mój przyjaciel mówił mi o kartuzach. Powiedział, że reguła cystersów jest ostra. Nie wolno im ze sobą rozmawiać. Ciężko pracują fizycznie. Kartuzi mają jednakowoż wiele surowszą regułę. Mieszkają w oddzielnych celach jak pustelnicy, w całkowitej samotności.

- Mnie odpowiadał ten spokój. Jak miał na imię twój przyjaciel?

- Chris.

- Dlaczego opuścił zakon?

- Dręczyły go koszmary z powodu rzeczy, które był zmuszony kiedyś robić, zanim został mnichem. Jak na ironię właśnie z tego względu wstąpił do klasztoru.

- Co to za rzeczy?

- Zrobiono z niego mordercę.

Shean wzdrygnął się wyraźnie zaskoczony.

- Trudno ci to zrozumieć, bo nie wiesz, że Chris i ja byliśmy sierotami. Zakład, w którym się wychowywaliśmy, zorganizowano na wzór instytucji wojskowych. Od dziecka usiłowano zrobić z nas żołnierzy. Pewien mężczyzna nieoficjalnie zaadoptował Chrisa i mnie. Nazywał się Eliot. Zabierał nas na wycieczki. Kupował słodycze. Sprawił, że go pokochaliśmy - Saul mówił z trudem. - Okazało się, że pracuje dla rządu i został naszym przybranym ojcem, aby zwerbować nas do wywiadu. Kiedy przeszliśmy intensywne szkolenie, zaczął posyłać nas na akcje. Stany Zjednoczone oficjalnie nie sankcjonują zabijania, niemniej to właśnie robiliśmy. Wierzyliśmy, że nasze misje mają rządowe poparcie, że działamy w słusznej sprawie. Tymczasem pracowaliśmy nie na zlecenie władz, lecz dla Eliota. Kochaliśmy go tak bardzo, że zrobilibyśmy dla niego wszystko. Więc kazał nam mordować. Dla swych własnych celów. Chris nie wytrzymał wyrzutów sumienia. Wstąpił do klasztoru, aby odpokutować za swoje czyny. Ale wciąż nawiedzały go koszmary i coraz bardziej odsuwał się od świata. Wpadał w odrętwienie. Ten stan lekarze nazywają schizofrenią katatoniczną. Reguła cysterska wymaga, aby mnisi brali udział w życiu klasztornym, a transy Chrisa nie pozwalały mu pracować. Musiał opuścić zakon.

- Na pewno czuł się rozdarty.

- Możesz mi wierzyć, że tak. Ale w końcu odzyskał spokój.

- W jaki sposób?

- Zabito go - odparł Saul. Shean przymknął oczy.

- Zakłuto go nożem, ponieważ Eliot ostatecznie zwrócił się przeciw nam. Zdradził nas, aby chronić siebie i swoje sekrety. Wyrównałem jednak rachunek za Chrisa.

- Jak?

- Zabiłem Eliota... A ty?

- Nie bardzo rozumiem sens rzeczy. Co chcesz wiedzieć? - odpowiedział Shean.

- Dlaczego opuściłeś klasztor?

- Banda wynajętych morderców zaatakowała kartuzję. Saul zamrugał oczami w osłupieniu.



## XVII.

Shean poczuł, że siedząca obok Arlene zeszywniała, zdumiona jego otwartością.

- Zaatakowano klasztor? - powtórzył Saul.

- Ja także jestem sierotą. Moi rodzice zginęli, kiedy miałem dziesięć lat - ciągnął Shean. - W Tokio. Ojciec pracował tam dla Departamentu Stanu. W roku 1960 on i matka zostali w swoim domu wysadzeni w powietrze przez terrorystów. Władze nigdy się nie dowiedziały, kto za tym stał. Miałem wtedy tylko dziesięć lat, ale przysiągłem sobie, że pewnego dnia wytropię sprawców albo, jeśli nie będę mógł ich odnaleźć, ukarzę ludzi podobnych do tych, którzy zamordowali moich rodziców. Wysłano mnie do Ameryki, żebym zamieszkał u wujostwa - w głosie Sheana zadźwięczała gorycz. - To nie był dobry pomysł. Więc zaadoptował mnie najlepszy przyjaciel ojca. Miał na imię Ray. On także pracował dla Departamentu Stanu. Podróżowałem z nim po całym świecie, gdy jeździł w swoich misjach. Ponieważ w dalszym ciągu zamierzałem dotrzymać przyrzeczenia, które sobie złożyłem i pomścić rodziców, Ray wciągnął mnie do tajnej grupy antyterrorystycznej przy Departamencie Stanu, o kryptonimie skalpel. Zostałem wyszkolony na mordercę. Zabijałem przez dziesięć lat.

- Dziesięć lat? Co spowodowało, że przestałeś? Dlaczego wstąpiłeś do klasztoru?

- Z tego samego powodu, co twój przyjaciel. Dręczyły mnie koszmary. W 1979 roku wysłano mnie na akcję, która zakończyła się śmiercią niewinnych ludzi - mężczyzny i kobiety. Wylecieli w powietrze. Tak jak kiedyś moi rodzice. Ich syn to widział, tak jak kiedyś ja.

- Mówisz, że ci ludzie byli niewinni. Popełniłeś omyłkę?

- Nie. Skalpel chciał, żeby zginęli. Z powodów politycznych. Ja jednak nie potrafiłem usprawiedliwić tego, co zrobiłem. Stałem się podobny do ludzi, którzy zamordowali mi rodziców. Takim samym łotrem jak ci, których ścigałem. Swoim własnym wrogiem. Przeżywałem... załamanie. Sądzę, że tak byś to nazwał. Tak bardzo pragnąłem odpokutować za grzechy, ponieść za nie karę, że zostałem kartuzem. Po prawie sześciu latach, przez pokutę i modlitwę, osiągnąłem spokój.

- I wtedy banda zaatakowała klasztor?

- Dziewiętnastu mnichów otruto. Dwóch zastrzelono. Celem byłem ja, ale udało mi się zbiec. Ślubowałem sobie, że dowiem się, kto Zabił moich współbraci, niweczając w ten sposób szansę zbawienia duszy. W końcu odkryłem, że człowiekiem, na którego rozkaz przeprowadzono akcję, był Ray. Obawiał się, że pewnego dnia, na skutek załamania, mógłbym

zdradzić jego sekrety. Szukał mnie przez te wszystkie lata, a gdy trafił na ślad... Cóż, postąpiłem tak samo, jak ty z człowiekiem, który był winien śmierci twojego przybranego brata. Odnalazłem Raya i zabiłem go.

## XVIII.

Saul słuchał, poruszony do głębi. Podobieństwa między jego historią a opowiadaniem Sheana były zdumiewające.

Ale Chris zginął.

A Shean żyje i wygląda zupełnie jak Chris z tymi swoimi jasnymi włosami, płonącymi oczyma, garstką piegów, mocno zarysowaną prostokątną szczęką. Saul doznał wrażenia, jakby w jego życiu wypełniło się puste miejsce, jakby powrócił ktoś długo nieobecny.

- Nie mówiłeś, czy masz braci - zauważył.

- Nie. Jestem jedynakiem. Saul uśmiechnął się.

- Jeśli chcesz brata, to go teraz masz. Nie opowiedziałbym ci o mojej przeszłości, gdybym nie dostrzegł podobieństwa między... To niesamowite.

- Ja też zwróciłem uwagę na te analogie - odparł Shean. - I ja nie potrafię ich wyjaśnić.

- Tak po prostu wpadamy na siebie. Jak to możliwe? Nie mogę uwierzyć, że to tylko zbieg okoliczności.

- Jestem ciekawa - przerwała Arlene - ile innych podobieństw jeszcze znajdziemy.

## XIX.

Spojrzeli na nią zdziwieni.

Arlene słuchała ich rozmowy z rosnącym pomieszeniem. Dostatecznie zaskakujący był już sam fakt, że dwaj nieznani sobie ludzie, którzy się nigdy przedtem nie spotkali, tak szybko poczuli do siebie zaufanie. Jeszcze bardziej zdumiała ją analogie losów Sheana i nieżyjącego brata Saula. Saul miał rację - to niesamowite. Najbardziej jednak niepokojące było, zdaniem Arlene, to, że na tym niespodzianki się nie kończyły.

- Innych podobieństw?... - powtórzył Saul.

- Pojawiliśmy się w Ogrodach Watykańskich równocześnie - wyjaśniła. Czy to cię nie zastanawia? Musisz być ciekaw, co tam robiliśmy. W każdym razie ja jestem ciekawa, o co w tym wszystkim chodzi. Czy znaleźliśmy się tam z tego samego powodu?

- Powiedziałeś, że zniknął ojciec twojej żony - wtrącił Shean. - I trzech mężczyzn próbowali was zabić. Nosili takie same pierścienie jak ojciec Dusseault.

Saul milczał chwilę. Potem potrząsnął głową i Arlene pomyślała, że w ten sposób usiłuje się zmusić do skupienia uwagi na rozmowie. Ponieważ, jeśli dobrze odgadywała, zniknięcie jego żony miało związek ze wszystkim, o czym mówili.

- Zgadza się - przyznał w końcu Saul. - Od tych trzech mężczyzn doszliśmy do ojca Dusseault i organizacji, którą nazywasz Bractwem Kamienia. Czym jest Bractwo?

- Żołnierzami Chrystusa. Kościołem wojującym - odparł Shean.

- Nie rozumiem.

- Początki zakonu sięgają XII wieku, czasów trzeciej krucjaty - tłumaczył Shean. - Bractwo kultywuje tradycje ustanowione przez pewnego Araba, który nawróciwszy się na chrześcijaństwo, został księdzem i wykorzystywał swoją znajomość arabskich obyczajów i języka, aby pomóc krzyżowcom w próbie wyzwolenia Ziemi Świętej spod panowania muzułmanów.

- Pomóc krzyżowcom? Jak?

- Jako skrytobójca. Ponieważ był Arabem, z łatwością mógł przeniknąć między nieprzyjaciół. Zabijał muzułmańskich przywódców. Robił to w sposób, który dorównywał okrucieństwem ich postępowaniu z rycerzami chrześcijańskimi. Ścisłe mówiąc, napadał swoje ofiary, gdy spały, i obcinał im głowy.

- Obrazowe - skomentował sucho Saul. - I niewątpliwie bardzo skuteczne.

- Zasadą było zwalczanie przemocy przemocą. Oczywiście krzyżowcy wierzyli, że ich przemoc jest święta.

- I Kościół to sankcjonował?

- Wówczas tak - odparł Shean. - Musisz pamiętać o zapale religijnym, który doprowadził do trzeciej krucjaty. Papież udzielił dyspensy od wszystkich grzechów popełnionych podczas tego, co uznano za natchnioną przez Boga wojnę z niewiernymi.

- Jednak czasy się zmieniają.

- Tak, ale zakon założony przez księdza skrytobójcę - nie. Bez wiedzy władz kościelnych Bractwo Kamienia praktykowało święty terror przez wieki, kiedy tylko uznali, że jest to konieczne dla obrony wiary.

- A pierścień?

- Służy jako znak rozpoznawczy. Jest kopią pierścienia, który nosił podczas trzeciej krucjaty król Ryszard Lwie Serce. Rubin symbolizuje krew Chrystusa.

- Dlaczego mielibyście chcieć przeszkodzić Eryce i mnie w odnalezieniu jej ojca? - zapytał Saul. - Czy są zamieszani w zniknięcie Eryki?

- Może ojciec Dusseault powie nam to podczas przesłuchania - odparła Arlene. - My

również przyszedł na spotkanie w ogrodach z powodu czyjegóż zniknięcia. Kardynała Krunoslava Pavelicia. Ojciec Dusseault jest jego sekretarzem.

- Słyszałem o sprawie kardynała. Dlaczego go szukacie?

- Spłacamy dług - wyjaśnił Shean. - Pewien ksiądz należący do Bractwa, próbował mnie kiedyś zwerbować. Gdy odmówiłem, usiłował mnie zabić, żebym nie zdradził tajemnic zakonu. Brat Arlene zastrzelił go, ratując mi życie. - Bractwo myślało, że to Shean zabił księdza - ciągnęła Arlene. - Chcąc osłonić mojego brata, z wdzięczności za ocalenie od śmierci, Shean uciekł, jakby rzeczywiście był winien. Spędził cały rok w Egipcie. Trzy tygodnie temu członek Bractwa złożył mi wizytę w Nowym Jorku. Powiedział, że wie, gdzie Shean się ukrywa. Polecił mi go odszukać i przekonać, aby wyświadczył im przysługę. W zamian uznają, że odpokutował za śmierć księdza.

- Co to za przysługa?

- Shean musi odnaleźć zaginionego kardynała.

- Dlaczego nie mogą zrobić tego sami?

- Też się nad tym zastanawialiśmy - odparł Shean. - Ksiądz, z którym rozmawialiśmy w Kairze, wyjaśnił nam, że Bractwu zagraża wróg wewnętrzny. Kluczem do rozwiązania zagadki, kto za tym stoi, jest sprawa Pavelicia. Jeśli chcemy żyć z Arlene w spokoju, musimy znaleźć kardynała i w ten sposób dowiedzieć się, kto próbuje zniszczyć Bractwo. Podejrzewam, że ojciec Dusseault jest zamieszany w tę zdradę, więc wszystko zaczyna układać się w całość. Ale intryguje mnie to, że Pavelicia szukają także inni ludzie. Dwaj płatni mordercy, synowie zbrodniarzy hitlerowskich.

- Synowie zbrodniarzy hitlerowskich?

- Mają pseudonimy Sopol i Set. Saul aż wstał ze zdumienia.

- Blondyn i rudy?

- Znasz ich?

- Kiedy pracowałem dla Agencji, słyszałem różne pogłoski. Zwłaszcza o Secie. Podobno jest szalony. O co w tym wszystkim, do cholery, chodzi?

- I czy istnieją jakieś powiązania? Między tym, czego chcecie wy, czego chcemy my i czego chcą oni? - zapytała Arlene.

- Między zniknięciem mojej żony i jej ojca - powiedział Saul - a księżmi mordercami.

- Oraz między zaginięciem kardynała - dodał Shean - a synami zbrodniarzy hitlerowskich.

## XX.

Sopel przykucnął w ciemnościach na wilgotnej betonowej podłodze w podziemiach pałacu opodal Kaplicy Sykstyńskiej. Nie widział nieprzytomnej kobiety leżącej obok, ale czuł ciepło jej ciała, a gdyby się pochylił, usłyszałby jej słaby oddech. Oczywiście nie widział również siedzącego z drugiej strony kobiety Seta, lecz wystarczyło mu, co słyszał - cichy odgłos przesuwania rąk po jej ciele. Sopel z trudem opanowywał niesmak.

Poprzedniego dnia po południu chcąc wydobyć informacje od ojca Dusseault, sekretarza zaginionego kardynała, weszli do Watykanu z grupą turystów. Przewodnik oprowadzał wycieczkę po bazylice Świętego Piotra; Sopel i Set zostali w tyle, szukając miejsca, gdzie mogliby przeczekać do zmroku. Drzwi do tych mrocznych podziemi zastali otwarte. O północy opuścili kryjówkę i skierowali się w stronę mieszkania księdza. Byli ekspertami od znikania w nocy, więc nikt ich nie zauważył.

Zamierzali dostać się do apartamentu ojca Dusseault, gdy ten będzie spał, unieszkodliwić go i do rana przesłuchać. Dotarłszy na róg ulicy biegnącej wzdłuż pałacu, w którym mieszkał ksiądz, przystanęli, aby przed wejściem do środka zbadać teren. Set miał już zrobić krok naprzód, kiedy Sopel pociągnął go do tyłu, wskazując na wnękę po przeciwnej stronie budynku. Właśnie tę niszę, głęboką i ciemną, upatrzył sobie wcześniej na kryjówkę.

Ktoś inny wpadł jednak na ten sam pomysł. We wnęcie poruszył się cień. Jakiś mężczyzna wychylił się i, spojrzawszy w okna pałacu, zniknął w ciemności. Było go widać tylko przez ułamek sekundy, ale to wystarczyło, aby Sopel stwierdził, że tajemniczy osobnik nie ma na sobie sutanny - jest z zewnątrz, tak jak oni.

Obserwowali go nadal. Po chwili wyrzwał ponownie, rzucił okiem w dół ulicy i znów się schował. Robił to dyskretnie, nie pozostawiając wątpliwości, że jest profesjonalistą. Spojrzenia w głąb ulicy świadczyły o tym, że nie przybył tu sam i czeka, aby dać lub odebrać sygnał.

Z pałacu wyszedł ksiądz. Rozejrzał się i ruszył w lewo, oddalając się od Sople i Seta oraz od zagadkowego obserwatora. Nieznajomy pozostał na swoim miejscu, ale gdy duchowny minął jakąś bramę, w dole ulicy pojawiła się kobieta i podążyła za nim. Sopel zeszywniał. Mężczyzna i kobieta? On i Set już wcześniej natknęli się na taką parę. W czasie porwania Mediciego.

Mężczyzna opuścił wnękę, aby również pójść za księdzem. Gdy Sopel lepiej im się przyjrzał, zdecydował, że to na pewno nie ta sama dwójka, którą widział poprzednio. Mężczyzna był bardziej muskularny, a kobieta miała dłuższe włosy.

Pomimo tych różnic, Sopla zaniepokoił sam fakt, że znowu ktoś obserwuje miejsce, gdzie on i Set przeprowadzają akcję. Czy im również chodzi o ojca Dusseault? Czy ksiądz, którego właśnie zobaczył, to rzeczywiście ojciec Dusseault? Nigdy przedtem go nie spotkał ani nie widział jego fotografii. Stwierdził, że najlepiej będzie, jeśli pójdą za całą trójką. Skinął na Seta i wyszedł z za rogu.

Pościg zaprowadził ich głęboko w Ogrody Watykańskie. Trzymając się mężczyzny i kobiety, dotarli w pobliże placyku z fontanną w kształcie hiszpańskiego galeonu. Ksiądz oświetlił stojącego przed nią księdza. Sopol padł na ziemię i podczołgał się bliżej, aby mieć lepszy widok i sprawdzić, czy to ten sam duchowny, który wyszedł z pałacu.

Nie. To nie był on. Zdumiony Sopol uświadomił sobie, że ma przed oczami człowieka, którego widział podczas porwania Mediciego. Zbity z tropu spojrzał na Seta. On także rozpoznał mężczyznę i ze zdziwieniem potrząsnął głową. Na placyk wyszedł drugi ksiądz, ten, który opuścił pałac i jak podejrzewał Sopol, był ojcem Dusseault. Duchowni zaczęli rozmawiać ze sobą. Nieoczekiwanie ojciec Dusseault wyciągnął nóż. Drugi ksiądz bronił się nadspodziewanie dobrze. Ojciec Dusseault był znakomity, ale tamten jeszcze lepszy. Wykorzystał okazję, zadał serię szybkich ciosów i powalił nieprzytomnego księdza na ziemię.

Sopol przyglądał się zajściu w osłupieniu. Nigdy nie widział, żeby księża walczyli jak zawodowcy. Na placyk wybiegła zakonnica. Była to ta sama kobieta, którą widzieli w noc porwania Mediciego. Sopol jeszcze bardziej zapragnął odkryć, co się dzieje. Mogliby użyć pistoletów z tłumikiem, aby unieszkodliwić tę dwójkę i zmusić ich do wyjaśnień. Wiedział jednak, że on i Set nie są tu sami. Druga para z ukrycia obserwuje scenę. Nagle przed fontanną wyszedł z podniesionymi rękami mężczyzna, którego śledzili. Sopla kusiło, by podpełznąć bliżej, w nadziei, że usłyszy, o czym rozmawiają.

Set odwrócił jego uwagę od nieznajomych, wyciągając z kieszeni kurtki płaski skórzany futerał. Wyjął z niego strzykawkę i zaczął się czołgać, ale nie do przodu, lecz w prawo, jakby miał zamiar okrążyć placyk. Zaintrygowany Sopol ruszył za partnerem. Gdy ten się zatrzymał, rozejrzał po krzakach i popęzł dalej, Sopol zrozumiał, że Set podchodzi kobietę, którą zauważyli przed pałacem. Dotąd nie pokazała się w ogrodach. Najwyraźniej czekała, aby zobaczyć, co się stanie.

Jej cień wyrósł nagle za drzewem dwadzieścia metrów na lewo od Sopla. Od strony placyku trudno ją było dostrzec, ale ze swojego miejsca Sopol widział kobietę doskonale. Set powoli poczołgał się do niej, wstał i runął do przodu, jednocześnie zatykając ofierze usta i wbijając jej igłę w ramię. Szarpała się zaledwie kilka sekund.

Set bezszelestnie pociągnął ją do tyłu, z dala od fontanny. Sopol dołączył do partnera,

chcąc mu pomóc nieść kobietę, ale ten odepchnął jego rękę. Oczy rudowłosego błysnęły groźnie, sygnalizując: ona jest moja. Sopel wzdrygnął się zdawszy sobie sprawę, że Set jest jeszcze bardziej szalony niż podejrzewał. Set także zadrżał czując zmysłową przyjemność. Podniósł kobietę w taki sposób, że jej brzuch spoczywał mu na ramieniu, a piersi miała przyciśnięte do jego pleców.

Wrócili do ciemnych podziemi pałacu...

Siedząc obok nieprzytomnej kobiety i słysząc, jak Set przesuwając dłońmi po jej ciele, Sopel starał się zapanować nad wzbierającym w nim wstrętem. Noc była długa. Nacisnął przycisk zegarka elektronicznego. 7.23. Na zewnątrz już dawno się rozwidniło. Nie wyobrażał sobie, jak wytrzyma w tym ciemnym, wypełnionym stęchlizną pomieszczeniu do godziny dziewiątej, kiedy do Watykanu zaczną wpuszczać turystów, a oni będą mogli wyjść, udając, że kobieta nagle zasłała.

## **XXI.**

- Za dużo wina, za mało snu - wyjaśnił Sopel po włosku zaniepokojonemu recepcjoniście, gdy dotarli do hotelu. Podtrzymywali kobietę, czekając na windę.

- Niestety, nie można bawić się przez całą noc zaraz po przyjeździe z drugiej półkuli.

Sopel dał portierowi napiwek, w uznaniu jego troski o gości.

- Wieczorem pewnie będzie znowu chciała iść potańczyć. Recepcjonista uśmiechnął się porozumiewawczo i powiedział, że gdyby czegoś potrzebowali...

- Zadzwonimy do recepcji i poprosimy specjalnie pana - odparł Sopel.

Otworzyły się drzwi windy. Weszli do środka i wjechali na górę. Sopel przekręcił klucz w zamku, a Set zaniósł kobietę na łóżko.

- Nic jej nie jest? Set zbadał jej oczy.

- Przychodzi do siebie. Niedługo będziemy mogli ją przesłuchać. Zdjął kobiecie buty i zaczął masować jej stopy.

Sopel poczuł niesmak. Musiał się z całej siły powstrzymać, żeby nie kazać Setowi przestać.

- Rozpoznałeś kobietę i mężczyznę ubranych jak ksiądz i zakonnica?

- Tak, z porwania Mediciego. Wtedy mieli na sobie zwykłe ciuchy. Zastanawiam się, czy tym razem wystąpili w przebraniu. A teraz jeszcze jeden mężczyzna i kobieta są w to zamieszani. Te pary chyba nie znają się nawzajem - rozmyślał głośno Set. - Czego chcą od ojca Dusseault? Czy kierują się różnymi względami, czy też motywy ich zainteresowania

księdzem są podobne? Czy takie jak nasze?

- Wyjaśnić, co ksiądz wie o zniknięciu naszych ojców?

Sopel z niesmakiem odwrócił oczy, by nie widzieć, gdzie Set dotyka teraz kobietę, i mówił dalej:

- Nie. Nie należą do grupy. Nie mają powodów, aby ich szukać.

- Ale mogą mieć powód, żeby szukać zaginionego kardynała - odparł Set odsuwając rękę od kobiety, co Sopel przyjął z ulgą. - Poza tym może być jakiś związek między tą tutaj a porwaniem naszych ojców. Prawie na pewno jest Żydówką.

- Zbieg okoliczności.

- Możliwe - przyznał Set - ale mało prawdopodobne.

- Wkrótce się dowiemy.

Set odpiął kobiecie pasek i guzik spodni, a potem pociągnął za suwak. Odsłoniły się figi brzoskwiniowego koloru. Sopel nie potrafił już dłużej opanować obrzydzenia.

- Nie.

Set spojrzał na niego, marszcząc brwi. Jego głos zabrzmiał twardo:

- Słucham?

- Cokolwiek chcesz jej zrobić, zanim się obudzi, zapomnij o tym.

- Zrobić jej? - Set uśmiechnął się zimno. - Mój zgorszony przyjacielu, co właściwie twoim zdaniem, zamierzam zrobić?

- Powtarzam, zapomnij o tym.

- Chcę tylko, żeby było jej wygodnie podczas przesłuchania. Poza tym dawno nie załatwiała potrzeb naturalnych. Powinna skorzystać z toalety. Set zdjął kobiecie spodnie, obnażając nogi. Wymamrotała coś i podkurczyła kolana, jakby było jej zimno.

- Jazda!

Set posadził kobietę na łóżku, założył sobie jej ramię na szyję i pomógł jej wstać. Patrząc wyzywająco na Sopla, ruszył w stronę łazienki.

- Pójdę z tobą - powiedział Sopel.

- Nie ma potrzeby. Dam sobie radę.

- We dwóch poradzimy sobie lepiej. Set spojrzał na niego z ukosa.

- Najpierw boisz się, że będę ją napastował, a chwilę później chcesz się jej przyglądać w toalecie. Coś ci się miesza.

Nie dając się sprowokować, Sopel wziął kobietę za drugie ramię i zaprowadził ją z Setem do łazienki. Patrzył z zażenowaniem, jak Set zdejmuje jej figi i sadza na sedesie. Głowa kobiety poleciała najpierw w jedną, potem w drugą stronę.



- Spróbuj sobie ulżyć - zachęcał Set. - Przecież nie chcemy żadnych awarii.

Sopelomal nie odepchnął ręki Seta, kiedy ten naciskał brzuch kobiety.

Nie! Ojciec! Muszę odszukać ojca! Nic nie może mi w tym przeszkodzić! Mogę policzyć się z Setem później, ale teraz... - myślał Sopel

Odetchnął z ulgą, gdy kobieta oddała mocz.

Zanieśli ją z powrotem na łóżko. Znow podkurczyła kolana.

- Co robisz? - warknął Set.

- Wkładani jej bieliznę.

- Nie ma potrzeby.

Mierzyli się wzrokiem. Napięcie rosło.

Sopel sięgnął po koc leżący na kanapie, zamierzając okryć nim kobietę.

- Nie - oczy Seta błysnęły ostrzegawczo. - Narkotyk podziała lepiej, jeśli będzie zmarznięta.

Sopel zdał sobie sprawę, że osiągnęli punkt krytyczny. Jeśli nie ustąpi, według wszelkiego prawdopodobieństwa dojdzie do walki. Ojciec powinien być dla niego ważniejszy.

- Jak sobie życzysz.

- Dokładnie tak. Jak sobie życzę. Nie chciałbym, żeby coś zagroziło naszej przyjaźni - ton Seta był kpiący. - Dalej! Przesłuchaj ją!

A ty skupisz się na jej nagości, pomyślał ze złością Sopel.

Podszedł do komody, otworzył szufladę i wyjął fiolkę ze sproszkowanym amytałem sodu. Rozpuścił pięćset miligramów narkotyku w dwudziestu mililitrach wody destylowanej i nappełnił strzykawkę.

## **XXII.**

- Słyszysz mnie?

Nie odpowiedziała.

Sopel nachylił się nizej i powtórzył pytanie.

Skinęła głową i wyszeptała słabo:

- Słyszę...

- To dobrze. Bądź spokojna. Jesteś bezpieczna. Nie ma się czego bać. Jesteś wśród przyjaciół.

- Przyjaciół...

- Tak. Powiedz, jak ci na imię.

- Eryka...

- A nazwisko?

- Bernstein-Grisman.

Nazwisko nie pozostawia żadnych wątpliwości, pomyślał Sopol. Kobieta jest Żydówką, jak podejrzewał Set.

- Dlaczego poszłaś za ojcem Dusseault do Ogrodów Watykańskich? - zapytał łagodnym głosem.

- Trzej mężczyźni usiłowali nas zabić...

To nie była odpowiedź na jego pytanie; zawiedziony Sopol przymknął oczy. Kontynuował jednak przesłuchanie, nie zmieniając tonu.

- Opowiesz nam o tych ludziach później. Co z ojcem Dusseault? Kolejna oderwana odpowiedź:

- Mój ojciec zniknął.

Sopol nie potrafił zdecydować, czy powinien zmusić Erykę do mówienia o ojcu Dusseault, czy też pójść za jej przypadkowymi skojarzeniami. To, co wiedziała, mogło być tak skomplikowane, że nie uda mu się uzyskać istotnych informacji, jeśli będzie się sztywno trzymał tematu. Uwaga o jej ojcu, chociaż pozornie nie mająca nic wspólnego ze sprawą, była dostatecznie dziwna, by to zbadać.

- Zniknął? Kiedy?

- Dwa tygodnie temu.

- Gdzie?

- W Wiedniu.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

Pomimo otępienia narkotykiem, kobieta była teraz tak pobudzona, że Sopol postanowił zadać kilka niewinnych pytań, aby ją uspokoić i zachęcić do mówienia swobodnie.

- Opowiedz nam o swoim ojcu.

Eryka milczała.

Sopol zadał bardziej konkretne pytanie.

- Ile ma lat?

- Siedemdziesiąt.

- Czy jeszcze pracuje?

- Odszedł na emeryturę.

- Skąd?

Nudziła go już ta indagacja, za pomocą której próbował rozluźnić kobietę.

- Jak zarabiał na życie?

- Mossad...

Sopel zamarł słysząc tę nieoczekiwaną odpowiedź. Spojrzał na Seta, który zaskoczony oderwał wzrok od nóg kobiety, i wrócił do przesłuchania.

- Twój ojciec był kiedyś agentem Mossadu?

- Tak.

- Czy ty pracujesz dla Mossadu?

- Nie. Napięcie opadło.

- Zrezygnowałam.

- Dlaczego?

- Chciałam być z mężem.

- To on był z tobą w Ogrodach Watykańskich? Czy pracuje dla Mossadu?

- Nie.

- Czy kiedykolwiek dla nich pracował?

- Nie.

- Jaki ma zawód?

- Jest rolnikiem.

- Gdzie?

- W Izraelu.

- Dlaczego stamtąd wyjechaliście?

- Żeby szukać mojego ojca.

Głos kobiety nabrał mocy. Zatrzepotała powiekami.

Sopel podszedł do komody, nappełnił drugą strzykawkę roztworem amytału sodu, który przygotował wcześniej, i wstrzyknął niewielką dawkę do tętnicy udowej Eryki. Narkotyk podziałał prawie natychmiast. Mięśnie się rozluźniły.

- Kiedy opuściliście z mężem Izrael, aby szukać twojego ojca, dokąd pojechaliście?

- Do Wiednia.

- Tam, gdzie zniknął. To jasne. A potem?

- Do Szwajcarii.

Odpowiedź zaskoczyła Sopla.

- Dokąd?

- W Alpy, na południe od Zurychu.

Sopel zawahał się.

- Dlaczego właśnie tam?

- Żeby poszukać przyjaciela ojca.

- Znaleźliście go?

- Nie... zniknął.

Znowu niespodziewana odpowiedź.

- Dziennik...

- Nie rozumiem.

- Znaleźliśmy dziennik.

- Jaki dziennik?

- O hitlerowskim obozie koncentracyjnym.

Chryste, pomyślał Sopel.

- Przyjaciel twojego ojca pisał dziennik o obozie?

- Tak.

- Czy twój ojciec był w obozie?

- Tak.

Sopel doznał nieprzyjemnego uczucia, że wszystko zaczyna układać się w całość.

Jednak kobieta zmieniła nagle temat.

- Trzej mężczyźni usiłowali nas zabić. Sopel pozwolił, by go prowadziła.

- Tak Wspominałaś o nich wcześniej. Gdzie to się zdarzyło?

- W Alpach.

- Kim oni byli?

- Myślę, że byli księżmi.

Mówiła bez sensu. Czy narkotyk zaćmił jej pamięć? Zaczęła się trząść, pobudzona na wpół świadomym wspomnieniem.

- Księżmi? - powtórzył Sopel. - Dlaczego księża mieliby chcieć was zabić?

Drżała coraz bardziej.

- Ojciec Dusseault.

Serce Sopla zabiło szybciej. Wrócili do pytania, od którego rozpoczął przesłuchanie.

- Co z ojcem Dusseault? Dlaczego szliście za nim? Czy ma powiązania z księżmi, którzy próbowali was zabić?

- Byli opłacani przez kancelarię kardynała.

- Kardynała Pavelicia? Tego, który zniknął? Czy wiesz, gdzie jest kardynał?

- Nie.

- Szukacie go?

- Nie.

Podniecenie Sopla zmieniło się w zawód. Kobieta prowadziła go po błędnym kole.

### **XXIII.**

Trwało to dwie godziny. Sopol zmusił Erykę do powtórzenia wszystkiego, co do tej pory powiedziała, próbując wydobyć z niej więcej szczegółów. Jak poprzednio, denerwowała się mówiąc o zaginionym ojcu i trzech księżach, którzy usiłowali zabić ją i jej męża. Wreszcie Sopol zostawił kobietę i odszedł w drugi koniec pokoju. Zadał wszystkie pytania, jakie mu przysły do głowy i dowiedział się zbyt mało. Nic więcej nie potrafił wymyślić. Rozdrażniony wyobrażał sobie, jakich informacji mogłaby mu udzielić, gdyby wiedział, o co ją pytać.

Set nie spuszczał oczu z jej nagiego ciała.

- Co sądzisz o pierścieniach, które opisała? - zagadnął go Sopol.

- Księża mordercy? - Set odwrócił wzrok od kobiety. - Pracuję w zawodzie od dwudziestu lat i nigdy nie słyszałem o takiej organizacji. - Ja też nie, ale to wcale nie znaczy, że ona się myli. Mogą być wyjątkowo sprytni. Co ze zniknięciem jej ojca? Czy ma to związek z porwaniem naszych ojców i sprawą kardynała?

- Wygląda na to, że ogniwem łączącym jest ojciec Dusseault - stwierdził Set. - Poszukiwania nasze i tej kobiety prowadzą do niego, chociaż podjęliśmy je z różnych przyczyn.

- Nie wolno nam zapominać o drugiej parze, którą widzieliśmy w ogrodach w przebraniu duchownych. Jaki tamci mieli powód, żeby ścigać ojca Dusseault? Dlaczego ich także interesował Medici? Jestem pewien, że wszystko wiąże się z sobą. Ojciec Dusseault wyjaśniłby nam, w jaki sposób, ale straciliśmy szansę przesłuchania go.

- Może nie - odparł Set. Sopol zmarszczył brwi.

- Co masz na myśli?

- Mój plan nie jest jeszcze dopracowany. Powiem ci, kiedy będę pewien, że zda egzamin.

Patrząc na kobietę, Set zdjął kurtkę i zaczął rozpinać koszulę. Sopol na wszelki wypadek zrobił krok w stronę łóżka.

- Dlaczego się rozbierasz?

- Spokojnie. Ciało tej kobiety chwilowo mnie nie interesuje. Muszę się ogolić i wziąć kąpiel. Wychodzę. Zostaniesz tu i dopilnujesz, żeby spała.

Set zniknął w łazience.

- Wychodzisz? Dlaczego? - zapytał Sopol podejrzliwie, idąc za partnerem. - Co chcesz... Jasne - uświadomił sobie nagle. - Już czas zawiadomić Hallowaya. Chcesz skorzystać z bezpiecznego telefonu, żeby do niego zadzwonić.

- Zawiadomić Hallowaya? - powtórzył Set z pogardą w głosie odkręcając prysznic. - Bynajmniej. Nie mamy mu nic konkretnego do powiedzenia. Mam zwyczaj donosić o sukcesach, nie o porażkach. Ale przy odrobinie szczęścia, jeśli uda mi się załatwić pewną sprawę, już wkrótce będziemy mieli dla niego dobre nowiny.

## XXIV.

Saul ocknął się z koszmarne snu. Z ciemności dobiegał do niego głos Eryki. Poderwał się, ponownie usłyszał wołanie żony i skoczył, aby ją ratować. Wtedy zdał sobie sprawę, że w rzeczywistości zbudził go dzwonek telefonu i że stoi kompletnie ubrany na środku rzymskiego pokoju hotelowego. Spędził noc na kanapie, a Shean i Arlene zajęli podwójne łóżko. Promienie słońca przeświecały przez zaciągnięte zasłony.

Saul podniósł słuchawkę, modląc się w duchu, żeby to była Eryka. Usłyszał jednak chrapliwy zmęczony głos Gallaghera.

- Romulus, ksiądz jest gotów. Możesz wysłuchać jego spowiedzi. Przyjdź do pokoju.

- Już idę.

Saul spojrzął na zegarek. Kilka minut po dziesiątej. Przespał więc sześć godzin, ale przez cały czas dręczyły go koszmary. Był równie wyczerpany, jak wtedy, gdy się kładł.

Shean i Arlene także się obudzili.

- Kto dzwonił? - zapytał Shean.

- Gallagher. Pora na przesłuchanie.

Saul poszedł do łazienki, spryskał twarz zimną wodą i wrócił do sypialni.

- Czy nadal jesteście zdecydowani ukrywać się przed Agencją?

- Wystarczą mi kłopoty z Bractwem. Nie chcę się wikłać w jeszcze większe, nawiązując kontakt z kolejną organizacją. Po Skalpelu mam na całe życie dość wszelkich siatek wywiadowczych - odparł Shean. - Agencja chciałaby wszystkiego o mnie się dowiedzieć. Próbowaliby mnie zwerbować, a ponieważ to by im się nie udało, byłbym pod stałą obserwacją. Są jak lep. Raz się przytkniesz i już się nie odczepisz. Arlene i ja marzymy

o tym, żeby nas zostawiono w spokoju.

- Więc powstaje problem - stwierdził Saul. - Muszę iść do Gallaghera, ale nie wiem, o co pytać księdza. Wy chcecie odnaleźć kardynała i tego, kto usiłuje zniszczyć Bractwo, a ja Erykę i jej ojca. Jestem pewien, że nasze poszukiwania się z sobą wiążą i odpowiedzi na wasze pytania mogą mi pomóc wybrnąć z własnych kłopotów. Jak jednak mamy wspólnie przesłuchać księdza, jeśli nie pozwalacie, aby Agencja odkryła, że jesteście w to zamieszani?

## XXV.

Saul zapukał do pokoju Gallaghera. Po chwili usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Drzwi otworzyły się i wszedł do środka. Zapach środków medycznych uderzył go w nozdrza. Zbliżył się do leżącego na łóżku ojca Dusseault, był on bardzo blady. Złamany nos spuchł mu, podobnie jak sine powieki. Również na szczęce wystąpił obrzęk. Ksiądz leżał w bieliźnie. Przytwierdzone do jego piersi i ramion elektrody przekazywały impulsy do stojącego na przysuniętej do łóżka komodzie monitora, który kontrolował pracę serca i ciśnienie krwi.

Saul rozejrzał się po pokoju. Drzwi łazienki były otwarte. Lekarz i jego pomocnicy zniknęli.

- Gdzie się podziali...?

- Wysłałem ich na śniadanie - odparł Gallagher. - Nie będą musieli zapominać tego, czego nie usłyszą. Jeśli zajdzie potrzeba, mogę ich w każdej chwili wywołać z restauracji. Zadzwońią za godzinę, żeby dowiedzieć się, kiedy mają być z powrotem.

Saul odwrócił się do ojca Dusseault i spojrzał na wenflon, przez który do organizmu księdza wprowadzono amytał sodu.

- Jeszcze śpi - zauważył. - Czy to oznacza, że ma wstrząs?

- Nie. Odzyskał przytomność dwie godziny temu. Lekarz musiał go uśpić.

- Ale może odpowiadać na pytania?

- Monitory pokazują, że osiągnął idealny stan. Powie ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

- Dobrze. Chciałbym cię prosić o grzeczność.

Gallagher przestąpił z nogi na nogę.

- Wyświadczyliśmy ci już dość grzeczności. Na wypadek, gdybyś zapomniał - zaczęło się od tego, że przyrzekłeś nam pomoc, jeśli pozwolimy ci wrócić z wygnania. Jednak stopniowo tak nas wymanewrowałeś, że oddajemy ci przysługę za przysługą. To robi się nudne.

- Jedna więcej. Co ci szkodzi.

- To się okaże, kiedy mi powiesz, czego chcesz.

- Chcę być sam podczas przesłuchania księdza.

Gallagher znieruchomiał.

- Chryste, masz więcej tupetu niż...

- Dla twojego dobra. Jeśli coś pójdzie źle, jeśli on umrze, czy naprawdę chcesz być przy tym? Chcesz wplątać Agencję w śmierć watykańskiego urzędnika?

- Bzdura, Romulus. Jeśli on umrze, będziemy o tym wiedzieć tylko my dwaj.

- Właśnie. O jednego za dużo. Jeśli ksiądz nie przeżyje przesłuchania, zaczniesz się niepokoić, czy można mi ufać. Mógłbyś dojść do wniosku, że jestem niewygodnym świadkiem. Nie pali mi się, żeby znów sprzedać duszę Agencji, albo paść ofiarą nieszczęśliwego wypadku. Więc wyświadczyć przysługę nam obu: zjedz śniadanie ze swoimi ludźmi, a mnie pozwól ryzykować podczas przesłuchania, ile będzie trzeba. Powtórzę ci wszystko, czego się dowiem.

- Jak mogę być tego pewien?

- Wiesz, że cię potrzebuję. Bez ciebie nie zaszedłbym tak daleko, a z twoją dalszą pomocą mam nadzieję osiągnąć jeszcze więcej. Nie będę w stanie wykorzystać informacji uzyskanych od księdza bez środków, jakimi dysponuje Agencja. Daję słowo, że powtórzę ci wszystko, co usłyszę o Bractwie. Chcę się tylko dowiedzieć, gdzie jest moja żona i jej ojciec.

Gallagher ściągnął usta.

- Wiem, że tego pożałuję - westchnął. - Powtórzysz mi wszystko? Słowo?

Saul skinął głową.

- Zawsze grałeś uczciwie - ciągnął Gallagher. - To jeden z powodów, dla których tak długo z tobą pracuję. Liczę na to, że się nie zmieniłeś, ponieważ w przeciwnym razie rzeczywiście spotka cię wypadek. Daję ci dwie godziny. Potem wracam, bez względu na twoje wykręty.

- Umowa stoi.

Gallagher opuścił pokój. Saul odczekał chwilę, aby mieć pewność, że szef zszedł na dół, i podniósł słuchawkę. Wykręcił numer najciszej jak potrafił i rozłączył się po jednym sygnale. Dwie godziny. Musi w nich zmieścić jak najwięcej. Zajął się ojcem Dusseault.

Pośpiesznie odłączył elektrody od jego piersi i ramion, ale pozostawił wenflon. Zapiął księdzu koszulę, podniósł go z łóżka i chwyciwszy zbiornik z amytalem sodu, pociągnął księdza do drzwi. Gdy przekręcał klucz, ktoś nacisnęła klamkę z drugiej strony. Był to Shean wezwany dzwonkiem telefonu. Bez słowa pomógł Saulowi wyprowadzić ojca Dusseault na korytarz i delikatnie zamknął drzwi.



Zachowanie ciszy było konieczne. Nie wystarczyło, że Gallagher wyszedł, aby Saul mógł ochronić Sheana i Arlene przed Agencją. W pomieszczeniu na pewno zainstalowano podsłuch. Gallagher pracował dokładnie. Będzie chciał mieć zapis przesłuchania, dysponować dowodami na taśmie podczas sprawdzania informacji uzyskanych od księdza. Saul zresztą liczył właśnie na to, że obecność mikrofonów ułatwi mu przekonanie szefa do zejścia na dół. Ostatecznie z punktu widzenia Gallaghera, co za różnica, czy będzie przy przesłuchaniu, skoro otrzyma jego zapis. Jednak gdyby rozmowa odbywała się w tym pokoju, taśma zarejestrowałaby głosy Sheana i Arlene, i Gallagher chciałby następnie ich przesłuchać.

Na korytarzu Saul poczuł się niepewnie. Obawiał się, że jakiś gość lub ktoś z personelu może zauważyć, jak prowadzą ojca Dusseault. Nie było żadnego sposobu, żeby wyeliminować ryzyko. Słyszał przejeżdżającą windę i stłumione głosy za ścianą. Gdzieś z tyłu szcęknęła zasuwka. Pociągnęli księdza pod swój pokój i wpadli do środka dokładnie w chwili, gdy otworzyły się jakieś drzwi i ktoś wyszedł na korytarz. Ale Arlene już przekreślała klucz w zamku.

Zanieśli ojca Dusseault na łóżko i ułożyli go delikatnie, wkładając mu poduszkę pod głowę i rozprostowując nogi.

- Gallagher dał mi tylko dwie godziny.

- To za mało - stwierdził Shean.

- Będzie musiało wystarczyć.

- A jeśli Gallagher kazał swoim ludziom kontrolować mikrofony, które twoim zdaniem zainstalowano w tamtym pokoju? - zapytała Arlene. - Kiedy usłyszą tylko ciszę, zorientują się, że nie przesłuchujesz księdza. Ostrzegą szefa, że coś jest nie tak.

- Nie sądzę, żeby Gallagher ściągnął całą ekipę. Kiedy odkrył, że porwałem watykańskiego urzędnika, zaczął się bać. Zdaje sobie sprawę, że jeśli coś pójdzie źle, może stracić posadę. Moim zdaniem, nikt nie prowadzi nasłuchu. Nagranie, które Gallagher miał nadzieję uzyskać, byłoby przeznaczone tylko dla jego uszu. Już i tak się przejmuję, że lekarz z pomocnikami za dużo wie. Odesłał ich, zanim mnie wezwał.

- Więc możemy przynajmniej liczyć na te dwie godziny.

- Teraz już mniej - zauważył Saul. - Lepiej zaczynamy.

Shean podniósł zbiornik z roztworem amytalu sodu. Arlene podłączyła wychodzący z niej przewód do wenflonu tkwiącego w ramieniu ojca Dusseault. Saul pochylił się nad księdzem.

- Jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Jesteś bezpieczny. Nie musisz się o nic martwić. Odpręż się.

- Odpręż... - głos ojca Dusseault był słaby i chrapliwy, jakby księdzu zaschło w gardle.
- Bądź spokojny. Opowiedz nam o wszystkim, o co zapytamy. Niczego nie ukrywaj.

Możesz nam ufać.

- Ufać wam...

Saul nie potrafił się zdecydować, jak powinno brzmieć pierwsze pytanie. Miał ich wiele do wyboru, ale jeśli zacznie zadawać je na ślepo, złożenie oderwanych odpowiedzi księdza w całość potrwa zbyt długo. Pytania muszą układać się w logiczną sekwencję, gdzie każde następne będzie wynikało z poprzedniego.

W tym momencie wtrącił się Shean, przechodząc od razu do sedna własnego problemu:

- Czy wiesz, co się stało z kardynałem Pavelicem?

- Zabiłem go... Spaliłem ciało.

Oślepiały Shean spojrzał na Arlene i Saula.

- Dlaczego?

- Odkrył, co zrobiłem.

- A co zrobiłeś?

- Powiedziałem Żydom.

Saul zeszywniał.

- Żydom?

- O czym im powiedziałeś? - zapytała Arlene.

- O hitlerowcach.

W pokoju zapanowała cisza. Saul doznał wrażenia, że za chwilę podniesie się zasłona zakrywająca potworność.

## **XXVI.**

Stopniowo poznawali prawdę.

W 1941 roku, gdy w wyniku zamachu obalono proniemiecki rząd Jugosławii, Hitler postanowił ukarać Jugosłowian na tyle surowo, aby żaden inny naród nie pokusił się o podobną próbę oderwania się od Trzeciej Rzeszy. Stolicę państwa, Belgrad zniszczyły potężne bombardowania. Do Jugosławii wkroczyła armia niemiecka, zgniatając wszelkie przejawy oporu. Kraj został podzielony. Obszary przygraniczne włączono do Bułgarii, Albanii, Węgier i Włoch. Z reszty terytorium utworzono marionetkowe Niezależne Państwo Chorwatów.

Rozpętało się piekło. Nowy rząd prowadził politykę dyskryminacji rasowej, narodowej i wyznaniowej w sposób tak brutalny, że nawet zahartowani oficerowie SS byli wstrząśnięci. Fanatyczna organizacja nacjonalistyczna ustaszów stała się rządowym instrumentem eksterminacji, polując na Serbów, Żydów i Cyganów. Ofiary topiono w stawach; zmuszano do klęczenia z rękami opartymi na ziemi podczas odpływowania im głów; wpychano im do gardeł ostre drzazgi; wbijano wiertła w odbytnice; rozpruwano brzuchy, palono, tłuczono młotami kowalskimi, wciągano na szczyty gór i zrzucano w przepaść; rozrywano granatami. Ci, których nie zabito na miejscu, musieli przejść gehennę obozów koncentracyjnych, umierając powoli z głodu i na czerwonkę. Szczęście miał ten, kogo zwyczajnie zastrzelono. Zamordowanych zostało co najmniej sześćset tysięcy osób, być może nawet milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

Ojciec Krunoslav Pavelić, urodzony i wychowany w Jugosławii, popierał ustaszów i ich hitlerowskich panów. Kierowały nim motywy po części praktyczne: chciał znaleźć się po stronie zwycięzców; po części zaś ideologiczne: głęboko wierzył, że wypełnia wolę bożą. Niezależnie od problemów rasowych, aprobował zwalczanie wszystkich religii z wyjątkiem rzymskokatolickiej. Żydzi i Cyganie byli według niego poganami, a Serbowie - przeważnie wyznania greckokatolickiego - odstępcami od prawdziwej wiary. Ojciec Pavelić nie tylko popierał ustaszów: związał się z nimi i był ich przywódcą. Władze kościelne Jugosławii nie miały pojęcia o prywatnej świętej wojnie Pavelicia. Ścisłe koła wiedziały jednak o masowych egzekucjach grekokatolików w Niezależnym Państwie Chorwatów, jak również o mordowaniu Żydów przez hitlerowców. Z wyjątkiem nielicznych przypadków nie robiono nic, aby powstrzymać tę rzeź. Bierność uzasadniano poglądem, że Kościół musi pozostać neutralny, aby bronić swojej egzystencji. Jeśli Hitler wygra wojnę i uzna Kościół za wroga, zniszczy go tak, jak zniszczył cały kraj. Dewizą duchowieństwa stało się: "Módlmy się i czekajmy. Przetrawajmy te okrutne czasy najlepiej jak potrafimy".

Po klęsce Hitlera w roku 1945 jednym ze sposobów, w jakie Kościół starał się naprawić swoją postawę podczas wojny, była pomoc uchodźcom, szczególnie przez Czerwony Krzyż. W tym samym czasie ojciec Pavelić został przeniesiony do Rzymu, gdzie załatwił sobie stanowisko przy tej organizacji. Stamtąd, wykorzystując kontakty wśród ustaszów, rozpowszechniał poufnie wiadomość, że chętnie pomoże pobitym zwolennikom sprawy - którą w dalszym ciągu uważał za słuszną - uniknąć kary za to, co alianci nazywali zbrodniami wojennymi. Robił to za pewną opłatą, aby wesprzeć działalność dobroczynną Kościoła. Opłata stanowiła równowartość znacznej wówczas kwoty dwóch tysięcy dolarów od osoby. Tylko wysocy rangą oficerowie hitlerowscy byli w stanie zrabować dosyć, aby stać

ich było na zapłacenie takiej sumy. W rezultacie klienci Pavelicia rekrutowali się spośród najbardziej poszukiwanych zbrodniarzy wojennych. Niektórzy z nich bezpośrednio odpowiadali za organizację i przeprowadzanie holocaustu. Dzięki dokumentom z Czerwonego Krzyża Pavelić zapewniał im nową tożsamość i załatwiał przejazd do kryjówek w Ameryce Południowej, Meksyku, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i na Środkowym Wschodzie. Czasami przebierał swoich podopiecznych za księży, umieszczał ich w klasztorach i, zaczekawszy, aż myśliwi zgubią ślad, wysyłał w dalszą drogę z watykańskimi paszportami.

Jeśli klienci Pavelicia sądzili, że po dotarciu w bezpieczne miejsce więcej o nim nie usłyszą, wkrótce przekonywali się ku swemu zaskoczeniu, że ich śledzi: wie gdzie ostatecznie osiedli, jak zarabiają na życie, i żąda corocznej opłaty w zamian za milczenie. Groził, że w przeciwnym razie doniesie na nich władzom. Pavelić wiedział, czym ryzykuje. Gdyby nie zechcieli płacić i musiałby ich zadenuncjować, niewątpliwie ujawniliby jego udział w swojej ucieczce. Nigdy jednak do tego nie doszło. Klienci za bardzo obawiali się kary, żeby odmówić żądaniom księdza. Ryzykował także w inny sposób - aby nie płacić haraczu, spróbują go zabić. Zabezpieczając się przed taką możliwością dał im wyraźnie do zrozumienia, że dokumenty ich dotyczące są starannie przechowywane. Zaufany współpracownik otrzymał instrukcje, gdzie je znaleźć i polecenie przekazania akt władzom, gdyby Pavelić został zabity.

Klienci się zgadzali. Roczna "składka" wynosiła początkowo tyle, ile zapłacili za ucieczkę - dwa tysiące dolarów. Gdy jednak zaczęło im się dobrze powodzić, ojciec Pavelić podniósł stawkę. Łącznie zebrał miliony. Nie przeznaczał ich na własny użytek. Nie był chciwy. Każdy grosz ofiarowywał Kościołowi, aby wspierać wiarę. Dzięki sile, jaką dały mu te pieniądze, oraz talentowi do intryg, udało mu się zyskać sobie stronników w Watykanie. Ci spośród członków Kurii, którzy odkryli, jakiego rodzaju działalność prowadził podczas wojny i po jej zakończeniu, przekonali się, że również muszą go poprzeć. Groził bowiem, że jeśli nie awansuje, narobi kłopotów wplątując hierarchię kościelną w sprawę pomocy hitlerowskim zbrodniarzom wojennym. W tym wypadku także ryzykował. Jego lojalność wobec Kościoła była tak wielka, że nigdy nie wywołałby skandalu. Przeciwnicy nie mieli jednak pojęcia o tych skrupułach i zgodzili się na awans. W wieku trzydziestu pięciu lat Pavelić został kardynałem i wszedł do ciała zarządzającego Kościołem. Pięć lat później stał się jednym z tych, którzy odpowiadają za finanse Watykanu.

Saul, Shean i Arlene usłyszeli to wszystko od ojca Dusseault. Wyjaśnienia księdza nie były logicznie powiązane. Musieli sami złożyć układankę. Jednak po zakończeniu tej części

przesłuchania wiedzieli już, że ojciec Dusseault, członek Bractwa przydzielony do Watykanu, będąc sekretarzem kardynała Pavelicia, powziął podejrzenie co do źródeł funduszy przekazywanych przez swego zwierzchnika Kościołowi. Dzięki środkom dostępnym mu jako członkowi zakonu, odkrył sekret kardynała. Oburzony udziałem Pavelicia w holocaustie i manipulowaniu Kościołem, postanowił, że sprawiedliwości musi w końcu stać się zadość.

## XXVII.

Saul nachylił się nad ojcem Dusseault jeszcze niżej. Shean i Arlene usłyszeli już to, co chcieli wiedzieć. Teraz przyszła jego kolej. Gdzie są Eryka i jej ojciec? Opowiadanie księdza o hitlerowcach i Żydach utwierdziło Saula w przekonaniu, że jest bliski poznania prawdy.

- Co zrobiłeś ze swoim odkryciem? W jaki sposób szukałeś sprawiedliwości?
- Informując Żydów.
- Jakich Żydów? Kogo?
- Mossad.
- Kogo z Mossadu?
- Ephraima Avidana.

Zaskoczenie Saula musiało być widoczne, gdyż Shean i Arlene popatrzyli na niego ze zdziwieniem.

Oczywiście, pomyślał. Nie mają pojęcia o chacie w Alpach, którą odwiedziliśmy z Eryką, ani o dzienniku Avidana.

- Dlaczego wybrałeś właśnie jego? - zapytał Saul.
- Był w obozie... potrzebowałem kogoś, kto będzie działał.

Saul zrozumiał, o co chodziło księdzu. W ostatnich latach Izrael był znacznie mniej wytrwały w ściganiu zbrodniarzy wojennych, chcąc stworzyć wrażenie powściągliwości i umiaru, niezniżania się do metod swoich wrogów. Zemstę zastąpiła polityka i postępowanie prawne. Zniecierpliwiony ojciec Dusseault wykorzystał możliwości Bractwa, aby znaleźć agenta Mossadu, którego przeszłość gwarantowała natychmiastową akcję, zamiast biurokratycznej powolności, który nienawidził hitlerowców za prześladowanie swojej rodziny, siebie samego i całej swojej rasy.

- I kardynał Pavelić odkrył, co zrobiłeś? - zapytała Arlene.
- Groził mi. Musiałem go zastrzelić.

Zwłoki kardynała zostały spalone, podobnie jak przedtem ciała wielu ofiar holocaustu. Był to odpowiedni i bezpieczny sposób pozbycia się szczątków. Śledztwo w sprawie

zniknięcia Pavelicia stanowiło dla ojca Dusseault mniejsze ryzyko niż dochodzenie w sprawie morderstwa.

- Czy zabiłeś ojca Victora? - indagował dalej Shean.

Saul chciał zapytać, kim jest ojciec Victor, ale Shean powstrzymał go gestem.

- Tak.

- Ponieważ podejrzewał, że zamordowałeś kardynała?

- Nie.

- Więc dlaczego?

- Odkrył mój plan zniszczenia Bractwa.

Odsłoniła się następna warstwa. Ksiądz przestał aprobować filozofię zakonu, do którego należał, przekonany, że Bóg potrzebuje niosących pokój, a nie wojowników. Podobnie jak przedtem czuł się w obowiązku oczyścić Watykan z korupcji kardynała Pavelicia, teraz postanowił usunąć z organizmu Kościoła raka, jakim było Bractwo i sabotować jego operacje, gdy tylko mógł. Kiedy ojciec Victor prowadzący śledztwo na polecenie zakonu, stał się zbyt podejrzliwy, ksiądz zastrzelił go podczas nocnego spotkania w Ogrodach Watykańskich. Pistolet był wyposażony w tłumik, niemniej strażnik usłyszał przytłumione echo i podniósł alarm. Ojciec Dusseault musiał uciekać, zanim zdążył pozbyć się ciała, jak w wypadku Pavelicia. To wyjaśniało, dlaczego wybrał nóż, narzędzie ciche, idąc na rozmowę z Sheanem. Saul zaczął się niecierpliwic. Ksiądz zbaczał z tematu, który go interesował.

- Czy mówi ci coś nazwisko Joseph Bernstein?

- Nie.

- Moja żona śledziła cię w ogrodach. Czy wiesz, dlaczego zniknęła? Czy miałeś obstawę?

- Nie.

Saul potarł skronie i spojrzał na zegarek.

- Zostało do powrotu Gallaghera tylko dwadzieścia minut. Jak mam się dowiedzieć...

Rozległ się ostry dzwonek telefonu. Zaskoczony Saul drgnął.

- Jeśli to Gallagher...

- Mógł dzwonić do tamtego pokoju. Nikt nie odbierał, więc spróbował tutaj - podsunęła Arlene.

- Może - odparł Saul. - Ale nie sądzę, żeby Gallagher użył telefonu. Po prostu by przyszedł. Poza tym jeszcze nie pora na niego. Obiecał mi całe dwie godziny.

- Może ma złe przeczucia i zmienił zdanie - zasugerował Shean. Telefon nie

przestawał dzwonić.

- Może to nie Gallagher - wyszeptał Saul. - Może to...

Nie powiedział: Eryka, ale tylko to imię słyszał, gdy podnosił słuchawkę.

- Halo.

- Saul Grisman?

Głos należał do mężczyzny. Był wysoki, z lekko metalicznym odcieniem przypominającym dźwięk, jaki wydaje ostrzony nóż.

- Tak.

- Musisz się niepokoić o żonę. Niepotrzebnie. Mamy ją.

- Macie? Kim do cholery...

Shean i Arlene znieruchomieli.

- Nie sądzisz chyba, że podamy swoje nazwiska - odparł głos. - Wystarczy, jeśli wiesz, że ją mamy i że jest bezpieczna.

- Skąd mogę wiedzieć? Pozwól mi z nią porozmawiać - zażądał Saul.

- Niestety, to niemożliwe. Nie ma jej teraz ze mną, a gdyby nawet była, i tak byś z nią nie pogadał, ponieważ została uśpiona. Ale możesz ją zobaczyć.

- W jaki sposób?

- Prawdę mówiąc - ciągnął głos - możemy ci ją nawet zwrócić. Jeśli spełnisz pewne warunki. Chcielibyśmy zorganizować wymianę. Twoja żona za księdza. Spodziewam się, że go masz. W przeciwnym razie ta rozmowa jest pozbawiona sensu.

- Mam księdza.

- Chcielibyśmy być tego pewni. Nie wypada opierać transakcji na nieuczciwości. To mogłoby się źle skończyć dla twojej żony.

- Powiedziałem ci, że mam księdza! - krzyknął Saul.

- Dziś wieczorem o szóstej przyprowadź go do Koloseum. Na godzinę przed zamknięciem będzie tam pełno turystów. Wmieszaj się w tłum. Usiądź z księdzem na dole, pośrodku północnej trybuny. Zidentyfikuj go z przeciwnej strony przez lornetkę. Postaraj się, aby był w miarę przytomny. Na tyle, żeby mógł iść o własnych siłach, ale nie aż tak, żeby sprawiał kłopoty. Kiedy się przekonam, że przyprowadziłeś księdza, ulokuję twoją żonę naprzeciwko ciebie, na południowej trybunie. Przynieś lornetkę, żeby sprawdzić, czy ona także jest w zadowalającym stanie. Gdy obydwaj zobaczymy to, co chcemy, mężczyzna wyglądający na turystę postawi na ziemi niebieską torbę podróżną i odejdzie. To będzie znak rozpoczęcia wymiany. Podchodź do żony okrążając arenę z prawej strony. Ja będę ją okrążał z lewej. W ten sposób nie znajdziemy się blisko siebie i nie narazimy na niefortuną

konfrontację. Oczekaj pięć minut, zanim opuścisz Koloseum. Wolałbym się nie śpieszyć wychodząc z księdzem.

Saul ścisnął słuchawkę tak mocno, że niewiele brakowało, aby plastik pękł.

- Zgoda. O szóstej.

- Jest jeszcze jeden warunek. Saula oblał pot.

- Przesłuchując twoją żonę, dowiedziałem się, że była agentką Mossadu - wyjaśnił głos. - Czy oni są zamieszani w tę sprawę?

- Nie.

- Nie spodziewałem się innej odpowiedzi, ale muszę mieć pewność. Od tego zależy bezpieczeństwo twojej żony. Nie wolno ci sprowadzić pomocy. Żadnego towarzystwa. Dotyczy to również mężczyzny i kobiety, którzy byli zeszłej nocy w Ogrodach Watykańskich przebrani za księdza i zakonnicę. Wiemy, jak wyglądają. Jeśli ich zobaczymy albo zaczniemy podejrzewać, że ktoś nas obserwuje i może spróbować przeszkodzić w transakcji, twoja żona zginie. Jeśli po odejściu z księdzem zorientuję się, że jestem śledzony, wciąż jeszcze mogę spowodować jej śmierć.

Saul wyobraził sobie snajpera ukrytego gdzieś w Koloseum, mającego kontakt radiowy z jego obecnym rozmówcą. Nie był jednak przygotowany na taktykę, którą opisał głos.

- Do pleców twojej żony, pod kurtką zostanie przymocowana bomba wyposażona w zdalnie sterowany zapalnik. Detonator będę miał w kieszeni. Dopóki nie oddalę się na odległość półtora kilometra, mogę spowodować eksplozję, jeśli wyczuję jakieś zagrożenie. Nie ludź się, że wystarczy odczepić ładunek, aby móc odbić księdza. Umieszczę materiały wybuchowe na metalowym pasie tak połączonym przewodami z zapalnikiem, że przy każdej próbie zdjęcia go, na przykład przez przecięcie nożycami, twoja żona wyleci w powietrze. Bombę można będzie rozbroić dopiero, gdy znajdę się poza zasięgiem radiowym. Wtedy będziesz mógł bezpiecznie odciąć pas.

Saul wzdrygnął się.

- Pomyślałeś o wszystkim. - Zawsze myślę o wszystkim. Dlatego tak długo żyję. O szóstej. Nie próbuj być mądry. Rób dokładnie to, co ci powiedziałem.

Połączenie urwało się z trzaskiem.

Saul odłożył słuchawkę. Usiłował opanować drżenie głosu, kiedy wyjaśniał Sheanowi i Arlene, co usłyszał.

Shean milczał przez chwilę, rozważając sytuację. Potem odezwał się zdecydowanym tonem:



- Jest dwadzieścia po dwunastej. Zostało nam pięć minut, żeby zaprowadzić ojca Dusseault do tamtego pokoju, zanim pojawi się Gallagher. Możesz potem przesłuchiwać księdza jeszcze przez jakiś czas, ale jeśli ma wyjść z Koloseum o własnych siłach, musisz przestać podawać mu amytal sodu, żeby działanie narkotyku zdążyło ustąpić.

- Zakładając, że Gallagher zgodzi się oddać księdza - zauważył Saul.

Arlene spojrzała na niego zaskoczona.

- Sądysz, że mógłby się nie zgodzić?

- Gallagher chce uzyskać jak najwięcej informacji o Bractwie. Nie będzie zachwycony umową, którą zawarłem. A jeśli przyjdzie mu do głowy, żeby sprowadzić do Koloseum swoją ekipę? Jeśli zdecyduje, że bomba to tylko pogróżka i postanowi odbić ojca Dusseault po wymianie? Nie mogę ryzykować życia Eryki. Poza tym powinienem ukryć fakt przeniesienia księdza. Jak więc mam wytłumaczyć Gallagherowi, gdzie odebrałem telefon? Musiałbym się przyznać, że przyproważyłem ojca Dusseault tutaj, abyście pomogli mi w prze słuchaniu. Dowiedziałyby się o was.

Shean spojrzał na Arlene. Skinęła głową.

- Powiedz Gallagherowi prawdę. Twoja żona jest ważniejsza niż ukrywanie nas przed Agencją.

Saul poczuł, że ogarnia go fala ciepła. Głos miał zduszony emocja.

- Wiem, ile dla was znaczy zachowanie tajemnicy. Doceniani wasz gest. Naprawdę. Bardziej niż potrafię wyrazić.

- To nie tylko gest - odparł Shean.

- Powiedzenie Gallagherowi o was nie rozwiąże jednak problemu. Dalej nie mogę liczyć na to, że dotrzyma warunków umowy, którą zawarłem. Nie życzę sobie jego ludzi w Koloseum. Jedyne sposob, żeby tego uniknąć...

- To nie mówić mu o niczym.

- Musimy wykraść księdza.

Shean zareagował błyskawicznie, jakby pracował z Saulem od lat.

- Arlene, sprawdź korytarz. Upewnij się, czy nie widać Gallaghery. Saul i ja zniemiemy ojca Dusseault schodami przeciwpożarowymi. Sprowadź samochód i zaczekaj na dole.

- Zauważą was. kiedy będziecie wychodzić z hotelu.

- Udamy, że to nagły wypadek. Odjedziemy tak szybko, że nikt nie zdąży o nic zapytać.

## XXVIII.

Sopel zerwał się słysząc pukanie do drzwi. Patrzył na leżącą na łóżku nieprzytomną kobietę i rozmyślał o zachowaniu Seta. Zabijanie automatyczne, bez dostatecznego powodu, jest oznaką braku panowania nad sobą. Zawodowiec tak nie postępuje. Ale Set to lubi, stwierdził Sopel. To właśnie mnie niepokoi. Ten błysk w jego oczach. Jakby przeżywał... Orgazm? Myśl ta przypomniła Sopolowi, że omal nie stoczył z Setem walki, aby go powstrzymać od rozebrania kobiety. Użycie narkotyków lub siły jest usprawiedliwione podczas przesłuchania. Ale napastowanie kobiety wyłącznie dla własnej satysfakcji byłoby poniżej godności Sopla. Ofiarom nie powinno się niepotrzebnie sprawiać bólu, nie należy ich traktować jak przedmioty.

Myśl o ojcu, powtarzał sobie. Nic innego się nie liczy... ani ta kobieta... ani twoje zasady.

Nie mógł jednak nie zauważyć, że konflikt pomiędzy nim a Setem jest jakby odbiciem trwającej całe życie nienawiści ich ojców. Czyżby historia się powtarzała?

Wyjrzał przez wizjer, zobaczył Seta i otworzył drzwi. Zaniepokoił go widok paczek, które ten przyniósł, i błysk w jego oczach.

Błysk ten zgasł, gdy Set popatrzył na łóżko.

- Ubrałeś ją.

- Drżała z zimna.

- Drżała?

Oczy Seta znów zalśniły.

- Skoro tak bardzo o nią dbasz, na pewno ucieszy cię wiadomość, że wkrótce nas opuści.

- Co przez to rozumiesz?

- Kiedy ją przesłuchiwałeś, podała nazwisko męża i powiedziała, gdzie się zatrzymali - przypomniał Set.

Sopel skinął głową.

Set położył paczki na komodzie.

- Zadzwoń do jej męża.

- Co takiego?

- Zorganizowałem wymianę kobiety na księdza.

Set zaczął otwierać pakunki. Wyjął dużą bryłę plastiku, zdalnie sterowany zapalnik, detonator, baterie, kable oraz metalowy pas z przyspawanym do niego pudełkiem.

- Gdzie, u diabła, to dostałeś...

- W moim rzymskim punkcie kontaktowym.

Wkładając materiały wybuchowe i zapalnik do pudełka, Set powtórzył, co powiedział mężowi kobiety.

Sopel aż otworzył usta ze zdumienia. Nic dziwnego, że Set nie chciał wyjaśnić, dlaczego wychodzi, pomyślał. Nigdy nie zgodziłbym się na ten plan. - To zbyt ryzykowne. Pomimo obietnic mąż na pewno przyjdzie z obstawą.

- Kiedy przymocujemy bombę do jego żony? Jeżeli ją kocha - posłucha poleceń.

Set wyjął z kieszeni spłonkę pobudzającą, umieścił ją w materiale wybuchowym i połączył kablem z zaciskiem na zapalniku. Wziął resztę drutu i przymocował jeden koniec do metalowego pasa, a drugi do następnego zacisku.

- Kiedy włożę baterie i zapnę pas, otrzymam zamknięty obwód elektryczny. Połączę z nim także pokrywę. Działa bezbłędnie. Jeśli ktoś otworzy pudełko, aby dostać się do zapalnika, obwód zostanie przerwany. Drugi zestaw baterii uruchomi zapalnik i bomba automatycznie eksploduje. To samo stanie się, jeśli ktoś odepnie pas lub spróbuje go przeciąć. Oczywiście można też spowodować wybuch, używając tego - Set podniósł zdalnie sterowany detonator.

Sopel obserwował partnera z odrazą, zaniepokojony niezgodnością jego wyjaśnień z tym, co powiedział mężowi kobiety.

- Kiedy znajdziesz się poza zasięgiem radia, bombę będzie można rozbroić?

- W żaden sposób.

- Przecież mężowi powiedziałeś...

- Skłamałem.

Set otoczył talię kobiety pasem i zapiął go. Włożył do zapalnika dwa komplety baterii, opuścił metalową pokrywę na połączone z nim nie izolowane kable i zamknął pudełko.

Uśmiechnął się.

- Można to zdjąć tylko w ten sposób, że wysadzi się tę dziwkę w powietrze. I co ty na to, przyjacielu?

## MASA KRYTYCZNA

### I.

*Toronto, Kanada. 6.30.* Właśnie weszło słońce. Kompletnie wyczerpany Joseph Bernstein polecił taksówkarzowi, aby wysadził go na najbliższym rogu. Znajdowali się w jednej z podupadłych dzielnic miasta. Wzdłuż ulicy stały zaniedbane jednopiętrowe domy przeznaczone do rozbiórki. Bernstein zapłacił i dał napiwek, ani tak duży, ani tak mały, aby kierowca mógł go zapamiętać. Gdy tylko taksówka zniknęła mu z oczu, zmusił zmęczone nogi do marszu. Minął jedną przecznicę na południe i dwie na wschód. Jego samopoczucie było równie złe jak wygląd najgorszych spośród budynków. W niektórych oknach paliły się światła, ale po drodze nie spotkał nikogo. Tylko bezpański pies szarpał wypchany plastikowy wór ze śmieciami. W połowie ostatniej ulicy skręcił na popękany betonowy chodnik prowadzący do pochylonego ganku. W domu było ciemno. Pusta puszka po piwie leżała z prawej strony na podeście schodów - znak, że wszystko w porządku. Zapukał trzy razy i czekał. Odsunęła się firanka, otwarto mu drzwi i wszedł do środka.

Ephraim Avidan szybko zamknął za nim drzwi i dopiero wtedy włożył trzymaną w rękę berettę do kabury zawieszanej na ramieniu pod wygniecioną marynarką.

- Miałeś jakieś problemy?
- Wszystko przebiega zgodnie z planem. A co z tamtymi?
- Śpią na górze. Pełnimy warty po dwóch na zmianę.
- Nie. Chodziło mi o tamtych - wyjaśnił Bernstein. - Czy nie sprawiają kłopotów?
- Grzecznie słuchają poleceń - na ustach Avidana pojawił się cień gorzkiego uśmiechu.
- Środki uspokajające w jedzeniu robią swoje.
- Chcę ich zobaczyć.
- Musisz mieć zdrowszy żołądek niż ja. Budzą we mnie tak wielkie obrzydzenie, że staram się ich oglądać najrzadziej.
- Chcę sobie przypomnieć.
- Jak sobie życzysz.

Avidan zaprowadził go wąskim korytarzem do mrocznej kuchni. Płytki wykładziny odstawały od podłogi. Zapukał trzy razy do spaczonych drzwi z dykty, przekręcił klucz, otworzył je i odsunął się na bok.

Bernstein zobaczył zbutwiałe schody zbiegające ku betonowej podłodze ołowianego koloru. Na dole, w bladym świetle stał wysoki brodaty mężczyzna około siedemdziesiątki,

ubrany w gruby sweter. Był uzbrojony w beretę, jak Avidan. Patrzył z niepokojem w górę. Poznawszy Josepha, opuścił pistolet.

Gdy Bernstein zszedł na dół, objął wartownika ramionami. David Gehmer był najbardziej niezawodnym i wytrzymałym członkiem grupy. Przez ostatnie cztery miesiące wspólnie z Gideonem Levinem bez słowa skargi znosił nudną i niewdzięczną funkcję strażnika. Jeńców przywożono jednego po drugim z całego świata, i wszystkich, w sumie jedenastu, umieszczano w piwnicy tego zniszczonego budynku. Poprzedniego dnia po wypełnieniu swoich zadań, przyjechali tutaj także uczestnicy spisku. Spali teraz na piętrze.

Joseph rozejrzał się po piwnicy. Okna zostały na głucho zabite deskami. Trzy nagie żarówki zwisały z sufitu w równej odległości od siebie. Do ścian przymocowano plastikowe płyty izolacyjne. Pomimo tego w pomieszczeniu panowało zimno i wilgoć. Bernstein zrozumiał, dlaczego Gehmer ma na sobie sweter, chociaż jest czerwiec.

Wzdłuż ścian stały rzędem prycze. Było ich jedenaście. Na każdej leżał stary mężczyzna przykryty wełnianym kocem. Kilku z nich już się obudziło. Patrzyli wzrokiem otepiałym od środków uspokajających, które podano im poprzedniego dnia na kolację. Większość jednak spała głęboko. Wszyscy mieli twarze blade z braku słońca, i byli skuci. Łańcuchy prowadziły od kajdanek do wbitych w mur żelaznych pierścieni.

Przy każdym łóżku leżało kilka książek i czasopism. Pod wąską ścianą na końcu piwnicy, obok małej kuchenki gazowej i niczym nie odgradzonego sedesu, stały półki z talerzami i konserwami.

- Wygląda to niemal jak taśma montażowa - zauważył sucho Bernstein. -Wszystkie wygody zapewnione.

- W porównaniu z Oświęcimiem to ziemia obiecana - odparł Gehmer. - Golę ich co drugi dzień. Gotuję im jedzenie. Zmywają naczynia na zmianę, przykuci do zlewu. Wolno im używać tylko plastikowych łyżek, które liczę po każdym posiłku. Kiedy muszą skorzystać z ubikacji, puszczam ich pojedynczo i również przykuwam do umywalki. Wtedy pozwalam im się także umyć.

- Świetnie to urządziłeś.

- Wzorowałem się na nich. Te bestie miały wyjątkowy talent organizacyjny. Czasem przypominam sobie wszystko tak wyraźnie, że wydaje mi się, jakbym znowu był w obozie. Chciałbym wtedy...

Gehmer podniósł pistolet i wycelował go w najbliższego więźnia. Bernstein dotknął ramienia przyjaciela.

- Cierpliwości, mój drogi. Obydwu nas dręczą koszmary. Ale nie będziemy musieli

ich już dłużej znosić. Wkrótce sprawiedliwości stanie się zadość.

- Wkrótce? - powtórzył Gehmer. - Kiedy?

- Jutro.

## II.

- Joseph znów się odezwał.

Misza Pletz był tak pochłonięty planami wieczornej operacji "Ocalenie", że minęła dobra chwila, zanim uświadomił sobie, co powiedział jego zastępca.

- Kiedy?

- Dwie godziny temu.

- Gdzie? Znowu w Waszyngtonie?

- Nie. Tym razem w Toronto.

- W Toronto?

- Skontaktował się z naszym człowiekiem - wyjaśnił zastępca. - O trzeciej rano według tamtejszego czasu. Jak poprzednio, Joseph wybrał swojego dawnego ucznia. Pojawił się w jego mieszkaniu, obudził go i podał wiadomość do przekazania tobie. Agent zaszyfrował ją i przesłał drogą radiową do Tel-Awiwu.

Misza wyciągnął rękę po kawałek papieru, który trzymał jego pomocnik. Treść meldunku zbiła go z tropu.

- Dwa nazwiska?

- Aaron Rosenberg. Richard Halloway. Zastępca wręczył Pletzowi drugą kartkę.

- To streszczenie ustnych instrukcji, jakich Joseph udzielił agentowi. Mają związek z poprzednią informacją, w której uprzedzał nas o transporcie broni dla Libii. Joseph chce, abyś dziś wieczorem, kiedy zatrzymasz statek, przekazał te nazwiska Libijczykom. Ale nie w taki sposób, by myśleli, że jest jakiś przeciek. Ma to wyglądać tak, jakby ci dwaj przyjęli od nas pieniądze w zamian za wiadomość o ładunku.

- Przecież jeśli Libijczycy w to uwierzą, będą chcieli się zemścić - stwierdził Misza patrząc w osłupieniu na kartkę. - Skażemy tych ludzi na śmierć. Dlaczego Joseph miałby...

- Rosenberg i Halloway to handlarze bronią odpowiedzialni za ten transport.

- Więc Joseph chce stworzyć wrażenie, że wzięli pieniądze od Libijczyków, a potem ich zdradzili? Żeby handlarze ponieśli karę z rąk własnych klientów? To jakieś obłąkane rozumienie sprawiedliwości. Dlaczego nie podał nam tych nazwisk za pierwszym razem? Dlaczego czekał, aż... - Misza zawahał się; przyszło mu do głowy wyjaśnienie. - Czyżby

chciał nam uniemożliwić sprawdzenie tych facetów przed zatrzymaniem statku? Czy istnieje ograniczenie czasowe, o którym nie wiemy? Czy Joseph realizuje jeszcze jakiś plan?

Zastępca wskazał ostatni akapit raportu.

- Joseph czyni z tego punkt honoru. Jego cena za informację o ładunku to przekazanie tych nazwisk Libijczykom.

### III.

Saul czekał niecierpliwie, siedząc z ojcem Dusseault we wnęce na środku północnej trybuny Koloseum. Ksiądz mógł już iść o własnych siłach, ale był jeszcze na tyle oszołomiony, że zachowywał się spokojnie. Pozwalał się prowadzić i nie sprawiał żadnych kłopotów. Turyści nie zwracali uwagi na niedołęznego duchownego.

Przybyli do Koloseum piętnaście minut przed czasem. Teraz było już dziesięć po szóstej. Badając przez lornetkę trybunę naprzeciwko. Saul niepokoił się, że wymiana może nie dojść do skutku. Przyszedł tu z ojcem Dusseault sam, jak mu polecono. Patrząc jednak z przerażeniem, jak słońce wędruje coraz niżej, przeklinał się za to, że nie dotrzymał jednego z warunków umowy i pozwolił, aby Shean i Arlene obserwowali Koloseum z ogrodów Eskwilinupo drugiej stronie ulicy. Na Eskwilinie, jednym z siedmiu wzgórz Rzymu, stał pałac Nerona, tak zwany Domus Aurea. Ruiny pałacu i otaczający je park roiły się od turystów. Było więc mało prawdopodobne, aby przeciwnik zauważył Sheana i Arlene.

Teraz jednak Saul żałował, że wyraził zgodę na pogwałcenie umowy. Minęło już dwadzieścia po szóstej i był pewien, że stało się coś złego. Liczba zwiedzających malała. Kobieta z ufarbowanymi na niebiesko włosami zasłoniła mu pole widzenia. Dołączył do niej otyły małżonek wysłuchujący narzekań z powodu butów na wysokim obcasie, których nie powinien był pozwolić jej włożyć.

Saul przesunął się w prawo, aby odzyskać widok na przeciwległą trybunę. Obserwując ją zatrzymał nagle lornetkę na siedzącej w przejściu kobiecie, opartej plecami o mur. Z trudem opanował drżenie rąk. Eryka? Pomimo powiększenia nie widział kobiety wyraźnie. Głowa opadła jej na piersi. Miała jednak ciemne włosy jak jego żona, takie same długie nogi i smukłą sylwetkę. Wydawało mu się także, że jest w wieku Eryki. Z tropu zbijała go nie należąca do żony zielona kurtka, w którą kobieta była ubrana.

Nagle przypomniał sobie, co głos powiedział mu przez telefon. Eryka miała być w kurtce, aby zakryć przymocowaną do jej pleców bombę. Gdy do kobiety zbliżył się mężczyzna i postawił na ziemi niebieską torbę podróżną, Saul zrozumiał, że zaraz nastąpi

wymiana. Podążył wzrokiem za wysokim bladym mężczyzną, który odszedł kilka kroków w lewo, po czym zatrzymał się, podniósł lornetkę i wycelował ją w Saula.

Czeka, żebym zaczął obchodzić arenę w przeciwnym kierunku, pomyślał Saul. Nie odejdzie, dopóki tego nie zrobię.

Nie potrzebował zachęty. Zostawił księdza we wnęce i szybkim krokiem ruszył w prawo. Musiał się z całej siły powstrzymywać, żeby nie biec. W pewnej chwili jednak omal się nie potknął, gdyż uderzyło go coś w wyglądzie mężczyzny.

Kolor jego włosów. Były rude.

Dobry Boże, czyżby głos w słuchawce należał do Seta? Płatnego mordercy, syna zbrodniarza hitlerowskiego, człowieka, którego opisywali Shean i Arlene? Jeśli tak, czy jego partner, jasnowłosy Sopol, jest w Koloseum razem z nim?

Saul nie ośmielił się odwrócić, aby objąć spojrzeniem tłum. To mogłoby zaniepokoić Seta i jeszcze wysadziłby Erykę w powietrze, jak groził. Zresztą w tym momencie nie liczył się ani Set, ani Sopol. Liczyła się tylko Eryka. Zbliżając się do południowej strony Koloseum Saul przyśpieszył kroku i utkwiał niespokojny wzrok w żonie. Siedziała wciąż z głową opuszczoną na piersi. Nie widział, żeby zmieniała pozycję. Czyżby Set złamał umowę? Czy Eryka nie żyje?

Przepychał się przez tłum turystów ignorując ich gniewne protesty, zbyt zdenerwowany, aby wymamrotać przeprosiny. Już tylko trzydzieści metrów dzieliło go od Eryki. Nadal się nie poruszała. Zaczął biec. Dwadzieścia metrów. Żadnych oznak życia. Dopadł do niej. Gdy podniósłszy głowę żony zobaczył, że jej powieki drgają, osunął się na kolana, niemal płacząc.

- Eryka, to ja, Saul. Objął ją ramionami.

I zamarł, gdy wyczuł pod kurtką metalowe pudełko. Przesunawszy dłonie do talii Eryki dotknął metalowego pasa, z którego pomocą pudełko było przymocowane. Set nie blefował.

Saul spojrział na północną trybunę Koloseum. Set dotarł już do księdza, pomógł mu wstać i prowadził go teraz chodnikiem do wyjścia. Ojciec Dusseault szedł chwiejnie. Kilku turystów popatrzyło na niego, ale większość była pochłonięta aparatami fotograficznymi i zalanyymi czerwieniejącym lekko słońcem ruinami. Przy bramie Set odwrócił się i w ironicznym geście podniósł prawe ramię w tradycyjnym rzymskim pozdrowieniu. Potem Set i ksiądz zniknęli Saulowi z oczu.

Odczekaj pięć minut, zanim stamtąd odejdziesz, przypomniał sobie słowa Seta.

Pięć minut minęło.



Saul znów przytulił Erikę.

- To ja - powtórzył całując ją. - Jesteś bezpieczna. Kocham cię. Nie mamy się czego bać.

#### IV.

Shean i Arlene czekali w oświetlonym promieniami popołudniowego słońca parku Oppio, na wschód od pałacu Nerona. Obserwację Koloseum utrudniał im duży ruch na via Labicana. Było to denerwujące, ale niepokoiłoby się jeszcze bardziej, gdyby tu w ogóle nie przyszli.

Shean zdawał sobie sprawę, że mając widok tylko na północną i wschodnią trybunę, mogą nie zobaczyć ojca Dusseault i porywacza w samym Koloseum. Zamiast na ruinach skupił więc uwagę na ciągnącej się przed nimi via Labicana, najbardziej prawdopodobnej drodze ucieczki.

Spojrzał na zegarek. Dwadzieścia pięć po szóstej. Wymiana powinna była nastąpić punkt szósta. O ile coś nie poszło źle, na przykład tamci wcale się nie pojawili, przypuszczalnie przegapił moment wyprowadzania ojca Dusseault. Mimo wszystko Shean nie przestawał obserwować przeciwnej strony ulicy. Jeśli do godziny siódmej nie zauważą księdza, udadzą się do budki telefonicznej, gdzie, jak wcześniej uzgodnili, miał zadzwonić Saul.

Nagle Shean poczuł, że Arlene chwyta go za ramię. Po drugiej stronie via Labicana ktoś prowadził jakiegoś księdza - ojca Dusseault! - w tłumie turystów wychodzących z Koloseum. Szary citroen oderwał się od kolumny pojazdów i stanął przy chodniku. Porywacz wpełznął księdza na tylne siedzenie i wsiadł za nim. Samochód błyskawicznie ruszył.

Akcja nie trwała dłużej niż dziesięć sekund, ruch uliczny i turyści zasłaniali widok, ale Shean zobaczył dość. Nie mogło być mowy o pomyłce. Księdza prowadził rudowłosy, a za kierownicą citroena siedział blondyn. Set i Sopol. Wyrwał się z uścisku Arlene i pobiegł w kierunku ulicy. Dziewczyna ruszyła za nim. Było oczywiście możliwe, że Set i Sopol mają obstawę, która pilnuje, czy nikt ich nie śledzi. W takim wypadku, gdyby zauważono pościg Sheana i Arlene za citroenem, wystarczyłoby przekazać informację przez radio, aby Set lub Sopol spełnił groźbę i wysadził Erikę w powietrze. Shean był jednak pewien, że tamci są sami. Nie korzystali przecież z niczyjej pomocy podczas porwania Mediciego, a sprawny przebieg operacji utwierdzał go w przekonaniu, że nie ufają nikomu oprócz siebie.

Citroen był już tak daleko, że Shean stracił przeciwników z oczu. Set i Sopol nie mogli

więc go widzieć, gdy mknął między pędzącymi samochodami. Jak oszalały zamachał ręką na przejeżdżającą taksówkę. Arlene przebiegła przez jezdnię i dopadła chodnika w chwili, gdy kierowca zareagował na rozpaczliwe znaki Sheana. Wskoczyli do środka.

Shean wyrzucił z siebie polecenia dla taksówkarza. Obyśmy tylko nie utknęli w korku, niepokoił się. Oby tylko Set i Sopol nie wjechali w boczną ulicę, zanim zauważę, gdzie skręcają. Zastanawiał się, czy Saul odzyskał Erykę i modlił się żarliwie, aby żona przyjaciela była już bezpieczna.

## V.

- Dlaczego to tak długo trwało? - zapytał Sopol rzucając szybko okiem na tylne siedzenie. - Czy coś poszło nie tak?

- Chciałem przeprowadzić mały rekonesans w ruinach, zanim się pokażę. Mąż dokładnie wypełnił polecenia. Nie mógłbym być bardziej zadowolony.

- Ja nie będę zadowolony, dopóki się stąd nie wydostaniemy. A jeśli druga para się tu kręci?

- Nawet jeśli tu są, będą się trzymać z daleka. Wiedzą, że w dalszym ciągu mogę użyć tego - odparł Set, wskazując detonator. - Pozostaje tylko przesłuchać księdza. Nie porwaliby go, gdyby nie byli pewni, że ma ważne informacje.

- Może to nie te informacje, o które nam chodzi.

- Jaki miałby powód, żeby przesłuchiwać księdza, gdyby nie szukali kardynała. Pavelić był jedynym człowiekiem z zewnątrz, który znał miejsca pobytu naszych ojców. Kiedy odkryjemy, dlaczego zniknął, będziemy wiedzieć, w jaki sposób "Noc i mgła" wpadła na ich trop. - Set uśmiechnął się krzywo. - Tak, pozostaje tylko przesłuchać księdza. Chociaż nie, to jeszcze nie wszystko. Zatrzymaj się.

- Musimy się stąd wydostać. Dlaczego każesz mi...

- Rób, co mówię. Stań.

Sopol usłuchał i zatrzymał samochód.

- Powiedz mi, dlaczego...

- Nie mogę się oprzeć pokusie.

Set popatrzył przez tylną szybę citroena w stronę Koloseum.

- Szkoda, że nic stąd nie zobaczę. Ale przynajmniej usłyszę wybuch. Powinno powstać niezłe zamieszanie wśród turystów.

Włączył przycisk uruchamiający detonator. Zamigotało czerwone światelko.

- Nie - zaprotestował Sopol.

Set spojrział na partnera z błyskiem w oczach.

- W dalszym ciągu jej bronisz?

Robi to, żeby się ze mną drażnić, uświadomił sobie Sopol. Chce ukarać nie tę kobietę, lecz mnie.

- Jaki to ma sens? Powiedziałeś mi, że okłamałeś męża. Za chwilę, kiedy znajdziemy się poza zasięgiem radia, pomyśli, że może już bezpiecznie odłączyć bombę. Po co zabijać tę kobietę teraz, skoro i tak wkrótce zginie?

- Czy nie masz przypadkiem nadziei, że mąż znajdzie jakiś sposób, żeby zdjąć bombę nie powodując wybuchu?

- Była pod działaniem narkotyku. Nie widziała nas. Nie potrafiłaby nas rozpoznać. Co ci szkodzi, jeśli mu się uda?

- Zepsułoby mi to przyjemność - odparł Set. - Dlaczego obca kobieta tyle dla ciebie znaczy?

- Dlaczego znaczy tyle dla ciebie? Nie zagraża nam. Nie musi umierać.

- Musi, przyjacielu. Żebyś miał nauczkę. Nigdy więcej mi się nie sprzeciwiaj.

Set wycelował palec w detonator.

Mimo wszystko Sopol może by nie zareagował, gdyby nie złośliwe spojrzenie, jakie rzucił mu Set. Wściekłość pozbawiła go panowania nad sobą. Z szybkością błyskawicy wyłączył przycisk i wyrwał Setowi detonator tak gwałtownie, że zdarł mu skórę z dłoni.

Set wykrzywił się na widok własnej krwi.

- Oddaj detonator.

- Mamy za dużo do stracenia. Nie możemy zwlekać. Załatwimy to później, kiedy się stąd wydostaniemy.

- Załatwimy to teraz.

Ogarnięty szałem Set wyciągnął broń. Huk wystrzału w niewielkiej zamkniętej przestrzeni był pomimo tłumika ogłuszający. Zobaczywszy pistolet, Sopol zrobił unik i kula przeznaczona w jego pierś trafiła go w lewe ramię. Pocisk przeszedł na wylot i wbił się w deskę rozdzielczą. Nie zważając na ból, Sopol rzucił się w bok, aby zejść z linii strzału, zanim Set ponownie wypali. Zaczęli sobie wydierać broń.

Z ramienia Sopla ciekła krew. Słabł coraz bardziej. Pomimo ogromnego wysiłku woli nie mógł dorównać Setowi. Lufa pistoletu przechylała się nieubłaganie ku jego twarzy.

Set pogardliwie wykrzywił usta:

- Powinienem być zabić cię wcześniej. Razem z twoim ojcem. Sopol otworzył szeroko

oczy:

- Zabiłeś mojego ojca?

Być może Set miał nadzieję, że to stwierdzenie obezwładni Sopla i odwróci jego uwagę, co pozwoli mu przesunąć pistolet o ostatnie kilka centymetrów. Przeliczył się jednak. Zamiast osłabnąć, Sopol wrzasnął jak szaleniec, w dzikim przyptywie sił pchnął broń w stronę twarzy Seta i uderzył go tłumikiem w czoło. Spojrzenie Seta straciło ostrość.

Sopol przechylił się przez oparcie fotela i wyrzwał Seta pięścią w usta.

- Ty draniu, czy to znaczy, że zabiłeś mojego ojca?

Zadał Setowi drugi cios, kalecząc mu wargi. - Mów! - krzyknął wyszarpując broń z ręki przeciwnika.

W chwili, gdy przekręcał pistolet, aby położyć palec na spuście, za Citroenem zatrzymała się taksówka. Sopol zobaczył mężczyznę i kobietę, którzy w Ogrodach Watykańskich byli przebrani za księdza i zakonnice.

Set uderzył Sopla w brzuch. Zwijając się z bólu Sopol poczuł, że Set łapie pistolet, ale jego uchwyt nie był dostatecznie pewny i broń upadła na podłogę. Mężczyzna i kobieta biegli w kierunku Citroena. Nie mając czasu na myślenie, Sopol posłuchał instynktu. Chwycił detonator z przedniego siedzenia, otworzył drzwiczki od strony chodnika i rzucił się w tłum. Zranione ramię bolało go straszliwie. Usłyszał stłumiony strzał. Pękła szyba. Przechodnie rozbiegli się z krzykiem.

## VI.

Gdy Shean zauważył, że szary Citroen zjeżdża na bok, krzyknął do taksówkarza, żeby się zatrzymał. Przez tylną szybę Citroena zobaczył dwóch walczących ze sobą ludzi. Przez chwilę myślał, że jednym z nich jest ojciec Dusseault, który oprzytomniał już na tyle, żeby stawić opór. Kiedy jednak dostrzegł kolor włosów mężczyzny wydzierających sobie przedmiot wyglądający na pistolet, zrozumiał, że Set i Sopol usiłują się nawzajem pozabijać.

Uświadomił sobie, że obydwaj są tak pochłonięci walką, że mogliby do nich podejść z Arlene niezauważenie. Taksówka stanęła. Shean wyskoczył i pobiegł w kierunku Citroena, a Arlene za nim.

Nagle Sopol odwrócił ku nim swą wyrazistą twarz. Błysk zaskoczenia i zrozumienia w jego oczach szybko ustąpił miejsca grymasowi bólu, gdyż Set uderzył go pięścią w brzuch. Wypadki potoczyły się błyskawicznie. Sopol chwycił coś z przedniego siedzenia i wyskoczył z samochodu. Set podniósł z podłogi jakiś przedmiot, zauważył Sheana i Arlene, którzy już

dobiegali do citroena, wycelował pistolet i wypalił.

Tylna szyba roztrzaskała się. Przechodnie zaczęli krzyczeć. Shean i Arlene padli na ziemię. Wcześniej Shean nie chciał przestraszyć taksówkarza widokiem broni, teraz jednak wyciągnął pistolet, gotowy odpowiedzieć na ogień przeciwnika. Detonator, powtarzał w myślach. Muszę odzyskać detonator. Nagle zobaczył w dłoni jasnowłosego mężczyzny pędzącego przez rozstępujący się przed nim tłum małe prostokątne pudełko i zrozumiał, co Sopol porwał z przedniego siedzenia samochodu. Zauważył także strużkę krwi płynącą z jego lewego ramienia.

Rozciągnięty płasko na ziemi Shean przeniósł wzrok na citroena, mierząc z pistoletu w rozbitą szybę. Był gotów nacisnąć spust, gdy tylko Set się pokaże. Ten jednak, wciąż pochylony, wyskoczył przez otwarte drzwiczki i wpadł między ludzi. Shean był bezsilny. Nie mógł strzelać nie ryzykując zranienia przechodniów. Patrzył, jak Set ucieka.

Czy rzeczywiście ucieka? Wyglądało to tak, jakby Set chciał nie tyle umknąć, co dogonić Soplą. Blondyn pobiegł wzdłuż via Labicana, skręcił w prawo i zniknął za rogiem. Rudowłosy gnał za nim z pistoletem w ręku.

Co sprawiło, że stali się wrogami, zadawał sobie pytanie Shean.

Zajrzał do wnętrza citroena. Ksiądz leżał na tylnym siedzeniu.

- Arlene, zabierz go stąd i zawieź do hotelu. Pilnuj, żeby cię nikt nie zauważył.

- A co z...

Shean krzyknął w biegu:

- Zajmę się nimi.

## VII.

Ten skurwysyn mnie goni, myślał Sopol. Sam jest przyparty do muru, a jeszcze chce mnie zabić!

Sopol nawet nie zauważył, że wyskakując z citroena chwycił detonator. Zrobił to odruchowo. Dopiero gdy sięgnął po zatknięty z tyłu za pasem pistolet, uświadomił sobie, że trzyma coś w prawej dłoni. Detonator. Przełożył go do umazanej krwią lewej ręki, wyciągnął broń i skręcił w prawo z via Labicana.

W każdej chwili spodziewał się strzału, ale wiedział, że Set nie zabije go od razu, tylko obezwładni, rozbroi i zmusi do patrzenia, jak włącza detonator. Będąc zaledwie kilka ulic od Koloseum, na pewno usłyszą wybuch. Dopiero wtedy wykorzystawszy zwycięstwo do maksimum, Set dobije go i zdąży jeszcze uciec.

To wcale nie musiało tak się skończyć, myślał gniewnie Sopol. Gdyby nie ta kobieta, nie doszłoby do kłótni! Set nie powiedziałby mi, że zamordował mojego ojca! Bylibyśmy już bezpieczni daleko stąd! Ta kobieta nic dla mnie nie znaczy! Dlaczego jej broniłem?

Przyszło mu do głowy coś jeszcze. Pycha i nienawiść miały nad Setem taką władzę, że prowadząc rozgrywkę z Soplem zaprzepaścił szansę przesłuchania księdza i odnalezienia własnego ojca.

On jest bardziej obłąkany niż sądziłem.

Pędząc boczną uliczką Sopol poczuł szarpnięcie i rozdzierający ból w prawym barku. Stracił równowagę, zatoczył się i omal nie runął na ziemię. Z rany trysnęła krew. Mięśnie prawej ręki odmówiły mu posłuszeństwa, dłoń otworzyła się mimowolnie, pistolet stuknął o chodnik. Sopol przycisnął detonator do piersi władną jeszcze lewą ręką i pobiegł dalej z większą determinacją. Upływ krwi osłabił go jednak. Wzrok mu się mącił. Nogi zaczęły się pod nim uginać. Nie słyszał odgłosu wystrzału wyposażonego w tłumik pistoletu Seta i nie przypuszczał, że usłyszy go następnym razem, ale nie miał wątpliwości, że Set będzie teraz mierzył mu w nogi.

Jestem zbyt łatwym celem. Muszę się wydostać z tej ulicy i znaleźć kryjówkę.

Z przodu, po prawej zobaczył budowlę, która wypełniała połowę przestrzeni między dwiema przecznicami i rzucała cień na całą ulicę. Stary kościół! Chwiejnym krokiem pośpieszył ku niemu. W tej samej chwili Set wypalił. Kula ominęła nogę Sople i zryła chodnik sześć metrów przed nim.

Sopol uświadomił sobie, że wbiegając po schodach do głównego wejścia, byłby zbyt wystawiony na cel. Pobiegł więc prosto. Twarz ociekała mu potem. Ramię pulsowało bólem. Dotarł na skrzyżowanie i jeszcze raz skręcił w prawo.

Po chwili spostrzegł boczne wejście do kościoła. Na tablicy widniał napis: bazylika Świętego Klemensa. Set wyskoczył zza rogu z pistoletem gotowym do strzału. Nie widząc innej możliwości ucieczki Sopol na miękkich nogach dopadł drzwi i otworzył je ostatkiem sił.

Gdy znalazł się w środku, zatrzasnął drzwi i chciał je zaryglować, ale nie było tu żadnej zasuwki, tylko dziurka od klucza. Pobiegł głębiej. Ściany były pokryte freskami przedstawiającymi Chrystusa i apostołów. Rzędy kolumn dzieliły wnętrze na trzy nawy. Pojawił się ksiądz i zaczął wyjaśniać, że po godzinie szóstej trzydzieści bazylika jest zamknięta dla turystów. Sopol przemknął obok niego. Po lewej stronie mignął mu ołtarz.

W pierwszym odruchu chciał się ukryć w pomieszczeniu na wprost, które wyglądało na zakrystię, ale ksiądz nie przestawał protestować przeciw jego obecności w kościele. Kiedy usłyszał trzaśnięcie bocznych drzwi, uświadomił sobie, że te protesty przyciągną uwagę Seta.

Musi znaleźć inną kryjówkę.

Na prawo od zakrystii prowadziły w dół jakieś schody. Zaczął po nich zbiegać w chwili, gdy w nawie rozległo się echo szybkich kroków Seta. Możliwe, że Set nie zdążył go zobaczyć, ale na pewno zauważył ślady krwi na posadzce.

Sopel dotarł na podest, skręcił w prawo, pokonał następną kondygnację schodów i jęknął nie tyle z bólu, co z rozpaczy dostrzegłszy, że napotkał długi pusty korytarz. Słyszając, że Set jest coraz bliżej, dopadł drzwi po prawej stronie. Znalazł się w podziemnej bazylice.

Zatęchły zapach wielu stuleci uderzył go w nozdrza. Blade światło z trudem przebijało się przez ciemności. Starożytne cienie nie mogły jednak dać Sopolowi schronienia, kiedy krew kapłała mu z ran na posadzkę. Chwiejąc się minął wyblakły fresk przedstawiający rzymskiego patrycjusza i jego służbę oślepionych blaskiem bijącym od postaci jakiegoś świętego, i usłyszał na schodach kroki Seta.

Spojrzał na wyjście po lewej stronie ołtarza. Jeśli uda mi się przez nie wydostać, zanim Set jeszcze raz do mnie strzeli, może znajdę potem sposób, żeby go zaskoczyć. Jest tak pewny siebie, że nie będzie się spodziewał ataku.

Przestań się oszukiwać. Nie masz siły. Straciłeś pistolet.

Ale mam nóż.

Drgnął słysząc wystrzał. Od ściany odprysnął kawałek fresku. Kiedy kroki Seta zbliżały się, do dolnego kościoła wbiegł z krzykiem ksiądz. Set zastrzelił go. Sopolowi zaparło dech.

Zanim Set wypalił ponownie, Sopel dotarł do wyjścia obok ołtarza. Przemknął przez nie w chwili, gdy kolejna kula uderzyła w ścianę, i zobaczył następne schody. Były jeszcze starsze niż podziemia, które właśnie opuścił, i znów prowadziły w dół. Nie miał wyboru -musiał po nich zejść.

Podest. Skręt w prawo. Minął tablicę z napisem "Mithraeum" i znalazł się w przedziwnej podziemnej budowlu, która mogła pochodzić z czasów narodzin chrześcijaństwa. Dokładnie pod prezbiterium dolnej bazyliki, z pozostałości dwóch rzymskich domów utworzono świątynię, lecz - zdumiewające - nie chrześcijańską, a pogańską. Wzdłuż ścian ciągnęły się kamienne ławy przypominające Sopolowi ławy kościelne. Centrum krypty zajmował ołtarz Mitry. Płaskorzeźba przedstawiała boga gładko ogolonego i olśniewająco pięknego, w walce z mitycznym bykiem. Pies, skorpion i wąż usiłowały zabić zwierzę, zanim Mitra poderżnie mu gardło.

Gdy Sopel rozejrzał się po wnętrzu, uświadomił sobie, że jest w pułapce. Słyszając, że Set zbiega już po najniższej kondygnacji schodów, ukrył się w jedynie odpowiednim do tego

miejsu - za ołtarzem. Jego krew zaczęła tworzyć kałużę na starożytnej posadzce, tak, jakby spływała z poderżniętego gardła byka. Sopel włożył detonator do kieszeni i posługując się lewą sprawniejszą ręką, wyciągnął nóż z pochwy przywiązanej powyżej kostki prawej nogi. Wstrzymał oddech, otarł pot z twarzy i czekał wstrząsany bólem.

Set wszedł do świątyni dumnym krokiem.

- Krew cię zdradza. Wiem, gdzie jesteś.

Buty zaszurały po kamiennej posadzce. Na ołtarz padł cień. Sopel wyrżał ku rudowłosemu. Set miał usta spuchnięte od ciosu pięścią, w kącikach zakrzepła krew, ale jego oczy nigdy nie błyszczały jaśniej.

- Detonator - Set wyciągnął rękę.

- Ukryłem go, zanim tu zszedłem.

- Więc nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym cię przeszukał. Set podszedł bliżej.

Sopel cofnął się.

- Daj mi go - zażądał Set - to może cię nie zabiję.

- Zabijesz mnie i tak. Ale przedtem zmusisz, abym patrzył, jak naciskasz guzik.

- Widzę, że tych kilka dni spędzonych razem było jak długoletnie małżeństwo.

Nauczyłeś się mnie rozumieć. - Set podszedł jeszcze bliżej.

- Daj mi detonator.

Sopel znowu się cofnął.

- Będziesz go sobie musiał sam wziąć. Set pokręcił głową.

- Wiesz, co zrobię, zanim go wezmę? Strzelę do ciebie. Tym razem w brzuch. Jeszcze trochę pożyjesz. Zobaczysz, jak włączam przycisk i nie będziesz miał siły mi w tym przeszkodzić.

Set podniósł pistolet.

Sopel myślał intensywnie, w jaki sposób mógłby odwrócić uwagę przeciwnika.

- Czy w samochodzie mówiłeś poważnie?

Set zawahał się.

- Czy naprawdę zabiłeś mojego ojca? - zapytał Sopel.

- Po co miałbym kłamać, kiedy prawda jest tak miła dla ucha? Oczywiście, że go zabiłem.

- Dlaczego?

- To był pomysł Hallowaya, żeby cię w to wciągnąć. Powiedziałem mu, że nie potrzebuję pomocy, ale on się upierał. Problem polegał na tym, że twój ojciec nie zniknął, jak



pozostali. Mógł być następny na liście, ale nie chciałem tracić cennego czasu na czekanie. Więc sam się nim zająłem.

Set wykrzywił pokaleczone usta w uśmiechu.

- Załatwiłem sprawę w waszym sklepie w Australii. Użyłem tłumika. Zastrzeliłem twojego ojca i sprzedawcę, kiedy byłeś na spotkaniu z wysłannikiem Hollowaya. Zawinałem ciało starego w brezent i zapakowałem do bagażnika samochodu. Zrobiłem to na oczach całego tłumu na plaży. Nikt nie zwrócił uwagi. Dzisiaj ludzi nic nie obchodzi. Wróciłem do sklepu i podłożyłem ogień. Potem odjechałem. Jakbym był niewidzialny.

Soplowi zbierało się na wymioty.

- Co zrobiłeś z ciałem?

- Wynająłem łódź i zabrałem je na morze. Urządziłem ucztę rekinom.

Sopel zakrztusił się.

- Ciało musiało zniknąć - wyjaśnił Set - aby stworzyć pozory, że za wszystkim stoi "Noc i mgła". Żebyś przyłączył się do nas i pomógł w poszukiwaniach pozostałych ojców.

- Co się stało z wysłannikiem Hollowaya? Dlaczego on też zniknął?

- Czekałem na niego w hotelu. Przedstawiłem się. Zabrałem go na przejażdżkę i zastrzeliłem. Nakarmiłem nim rekiny, jak twoim ojcem. Chodziło o to, żebyś pomyślał, że Holloway ma coś wspólnego z tymi wypadkami. Chciałem cię zmusić do przyjazdu do jego rezydencji.

- A kiedy przyjechałem, pozwoliłem się jak idiota przekonać, że jesteście niewinni i dołączyłem do was.

- Przyznaję, że nawet się na coś przydałeś przy porwaniu Mediciego - ciągnął Set. -Zasadniczo jednak Holloway nie miał racji. Nie potrzebowałem cię. Poza tym nie było żadnych szans, żebyśmy się ze sobą zgadzali. Twój ojciec ukradł kobietę, którą mój kochał. Twoja matka mogła być moją. Ty byś się w ogóle nie urodził. Jeśli mój ojciec jeszcze żyje, jeśli uda mi się go odnaleźć, na pewno będzie zachwycony, że zabiłem was obu. Czy to nie ironia losu? Jak nasi ojcowie, pokłóciliśmy się o kobietę. Daj mi detonator. Obiecuję, że kiedy już zobaczysz, jak włączam przycisk, umrzesz szybko i bez bólu.

Upływ krwi usypiał Sopla. Skup się, powtarzał sobie. Nie pozwól draniowi wygrać.

- Słowo? - zapytał. - Zabijesz mnie szybko?

Podniósł niemal bezsilną prawą rękę, wskazując miejsce za uchem.

- Słowo.

Tą samą ręką Sopel sięgnął do kieszeni, wyjął detonator i wyciągnął go do przeciwnika.

- Połóż to na ziemi i posuń w moją stronę - polecił Set.

- Nie mam siły.

- Myślę, że masz.

Z rozpaczą w sercu, Sopel zrobił, co mu kazano. Usłyszał szurnięcie pudełka po posadzce.

- Doskonale.

Set pochylił się, aby podnieść detonator. Spuścił wzrok ze swojej ofiary tylko na sekundę.

Ta sekunda była jedyną szansą Sople. Wyjął zza pleców pulsującą bólem lewą rękę i, z całą siłą, jaka mu pozostała, rzucił nożem.

Set poderwał głowę. Z przekleństwem na ustach i dzikim błyskiem w oczach wycelował pistolet. Za późno. Nóż tkwił mu w szyi, ostrze rozplątało grdykę, wydając nieprzyjemny zgrzyt w zetknięciu z kością. Rękojeść zatrzymała się na pękniętej chrząstce.

Set cofnął się chwiejnie z twarzą wykrzywioną bólem i kredowo bladą, zwłaszcza w zestawieniu ze szkarłatem krwi tryskającej mu z rany. Sopel wiedział, że tak poważne uszkodzenie grdyki spowoduje opuchliznę, która odetnie dopływ powietrza do płuc. Set umrze wskutek uduszenia, zanim zdąży się wykrwawić. Śmierć nie nastąpi jednak natychmiast.

Sopel ze zgrozą obserwował patrzącego nań z ukosa Seta. Myślisz, że wygrałeś, zdawały się mówić jego oczy. Nic z tego. Mam jeszcze dość siły, żeby cię zastrzelić. Umrzemy obaj. Najpierw jednak zobaczysz, jak robię to.

Set chwycił detonator i włączył przycisk

Sopel krzyknął i rzucił się, aby go powstrzymać, ale pośliznął się i upadł w kałużę krwi.

Set usunął się poza zasięg jego rąk i skierował palec ku drugiemu przyciskowi.

Ze schodów zbiegł jakiś cień. Mężczyzna, który w Ogrodach Watykańskich był przebrany za księdza. Wyrwał Setowi detonator, wytrącając mu jednocześnie pistolet.

Set odwrócił się do nieoczekiwanego napastnika. Charcząc próbował wyjąć sobie nóż z szyi. Nieznajomy pchnął rękojeść i wbijając ostrze jeszcze głębiej, wprawił je w drganie, które powiększało otwór w grdyce. Trysnął nowy strumień krwi. Siła ciosu rzuciła Seta na ołtarz. Chciał się przytrzymać kamienia, ześliznął się i upadł bez ruchu na posadzkę. Jego krew kapała jakby z noża w rękę Mitry.

Sopel nie uświadomił sobie jeszcze w pełni, co się stało. Nieznajomy wyłączył detonator i podszedł do niego, mierząc z pistoletu Seta. Na jego twarzy malowało się

obrzydzenie zmieszane z wściekłością.

- Zabierz mnie stąd, zanim przyjedzie policja - odezwał się Sopol. - Nie mamy czasu. Pomogę ci, jeśli ty mi pomożesz.

Mąciło mu się w głowie. Usiłował zebrać myśli.

- Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Mój ojciec nie żyje. Przystaję brać w tym udział. Halloway musi ponieść karę.

- Halloway? Kim jest Halloway?

- Na miłość boską, zabierz mnie stąd. Kobieta, którą porwaliś z ogrodów... Set przymocował do jej pleców materiały wybuchowe.

- Wiem o tym.

- Mąż myśli, że może bezpiecznie odzepić bombę, kiedy znajdzie się poza zasięgiem radia. Set kłamał. Przy próbie rozłączenia przewodów - ładunek eksploduje.

- Jesteś w stanie iść?

- Chyba tak.

Sopol omal nie zemdlął z bólu, gdy nieznajomy pomagał mu wstać. Mężczyzna zarzucił mu też swoją kurtkę na ramiona.

- To ukryje krew.

Sopol oparł się o nieznajomego i, potykając się, jak we mgle opuścił Mitreum. Zauważył, że mijali podziemną bazylikę, ale nie pamiętał, jak przebyli ostatnią kondygnację schodów, ani jak przeszli przez górny kościół. Wiedział tylko, że jest na zewnątrz, że oślepiają go promienie zachodzącego słońca i zbliża się wycie syren policyjnych samochodów.

- Idź szybciej - polecił nieznajomy podtrzymując go.

Doszli do narożnika i skręcili w kierunku przeciwnym do syren policyjnych.

Na następnym skrzyżowaniu znów skręcili.

I jeszcze raz. Oszołomiony Sopol miał wrażenie, że błąka się po labiryncie.

- Dłużej nie wytrzymam.

- Jesteśmy prawie na miejscu.

Sopol rozpoznał park leżący na południe od Łuku Konstytyna. W gasnącym blasku słońca turyści spacerowali wokół pomnika podziwiając płaskorzeźby. Nieznajomy posadził go na ziemi pod drzewem. Sopol uświadomił sobie, że w tych okolicznościach to doskonały pomysł. Dopóki krew nie przesiąknie przez kurtkę, którą zarzucił mi na ramiona, nie zwrócę na siebie uwagi.

- Zaczekaj tutaj. Zaraz wracam - zapewnił mężczyzna.

- Powiedz mężowi kobiety, żeby nie próbował zdejmować bomby. Ale nieznajomy już zniknął w tłumie.

## VIII.

- Do cholery, Romulus, ostrzegałem cię, żebyś nie próbował mnie wykołować. Gdzie, do diabła, jest ksiądz? Obiecałem ci dwie godziny sam na sam z nim. Wracam i zastaję pusty pokój, a na tej pieprzonej taśmie nic nie ma.

Gallagher uderzył gniewnie pięścią o własną dłoń.

Kiedy Saul przywiózł Erykę do hotelu, szef chodził nerwowo po pokoju. Saul miał nadzieję, że zobaczy tu Sheana i Arlene, a nie Gallaghera. Czekał przed Koloseum spodziewając się, że przyjaciele wyjdą z parku po przeciwnej stronie ulicy. Gdy się nie pojawili, zadzwonił do budki telefonicznej, w której powinni odebrać wiadomość od niego. Za pierwszym razem nikt nie podniósł słuchawki, a za drugim piskliwy kobiecy głos zapytał, czy to Luigi i dlaczego każe jej czekać. Zrobiło się po siódmej. Minął umówiony czas. Pełen złych przeczuc Saul doszedł do wniosku, że hotel jest jedynym miejscem, gdzie Sean i Arlene mogą się z nim skontaktować. Poza tym potrzebował spokoju i samotności, żeby zdjąć bombę z pleców Eryki. Prowadząc żonę, zatrzymał taksówkę i wrócił do hotelu tak szybko, jak się dało.

Teraz jednak jakby nie miał dość problemów, musiał jeszcze stawić czoło Gallagherowi.

- Ksiądz się nie liczy - wyjaśnił mu. - Odzyskałem Erykę. Tylko to mnie obchodzi.

- Chcesz powiedzieć, że ksiądz zniknął, ponieważ wymieniał go na żonę?

- Tak! I zrobiłbym to jeszcze raz! Nie martw się, przesłuchałem go! Dotrzymam umowy! Mam dla ciebie mnóstwo informacji! Ale najpierw muszę zająć się tym.

Saul zdjął Eryce kurtkę i pokazał Gallagherowi pudełko przymocowane do metalowego pasa. Gallagher wzdrygnął się.

- Jezu Chryste, przecież to bomba.

Eryka wymamrotała coś niezrozumiale. Działanie narkotyku stopniowo ustępowało. Saul posadził żonę na łóżku i zaczął uważnie badać przytwierdzone do niej urządzenie.

- Muszę wyłamać zamek albo przeciąć pas. Ale pas jest połączony przewodami z pudełkiem. Całość - zamek, pas i pudełko - tworzy zamknięty obwód elektryczny.

- Więc ładunek eksploduje, jeśli obwód zostanie przerwany.

- Set powiedział, że mogę to zrobić bez ryzyka, kiedy znajdę się poza zasięgiem radia.

- Set? Kim do cholery jest Set?

- Później ci wytłumaczę. Najpierw muszę...

Saul sięgał już do kabla, gdy usłyszał pukanie. Zesztywniał i odwrócił oczy w stronę, z której dochodził dźwięk. Gallagher podszedł do drzwi.

- Nie! Zaczekaj! - krzyknął Saul.

Podejrzewał, że na korytarzu są Shean i Arlene, i nie chciał, żeby szef ich zobaczył.

- W czym problem, Romulus? Jeszcze jedna tajemnica? Gallagher otworzył. Przypuszczenia Saula sprawdziły się w połowie. W progu, podtrzymując ojca Dusseault, stała Arlene.

- Kim do diabła pani jest? - zapytał Gallagher.

Saul opadł na krzesło.

Arlene wahała się przez chwilę, a potem pozwoliła, aby Gallagher wciągnął ją i księdza do pokoju.

- Romulus, kim jest ta kobieta? - powtórzył szef zamykając drzwi.

- Znajoma.

- To nie jest wystarczające wyjaśnienie.

- Nie musisz więcej wiedzieć. Masz księdza z powrotem. Czy nie tego chciałeś?

Podziękuj jej i nie zadawaj pytań.

Arlene podprowadziła ojca Dusseault do łóżka i położyła go obok Eryki.

- Księdza? - skrzywił się Gallagher. - Nie, nie tego chciałem.

- Wolałbym, żebyś się zdecydował.

- Nie potrzebuję księdza. Potrzebuję informacji. Kiedy już dowiem się wszystkiego o Bractwie, im szybciej się go pozbędę, tym lepiej.

- Zabił kardynała Pavelicia. Usiłował zniszczyć Bractwo. Może ci również powiedzieć, gdzie znaleźć tuzin albo więcej hitlerowskich zbrodniarzy wojennych.

Gallagher ze zdziwienia otworzył usta. Saul zwrócił się do Arlene.

- Cieszę się, że cię widzę. Kiedy nie udało mi się z wami skontaktować... W jaki sposób odbiliście księdza? Shean? Gdzie jest Shean?

- Pobiegł za Setem i Soplem - odparła.

- Sople? - Gallagher był coraz bardziej zdezorientowany. - Shean?

Saul i Arlene nie zwracali na niego uwagi.

- A twoja żona? - zapytała Arlene. - Nic się jej nie stało?

- Wciąż nieprzytomna od narkotyku, ale nie wydaje mi się, żeby zrobili jej krzywdę.

- Jest piękna.

- Tak - Saul poczuł, że łzy napływają mu do oczu. - I mądra, i pogodna, i dobra. I silna, może silniejsza ode mnie. We wszystkim. Nie wiem, co bym bez niej zrobił.

- Czy ktoś byłby łaskaw mi wyjaśnić, co tu się dzieje? - zapytał Gallagher.

- Po zakończeniu drugiej wojny światowej kardynał Pavelić pomagał hitlerowskim przestępcom wojennym w ucieczce przed aliantami - zaczęła Arlene. - Przez te wszystkie lata śledził ich i żądał pieniędzy w zamian za milczenie. Jego sekretarz - wskazała księdza - odkrył tajemnicę kardynała. Ojciec Dusseault jest jednocześnie członkiem Bractwa, ale nienawidzi tego, co reprezentuje ten zakon. Wykorzystywał swoją pozycję, aby sabotować jego działania. Uznał Pavelicia za kolejny przykład korupcji w Kościele. Nie tylko zabił kardynała, lecz postanowił również ukarać zbrodniarzy wojennych, których ten osłaniał.

- Ukarać? W jaki sposób?

Saul uzupełnił wyjaśnienia Arlene:

- Ojciec Dusseault przekazał informacje byłemu agentowi Mossadu, którego rodzina została zamordowana w Dachau, a on sam też omal tam nie zginął. Ksiądz zakładał, że ktoś tak straszliwie skrzywdzony, a do tego odpowiednio wyszkolony i dysponujący środkami, będzie pewniejszym narzędziem kary niż sąd, gdzie procesy ciągną się latami.

- Kara? Chodzi chyba o zemstę? - przerwał Gallagher. - Czy ojciec Dusseault liczył na to, że agent Mossadu pozabija hitlerowców?

Saul skinął głową.

- Nie mam pewności, co do reszty, ale domyślam się, że ten człowiek - nazywa się Ephraim Avidan - stwierdził, że potrzebuje pomocy. Sądzę, że zwrócił się do innych agentów Mossadu, którzy przeżyli obozy koncentracyjne, i zorganizował zespół. Ci ludzie są w takim wieku, że przeszli już na emeryturę. Wielu z nich jest wdowcami. Mieli swobodę, polityczną i osobistą, aby robić to, co chcą. W Wiedniu nasi znajomi z Mossadu dali nam listę nazwisk. Mężczyźni figurujący na niej spełniają warunki, które wymieniłem. W ciągu ostatnich kilku miesięcy wszyscy zniknęli. Myślę, że chcieli się wycofać z nielicznych kontaktów, jakie jeszcze utrzymywali, aby przygotować swoją operację.

- Zniknęli? - powtórzył Gallagher. - To mi przypomina, że...

- Ojciec mojej żony - przerwał Saul - jest zapewne jednym z nich. Pokój jakby się skurczył.

- A co z ludźmi, o których wspominałeś - Set i Sopol?

- Płatni mordercy. Synowie zbrodniarzy hitlerowskich. Sądzę, że ich ojcowie należeli do przestępców wojennych, których ochraniał kardynał. Jeśli grupa Avidana zwróciła się przeciwko nim, Set i Sopol, chcieli wiedzieć, kto to robi i dlaczego. Prawdopodobnie doszli

do wniosku, że Pavelić stanowi klucz do zagadki. Gdyby odkryli, dlaczego zniknął, dowiedzieliby się, dlaczego po tylu latach ich ojcowie stali się celem ataku.

Gallagher wskazał na Arlene.

- Co ty masz z tym wspólnego? Kim jest Shean?

- Dość tych pytań - zaprotestował Saul. - Liczy się tylko Eryka. Muszę z niej zdjąć to świństwo.

Tego popołudnia poprosił Arlene, aby kupiła nożyce do metalu, których, jak twierdził Set, będzie potrzebował, aby przeciąć pas, gdy znajdą się poza zasięgiem radia. Teraz Arlene wyjęła je z torebki i podała mu.

Saul przyłożył nożyce do metalowego pasa i zawahał się:

- Arlene, chyba ty, Gallagher i ksiądz powinniście stąd wyjść. Na wypadek, gdyby ładunek eksplodował.

- Nic nie rób, jeśli uważasz, że to ryzykowne. Saul pokręcił głową.

- A jeśli Set nie jest jeszcze dość daleko? Powiedziałaś, że Shean ich ściga. Set może włączyć detonator.

- Wynieśmy się stąd wszyscy - zaproponował Gallagher. - Zadzwońię do Agencji po eksperta od materiałów wybuchowych.

- Zanim tu dotrze, może być za późno. Saul badał przewody łączące pas i pudełko.

- Chyba że... może... Tak, to może się udać.

Pośpiesznie wyłączył z kontaktu stojącą na komodzie lampę. Trzymając nożyce w śliskich od potu dłoniach, odciął sznur przy podstawie lampy i wtyczkę na drugim końcu.

- Co robisz? - zapytał Gallagher.

Saul był zbyt skupiony, aby odpowiedzieć. Delikatnie naciał izolację na obu końcach sznura i zdarł po dwa cale z każdej strony, aby odsłonić przewody. Podszedł do Eryki i przymocował końce kabla do dwóch nagich drutów łączących pudełko z pasem. Obawiał się, że gdyby przerwał obwód elektryczny przecinając pas, bomba mogłaby wybuchnąć. Teraz jednak sznur od lampy spełniał tę samą funkcję co pas. Teoretycznie może przeciąć pas, a obwód elektryczny nie zostanie przerwany.

Teoretycznie.

- Myślę - powiedział Saul - że nadeszła pora, żebyście stąd wszyscy wyszli.

Arlene posłusznie podniosła księdza z łóżka.

- Gallagher, przejdźmy się na koniec korytarza.

- Romulus... Saul czekał.

- Powodzenia.

- Dzięki.

Gallagher wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Jesteś niesamowity.

Dziesięć sekund później Saul został sam z Eryką.

Z rozpaczą zacisnął nożyce na pasie i nadciął go.

Dokładnie w chwili, gdy spodziewał się wybuchu, zadzwonił telefon. Ostry dźwięk wstrząsnął Saulem, a serce podskoczyło mu do gardła.

- Cholera! Kolejny sygnał.

Saul usiłował odzyskać panowanie nad sobą. Pracując tak szybko, jak tylko pozwalała ostrożność, zdjął pas i bombę z talii Eryki. Delikatnie, aby nie poruszyć przewodów, odłożył urządzenie na krzesło.

Telefon nie przestawał dzwonić.

Saul chwycił słuchawkę.

- Tu Shean! Na miłość Boską, nie próbuj rozbrajać tej bomby! Set kłamał! Jeśli przetniesz pas, ładunek eksploduje!

Saul opadł na łóżko, wybuchając śmiechem.

- Teraz mi to mówisz?

- Co...?

Saul ryczał ze śmiechu. Wiedział, że wygląda to na histerię, ale czuł zbyt wielką ulgę, żeby się czymkolwiek przejmować.

- Wszystko w porządku. Bomby już na Eryce nie ma.

- Jak, słodki Jezu, udało ci się tego dokonać?

Śmiech Saula stał się wyrazem sympatii do przyjaciela. Shean był jedyną znaną mu osobą, która potrafiła sprawić, że zwrot retoryczny brzmiał jak modlitwa.

- Z niewielką pomocą sznura od lampy. Opowiem ci o tym, kiedy się zobaczymy. Czy nic ci nie jest? Arlene mówiła, że pobiegłeś za Setem i Soplem.

- Tak... Set nie żyje. Soplem go zabił.

- Co takiego?

- Soplem jest ranny. Obiecuje, że jeśli mu pomożemy, powie nam wszystko, co chcemy wiedzieć.

Saul zerwał się z łóżka.

- Gdzie mam się z tobą spotkać?

- Zostawiłem Soplem w parku na południe od Łuku Konstantyna. Będziemy czekać przy via di San Gregorio.



- Jesteś pewien, że możemy mu ufać?

- Tak. To on mnie ostrzegł, żeby nie próbować zdejmować bomby. Nie musiał tego robić. Myślę, że kiedy z nim porozmawiamy, otrzymamy odpowiedzi na resztę naszych pytań.

- Będę za dwadzieścia minut.

Saul odłożył słuchawkę i wypadł na korytarz do Arlene i Gallaghera.

- Arlene, proszę zostań z Eryką. Zajmij się nią. Popędził do windy.

- Do cholery, zaczekaj chwilę - usiłował go zatrzymać Gallagher. - Jeszcze z tobą nie skończyłem. Dokąd to się wybierasz? - Spotkać się z przyjacielem i przywieźć Sopla. Zawiadam ekipę medyczną, że będziemy ich znowu potrzebować.

Ponieważ winda długo nie przyjeżdżała, Sani zbiegł po schodach.

## IX.

Jadąc via di San Gregorio wynajętym samochodem, Saul minął Łuk Konstantyna. Przechodnie tłoczyli się na chodnikach. Niepokoił się, że po ciemku i w chaosie reflektorów może nie zauważyć Sheana i Sopla. Powinienem był zapytać, po której stronie ulicy będą czekać.

Shean jednak pojawił się nagle przed nim, obejmując Sopla ramieniem, jak kogoś, kto za dużo wypił. Saul skręcił w ich kierunku i zatrzymał się przy krawężniku, słysząc za sobą gniewne klaksony. Odjechali, gdy tylko Shean pomógł Sopolowi wsiąść od tyłu i zamknął drzwiczki.

Sopel miał na sobie kurtkę, którą Shean nosił tego popołudnia. Twarz blondyna była równie biała, jak jego włosy. Na barku krew przesiąkła przez ubranie.

- Ciężko jest ranny? - zapytał Saul.

- Postrzelony w obydwie ramiona. Jedna kula przeszła na wylot. Druga tkwi chyba w ciele. Majaczy.

- Halloway - wymamrotał Sopel.

- Kim jest Halloway? - Saul spojrzał na Sheana.

- Jeszcze nie wiem. Kimkolwiek jest, Sopel na pewno za nim nie przepada.

- Odpląćcie sukinsynowi - mruknął Sopel.

- Dlaczego? - zapytał Shean.

- Wysłał Seta, żeby zabił mojego ojca.

- Dlaczego Halloway miałby... Czy jest Żydem? Sopel roześmiał się.

- Nie.

- To nie ma sensu - Saul skręcił za róg. - Jeśli Holloway nie jest Żydem, co robi w grupie, która ściga hitlerowców?

- Noc i mgła - wyszeptał Sopol.

- A co to ma do rzeczy? - zdziwił się Saul. - "Noc i Mgła" to nazistowska taktyka terroru z czasów drugiej wojny światowej.

- Zastanawiam się, czy... Może on właśnie wyjaśnił, jaką metodę zemsty stosuje grupa izraelska? - podsunął Shean.

Saul wzdrygnął się biorąc kolejny zakręt.

- Mieliby posługiwać się hitlerowskimi metodami? Porwać zbrodniarzy wojennych i sprawić, aby ich rodziny cierpiały tak samo, jak rodziny żydowskie podczas holocaustu? I ojciec Eryki uczestniczyłby w tym szaleństwie?

- Pragnienie zemsty - odparł Shean. - Ponieważ zamordowano mi rodziców, wiem, czym jest nienawiść. Sam przez wiele lat byłem nienawiścią. I wiem również, że kiedy przejmujesz metody nieprzyjaciela, stajesz się swoim własnym wrogiem. Zaczynasz nienawidzić samego siebie.

Saul pamiętał, z jaką nienawiścią ścigał i zabił swego przybranego ojca, aby pomścić śmierć brata. Wyrównanie rachunku za Chrisa nie przyniosło mu jednak satysfakcji, tylko straszliwą pustkę.

- Muszę znaleźć ojca Eryki. Muszę go powstrzymać.

- Holloway - wymamrotał Sopol.

- Kim on jest? - zapytał go Shean. - Skoro nie jest Żydem?

- To syn Malarza.

- O Boże - wyszeptał Saul. - Malarz to przydomek zastępcy komendanta obozu zagłady na Majdanku. Dzień po dniu uruchamiał - to jego własne określenie - taśmę demontażową, przepuszczał tysiące więźniów przez komory gazowe i krematoria. W nocy malował idylliczne pejzaże lasów i łąk.

- Czy ojciec Hollowaya był zastępcą komendanta Majdanka? - zapytał Shean Sopla.

- Tak.

- Dlaczego Holloway chciał, żeby Set zabił twojego ojca?

- Żeby zmusić mnie do przyłączenia się do nich. Abym myślał, że porwała go "Noc i Mgła".

- Gdzie jest teraz Holloway?

Sopol milczał.

- Jeśli kula nie zostanie usunięta, jeśli on nie otrzyma transfuzji, nigdy nie uzyskamy odpowiedzi - stwierdził Shean.

- Masz rację. On umrze. Kurtka jest przesiąknięta krwią. Nie uda nam się przemycić go do hotelu. Potrzebujemy bezpiecznego lokalu. Gallagher musi nam powiedzieć, gdzie mamy się spotkać z ekipą medyczną.

Saul zatrzymał samochód i wskoczył do budki telefonicznej. Zdążył jednak jeszcze usłyszeć, jak Shean ponownie pyta Sopla:

- Gdzie jest teraz Halloway?

- W Kitchener. Niedaleko Toronto. W Kanadzie.

## X.

Pomimo kwaśnego smaku w ustach, Misza Pletz wypił kolejny łyk wrzącej kawy i powstrzymał odruch, aby biec do sali dyspozycyjnej w podziemiach centrali Mossadu w Tel-Awiiwie. Jest jedenasta, przypomniał sobie. Operacja "Ocalenie" rozpocznie się dopiero za godzinę. Przez ten czas ekipa ma rozkaz przestrzegać ciszy radiowej. Tylko bym tam im teraz przeszkadzał, pomyślał. Zrobiłem swoje. Sprawdziłem plany wielokrotnie.

Niemniej niepokoił się, że informacje, które dostarczył mu Joseph, mogą się okazać mylne. Ich weryfikacja, uzyskanie potwierdzenia czasu i miejsca dostawy oraz haseł, nie była jednak możliwa. W przypadku innego informatora i mniej poważnego zagrożenia dla Izraela, Misza nie ryzykowałby podjęcia akcji. Ale w tych okolicznościach bierność byłaby większym ryzykiem. Zwierzchnicy Pletza, choć niechętnie, musieli się z nim zgodzić. Otworzyły się drzwi gabinetu. Wpadł zastępca Miszy, jego zmęczona twarz pałała podnieceniem.

- Romulus właśnie dał o sobie znać. Misza wyprostował się.

- Czekalem na to. Gdzie jest?

- W Rzymie.

- W jaki sposób skontaktował się z nami?

- Przez CIA.

Zastępca podał Miszy kartkę z numerem telefonu.

- Chce, żebyś do niego jak najszybciej zadzwonił. Wiadomość zelektryzowała Pletza. Kiedy widział Saula po raz ostatni, wydawało się prawdopodobne, że Agencja jest zamieszana w zamach na niego. Nawet jeśli tak nie było, wymogli na Saulu obietnicę, że nie będzie utrzymywał kontaktu z Mossadem. Dlaczego więc korzysta teraz z pośrednictwa CIA? Czy ma kłopoty? Czy to jakaś mistyfikacja?

Chociaż intrygująca, wiadomość była podwójnym błogosławieństwem. Misza nie tylko pragnął porozmawiać z Saulem i Eryką, lecz był także wdzięczny, że coś oderwało jego myśli od operacji "Ocalenie". Podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Trzaski zakłóceń na Morzu Śródziemnym. Na drugim końcu linii po pierwszym dzwonku odezwał się charakterystyczny, dźwięczny i chrapliwy głos Saula.

- Halo.

- Tu Żmija Piaskowa. Czy możesz rozmawiać swobodnie?

- Jestem w lokalu Agencji. Twierdzą, że telefon jest czysty.

- Czy masz kłopoty?

- Z Agencją? Nie, współpracuję z nimi. Wyjaśnienia zajęłyby zbyt dużo czasu - Saul mówił coraz szybciej. - Dowiedziałem się niepokojących rzeczy o ojcu Eryki.

- Ja także - odparł Misza. - Dwukrotnie w ciągu ostatnich dwóch dni przesłał mi wiadomość. Powiedz Eryce, że Joseph żyje i nie jest niczym więźniem. Miałem potwierdzenie od naocznych świadków. Chce jednak pozostać w ukryciu. Próby śledzenia go nie powiodły się. Informacje, które mi przekazał...

- Dotyczą hitlerowców? - zapytał Saul zaskoczonym tonem. - Powiedział ci o tym?

- Jacy hitlerowcy? - Misza przycisnął mocniej słuchawkę do ucha. - O czym ty mówisz?

- Zbrodniarze wojenni. Dlatego Joseph zniknął. On, Ephraim Avidan i inni byli agenci, których nazwiska znajdowały się na twojej liście, odkryli, gdzie ukrywają się ci ludzie. Utworzyli zespół i ruszyli przeciwko nim.

Zdziwienie odebrało Miszy głos.

Ton Saula stał się jeszcze bardziej natarczywy.

- Jeśli Joseph nie powiedział ci o tym, czego dotyczyły wiadomości...

- Nawet przez telefon tak pewny jak ten, nie mogę ryzykować. Przekazał mi informacje najwyższej wagi państwowej. Tylko tyle wolno mi teraz wyjawić. Jutro po godzinie dwunastej będę mógł wyjaśnić ci wszystko.

- Jutro może już być za późno. Joseph może do tego czasu zrobić rzeczy, które będą go prześladowały do końca życia. Dla jego dobra, dla dobra Eryki, muszę go powstrzymać. Powiedziałeś, że znowu zniknął. Czy wiesz, gdzie jest?

- Przenosi się z miejsca na miejsce. Wiadomości pochodziły z różnych krajów. Pierwsza ze Stanów, druga z Kanady.

- Z Kanady?

- Czy to ważne?

- Skąd z Kanady? - zapytał Saul. - Z jakiego miasta?

- Z Toronto.

- Tak myślałem!

- Co się stało? - zaniepokoił się Misza. - Czy wiesz, dlaczego Joseph tam pojechał?

- Syn jednego z hitlerowców mieszka niedaleko Toronto. Jego ojciec to Malarz, zastępca komendanta Majdanka. Syn nazywa się Halloway.

Słyszając to Misza złapał oddech, jakby został uderzony. Chciałby powiedzieć Saulowi, że Halloway jest jednym z handlarzy bronią, których nazwiska ujawnił Joseph. Nie mógł jednak tego zrobić, dopóki nie zakończy się operacja "Ocalenie". Dopiero gdy ekipa bezpiecznie powróci, a on spowoduje przeciek informacji, aby Libijczycy myśleli, że Halloway był zamieszany w tę akcję, wolno mu będzie wyjaśnić wszystko Saulowi. I to też tylko pod warunkiem całkowitej dyskrecji.

- Muszę kończyć - westchnął Misza. - Zadzwoń do ciebie jutro w południe. To ważne. Na razie nic nie rób. Czekaj na mój telefon. Będę miał dla ciebie informacje.

Misza rozłączył się.

## **XI.**

Ciągły sygnał. Zaniepokojony Saul odłożył słuchawkę i rozejrzał się po skromnie urządzonej pokoju farmy na przedmieściach Rzymu, przekształconym teraz w oddział intensywnej terapii. Soplel, z twarzą niemal dosłownie koloru lodu, leżał na składanym łóżku. Nad rurką prowadzącą do jego ramienia wisiał zbiornik z plazmą. Ten sam lekarz, który zajmował się ojcem Dusseault, zdezynfekował już ranę na lewym ramieniu Soplel i właśnie ją zszywał. Gdy skończył, założył opatrunek i bandaż.

- Teraz kolej na trudniejszą część - powiedział sprawdzając odczyt przenośnych monitorów. - Serce bije nierówno. Ciśnienie krwi jest niskie. Oddech... Nie przerywaj podawania tlenu - polecił asystentowi.

- Myśli pan, że może umrzeć? - zapytał Saul.

- Z dwiema ranami postrzałowymi próbował pobić rekord w biegu na sto jardów. Każdy ruch wypompywał z niego krew. Czy umrze? To będzie cud, jeśli przeżyje. A czeka go jeszcze zabieg usunięcia kuli z prawego ramienia.

- On nie może umrzeć!

- Wszyscy kiedyś umrzemy.

- Ale ja muszę uzyskać od niego informacje.

- Więc teraz jest ostatnia szansa, żeby go pytać. Zanim go uspię. Po piętnastu minutach, nawet jeśli przeżyje, nie będzie w stanie nic powiedzieć do jutra wieczór.

Świadom obecności lekarza i jego pomocników, tego, że Gallagher krąży w napięciu po pokoju, a Shean stoi niepewnie w otwartych drzwiach, za którymi Arlene czuwa nad Eryką i ojcem Dusseault, Saul pochylił się nad Soplem. Otarł chusteczką pot z jego zniekształconej bólem twarzy.

- Słyszysz mnie?

Sopel z wysiłkiem skinął głową.

- Mówią, że możesz umrzeć. Ale jeśli przeżyjesz, gwarantuję ci, że kiedy wyzdrowiejesz, puszcza cię wolno.

- Na miłość boską - wtrącił się Gallagher - nie masz prawa niczego obiecywać.

Saul odwrócił się do szefa:

- Obiecałbym wszystko, żeby zdobyć informacje, których potrzebuję. Powiedziałem ci na samym początku, że to sprawa osobista. Teraz chodzi już nie tylko o ojca mojej żony, lecz także o nią samą. Kiedy się dowie, co Joseph zamierza zrobić, nigdy mi nie wybaczy, jeśli nie uczynię wszystkiego, co w mojej mocy, aby go powstrzymać. Spróbuj mi w tym przeszkodzić, a...

- Co mi zrobisz? I co to zrobiłoby z ciebie? - zapytał Gallagher. - Kogoś podobnego do jej ojca?

Saul zawahał się uświadomiwszy sobie, ile jest prawdy w tych słowach. Uczucie do Eryki było jednak silniejsze.

- Nie. Jest pewna różnica. To nie z nienawiści, tylko z miłości.

- Może to jeszcze gorzej.

- Posłuchaj. Przepraszam. Nie miałem zamiaru ci grozić. Ale musisz mnie zrozumieć.

Saul ponownie pochylił się nad Soplem:

- Powiedz mi wszystko. Zbierz siły. Jeśli przeżyjesz, odejdiesz wolno. Albo ja zginę w twojej obronie.

- Dzięki - mruknął ironicznie Sopel.

- Możesz na mnie liczyć.

Sopel zwilżył językiem suche wargi.

- Co... chcesz wiedzieć?

- Kiedy tu jechaliśmy, powiedziałeś, że Halloway mieszka w pobliżu Toronto. W Kitchener. Skup się. Jak można się tam dostać? Gdzie jest...

- Halloway? - głos Soplea był słaby jak szelest suchych liści. - Mieszka... - bolesne

przełknięcie śliny - zaraz pod miastem. Szosa 401... Na zachód od Toronto... osiemdziesiąt kilometrów... numer zjazdu...

Saul starał się zapamiętać każde słowo.

## XII.

Dwunasta w nocy. Morze Śródziemne. Na południe od Krety, na północ od Libii. Kapitana statku handlowego Meduza zaniepokoiły sygnały świetlne błyskające w ciemności z prawej burty. Spotkanie z jednostką libijską miało nastąpić o trzeciej rano, czyli dopiero za trzy godziny. Nie uprzedzono go o zmianie planu. Z drugiej strony, od jedenastej zachowywał ciszę radiową i to samo powinni robić Libijczycy, więc jeśli nawet coś się zmieniło, nie było go jak zawiadomić. Sygnał świetlny odpowiadał jednak umówionemu hasłu. Poleciał, aby dano odzew. Uspokoił się, kiedy Libijczycy przesłali ostatnią część kodu. Im prędzej pozbędzie się ładunku, tym lepiej.

Z ciemności wyłonił się komin parowca i zatrzymał w bliskiej, ale bezpiecznej odległości od Meduzy, która stała nieruchomo na falach. Ze statku spuszczone łodzie, zawarczały silniki. Kapitan kazał swoim ludziom opuścić drabinki sznurowe i przygotować dźwig do wyładunku towaru.

Motorówki przybiły do burty Meduzy. Załoga motorówek zaczęła wspinać się po drabinkach. Powitalny uśmiech znikł z twarzy kapitana, gdy zobaczył, że są uzbrojeni, zamaskowani, opanowują statek i wpychają jego ludzi do łodzi ratunkowych. Lufa pistoletu wbiła mu się w skroń. Krzyknął.

Dryfując na falach w szalupie, kapitan przyglądał się jeszcze, jak Meduza nabiera prędkości i znika w nocy wraz z wartym sto milionów dolarów ładunkiem pistoletów maszynowych, karabinów szturmowych, materiałów wybuchowych, granatów, amunicji, przenośnych wyrzutni raketowych i samonaprowadzających pocisków. Dwaj członkowie grupy uderzeniowej podążali za Meduzą ślizgaczami, którymi tu przy płynęli. To, co kapitan wziął za libijski statek, było w rzeczywistości brezentową atrapą komina, podniesioną nad jedną z łodzi. Przypuszczał, że coś podobnego napastnicy umieszczą nad pokładem Meduzy, aby zmienić sylwetkę statku i utrudnić pościgowi jej rozpoznanie. Nowa nazwa zostanie namalowana na poprzecznej. Do rana piraci dotrą do bezpiecznego portu. Kapitan dotknął miejsca, gdzie przyłożono mu do głowy lufę pistoletu. Zadawał sobie pytanie, jak do cholery wytłumaczy się Libijczykom i kazał chłopakom wiosłować tak szybko, jak tylko się da. Dokąd? Co za różnica. Byłe dalej stąd. Dalej od Libijczyków, którzy nie są znani z okazywa-

nia zrozumienia, a już na pewno nie z miłosierdzia.

### XIII.

Już całkowicie przytomna Eryka starała się uporządkować myśli i chłonęła wszystko, co opowiadał jej Saul: jak on, Shean i Arlene połączyli siły i co wydarzyło się od momentu jej porwania. Oszołomienie zmieniło się w przerażenie, gdy usłyszała, co odkryli.

- Grupa uderzeniowa? Mój ojciec, Avidan i reszta... siedemdziesięcioletni starcy... zniknęli, bo chcą się zemścić na zbrodniarzach hitlerowskich?

- Może to jeszcze nie wszystko.

- Jest coś gorszego?

Shean pomógł Saulowi wyjaśnić:

- Soplel wspomniał w samochodzie o "Nocy i Mgle". Nie chodziło mu o tamtą hitlerowską, tylko o... Sądzymy, że twój ojciec i jego grupa nie zadowolili się ukaraniem przestępców wojennych, których odnaleźli. Naszym zdaniem, postanowili sterroryzować także ich dzieci. Oddać wet za wet.

Uświadamiając sobie prawdę, Eryka zerwała się z łóżka.

- Czy nie rozumiecie? Jeśli chodzi o to, aby dręczyć ojców zastraszając ich dzieci, ojcowie muszą jeszcze żyć. Inaczej zemsta nie jest kompletna. Ci ludzie muszą wiedzieć, że ich dzieci są terroryzowane i muszą cierpieć, gdy zdadzą sobie sprawę, że cierpią ich bliscy. Jest jeszcze szansa, żeby powstrzymać grupę ojca, zanim zaczną zabijać.

Shean uśmiechnął się.

- Saul miał rację, mówiąc, że jesteś mądra.

- Skoro jestem taka mądra, dlaczego nie pochwalam tego, co robi ojciec? - zapytała Eryka. - Częstka mnie pragnie, aby się zemścił.

- Częstka mnie czuje to samo - dodał Saul. - Może dlatego tak bardzo mnie irytuje, że próbujemy tych łajdaków ochronić.

- Właśnie w tym rzecz - wtrącił Shean. - Częstka was chce zemsty. Ale tylko częstka. Jestem tu obcy. Nie mam prawa zabierać głosu. Moi krewni nie zginęli w holocauście. Mojej rasy nie prześladowano. Kiedy jednak myślę o SS, jestem tak oburzony, że chciałbym... - Shean westchnął. - Niektórzy z nich nie byli nawet na tyle szaleni, aby wierzyć w słuszność tego, co robią. Po prostu dostosowali się do szaleństwa wokół siebie. Żeby zarobić na chleb, utrzymać rodzinę. Gdyby dostatecznie wielu spośród tych hipokrytów stanowczo się sprzeciwiło...



- Świat nie jest taki - zauważyła Eryka.

- Ale my jesteśmy - odparł Shean. - Dlatego nie zgadzamy się na stosowanie hitlerowskich metod wobec hitlerowców. Ponieważ nie chcemy stać się tacy jak oni. Czy nie o to chodziło w procesach norymberskich? Nie zemsta, lecz rozum i prawo. Wierście mi, chcę, żeby przestępcy wojenni ponieśli karę. Nie dbam o to, ile mają lat. Muszą zostać ukarani. Moim zdaniem, wyrokiem śmierci. Najwyższa zbrodnia wymaga najwyższej kary. Ale nie z ręki jednostek kierujących się wyłącznie gniewem, nie bez sankcji społeczeństwa.

- Jak...

Eryka zachwiała się i opadła na łóżko.

- Nic ci nie jest?

Saul skoczył do żony i objął ją ramionami.

Pokręciła głową i dokończyła pytanie:

- Jak możemy powstrzymać mojego ojca?

- Lećmy do Toronto - odrzekł Saul. - Halloway mieszka niedaleko stamtąd. Tam właśnie po raz ostatni widziano Josepha. Czy jesteś już dość silna, żeby znieść podróż?

- Nawet gdyby było inaczej, odpowiedziałabym: tak. Ze względu na ojca.

- Ale czujesz się dobrze?

- Tak. Kup dwa bilety na pierwszy samolot.

- Cztery - poprawił ją Shean.

Eryka rzuciła mu zaskoczone spojrzenie.

Arlene, która dotychczas w milczeniu przysłuchiwała się rozmowie, wystąpiła naprzód.

- Zgadzam się, Shean. Cztery bilety. Jedziemy z wami.

- Przecież nie...

- Nie musimy? Czy to chciałaś powiedzieć?

- To nie jest wasza sprawa - Eryka z zakłopotaniem zatrzepotała rękami. - Nie chciałam być niegrzeczna. Ale to nie wasz ojciec.

- Zgoda - odparł Shean. - Nie mamy obowiązku. Mimo to jedziemy z wami.

- Nawet mnie nie znacie.

- Więc cię poznamy.

## **XIV.**

Joseph Bernstein siedział samotnie w salonie zmienionego na więzienie domu w

Toronto. Próbował się odprężyć przed zaplanowaną na następny dzień akcją. Kilka minut spokoju.

Mam siedemdziesiąt lat, myślał. Inni starzy mężczyźni, moi towarzysze, śpią na górze. Równie starzy ludzie - moi wrogowie, są naszymi więźniami. Jutro, po czterdziestu z górą latami wypełnię ślub, który złożyłem w młodości. Pomszczę swoją rodzinę. Zrobię z tymi bestiami to, co oni zrobili ze mną.

## XV.

Samolot DC-10 linii Air Canada wylądował w Toronto kilka minut po drugiej. Organizm Saula był wciąż nastawiony na czas rzymski, gdzie słońce zachodziłoby teraz, zamiast błyszczeć mu nad głową. Mało spał ostatniej nocy i był wyczerpany. Nogi mu zeszywniały z braku ruchu.

Arlene i Shean twierdzili, że czują się tak samo. Erykę natomiast rozpierała energia. Niepokój o ojca pchnął ją do objęcia przewodnictwa, gdy tylko przeszli odprawę celną i paszportową. Znalazła biuro wynajmu samochodów i dwadzieścia minut później wiozła grupę z lotniska drogą 401.

Ruch był znaczny. Większość kierowców lekceważyła ograniczenie prędkości do stu kilometrów na godzinę, ale Eryka nie chciała mieć kłopotów z policją, więc pomimo zniecierpliwienia, nie przekraczała dopuszczalnej prędkości. Popołudniowy upał dawał się we znaki. Włączyła klimatyzację i utkwiała wzrok przed siebie, obojętna na widoki po obu stronach drogi.

Saul obserwował numery zjazdów z szosy i pięćdziesiąt minut później zauważył właściwy.

- To tutaj. Skręcaj.

Żałował, że nie mógł zaczekać na telefon od Miszy Pletza. Misza twierdził, że ma mu coś ważnego do powiedzenia i Saul podejrzewał, że wiadomość dotyczy Hallowaya. Zmuszony jednak wybierać między siedzeniem w Rzymie a złapaniem pierwszego samolotu do Toronto, zdecydował się na to drugie.

- Skręć w lewo - poleciał żonie.

Eryka jechała wiejską drogą wijącą się wśród skąpanych w słońcu niewielkich wzgórz, lasów, pól i pastwisk. Pięć kilometrów dalej Saul ponownie kazał jej skręcić w lewo.

- Powinniśmy być już blisko - powiedział.

Asfaltowa szosa zakręcała. Pokazał wysadzaną drzewami zwirową aleję, która

prowadziła do rezydencji na skarpie.

- Myślę, że to tutaj. Miejsce odpowiada opisowi Sopla. Miała tu jeszcze być... Tak, widzę sylwetkę charta na skrzynce pocztowej.

- Dużo ludzi ozdabia swoje skrzynki pocztowe i wiele tych dekoracji przedstawia psy - ostudził go Shean.

- Soplel mówił, że za zakrętem przy posiadłości będzie metalowy most.

Minutę później Eryka przejechała przezeń.

- Teraz jestem pewna. Już prawie pół do czwartej. Nie traćmy dnia.

Zawróciła i zatrzymała się na poboczu.

- Samochód pozostawiony w pobliżu rzeki nie wzbudzi niczyich podejrzeń. Będzie to wyglądało, jakby ktoś poszedł na ryby.

- Szkoda, że nie mogliśmy zabrać ze sobą broni - westchnął Saul.

- A kontrola na lotnisku? Siedzielibyśmy dalej w Rzymie. W więzieniu - zauważył Shean.

- Wolno mi chyba pomarzyć. Kiedy dotrzemy do rezydencji, będę się czuł, jakbym był niekompletnie ubrany.

- Nigdy nic nie wiadomo. Broń może nie być potrzebna - odparła Arlene. - Halloway może się okazać zwykłym biznesmenem.

- Nie zapominaj o jego powiązaniach z Setem i Soplem. Lepiej, żebyśmy przygotowali się na kłopoty.

Wysiedli z samochodu. Po drugiej stronie szosy, zasłonięta lasem leżała posiadłość Hallowaya.

## **XVI.**

Las był gęsty. Promienie słońca tylko od czasu do czasu przebijały baldachim liści. Shean szedł krętą ścieżką, czując aromatyczny zapach ilastej ziemi. Przystąpił zwałony pień i zaczął podchodzić jeszcze bardziej zadrzewionym stokiem. Obejrzał się na Arlene podziwiając jej pełne wdzięku ruchy. Najwyraźniej czuła się swobodnie na tym trudnym terenie. Musimy pojechać razem w góry, postanowił. Tylko nas dwoje, w głuszy przez kilka tygodni.

Kiedy to wszystko się skończy.

Wrócił myślami do terażniejszości i wspinał się dalej. Na szczycie zaczekał na Arlene i z czułością dotknął jej ramienia. Saul i Eryka, którzy ich wyprzedzili, przykucnęli w krzakach. Między drzewami ukazała się rezydencja.

Nawet z odległości stu jardów Shean widział przed domem pół tuzina uzbrojonych strażników zwróconych w stronę wjazdu na posiadłość. Obok frontowych drzwi stało zaparkowanych dziewięć samochodów różnych marek. Zatrzymał się nagle, przerażony tym, co zobaczył. Żwirową aleją, wzbijając tumany kurzu, jechała jakaś ciężarówka.

## XVII.

Poprzedniego wieczora Halloway tak bardzo się denerwował bliską dostawą broni, że postanowił zaryzykować wizytę w Kitchener u żony i dzieci. Trzecia rano w Libii odpowiadała dziewiątej wieczorem w Ontario. Uwzględniając jeszcze czas niezbędny do przeładunku towaru 3 Meduzy na frachtowiec libijski oraz potrzebny klientom na powrót do macierzystego portu, nie spodziewał się wiadomości o przebiegu transakcji do następnego ranka.

Chociaż nie był praktykujący, modlił się, aby operacja zakończyła się pomyślnie, podzielał bowiem teraz obawy Rosenberga, że "Noc i mgła" wie o transporcie. Wróg odkrył już tyle rzeczy, że Halloway nie zdziwiłby się, gdyby znali również tajemnicę Meduzy. Nie mógł jednak uprzedzić Libijczyków o możliwości przecieku informacji. Pewien surowej kary za wysłanie ładunku, któremu grozi niebezpieczeństwo, zdał się na los szczęścia i nie ostrzegł klientów, mając nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

Tę nadzieję wyrażał toast przy kolacji. Halloway podniósł kieliszek wina i uśmiechnął się z wysiłkiem do żony i dzieci.

- Od kilku miesięcy żyjemy w napięciu. Wiem, że męczy was ta sytuacja. Chcielibyście wrócić do domu. Denerwuje was obstawa. Ale prowadząc poważne interesy, czasem stwarzamy sobie wrogów. Wierzę, że wkrótce doczekamy końca kłopotów. Do tej pory okazywaliście nadzwyczajną cierpliwość i zrozumienie.

Wysączył wino i w myślach wzniósł kolejny toast. Za Meduzę. Za finalizację kontraktu wartego sto milionów dolarów.

Zauważył, że jest dokładnie dziewiąta - czas dostawy na Morzu Śródziemnym. Do jadalni wszedł wartownik i wręczył mu telegram.

Halloway rozdarł kopertę. Musiał przeczytać wiadomość kilkakrotnie, żeby dotarł do niego sens słów.

WSZYSTKIE PROBLEMY ROZWIĄZANE. OJCIEC BEZPIECZNY. WRACA JUTRO. TRZECIA PO POŁUDNIU TWOJEGO CZASU. TWOJA POSIADŁOŚĆ. SOPEL. SET.

Halloway odetchnął z niewysłowioną ulgą. Po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuł się swobodnie i lekko. Zastanawiało go wprawdzie, dlaczego Set i Sopol wysłali telegram, zamiast zadzwonić i dlaczego tutaj, zamiast do posiadłości za miastem, kiedy jednak połączył się z rezydencją i usłyszał, że wiadomość dotarła także i tam, uspokoił się. Set i Sopol próbowali skontaktować się z nim w obydwu miejscach, a musieli mieć jakieś powody do obaw, że telefon naraziłby ich na niebezpieczeństwo. Halloway uprzedził ochronę, że nazajutrz mogą się spodziewać towarzystwa.

- Dziadek wraca do domu - powiedział dzieciom. Uśmiechnął się promiennie do żony i, wbrew swej zwykłej wstrzemięźliwości, nalał sobie drugi kieliszek wina.

Następnego dnia koło południa był tak zdenerwowany, że nie mógł usiedzieć na miejscu i pojechał z obstawą do rezydencji. Jakiś samochód już czekał. Nie posiadając się z radości, Halloway pośpieszył ku niemu.

Ale zamiast ojca z wozu wysiadł Rosenberg. Halloway osłupiał ze zdziwienia.

- Co ty tu robisz?

- Dostałem telegram.

- Jaki telegram?

- Nie wysyłałeś telegramu?

- Na miłość boską, nie!

- Jest podpisany twoim nazwiskiem. Rosenberg wyjął blankiet z kieszeni marynarki.

Halloway wyrwał mu go. Serce w nim zamarło, gdy przeczytał wiadomość.

TELEFON NIEPEWNY. WSZYSTKIE PROBLEMY ROZWIĄZANE. OJCOWIE BEZPIECZNI. PRZYJEDŹ JUTRO. TRZECIA PO POŁUDNIU MOJEGO CZASU. MOJA POSIADŁOŚĆ. HALLOWAY.

Halloway zmiął formularz.

- I uwierzyłeś w to?

- A co miałem robić? Zadzwonić, kiedy mi mówisz, że nie powinienem? Zostać w Meksyku, kiedy spodziewam się, że ojciec jest w Kanadzie?

- Ty durniu, ja też dostałem telegram. Niemal identycznej treści. Mój ojciec miał być tutaj!

- Więc jesteś równie głupi, jak twoim zdaniem ja!

- Oni to zrobili!

Halloway odwrócił się w stronę wjazdu na teren posiadłości.

- Oni zastawili na nas pułapkę!

- Oni?

Pod Rosenbergiem ugięły się kolana.

- "Noc i mgła"?

- Kto inny mógłby... Muszą nas teraz obserwować!

Zaczęli się wycofywać do domu, gdy usłyszeli warkot samochodu na podjeździe. Strażnicy pobiegli ku niemu. Halloway obejrzał się i rozpoznał za kierownicą Millera.

Wóz zahamował z chrzęstem na żwirze. Wyskoczył rozwścieczony architekt.

- Powiedziałem ci, żebyś tu nie przyjeżdżał! - krzyknął Halloway.

- A ja powiedziałem ci, że przyjadę! Wiedziałaś, kim był mój ojciec! Wiedziałaś, kim wszyscy byli! Usiłowałem sam siebie przekonać, że gdybym przyjechał tutaj i uduślił cię, zniżyłbym się tylko do twojego poziomu. Ale, wybac mi Boże, nawet poznawszy przeszłość ojca, chciałem go odzyskać. A potem przysyłasz ten telegram! Mój ojciec! Miał tu być! Gdzie on jest?

Halloway chwycił blankiet telegramu, którym Miller wymachiwał z furją. Wiadomość brzmiała identycznie jak ta, którą otrzymał Rosenberg.

- Oni tu są! - wrzasnął. - Wiem o tym. Jestem pewien. Oni tu są.

- Kto? Gdzie? O czym ty... - gniew Millera rósł.

- Musimy się ukryć! Do środka!

Halloway popędził ku schodom, wykrzykując rozkazy do dowódcy ochrony:

- Zbierz ludzi! Brońcie domu!

Nagle znów usłyszał warkot samochodu w alei. Chryste, pomyślał. Tylko nie jeszcze jeden.

## XVIII.

Podobne sceny powtarzały się przez następne dwie godziny. Przed rezydencją zajeżdżały samochody. Wsiadali z nich mężczyźni ściskający w dłoniach telegramy. Wezwano ich z całego świata. Śpieszyli z Meksyku, Ameryki, Anglii, Francji, Szwecji, Egiptu i Włoch, myśląc, że zobaczą swoich ojców, a dowiadawali się, że do posiadłości Hallowaya zwabiono ich podstępem. Schroniwszy się w gabinecie, podczas gdy strażnicy pilnowali domu, rozmawiali podniesionymi głosami, przestraszeni, rozgniewani. Krzyczeli, oskarżali się wzajem, narzekali.

- Natychmiast się stąd wynoszę!

- To niebezpieczne!

- A czy bezpiecznie jest tu zostać?

- Co ma się stać o trzeciej?
- Dlaczego w telegramie wymieniono tę godzinę?
- A jeśli nasi ojcowie naprawdę wrócą?
- A jeśli zostaniemy zaatakowani?

Minęła godzina trzecia. Halloway usłyszał, że w aleję wjeżdża kolejny pojazd. Wybiegł na zewnątrz z nadzieją, że nie miał racji co do "Nocy i Mgły", modląc się, żeby to byli Sopol i Set. Zamiast samochodu osobowego zobaczył ciężarówkę. Z drewnianymi listwami po bokach i brezentową plandeką. Wyglądała jak...

Halloway zadrzał.

... wóz do transportu bydła.

Boże, zmiłuj się, pomyślał pełen najgorszych przeczuc. Bał się tym bardziej, że nie wiedział, czego oczekiwać. Był jednak pewien - to początek końca.

## **XIX.**

- Co się tam dzieje? - zapytał na głos Saul. Przykucnąwszy obok Eryki, Sheana i Arlene, przyglądał się jadącej aleją ciężarówce. Widział, że mężczyzna w niebieskim dresie macha rękami jak oszalały, a wartownicy podnoszą broń. W głosie Sheana wyczuwało się napięcie.

- Musimy podejść bliżej.

- Teraz. Kiedy strażnicy są zajęci - powiedziała Eryka. Podbiegła do wysokiego do pasa ogrodzenia z drucianej siatki, która oddzielała ich od terenu posiadłości. Na słupkach nie dostrzegła izolatorów - druty nie były pod napięciem. Nie zauważyła również kamer telewizyjnych. Może ukryto jakieś czujniki w trawie, ale musiała zaryzykować. Wspięła się po siatce, zeskoczyła na ziemię i zaczęła się czołgać.

Po prawej stronie widziała mężczyznę w niebieskim dresie, wykrzykującego rozkazy. Ciężarówka dojechała do końca alei i zbliżyła się do samochodów zaparkowanych przed rezydencją.

Popychana straszliwym przeczuciem, Eryka czołgała się coraz szybciej. Spojrzała na Saula, który sunął przez trawę w jej kierunku. Shean i Arlene byli bardziej w lewo. Rozdzielając się, zmniejszali ryzyko, że ktoś ich zobaczy.

Mając słońce za plecami, pośpieszyła w stronę klombu, na którym rosły wysokie pomarańczowe lwie paszcze. Kwiaty mogły jej posłużyć za osłonę. Nagle zatrzymała się. Zza budynku wypadli dwaj strażnicy, zaalarmowani zamieszaniem od frontu. Dołączyli do towa-

rzyszy i wycelowali broń w ciężarówkę, która zakręciła i stanęła tyłem do rezydencji.

Eryka wykorzystała fakt, że ochrona jest zajęta, i podbiegła bliżej domu. Widząc wartownika po lewej stronie, przykucnęła za krzakami. Strażnik podszedł do szopy z automatem gotowym do strzału i natychmiast odskoczył jak uderzony. Szarpnął coś, co utkwilo mu w szyi, i upadł. Zbita z tropu Eryka zobaczyła, że zza szopy wyłaniają się dwaj starzy ludzie. Jeden z nich trzymał broń, którą rozpoznała po charakterystycznym kształcie - służyła do strzelania nabojami usypiającymi. Pomimo zaawansowanego wieku mężczyźni poruszali się zadziwiająco sprawnie. Wciągnęli wartownika do środka. Jeden zamknął drzwi, a drugi chwycił upuszczony przez przeciwnika pistolet. Następnie pośpieszyli na tyły rezydencji i zniknęli Eryce z oczu.

Oszołomienie jej wzrosło, gdy spojrzała w prawo, ku frontowi domu. Stary mężczyzna wyskoczył z szoferki i zbliżył się do klapy ciężarówki, aby dołączyć do towarzysza, który wysiadł od strony kierowcy i niewidoczny dla Eryki obszedł samochód. Stanęli obydwaj na wprost automatów strażników. Prerażona Eryka poczołgała się szybciej. Serce biło jej jak młotem. Miała coraz gorsze przeczucia. Mężczyzna, który wyłonił się zza ciężarówki, był jej ojcem.

## XX.

Wściekłość uczyniła go niezdolnym do odczuwania strachu. Joseph Bernstein stanął na wprost automatów i zwrócił się do Hallowaya:

- Czy tak się wita gości?

- Kim jesteście?

- Myślę, że już wiesz - odparł Ephraim Avidan, sięgając lewą ręką do brezentu zakrywającego klapy ciężarówki.

- Powiedz swoim ludziom, żeby złożyli broń. Ephraim odciągnął brezent na bok. Klapy opadła.

W ciężarówce siedział jeszcze inny stary, brodaty mężczyzna z wycelowanym karabinem maszynowym.

- Ponieważ zawodowo zajmujesz się bronią, na pewno zdajesz sobie sprawę, że odwiódłem kurek - stwierdził. - Wiesz także, jakiego spustoszenia mogą dokonać kule kalibru trzydzieści. Nawet jeśli ktoś mnie w tej chwili zastrzeli, jeszcze odruchowo nacisnę spust. Mierzę ci prosto w pierś. Lepiej zrób to, o co proszą moi towarzysze i każ swoim ludziom rzucić broń.



- Jeżeli potrzebujesz dalszej zachęty, zjrzyj do ciężarówki - dodał Joseph.

Z otwartymi ze strachu ustami, Halloway zerknął do środka.

- Podejdź bliżej - polecił Avidan. - Chcemy, żebyś zobaczył wszystko dokładnie.

Halloway zrobił dwa niepewne kroki i zbladł, ujrawszy wewnątrz ciężarówki.

Na podłodze leżeli ich ojcowie, wszystkich jedenastu, skuci z sobą, półprzytomni od środków uspokajających, z poszarzałymi twarzami i zapadniętymi policzkami. Pilnujący ich mężczyzna przystawił lufę uzi do czoła ojca Hallowaya.

- Boże!...

Halloway złapał się za brzuch, jakby miał wymiotować.

- Powiedz swoim ludziom, żeby odłożyli broń, albo zastrzelimy więźniów - zagroził Joseph, wyjmując z kieszeni kurtki beretkę.

- Róbcie, co mówi - wyszeptał Halloway.

Strażnicy rzucili automaty. Joseph przeszukał ich, znalazł kilka pistoletów i kazał obstawie położyć się twarzami do ziemi.

- Dlaczego to robicie? - zapytał Halloway. - Czego chcecie?

- Czy to jeszcze nie jest oczywiste? - odparł Ephraim. - Przyjechaliśmy, aby porozmawiać o hitlerowskich teoriach rasowych. Otworzyły się frontowe drzwi rezydencji. Jeden po drugim, z podniesionymi rękami i twarzami ściągniętymi strachem, wyszli z nich pozostali członkowie grupy Hallowaya, a za nimi dwaj starzy ludzie, trzymający uzi.

- Widzę, że reszta publiczności zechciała się do nas przyłączyć - zauważył Avidan.

- Nie wiem, co sobie wyobrażacie - krzyknął jeden z synów - ale...!

- Panie Miller - przerwał mu Joseph - proszę się zamknąć.

- Nie uda wam się utrzymać czegoś takiego w tajemnicy! Nie możecie...

Joseph uderzył go beretką w głowę. Miller upadł na ziemię. Jęknął łapiąc się za krwawiące czoło.

- Czy ktoś jeszcze chciałby coś powiedzieć? - zapytał Bernstein. Grupa patrzyła z przerażeniem na krew płynącą po twarzy Millera.

- Bardzo dobrze - stwierdził Joseph.

Z dwóch stron domu wyłonili się starzy ludzie uzbrojeni w uzi.

- Unieszkodliwiliście pozostałych strażników? - spytał Ephraim.

- Teren jest czysty. Przeszukaliśmy cały dom.

- W takim razie czas zaczynać. Avidan podszedł do ciężarówki.

- Cokolwiek zamierzacie zrobić, jest złe - powiedział mężczyzna o wyglądzie Meksykanina.

- Rosenberg, jak śmiesz mi mówić, co jest złe. Ty i Halloway stanowicie doskonały dowód na to, że synowie dziedziczą skłonności ojców.

- O co ci chodzi?

- O broń, którą sprzedaliście Libii, i której miano użyć przeciw Izraelowi.

- Wiecie o...

- Transport jest już teraz w rękach izraelskich.

Rosenbergowi zaparło dech.

- Tak się złożyło, że chociaż nie mieliście zamiaru tego robić, pomogliście rasie, którą wasi ojcowie za wszelką cenę starali się zniszczyć - stwierdził Ephraim.

Sięgnął do ciężarówki i cisnął na ziemię kilka łopat.

- Podnieście je. Wszyscy. Zrzucił następne łopaty.

- Przywieźliśmy ich dużo. Starczy dla każdego. Nie możemy stracić całego dnia. Wasi ojcowie zawsze zalecali wydajność. Pracę zespołową. Porządek.

- Łopaty? - Halloway zbladł. - Co chcecie...

- Wykopać dół, oczywiście. Duży głęboki dół.

- Oszaleliście!

- Czy twoim zdaniem, wasi ojcowie byli szaleni, kiedy zmuszali Żydów do kopania dołów na ciała ich bliskich? Czy też może zabijanie Żydów jest rzeczą rozsądną, a szaleństwo zaczyna się dopiero wówczas, gdy kaci stają się ofiarami? Brać się za łopaty, no już!

Popędzani kolbami uzi, podeszli bliżej.

- Wykopiemy dół za domem, żeby był niewidoczny z drogi - wyjaśnił Ephraim. - Jestem pewien, że wszyscy zastanawiacie się, co zamierzamy z wami zrobić, kiedy będzie gotów. Czy zmusimy was, abyście patrzyli, jak umierają wasi ojcowie, a potem zastrzelimy tak samo, jak oni zabijali tych, którym kazali kopać doły. Wzbudzamy w was tę samą nadzieję, jaką oni mamili swoje ofiary. Współpracujcie z nami, a puścimy was wolno. Kopcie dół - okażemy wyrozumiałość. Jak bardzo kochacie ojców? Wielu Żydów stanęło wobec tego pytania podczas wojny. Skoro ojciec i tak ma zginąć, czy jest sens poświęcać się i umrzeć razem z nim? Czy nie lepiej zgodzić się na współpracę z oprawcami, licząc na to, że was oszczędzą? Interesujący dylemat. Jeśli odmówicie kopania - zabijemy was. Jeśli posłuchacie... - Ephraim rozłożył ręce. - Kto wie? Doświadczycie tego, co my. To będzie dla was nauka.

## **XXI.**

Eryka przykucnęła za altaną i badała wzrokiem tyły rezydencji. Dwaj starzy

mężczyźni, którzy wciągnęli strażnika do szopy, nie byli już widoczni. Przymuszczałnie weszli do domu tylnymi drzwiami. Ale na końcu budynku dwaj inni wlekli wartownika do pawilonu, wyglądającego na garaż. Pojawili się po chwili i pobiegli w stronę domu.

Eryka spojrzała na czołgającego się obok Saula i podniosła dłoń w ostrzegawczym geście, pokazując na tyły rezydencji. Nie widziała Sheana i Arlene, którzy prawdopodobnie próbowali zatoczyć koło. Miała nadzieję, że zdają sobie sprawę z obecności innych ludzi na terenie posiadłości.

Dwie pary starych mężczyzn spotkały się przed tylnym wejściem. Wbiegli do środka. Eryka zmusiła się, żeby jeszcze trochę odczekać.

Dobrze zrobiła. Ci czterej wyjrzeni po chwili na zewnątrz, z uzi gotowymi do strzału, jakby chcieli się upewnić, czy teren czysty, po czym rozdzielili się i pobiegli, po dwóch z każdej strony budynku, aby dołączyć do grupy od frontu.

Teraz! Popędziła ku domowi, przypadła do ściany i spojrzała przez oszklone drzwi. Cienie i cisza. Gdy Saul ją dogonił, nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Po prawej zobaczyła schody prowadzące do piwnicy. Przed sobą miała krótki korytarz. Podczas gdy Saul sprawdzał piwnicę, podążyła w głąb domu, czując zapach pieczonego mięsa i świeżego chleba. Dotarła do dużej lśniącej czystością kuchni, gdzie na podłodze leżeli dwaj osobnicy w ubraniach kucharzy. Z szyi sterczały im naboje usypiające.

Eryka poczuła chłód na własnej szyi. Gdy Saul wrócił z piwnicy, przeszła przez wahadłowe drzwi na inny korytarz, dłuższy i szerszy od poprzedniego, z pejzażami wiszącymi na ścianach. Chociaż obrazy były piękne, nasycone jakby mistycznym światłem, napęliły ją obrzydzeniem, ponieważ prawdopodobnie malował je ten potwór, ojciec Hallwaya, zastępca komendanta Majdanka. Po prawej stronie miała jadalnię, po lewej gabinet. Pełne popielniczki i puste kieliszki wskazywały, że niedawno zebrało się tu dużo ludzi. Eryka skierowała jednak uwagę na koniec korytarza. Frontowe drzwi były uchylone. Z zewnątrz dochodziły męskie głosy - niektóre gniewne, inne błagalne, kilka przerażająco spokojnych. Jeden z nich był głosem jej ojca. Czując pulsowanie krwi w skroniach, pobiegła do wyjścia i przyłgnęła do ściany. Przez niewielką szparę za framugą wyjrzała na zalane słońcem schody. Stał na nich stary człowiek, trzymając na muszce grupę mężczyzn w średnim wieku.

Ponownie dobiegł Erykę głos ojca. Podniecenie, jakie odczuła znalazłszy się tak blisko niego, nagle z niej odpłynęło. Ogarnęła ją rozpacz. Rozmowa, którą słyszała, brzmiała groteskowo, podobnie jak chrzęst rzucanych na żwir łopat i rozkaz kopania dołu za domem. Powstrzymując mdłości, położyła dłoń na ramieniu Saula.

## XXII.

Gdy Ephraim opisywał dół, jaki synowie mieli wykopać dla swoich ojców, Josephowi stanęły przed oczyma doły, do których kopania on i jego żona byli zmuszeni w Treblince. Z braku krematoriów to w nich SS paliło ciała. Pomagającym przy tym Żydom obiecywano odroczenie egzekucji na tak długo, na jak długo starczy im sił: “Współpracujcie, a będziecie żyć. Jeśli odmówicie z powodu lojalności wobec innych Żydów, umrzecie w komorach gazowych, chociaż moglibyście tego uniknąć. Wasze zwłoki zostaną spalone w dołach, których nie chcieliście kopać”.

Ten straszliwy wybór odcisnął piętno na psychice Josepha. Przeżył dzięki temu, że zgodził się usuwać szczątki swoich bliźnich. Od tamtej pory tak trawiło go poczucie winy, tak rozsadzała wściekłość, że aby ulżyć swej udęcie, gotów był zrobić wszystko. Teraz, gdy ta chwila nadeszła, nie tylko przypomniał sobie Treblinkę. Miał wrażenie, jakby znów się tam znalazł. Znów dym tłących się trupów kłębił się dokoła, swąd zwęglonych ciał zginał go w pół. Musi się jednak wyprostować, musi pracować dalej, bo esesman każe ułożyć na zwłokach więcej drzewa, otworzyć więcej worków z wapnem, wynieść z komór gazowych więcej trupów. Łzy napłynęły mu do oczu.

- Wysiadać! - usłyszał krzyk esesmana. - Wszyscy! Ruszać się! Szybciej! Skaczcie, do cholery! Wysiadać z ciężarówki!

Z ciężarówki? Przecież w Treblince nie było ciężarówek. Hitlerowcy przywozili więźniów pociągami, w bydłowych wagonach. Co tu robi ciężarówka?

Przeniósł się z wczorajszego koszmaru do dziś i zobaczył oczy Ephraima rozszerzone nienawiścią.

- Wysiadać! - krzyczał Avidan do sędziwych oficerów SS, popędzając ich uderzeniami sznura.

Ponieważ więźniowie byli skuci razem, tracili równowagę starając się wysiadać szybko, i spadali jeden na drugiego. Łańcuchy dzwoniły, słabe ciała chrzęściły na żwirze. Splątani z sobą, wili się z jękiem.

- Nie - powiedział Joseph.

Ale wśród krzyków Ephraima jego sprzeciw zabrzmiał jak szept. Avidan bił starców mocniej.

- Wstawać, kanalie! Pośpieszcie się! Nie ma czasu! Müller, ty jesteś specjalistą od tego, co teraz nastąpi! Kiedy dół będzie gotów, położymy w poprzek deskę i każemy ci stanąć

na środku! W ten sposób zyskamy pewność, że gdy cię zastrzelimy, runiesz prosto do dołu. Szkoda nam czasu na skopywanie twoich zwłok, jeśli upadniesz na brzeg. Wydajność, Müller! Czy nie taką miałeś dewizę? Organizacja! Nie tracić czasu!

- Nie - powiedział znów Joseph. Jednak i tym razem nikt go nie usłyszał. Synowie pobledli z przerażenia.

- Nie próbujecie nas powstrzymać? - zapytał Avidan. - Halloway? Rosenberg? Spróbujcie nas powstrzymać! Czyżbyście zaczęli rozumieć, do jakiego stopnia strach może pozbawić człowieka woli? Esesmani twierdzili, że Żydzi zasługują na śmierć, ponieważ nie stawiają oporu idąc do komór gazowych. Teraz wasza kolej! Stawcie opór! Okażcie swoją wyższość!

Nie przestawał smagać ich liną.

- Na nogi! Pośpieszcie się, do cholery!

Joseph obserwował wykrzywioną nienawiścią twarz Ephraima i zrobiło mu się niedobrze. To nie miało być tak. Spodziewał się, że będzie czuł satysfakcję, a nie obrzydzenie. Ulgę, nie mdłości.

Avidan bił starych ludzi coraz mocniej.

- Wkrótce przekonacie się, jakie to uczucie widzieć, jak wasi synowie kopią dla was grób, jak się ich zmusza, aby patrzyli na waszą śmierć. Poznacie, czym jest strach, poniżenie, upodlenie.

Ephraim spojrzał na synów.

- A wy dowiedcie się, jakie to uczucie widzieć, jak umierają wasi ojcowie, stać bezradnie z boku, kiedy wzięliście udział w egzekucji kopiąc dla nich grób! Poznacie, czym jest niepewność - czy dotrzymany tej ohydnej umowy? Czy was oszczędzimy, czy zabijemy?

Starych ludzi popędzono jak stado na tyły domu, a synów popychając bronią, zmuszono do niesienia łopat.

- Spróbujcie uciec! - wrzeszczał Ephraim. - Nas też to kusilo. Wiedzieliśmy, że zginiemy, a jednak mieliśmy nadzieję, że coś, cokolwiek, powstrzyma wydajność, powstrzyma...

Joseph otworzył usta, aby jeszcze raz wykrzyknąć "Nie". Ale słowo zamarło mu na wargach.

Bowiem ktoś inny, jakaś kobieta, krzyknęła pierwsza.

## **XXIII.**

Joseph spojrział w otwarte frontowe drzwi rezydencji. Pozostali odwrócili się, mierząc z uzi. Ephraim wyciągnął berettę. W oszołomieniu i zdumieniu Joseph przyglądał się kobiecie, która wyszła z domu.

Nie, myślał. To nie może być prawda. To mi się tylko wydaje.

Wiedział jednak, że to nie złudzenie. Rozpoznał kobietę bez najmniejszych wątpliwości i ziemia uciekła mu spod nóg.

To była Eryka.

Jej twarz poczerwieniała z gniewu.

- Nie! Nie wolno wam! To jest złe! To gorsze niż złe! Jeśli zrobicie z nimi to, co oni zrobili z wami, z nami, z naszym narodem, staniecie się tacy sami jak oni! Zniszczycie samych siebie! To musi się skończyć!

- Eryka... - wyszeptał Joseph.

- Znasz tę kobietę? - zapytał Avidan.

- To moja córka.

- Co takiego?...

Z prawej strony budynku wyskoczył inny mężczyzna i inna kobieta. Szarpali się przez chwilę z dwoma członkami grupy izraelskiej i odebrali im uzi. Niemal jednocześnie jeszcze jeden mężczyzna wypadł z drzwi rezydencji, chwycił innego starego człowieka za gardło i wyrwał mu broń.

Dla Josepha wszystko stawało się coraz bardziej nierealne. Mężczyzna w drzwiach był mężem Eryki.

- Saul? - zapytał zaskoczony. - W jaki sposób...

- Koniec! - krzyczała Eryka. - Nie będzie egzekucji! Zostawcie tych starych ludzi ich synom! Odejdziecie stąd!

Ale Ephraim nie przestawał mierzyć do niej z pistoletu.

- Nie, to wy stąd odejdziecie! Zbyt długo czekałem na tę chwilę! Zbyt dużo wycierpiałem! Zanim umrę, zanim oni umrą, zostaną ukarani!

- Owszem! - Eryka zbiegła ze schodów. - W sądzie! Niech zajmie się tym prawo!

Avidan rzucił jej spojrzenie pełne pogardy.

- Prawo? Gdzie było prawo w hitlerowskich Niemczech? Wiem, co robi prawo! Będzie tracić czas! Da im przywileje, o jakich ich ofiary nie mogły nawet marzyć! Procesy będą ciągnąć się bez końca! W rezultacie, zamiast zostać straceni, ci ludzie umrą spokojnie we, własnych łóżkach!

- Pomyśl o odpowiedzialności moralnej!

- Czy SS o tym myślało?

- Zastanów się. Jeśli ich zabijesz, będziesz ścigany przez resztę życia. Złapią cię i umrzesz w więzieniu!

- To tylko dowodzi, że mam rację! Prawo ukarze mnie bardziej surowo niż ich! A co do mojego życia, skończyło się ponad czterdzieści lat temu!

- Więc jesteś głupcem.

Ephraim zeszywniał. Joseph przestraszył się, że jego przyjaciel naciśnie spust.

- Tak, głupcem! - ciągnęła Eryka. - Cudem ocalałeś! Ale zamiast dziękować za to Bogu, zamiast cieszyć się życiem, pielęgnowałeś myśli o śmierci! Bóg ofiarował ci dar, a ty ten dar odrzuciłeś!

Avidan wycelował broń w ojca Hallowaya.

- Nie! - krzyknął Joseph. Eryka podbiegła do ojca.

- Powiedz mu coś! Przekonaj go! Jeśli mnie kochasz, powstrzymaj go! - Chwyciła Josepha za ramiona. - Zrób to! Dla mnie! Błagam cię! Wytłumacz mu, że te potwory nie są warte tego, żeby z ich powodu rujnować sobie życie! Masz wnuka, którego rzadko widywałeś! Mógłbyś patrzeć, jak rośnie! Mógłbyś poznać, czym jest niewinność, a może nawet odzyskać własną! Mógłbyś być znowu młody! - Łzy płynęły jej po twarzy. - Na miłość boską, zrób to! Jeśli mnie kochasz!

Joseph poczuł zapierający dech ucisk w piersiach. Przytłaczający, ale jakże różny od presji, która ich tu przywiodła. Wywołany miłością, nie nienawiścią.

- Ephraim... - zaczął z trudem. - Ona ma rację - jego głos był chrapliwy, pełen bólu, chociaż Joseph czuł coś wręcz przeciwnego. - Odejdźmy stąd.

Avidan spojrział z ukosa na ojca Hallowaya.

- Tak łatwo byłoby nacisnąć spust. Jaką by to dało satysfakcję...

- Nie widziałeś siebie, kiedy ich biłeś. Przypominałeś komendanta obozu w Treblince.

- Nie porównuj mnie z...

- Nie uwalniasz mnie od koszmarów. Wywołujesz je na nowo. Wstyd mi, że moja córka zobaczyła, co robimy. Proszę cię, Ephraim. Teraz wiem, czego chcę. Zapomnieć.

- I puścić ich wolno?

- Co to zmieni? Ich śmierć nie przywróci życia naszym bliskim. Nie powstrzyma nienawiści. Ale jeśli ich zabijesz, sam będziesz jej częścią.

Jak Eryce, łzy płynęły Avidanowi po twarzy.

- Ale co się ze mną stanie? Joseph odebrał mu broń i objął go.

- Przy odrobinie szczęścia... obydwaj nauczymy się żyć.

## XXIV.

Było ich teraz pięcioro w wynajętym samochodzie. Shean i Arlene siedzieli z przodu, Saul, Eryka i Joseph z tyłu. Opuszczali posiadłość Hallowaya, a ciężarówka, w której Avidan wioził resztę grupy, jechała za nimi.

- Halloway nie odważy się wezwać policji - zauważył Saul. - On i pozostali mają zbyt wiele do ukrycia.

Joseph skinął poważnie głową i zwrócił się do Eryki:

- Jak mnie znaleźliście?

- Będę potrzebowała całego lotu do Europy, żeby ci to wyjaśnić.

- Obawiam się, że nie wrócę z wami.

Eryka zbladła.

- Myślałam...

- Żałuję, ale nie mogę - Joseph objął córkę. - Zostało dużo do zrobienia. Trzeba zdemontować operację. Wszystko odwołać. Poza tym - obejrzał się ze smutkiem na Avidana siedzącego w kabinie ciężarówki - moi przyjaciele i ja musimy porozmawiać o wielu sprawach. Spróbować zapomnieć. To nie będzie łatwe. Nie tylko dla Ephraima. Dla żadnego z nas.

- Więc obiecaj, że przyjedziesz nas odwiedzić. Zobaczyć wnuka - nalegała Eryka.

- Oczywiście.

- Kiedy? - zapytała szybko.

- Za dwa tygodnie.

- Dzięki Bogu, że zdążyliśmy na czas - westchnął Shean.

- Czy ja wiem? - zamyślił się Joseph. - Ephraim miał rację co do jednego. Oni spokojnie umrą, zanim zostaną ukarani.

- Nie! - zaprotestowała Eryka. - Zawiadomimy Miszę. Powiemy mu, co odkryliście. On załatwi ekstradycję. Poniosą karę.

- Chciałbym w to wierzyć. Ale z drugiej strony... Joseph uśmiechnął się, widząc coś przez okno.

- Co to znaczy "z drugiej strony"? Dlaczego się uśmiechasz?

- Bez powodu.

Właśnie zobaczył mijający ich samochód. Duży samochód. Jadący do posiadłości Hallowaya. Pełen Arabów. Joseph był pewien, że to Libijczycy. Wściekli Libijczycy. Mający



zamiar zażądać wyjaśnień od Hallowaya i Rosenberga w sprawie uprowadzenia transportu broni.

Tak, pomyślał Bernstein ściskając Erykę, sprawiedliwość daje poczucie satysfakcji.

## XXV.

Złapali nocny samolot do Rzymu. Saul przespał prawie całą drogę. Na godzinę przed lądowaniem wyrwał go ze snu uścisk ręki na ramieniu. Zobaczył Sheana, który właśnie przeszedł obok i gestem nakazywał mu iść za sobą. Ostrożnie, aby nie obudzić Eryki, zauważywszy, że Arlene także jeszcze śpi, Saul odpiął pas i dołączył do przyjaciela czekającego w wąskim korytarzu między dwoma rzędami toalet.

- Chciałem z tobą porozmawiać, zanim wylądujemy - wyjaśnił Shean.

- Sądziłem, że możemy to zrobić w Rzymie.

- Nie będziemy mieli czasu. Arlene i ja musimy zdać relację Bractwu Kamienia. Wywiązaliśmy się z umowy. Dowiedzieliśmy się, dlaczego zniknął kardynał Pavelić i kto usiłował zniszczyć zakon. Chcemy odzyskać wolność.

- Jesteś pewien, że dotrzymają słowa?

- Powinni. Chciałem ci powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że wszystko skończyło się dobrze dla ciebie i twojej żony. Była niesamowita, gdy wyszła z rezydencji prosto na te uzi! Życzę wam dwojgu szczęścia.

- Eryka i ja nie poradziłibyśmy sobie bez waszej pomocy.

- Ani Arlene i ja bez was. Jesteśmy wam wdzięczni.

- Trudno mi to wyrazić...

Shean czekał.

- Na początku - powiedział Saul - instynktownie poczułem do ciebie sympatię. Ze względu na mojego zmarłego brata. Nie tylko masz taką samą przeszłość jak Chris. Nawet wyglądasz jak on.

- Co znaczy "na początku"? Co się zmieniło?

- Podobieństwo do kogoś jest kiepską podstawą przyjaźni. Teraz chcę, żebyśmy byli przyjaciółmi ze względu na ciebie samego.

Shean uśmiechnął się.

- W porządku. Pokleпали się po plecach.

- Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił - poprosił Shean.

- Co tylko zechcesz.

- Przekonaj Gallaghera, żeby nas nie szukał. Powiedz mu, że mamy już dość siatek wywiadowczych. Nie chcemy zostać zwerbowani. Chcemy zniknąć z oczu i żyć w spokoju.

- Wytłumaczę mu to.

- Coś jeszcze - dodał Shean. - Nie możemy zameldować się Bractwu, dopóki Agencja przetrzymuje ojca Dusseault.

Saul rozumiał, dlaczego. Gdyby Bractwo odkryło, że ksiądz jest więźniem CIA, oskarżyłoby Sheana i Arlene o zdradę. Jego przyjaciele zginęliby, zamiast odzyskać wolność.

- Kiedy go widziałem po raz ostatni, ksiądz był nieprzytomny od narkotyku - ciągnął Shean. - Nie pamięta, co się działo od czasu tamtej nocy w Ogrodach Watykańskich. Nie ma pojęcia ani o tobie, ani o tym, że Agencja go przesłuchiwała. Powiedz Gallagherowi, żeby dowiedział się, czego potrzebuje i zostawił ojca Dusseault w pobliżu Watykanu. Ksiądz będzie szukał ochrony przed Bractwem, ale po otrzymaniu mojego raportu oni ukarzą go za zabicie kardynała i nasłanie grupy Avidana na hitlerowców.

- A we właściwym czasie Agencja zajmie się Bractwem. To nie powinno być trudne do załatwienia - stwierdził Saul. - Gallagher już i tak się denerwuje, że trzymając księdza przekroczył swoje kompetencje. Boi się wyjaśnić zwierzchnikom, jak zdobył informacje. - Saul zrobił pauzę. - Odezwiecie się do nas?

- Gdy tylko będziemy wolni.

- Gdzie macie zamiar się osiedlić?

- Nie jesteśmy jeszcze zdecydowani. Może w Pirenejach.

- Co byś powiedział na pustynię? Chcielibyśmy, żebyście zamieszkali z nami w Izraelu.

- Spędziłem rok na pustyni. To mi nie służyło. Saul uśmiechnął się.

- Jasne. Rozumiem.

Jego uśmiech przygasł.

- Tylko...

- Mów.

- Ja też chciałbym cię prosić o przysługę.

- Cokolwiek zechcesz.

- Dwa tygodnie temu, kiedy wszystko się zaczęło, nasza wioska została zaatakowana. Chodziło o nas dwoje. Myśleliśmy, że ma to coś wspólnego ze zniknięciem Josepha, że ktoś usiłuje nam przeszkodzić w odnalezieniu go. Jednak nie dowiedzieliśmy się niczego, co wskazywałoby na związek ataku z tą sprawą. Boję się, że jest ktoś, kto ma inny powód, żeby chcieć zabić Erykę i mnie. Myślę, że ponowię próbę.

Shean dotknął ramienia swego nowego przyjaciela. Miał spojrzenie twarde, ale jasne.

- Przyjedziemy tak szybko, jak się da. Po tym wszystkim... - jego ton przypominał głos Chrisa. - Chciałbym zobaczyć, jak dranie próbują. Przeciwno naszej czwórce? Niech tylko przyjdą.

**KONIEC**